

CZARNA SERIA



Subtelnie opowiedziana historia
o wyrwaniu się ze skostniałych życiowych
schematów, o osobliwej przyjaźni
i marzeniach – tych spełnionych
i tych zaprzepaszczonych
– z zagadką kryminalną w tle.

Kristianstadsbladet

W osobie Barbarottiego
Nesser tworzy właśnie nową
kultową postać.
Spiegel online

Håkan

NESSER

DRUGIE ŻYCIE PANA ROOSA

Tytuł oryginału
BERÄTTELSE OM HERR ROOS

Redakcja
Agnieszka Niegowska

Projekt okładki
Magda Kuc

Skład i lamowanie
Marcin Labus

Korekta
Bogusława Jędrasik

© Håkan Nesser, 2008
First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden
Published in the Polish language by arrangement with
Bonnie Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2011

Wydanie I

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36
faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:
www.czarnaowca.pl

Książka dostępna również jako e-book

Druk i oprawa
Opolgraf S.A.

Książka została wydrukowana na papierze Ecco Book Cream 70g/m², vol 2,0
dystrybuowanym przez:

map

ISBN 978-83-7554-352-0

Miejscowości Kymlinge i Maardam nie istnieją naprawdę. Istnieje natomiast, cytowany w kilku miejscach niniejszej książki, rumuński pisarz Mircea Cărtărescu.

„Przez całe życie tęskniłem za samotnością w takim miejscu jak to”*

Per Petterson, *Kradnąc konie*

* W przekładzie Iwony Zimnickiej (przyp. tłum.).

I

1

W dniu, w którym wszystko się zmieniło, Ante Valdemar Roos miał wizję.

Spacerował z ojcem po lesie. Była jesień, trzymali się za ręce; słońce przenikało przez wysokie korony sosen, a oni podążali wydeptaną ścieżką wijącą się między krzewinkami żurawiny i omszałymi kamieniami. Powietrze było rześkie i przejrzyste, gdzieś pachniało grzybami. Miał jakieś pięć, może sześć lat. W oddali słychać było nawoływanie ptaków i szczekanie psa.

– Oto Gråmyren – powiedział ojciec. – To miejsce łosia.

Były lata pięćdziesiąte. Ojciec miał na sobie skórzaną kamizelkę i kraciatą czapkę z daszkiem. Teraz zdjął ją, wypuścił rękę syna i mankietem koszuli wytarł czoło. Wyciągnął tytoń i zaczął nabijać fajkę.

– Rozejrzyj się dookoła, mój chłopcze – rzekł. – Życie nigdy nie będzie lepsze. Nigdy nie będzie lepiej.

Nie był pewien, czy to się wydarzyło naprawdę. Czy było to prawdziwe wspomnienie, czy jedynie obraz, który wypłynął na powierzchnię pełnej tajemnic studni przeszłości. Tęsknota za czymś, czego może nigdy nie było.

Właśnie dzisiaj, ponad pięćdziesiąt lat później, siedział na rozgrzanym kamieniu przy swoim samochodzie, wystawiał twarz do słońca i nie było mu łatwo rozstrzygnąć, co jest prawdą, a co złudzeniem. Był sierpień, a do lunchu zostało pół godziny; ojciec zmarł w 1961 roku, kiedy Valdemar miał zaledwie dwanaście lat. Często idealizujemy wspomnienia. Nie byłoby dziwne, gdyby pewne zdarzenia nigdy nie miały miejsca. W każdym razie niektóre.

Alc tamte słowa brzmiały prawdziwie i nie wydawało się, żeby mógł je wymyślić.

Życie nigdy nie będzie lepsze.

Wyraźnie pamiętał czapkę z daszkiem i kamizelkę.

Kiedy umarł, był pięć lat młodszy niż ja teraz, pomyślał. Pięćdziesiąt cztery lata, nie miał więcej.

Dopił kawę i usiadł za kierownicą. Odchylił siedzenie – na tyle, na ile się dało – i znowu zamknął oczy. Opuścił boczną szybę, by poczuć ciepły powiew wiatru.

Spać, pomyślał. Zdążyć się zdrzemnąć jakiś kwadrans. Może przyśni mi się ta chwila w lesie. Albo coś równie pięknego.

Firma Wrigmans Elektriska produkowała termosy. Od początku istnienia, czyli od końca lat czterdziestych, przez kilka dziesięcioleci koncentrowała się na różnych urządzeniach elektrycznych, takich jak okapy, roboty kuchenne i suszarki, ale począwszy od połowy lat siedemdziesiątych, przerzuciła się na produkcję termosów. Zmiana nastąpiła przede wszystkim dlatego, że założyciel firmy, Wilgot Wrigman, praktycznie spłonął w czasie pożaru transformatora w październiku 1971 roku. Nie była to najlepsza reklama dla firmy produkującej urządzenia elektryczne – ludzie tak łatwo nie zapominają.

Nazwę zachowano, byli bowiem tacy, którzy uważali, że Wrigmans Elektriska to marka sama w sobie. Fabryka znajdowała się w Svartö, kilka kilometrów na północ od Kymlinge, zatrudniała trzydziestu pracowników i Ante Valdemar Roos pracował tam na stanowisku głównego księgowego od 1980 roku.

Czyli dwadzieścia osiem lat. Każdego dnia czterdzieści osiem kilometrów w samochodzie; licząc czterdzieści cztery robocze tygodnie w roku – dla równego rachunku – i pięć dni w tygodniu, dawało to dwieście siedemdziesiąt jeden tysięcy czterdzieści kilometrów, co odpowiadało przejechaniu świata dookoła jakieś siedem razy. Najdalej w swoim życiu

Valdemar był na greckiej wyspie Samos – to było drugie lato z Alice, dwanaście lat temu. Czego by o czasie nie mówić, jedno jest pewne – ucieka.

Ale był też inny rodzaj czasu; Ante Valdemar Roos wyobrażał sobie niekiedy, że tak naprawdę istnieją dwa pojęcia czasu.

Czas, który gna do przodu – sumujący dni, zmarszczki i lata – na co niewiele można poradzić. Pozostawało jedynie nadażać – jak młode psy za goniącą się suką i muchy za krowim zadem.

Ten drugi czas, powracający, był jednak czymś zupełnie innym. Powolny i ospały, niekiedy stał w miejscu, a w każdym razie można było odnieść takie wrażenie; wlokące się sekundy i minuty, kiedy jako siedemnasty czekał na światłach na skrzyżowaniu Fabriksgatan i Ringvägen albo kiedy budził się pół godziny przed czasem i za żadne skarby nie mógł ponownie zasnąć, tylko leżał na boku, obserwował budzik na nocnym stoliku i patrzył, jak za oknem świta.

I to było bezcenne – ten czas, kiedy nic się nie działo. Im był starszy, tym mocniej to odczuwał.

Pomyślał, że to w przerwach między zdarzeniami – kiedy pewnej listopadowej nocy łód kładzie się na jeziorze, jeśli chciałoby się być odrobinę lirycznym – czuje się jak w domu.

I jemu podobni też.

Nie zawsze tak myślał. Tylko w ostatniej dekadzie, mniej więcej. Być może przeczuwał, że tak właśnie jest, ale uświadomił to sobie – nazwał – przy specjalnej okazji. Pewnego majowego dnia przed pięcioma laty między Kymlinge a Svartö samochód odmówił mu posłuszeństwa. To było rano, jakąś minutę po tym, jak minął rozdroże przy kościele w Kvartofta. Próbował kilka razy odpalić, ale auto nie wykazywało żadnych oznak życia. Najpierw zadzwonił do Red Cow i powiadomił, że się spóźni, a potem do assistance – obiecali przysłać samochód zastępczy w ciągu pół godziny.

Minęło półtorej i w czasie tych dziewięćdziesięciu minut, kiedy siedział za kierownicą i obserwował ptaki fruujące pod pogodnym, porannym, majowym niebem, światło padające na pola, a na swoich rękach żyły, w których płynęła krew pompowana przez jego wierne, stare serce, zrozumiał, że w takich chwilach jego dusza znajduje swoje miejsce w świecie. Właśnie w takich chwilach.

Nie przejmował się tym, że samochód pogotowia technicznego nie przyjeżdża. Nie przeszkadzało mu, że zadzwoniła Red Cow i zapytała, czy zrejterował. Nie miał potrzeby porozmawiania z żoną ani z nikim innym.

Powiniennem raczej być kotem, pomyślał Ante Valdemar Roos. Tak, do jasnej cholery, grubym dachowcem wylegającym się w słońcu na szczycie stodoły. To by było coś.

Teraz, kiedy się obudził i spojrzął na zegarek, też pomyślał o kocie. Za cztery minuty mijała pora lunchu – najwyższy czas wracać do Wrigmans. Dwie minuty wystarczy.

Znalazł tę polanę przed rokiem przy nieuczęszczanej leśnej drodze, rzut kamieniem od fabryki. Czasami przychodził tu pieszo, ale najczęściej przyjeżdżał samochodem. Lubił uciąć sobie piętnastominutową drzemkę; miło było po prostu odchylić zagłówek i zapaść w sen. Facet śpiący na ziemi na skraju lasu mógłby wzbudzać podejrzenia.

Pokój socjalny we Wrigmans Elektriska nie chciał mieć więcej niż piętnaście metrów kwadratowych, był wyłożony ciemnobrązowym linoleum i liliowym laminatem; spędziwszy w nim nieskończoną liczbę lunchowych godzin, Ante Valdemar Roos miał pewnej nocy sen, że umarł i trafił do piekła. To był 2001 lub 2002 rok i diabeł przyjął go osobiście: stał i witał w drzwiach nowo przybyłego gościa ze swoim charakterystycznym sardonycznym uśmiechem. W środku wyglądało tam jak w pokoju we Wrigmans. Red Cow już siedziała w swoim rogu, z podgrzanym w mikrofal

spaghetti i horoskopami, i nawet nie podniosła na niego wzroku, nie skinęła głową w jego kierunku.

Od następnego dnia Valdemar przeszedł na kanapkę, jogurt i kawę przy swoim biurku oraz banana i kilka pierniczków, które przechowywał w prawej górnej szufladzie z boku biurka. Teraz, jeśli tylko była odpowiednia pogoda, brał chętnie samochód, by nie musieć tam siedzieć, i urywał się na godzinę czy pięćdziesiąt minut.

Red Cow uważała go za dziwaka i wcale się z tym nie kryła. Ale nie dotyczyło to jedynie jego lunchowych zwyczajów. Nauczył się nią nie przejmować.

Zresztą z innymi było podobnie. Z Nilssonem, Tapanem i z samym Walterem Wrigmanem – z tymi, którzy zaludniali biuro. Zrozumiał, że uważają go za trudnego faceta; słyszał, jak Tapanen używa tego określenia w rozmowie telefonicznej, sądząc, że nikt go nie słyszy.

„No tak, wiesz, ten Valdemar Roos to trudny facet. Bogu dzięki nie jestem jego żoną”.

Trudny facet? Valdemar zaparkował na swoim stałym miejscu koło przerdzewiałego kontenera, o wywiezieniu którego mówiło się od połowy lat dziewięćdziesiątych. Tapanen był od niego młodszy co najwyżej dwa lata i pracował we Wrigmans prawie tak samo długo. Miał czworo dzieci z jedną kobietą, ale od jakiegoś czasu był rozwiedziony. Obstawiał gonitwy koni i przez ostatnie sto osiemdziesiąt tygodni twierdził, że to tylko kwestia czasu, nim zainkasuje kupę forsy, a wówczas jego noga już więcej nie postanie w tej przeklętej, zjedzonej przez mole firmie. Zawsze pilnował, by słyszał to Walter Wrigman, a dyrektor miał wtedy w zwyczaju wymieniać porcję snusu, przejeżdżać dłonią po tysinie i wyjaśniać, że nic by go bardziej nie ucieszyło. Nic.

Valdemar nigdy nie lubił Tapanena, nawet wówczas, gdy jeszcze ciągle lubił ludzi. Było w nim coś małostkowego i złośliwego; podejrzewał, że należy do ludzi, którzy zawożą przyjaciół w okopach. Nie wiedział dokładnie, co to

znaczy i skąd mu się wzięła ta myśl, ale pasowała do Tapanena jak ulał.

Nilssona lubił. Przygarbiony Norrlandczyk spędzał większość czasu w samochodzie, ale czasami siedział za swoim biurkiem na prawo od szklanego boksu Red Cow. Nie miał więcej niż czterdzieści lat: cichy i przyjazny, żonaty z jeszcze bardziej małomówną kobietą z Byske albo Hörnefors. Mieli pięcioro albo sześcioro dzieci i byli członkami jakiegoś niezależnego Kościoła – Valdemar nigdy nie mógł zapamiętać którego. Nilsson zaczął pracę we Wrigmans jakieś pół roku przed rokiem 2000; przejął stanowisko po Kulawym Lassie, który zginął w nieciekawych okolicznościach w związku z wypadkiem wędkarskim gdzieś w okolicach Rönninge.

Miał w sobie jakąś powagę, ten Nilsson: szaro-burą, przypominającą lawę cechę, którą mniej rozumiejące dusze, na przykład Tapanen, nazwałyby nudziarstwem, i mimo szczerych chęci Valdemar nie mógł sobie przypomnieć, by Nilsson kiedykolwiek zaskoczył czymś, co można by nazwać dowcipem. Trudno było nawet powiedzieć, czy podczas swoich dziesięciu lat we Wrigmans Elektriska kiedykolwiek się śmiał.

To, że lubi kogoś takiego, mówiło trochę o nim samym. A raczej lubił. Kiedyś.

Tak czy siak, obraz spaceru z ojcem był ciągle żywy. Wysokie, strzeliste pnie sosen, krzewinki żurawiny pośród kęp trawy, wilgotne wąwozy porośnięte wiązówką i woskownicą. Kiedy wrócił na swoje miejsce za biurkiem i uruchomił komputer, słowa ojca ciągle krążyły mu po głowie.

Życie nigdy nie będzie lepsze.

Nigdy nie będzie lepiej.

Popołudnie minęło pod znakiem przygnębienia. Był piątek. Sierpień. Czas upałów, jeszcze lato; pierwszy powakacyjny tydzień pracy dobiegał końca, a najbliższe godziny były jak szyny kolejowe wytyczone w niewłaściwym miejscu: przyjęcie u brata i szwagierki Alice w Kymlinge Kyrkby.

To była tradycja. W drugi piątek sierpnia u Hansa-Erika i Helgi Hummelbergów jadło się raki. Zasady były następujące: zakładano na głowę małe kolorowe kapelusiki, pito co najmniej sześć gatunków piwa oraz biber i wysysano raki. Zazwyczaj był ich tuzin, plus minus dwa lub trzy. I przez ostatnie trzy lata Valdemar zasypiał na sofie.

Nie z powodu przedawkowania napojów wysokokowych, raczej z nudów. Miał siłę konwersować, wykazać się bystrością, interesować się całą tą ezoteryczną błazenadą przez mniej więcej dwie godziny, a potem jakby uchodziło z niego powietrze. Zaczynał czuć się jak foka na pustyni. Na pół godziny znikał w toalecie, a jeśli nikt nie zauważył jego nieobecności, pozwalał sobie na dodatkowe pół godziny siedzenia na obcej, polakierowanej na brązowo desce sedesowej ze spodniami i bokserkami spuszczoneymi do kostek i na rozmyślanie o tym, jak się zachowa, jeśli pewnego dnia zdecyduje się odebrać sobie życie. Albo zabić swoją żonę. Albo uciec do Katmandu. Zwykł korzystać z tak zwanej dziecięcej toalety w części domu zwykle okupowanej przez nastolatki, bo i tak nigdy ich nie było, kiedy rodzice imprezowali, tutaj zaś mógł sobie posiedzieć w spokoju – niekochany, pod chmurą pesymistycznych przemyśleń – tak długo, jak chciał.

Coś musi być nie tak – myślał o tym w ubiegłym roku – coś musi być na poważnie nie tak z jego życiem, skoro mając mniej więcej sześćdziesiąt lat, nie umie znaleźć lepszego rozwiązania, niż pójść na przyjęcie i zamknąć się w toalecie.

Więc co robić? – pomyślał teraz, kiedy tydzień pracy nagle się skończył i znowu siedział za kierownicą. Co robić? Uderzyć pięścią w stół? Wyrzucić sprzeciw i grzecznie, ale stanowczo wyjaśnić, że nie ma zamiaru iść do Hansa-Erika i Helgi?

Czemu nie? Dlaczego po prostu nie powiedzieć Alice, że jej brat i jego oddech nie podobają mu się tak samo jak rap, blogi i afisze z sensacyjnymi nagłówkami gazet i że nie

ma zamiaru nigdy więcej przebywać w ich quasi-intelektualnym, zalanym bimbrem towarzystwie?

Kiedy przemierzał z powrotem dwadzieścia dwa kilometry do Kymlinge, wątpliwości obijały się, tam i z powrotem, po jego opustoszałej głowie. Wiedział, że są fikcyjne, nieprawdziwe; chodziło jedynie o zwyczajny, tchórzliwy protest, który nieprzerwanie się w nim toczył. Pytania, sformułowania i trujące frazy, które nigdy nie wydobyły się z jego wyblakłych warg i które sprawiały, że był jeszcze bardziej zniechęcony i posępny.

Jestem martwy, pomyślał, mijając nowe centrum handlowe Coop pod Billundsbergiem. Pod każdym możliwym względem jest we mnie mniej życia niż w sztucznym kwiatku doniczkowym. Problem nie tkwi w innych, tylko we mnie.

Siedem godzin później naprawdę siedział w toalecie. Przepowiednie sprawdziły się co do joty, z małym bonusem – był pijany. Z totalnych nudów, próbując znaleźć sens życia, wypił cztery kieliszki wódki, sporą ilość piwa i dwa albo trzy kieliszki białego wina. Opowiedział też wszystkim długą historię o dziwce z Odense, ale kiedy zmierzał do puenty, niestety okazało się, że wyleciała mu z głowy. Coś takiego może się zdarzyć w najlepszej rodzinie, ale nowa znajoma gospodarzy – blond biuściasta psychoterapeutka z korzeniami w Stora Tuna – obserwowała go z profesjonalnym uśmiechem; widział też, jak Alice zagryzła zęby, aż pobiełały jej szczęki.

Nie wiedział, jak długo siedział na polakierowanej na brązowo desce, ale zegarek wskazywał wpół do pierwszej; nie sądził, żeby się zdrzemnął. Doświadczenie mówiło mu, że spanie na muszli klozetowej jest mniej lub bardziej niemożliwe. Spuścił wodę, wstał i poprawił ubranie. Kilka razy ochlapał twarz zimną wodą i próbował ułożyć cienkie kosmyki, które wciąż gdzieniegdzie wyrastały na jego

nieregularnej głowie, tworząc pewnego rodzaju wzór. Zwędził odrobinę pasty do zębów i przepłukał usta. Następnie chwiejnym krokiem wyszedł z toalety i wziął kurs na salon, gdzie hiszpańska muzyka gitarowa mieszała się z podniesionymi głosami i radosnym śmiechem.

Jeśli nikt inny się nie ukrył, powinno ich być jedenaście, pomyślał Valdemar; kompletna drużyna futbolowa składająca się z ludzi w średnim wieku, młodszych i starszych ludzi sukcesu, wygadanych i zasłużenie pijanych.

Nagle dopadło go zwątpienie. Poczul się tak dojmująco stary, prawdziwie przegrany i ani trochę mocny w gębie. Jego żona była od niego o jedenaście lat młodsza, zaś wszyscy pozostali byli między czterdziestką a pięćdziesiątką, pytanie, czy psychoterapeutka ciągle nie miała trzydziestki... Jemu pozostało zaledwie kilka miesięcy do sześćdziesiątych urodzin.

Nie mam nic do powiedzenia żadnemu z nich, pomyślał. I żadne z nich nie ma mi nic do powiedzenia.

Nie chcę tu być, co najwyżej chcę być kotem.

Rozejrzał się po biało-aluminiowym holu. Nie było tam ani jednego przedmiotu, który by go zainteresował. Ani jednej cholernej małej rzeczy, którą mógłby ze sobą wziąć, gdyby był włamywaczem. To było zbyt żalosne.

Obrócił się na pięcie, wymknął przez drzwi wejściowe i spotkał z orzeźwiający, trzeźwiący nocny powietrzem.

Nigdy nie będzie gorzej, pomyślał.

2

O wpół do pierwszej następnego dnia Ante Valdemar Roos siedział na sofie w salonie i próbował czytać gazetę.

Kompletnie mu nie szło. Tekst skakał. Czuł, jakby jego głowa zdecydowanie za długo siedziała w piecu. Z żołądkiem

nie było lepiej, a na obrzeżach pola widzenia wyrosło coś na kształt ekspansywnego podbiału.

Jego żona Alice nie rozmawiała z nim przez cały ranek, ale młodsza córka, Wilma, wyjaśniła, jeszcze zanim obie zniknęły za drzwiami, że wychodzą na kilka godzin na zakupy. Miała szesnaście lat; może trochę było jej go szkoda.

Starsza córka, Signe, paliła na balkonie. Ani Wilma, ani Signe nie były rodzonymi dziećmi Valdemara – dostał je w pakiecie razem z Alice, kiedy pobierali się jedenaście lat temu. Wtedy miały pięć i dziewięć lat, teraz – szesnaście i dwadzieścia.

Pewna różnica – zauważył Valdemar. Trudno powiedzieć, że z czasem było łatwiej. Nie było dnia, by nie modlił się do wyższych mocy, w które właściwie nie wierzył, o to, żeby Signe się usamodzielniała i wyprowadziła z domu. Mówiła o tym od co najmniej trzech lat, ale do tej pory bez skutku.

Jeśli zaś chodzi o niego, to tak, Ante Valdemar Roos miał rodzone dziecko, syna Gregera. Był częścią pierwszego, pogmatwanego małżeństwa z kobietą o imieniu Lisen; w owym czasie to imię również nie było pospolite, a i ona też nigdy nie była specjalnie zwyczajna. Jeśli chodzi o całokształt.

Już nie żyła. Zginęła podczas ekspedycji w Himalaje dwa lata przed nowym tysiącleciem. Pomysł był taki, jeśli dobrze zrozumiał, żeby zdobyć jakiś tam szczyt w dzień swoich pięćdziesiątych urodzin.

Jednak wcześniej, po siedmiu latach małżeństwa przyznała, że prawie przez cały ten czas miała na boku innego mężczyznę, i rozwiedli się bez większych dramatów. Kiedy przeprowadzała się do Berlina, wzięła ze sobą Gregera, ale Valdemar spotykał się czasem z synem, kiedy ten dorastał.

Niezbyt często. Od czasu do czasu. W ferie i wakacje... wędrowka po górach i kilka podróży; deszczowy tydzień w Szkocji, między innymi, i cztery dni w Skara

Sommarland*. Obecnie Greger był facetem w średnim wieku i mieszkał w Maardam, gdzie pracował w banku i żył z kolorową kobietą z Surinamu. Valdemar nigdy jej nie spotkał, ale widział ją na zdjęciu. Mieli dwoje dzieci. Wysyłał Gregerowi maila co trzy, cztery miesiące. Ostatnio widzieli się na pogrzebie Lisen, na wietrznym cmentarzu w Berlinie. Od tamtego czasu minęło dziesięć lat.

Signe wróciła z balkonu.

- Jak się czujesz? – zapytała.
- Dobrze – odpowiedział Valdemar.
- Wyglądasz fatalnie.
- Naprawdę?
- Mama mówiła, że trochę wczoraj przesadziłeś.
- E tam! – odparł, a gazeta spadła mu na podłogę.

Usiadła w fotelu naprzeciw niego. Poprawiła zawinięty na głowie ręcznik frotté. Miała na sobie swój duży, żółty szlafrok, skąd wywnioskował, że przed pierwszym porannym machem zdążyła wziąć prysznic.

- Podobno zniknąłeś z przyjęcia.
- Zniknąłem?
- Tak.

Chciał podnieść gazetę i kiedy pochylił się do przodu, poczuł pulsowanie w głowie. Podbiał bujnie się plenił.

- Poszedłem... poszedłem na spacer.
- Aż z Kyrkbyn?
- Tak. Był ładny wieczór.

Ziewnęła.

- Słyszałam, jak wróciłeś do domu.
- Ach tak?

– Tak naprawdę tylko dziesięć minut po mnie. Wpół do piątej.

Wpół do piątej? – pomyślał i przeszła go fala nudności. To chyba niemożliwe?

* Największy park wodny i rozrywkowy w Skandynawii (przyp. tłum.).

– Z Kyrkbyn trochę się idzie – powiedział. – Przecież mówię.
– No trochę – odparła Signe i uśmiechnęła się szyderczo.
– A potem byłeś w Prince i zaliczyłeś kilka piw. To musiało potrwać.

Uświadomił sobie, że to prawda. Signe była jak zawsze dobrze poinformowana. Przechodził koło knajpy na Drottninggatan, zobaczył, że jest otwarta, i wdepnął. Nie wiedział, że nazywa się Prince, ale nagle mu się przypomniało, że siedział przy lśniącym barze i pił piwo. Rozmawiał też z jakąś kobietą; miała bujne rude włosy, arafatkę, a w każdym razie jakiegoś rodzaju chustkę w kratkę na głowie; może nawet postawił jej drinka. Albo dwa. Jeśli go pamięć nie myli, to na wewnętrznej stronie przedramienia miała wytatuowane męskie imię. Hans? Nie. Chyba Hugo.

Fuj, pomyślał Ante Valdemar Roos.

– Cilla, moja kumpela, cię widziała. Mówiła, że byłeś trochę wstawiony.

Nie skomentował tego. Zaczął natomiast przerzucać gazetę i udawał, że nie jest zainteresowany rozmową. Jakby go nie dotyczyła.

– Powiedziała też, że byłeś piętnaście lat starszy od wszystkich w lokalu. Babsztyl, z którym gadałeś, był zaraz po tobie.

Znalazł strony ze sportem i zaczął śledzić wyniki. Signe siedziała w milczeniu przez kilka sekund i gapiła się na swoje paznokcie. W końcu wstała.

– Mama jest trochę skwaszona, mam rację? – powiedziała i, nie czekając na odpowiedź, zniknęła w swoim pokoju.

Takie życie, pomyślał Ante Valdemar Roos i zamknął oczy.

Wczesne godziny popołudniowe wykorzystał na drzemkę i kiedy obudził się o czwartej, ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że jest w domu sam. Bóg raczy wiedzieć, gdzie się podziewały Wilma i Signe, a Alice zostawiła kartkę na kuchennym stole. „Jestem u Olgi. Wróć późno. A”.

Zgniółł papier i wrzucił go do kosza. Wziął dwie tabletki przeciwbólowe i wypił szklankę wody. Przez chwilę myślał o Oldze; była Rosjanką i jedną z niezliczonych przyjaciółek jego żony. Miała ciemne oczy, mówiła wolno i trochę mistycznie tym swoim głębokim głosem, prawie barytonem. Raz śniło mu się, że się z nią kocha. To był bardzo realistyczny sen: leżeli w morzu paproci, dosiadała go, a jej długie, czarne włosy tańczyły na wietrze; obudził się, zanim doszedł, po tym jak Alice włączyła odkurzacz zaledwie pół metra od łóżka i zapytała, czy jest chory, czy może coś się z nim dzieje.

To było kilka lat temu, ale trudno mu było te paprocie zapamiętać.

Otworzył lodówkę i zastanowił się, czy oczekuje się od niego, że ugotuje dziewczynkom obiad. Może tak, a może nie. Były składniki do przyrządzenia prostego spaghetti, postanowił jednak, że poczeka i zobaczy, jak się sprawy potoczą. Jedna lub druga w końcu się pojawi; może będą chciały, żeby im dać po stówce, by zamiast tego mogły napełnić swoje żołądki na mieście. Nigdy nie wiadomo.

Wyjął kupon Lotto i zasiadł przed telewizorem.

W tamtej chwili Ante Valdemar Roos ledwie przypuszczał, że jego życie stoi przed radykalną i brzemienną w skutki zmianą.

Przez kolejne cztery tygodnie ta śmieszna myśl będzie się od czasu do czasu pojawiać w jego głowie i za każdym razem będzie się do niej uśmiechał, mając do tego pełne prawo.

To jego ojciec zaczął typować te same liczby. Zanim się powiesił, poszedł do sklepu z artykułami tytoniowymi na Gartzvägen w K. i skreślił te same od ośmiu lat liczby. Był tam każdej środy przed osiemnastą. Czasami Valdemar mógł mu towarzyszyć.

– To, co zwykle? – pytał flegmatyczny sprzedawca Pohl-gren.

– To, co zwykle – odpowiadał ojciec.

Z obserwacji Valdemara wynikało, że większość grających próbowała szczęścia, typując pięć lub osiem zakładów albo grała systemem, ale Eugen Roos zadowalał się tylko jednym zakładem.

– Prędzej czy później, mój chłopcze – wyjaśniał ojciec – prędzej czy później zostaną wylosowane. Kiedy człowiek będzie się tego najmniej spodziewał. Chodzi o to, żeby mieć cierpliwość.

Cierpliwość.

Po śmierci ojca zwyczaj przejął Valdemar i już w środę po wypadku poszedł do Pohlgrena, zakreślił liczby na kuponie i zapłacił czterdzieści öre, bo tyle to wtedy kosztowało.

A potem kontynuował: tydzień za tygodniem, rok za rokiem. Kiedy Tipptjänst* zwiększył liczbę z dwunastu na trzynaście, Valdemar też dokonał zmiany. Z jednego zakładu na trzy, w każdym zakładzie dodając inną trzynastą liczbę.

Te same liczby od 1953 roku. Czasami zastanawiał się, czy to nie jest jakiś światowy rekord. Mimo wszystko, jakby na to nie patrzeć, chodziło przecież o ponad pięćdziesiąt lat, szmat czasu.

Dziwne, że ani on, ani jego ojciec nigdy nie wygrali nawet korony. Dwadzieścia dwa razy miał dziewiątkę, trzy razy dziesiątkę, ale nigdy nie przekładało się to na wygraną.

Cierpliwości, myślał. Jeśli przekażę liczby Gregerowi, to pewnego pięknego dnia zostanie milionerem.

Między dwudziestą a czterdziestą czwartą minutą drugiej połowy losowania zasnął na chwilę w fotelu – nie dało się tego uniknąć. Ale przy podawaniu wyników był wystarczająco przytomny. Ciągłe sam w domu, sięgnął po długopis i pomyślał, że jeśli w przyszłym życiu nie będzie kotem, to może przynajmniej starym kawalerem.

* Odpowiednik polskiego Totalizatora Sportowego (przyp. tłum.).

Potem, kiedy wszystko toczyło się jak zawsze, kiedy nieobliczalne wiatry wiały ze wszystkich możliwych stron i nic się nie działo albo działo się wszystko, stał się cud.

Losowanie za losowaniem, wynik za wynikiem, liczba za liczbą. Pierwszą myślą Valdemara, już po wszystkim, było to, że naprawdę siedział i śledził całą procedurę. Wygrał dzięki wnikliwej obserwacji. Nigdy tak nie robił; obecnie bardzo rzadko oglądał losowanie na żywo, najczęściej zadowalał się sprawdzeniem wyników w telegazecie lub w niedzielnej bądź poniedziałkowej prasie. Stwierdzał, że jak zwykle ma czwórkę, piątkę lub szóstkę i pozostaje mu jedynie grać dalej.

Trzyńście.

Smakował słowo. Powtarzał je głośno. Trzyńście trafionych.

Nagle nie był pewien, czy się obudził. Albo czy w ogóle żyje. Zmierch w pokoju i mieszkaniu był nie do końca rzeczywisty niczym całun. Może umarł? Oprócz telewizora nie było włączone ani jedno źródło dźwięku i pierwszy raz zwrócił także uwagę na to, że na zewnątrz padało i że niebo nad Kymlinge było czarne jak świeżo położony asfalt.

Uszczypnął się w skrzydełko nosa, głośno odchrząknął, poruszył palcami u stóp i wymówiwszy pewnym głosem swoje imię i PESEL, wyciągnął ostrożny wniosek, że ani nie śpi, ani nie jest martwy.

Potem nastąpiło rozdanie.

Milion...

Ból rozsadał czaszkę. Wytrzeszczył oczy i pochylił się w kierunku telewizora.

Milion dziewięćset pięćdziesiąt...

Zadzwonił telefon. Aleksander Graham Bell, *go and play with yourself*, pomyślał Ante Valdemar Roos.

Można się było zastanowić, dlaczego akurat taka fraza, w dodatku w obcym języku, pojawiła się w jego dochodzącym do siebie mózgu, ale tak się właśnie stało, wkrótce zresztą miała ona być już tylko wspomnieniem.

Milion dziewięćset pięćdziesiąt cztery tysiące sto dwa-
dzieścia koron.

Znalazł pilota, wyłączył telewizor i przez dziesięć minut
siedział w fotelu całkiem bez ruchu. Jeśli nie stanie mi teraz
serce, to dożyję setki, pomyślał.

Kiedy Alice przyszła od Olgi, zdążyło się zrobić wpół do
dziesiątej wieczorem, a Valdemarowi udało się pozbierać.

– Przepraszam za wczoraj – powiedział. – Musiałem wy-
pić kilka kieliszków za dużo.

– Musiałeś? – zapytała Alice. – Myślałam, że chciałeś?

– Powiedzmy – odparł Valdemar. – Tak czy siak, trochę
przesadziłem.

– Dziewczynki w domu?

Wzruszył ramionami.

– Nie.

– Wilma zadzwoniła na moją komórkę i obiecała, że bę-
dzie w domu o wpół do dziesiątej.

– Ach tak? – zdziwił się Valdemar. – Nie, żadnej z nich
nie było przez cały wieczór.

– Zająłeś się praniem?

– Nie – odpowiedział.

– Podlałeś kwiatki?

– Też nie – przyznał. – Jak już mówiłem, nie byłem cał-
kiem w formie.

– Przypuszczam, że nie zadzwoniłeś z przeprosinami do
Hansa-Erika i Helgi?

– Masz rację – odparł Valdemar. – To też zawałiłem.

Alice poszła do kuchni, a on za nią, ponieważ chciał zo-
baczyć, jak się sytuacja rozwinie.

– Wiesz co – powiedziała. – Czasami potrafisz mi spr-
ać taką przykrość, że chce mi się tylko położyć i umrzeć.
Rozumiesz?

Ante Valdemar Roos zastanowił się.

– Nie chciałem – powiedział. – Nie miałem zamiaru pójść sobie stamtąd. Ale był taki piękny wieczór i pomyślałem, że...

– Ta historia, którą opowiedziałeś, uważasz, że była na miejscu?

– Wiem, że zapomniałem puenty – przyznał. – Ale ona naprawdę jest całkiem zabawna. Przypomniało mi się zakończenie, jeśli chcesz, to mogę...

– Dość – przerwała. – Więcej w tej chwili nie zdzierzę. Czy naprawdę ciągle chcesz być moim mężem?

Usiadł przy stole, a ona wciąż stała i patrzyła przez okno. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Po prostu tam siedział z łokciami opartymi o blat stołu, wpatrzony w małą, na wpół martwą domową przytulność i dwie małe solniczki, które kupili na Västerlånggatan podczas deszczowego weekendu w Sztokholmie siedem czy osiem lat temu. A może to była solniczka i pieprzniczka? Alice stała odwrócona do niego swoim szerokim tyłkiem, a on pomyślał, że właśnie na tej obszernej części ciała zasadzało się ich małżeństwo. Tak, tak to faktycznie było. Wprawdzie nie miała więcej niż skończone czterdzieści osiem lat, ale nie było łatwo znaleźć nowego partnera, kiedy się miało dwadzieścia kilogramów nadwagi, nie w tych czasach, tak bardzo naznaczonych wyglądem, powierzchownością i szczupłością – a może w innych czasach też nie. Wiedział, że nic jej tak nie przerażało jak samotne życie.

Kiedy się pobierali, znali wynik równania. Valdemar był o dziesięć lat za stary, dla równowagi Alice o dwadzieścia pięć kilogramów za gruba. Żadne z nich nigdy nie wypowiedziało tej smutnej prawdy, ale był przekonany, że ona jest tego równie świadoma jak on.

W imię tej samej ponurej prawdy można było stwierdzić – po prostu siedząc, opierając łokcie i czekając – że w trakcie ich małżeństwa Alice trochę schudła, on natomiast nie odmłodził.

– Nie kochaliśmy się od ponad roku – powiedziała. – Valdemar, uważasz, że jestem odpychająca?

– Nie – odparł. – To ja jestem odpychający, tu jest pies pogrzebany.

Szybko się zastanowił, czy to prawda, czy tylko wykręt; Alice też to przypuszczalnie zrobiła, bo się odwróciła i przyglądała mu się odrobinę smutnym i badawczym wzrokiem. Jakby rozważała, czy powiedzieć coś jeszcze, ale tylko głośno westchnęła i zniknęła w pralni.

Dwa miliony, pomyślał Ante Valdemar Roos. Razem z dwunastkami będzie ponad dwa miliony. Co ja z nimi, do cholery, zrobię?

I nagle w jego podziurawionej świadomości pojawił się obraz ojca w lesie. Jeszcze raz: stał tam z fajką w ręku, a jego twarz zdawała się przybliżać i kiedy Valdemar zamknął oczy, mógł zobaczyć jego poruszające się wargi. Tak jakby chciał się porozumieć ze swoim synem.

Co? – pomyślał. Co chcesz mi powiedzieć, tato?

W tej samej chwili kiedy usłyszał, jak jego żona włącza suszarkę bębnową, do jego uszu doszedł też głos ojca: słaby, z oddali, przebijający się przez szum dawno minionych dziesięcioleci, a mimo to jednoznaczny i wyraźny na tyle, że bez trudu mógł zrozumieć przesłanie.

– W przyszłym tygodniu nie musisz wypełniać kuponu, mój chłopcze – powiedział. – I nie musisz już dłużej być cierpliwy.

3

Po trzech tygodniach w ośrodku w Elvafors Anna Gambowska zrozumiała, że musi uciec.

To było nieuniknione.

Pierwszy tydzień minął na płaczu od rana do wieczora. Czasem płakała też w nocy; było coś w jej duszy, co musiało być podlane tymi wszystkimi łzami, żeby potem zmięknąć i znowu żyć. Właśnie tak to czuła. To był dobry płacz, oczyszczający, nawet jeśli wyrywał się z dużego smutku.

Nie pierwszy raz myślała o swojej duszy w taki właśnie sposób. Jak o marnej, małej sadzonce, która potrzebuje wody i pożywienia, żeby się rozwijać. Rosnąć i zajmować przysługujące jej miejsce w tym jałowym i niegościnnym świecie. Ale kiedy życie staje się nie do zniesienia, lepiej żeby leżała ukryta tam w dole, w zimnej zmarzlinie i udawała, że wcale jej nie ma.

Dusza w zmarzlinie. Albo na odwrót, zmarzlina w duszy – można też tak powiedzieć i brzmiałoby to jak ćwiczenie ortograficzne.

To trwało już jakiś czas. Co najmniej całą wiosnę i całe lato, a może dłużej. Jej dusza leżała zapomniana na dnie zamrożonej pieczary, którą było jej wnętrze, i gdyby nie dotarła do ośrodka w Elvafors na czas, mogłaby równie dobrze umrzeć.

Kiedy o tym myślała, płakała jeszcze bardziej. Wydawało się, jakby dusza żywiła się swoim własnym smutkiem – tak, tak to właśnie było. Przypuszczalnie miała pewną zdolność przetrwania, mimo wszystko.

To matka odkryła, co się z nią dzieje. Anna ukradła jej pieniądze, żeby kupić heroinę do palenia. Także matka dopilnowała, by interweniowały stosowne organa.

Wzięła cztery tysiące koron. To niepojęte, że matka miała w domu tyle pieniędzy; i kiedy Anna w pierwszych dniach w ośrodku wspominała, co zrobiła – to, co w programie dwunastu kroków nazwano „etycznym załamaniem nerwowym” – dusza kurczyła się i znowu chciała się głęboko zaszyć. Matka pracowała w przedszkolu i cztery tysiące koron to było więcej, niż zarabiała na tydzień: odłożyła pieniądze na nowy rower dla Marka.

Marek miał osiem lat i był młodszym bratem Anny. Zamiast roweru była heroina dla starszej siostry.

Nad tym też płakała. Nad swoim wstydem, podłością i niewdzięcznością. Ale matka ją kochała, i ona o tym wiedziała. Kochała ją mimo wszystko. Nawet jeśli miała własne problemy, z którymi się borykała. Kiedy odkryła, że pieniądze zniknęły, wściekła się, ale jej przeszło. Wzięła Annę w ramiona, pocieszyła i powiedziała, że ją kocha.

Bez matki nigdy nie dałaby rady zmienić swojego życia – to wiedziała na pewno.

Może z nią też nie, ale na pewno nie bez niej.

Do Elvafors dotarła pierwszego sierpnia, osiem dni po tym, jak nakryła ją matka, w dzień swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Po drodze zatrzymały się w kawiarni i uczciły to kawą i kawałkiem tortu. Matka trzymała ją za ręce, obie płakały i przyrzekły sobie, że teraz zaczyna się nowe życie. Już wystarczy.

– Ja też miałam w sobie dużo smutku, kiedy byłam w twoim wieku – powiedziała matka. – Ale można go zwalczyć.

– Jak zwalczyłaś swój? – zapytała Anna.

Matka zawahała się na chwilę.

– Ty się urodziłaś – powiedziała w końcu.

– Więc uważasz, że ja też powinnam zająć w ciąży? – chciała wiedzieć Anna.

– Ani mi się waż – odrzekła matka i obie się roześmiały tak, że personel kawiarni wymienił porozumiewawcze spojrzenia.

Miło było siedzieć w anonimowym miejscu i śmiać się z życia, pomyślała Anna. To była przyjemna chwila. Dać porządnego kopniaka w tyłek wszystkim trudnościom i całemu nieszczęściu. Może w ten właśnie sposób trzeba sobie radzić z tym cholernym życiem? Może nie ma lepszej metody?

Miała piętnaście lat, kiedy pierwszy raz spróbowała haszu. Trzy ostatnie lata, kiedy zawiesiła na kołku liceum

i zamiast tego pracowała w kiosku, w kawiarni i na stacji benzynowej, paliła co najmniej trzy razy w tygodniu, a odkąd w lutym wyprowadziła się z domu – codziennie. W kwietniu spotkała Steffa i zaczęła się dilerka. Miał kontakty, był od niej sześć lat starszy i po miesiącu wprowadził się do niej. Kilka razy załatwił też coś trochę cięższego: amfetaminę, morfinę i ecstazy. Heroina do palenia była w pewnym sensie kropką nad i. W sumie wzięła cztery razy i kiedy wśród silnych doznań płakała, czuła, jakby łyzy były czystą krwią.

Albo raczej brudną.

Matka nie wiedziała zbyt dużo o Steffie – jedynie tyle, że jest. Anna chroniła go także przed pomocą społeczną i policją, i zastanawiała się, gdzie się podział po tym, jak matka weszła i opróżniła mieszkanie.

Ale dla takich jak Steffo było wiele miejsc, o tym była przekonana. Łóżek także – i o to nie musiała się martwić.

Miała nadzieję, że znalazł sobie inną dziewczynę. Miała tę nadzieję ze względu na siebie. Było w nim coś, co ją przerażało, wiele rzeczy, przypuszczalnie dlatego go chroniła.

– Jesteś moja – mówił. – Nigdy nie zapomnij, że teraz jesteś Steffa.

Chciał też, żeby wytatuowała sobie na nodze jego imię, najlepiej na wewnętrznej stronie uda, ale udało jej się to odwlec.

– To prezent – wyjaśniał – prezent od ciebie dla mnie.

Tak, naprawdę miała nadzieję, że znalazł sobie inną dziewczynę.

Myśli o Steffie sprowokowały oczywiście inne pytania, które wirowały dookoła, blisko płaczu, i wiedziała, że szukają swoich odpowiedzi, tak jak zagubiony cielak potrafi szukać swojej mamy.

Dlaczego? Dlaczego chcesz zniszczyć swoje życie? Dlaczego świadomie schodzisz prosto do piekła? Jaki to ma sens, Anno?

Pytała samą siebie i wszyscy inni też pytali. Matka. Ludzie z pomocy społecznej. Ciotka Majka. Nie potrafiła odpowiedzieć.

Jeśli znałaby odpowiedź, pytania byłyby niepotrzebne, pomyślała.

To była ciemność. Ciemność z ogromną siłą przyciągania.

Tak, siła mocniejsza od niej samej, dokładnie tak, jak mówią na terapii grupowej.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła ośrodek w Elvafors, pomyślała, że wygląda jak obrazek z bajki. Był położony tuż obok okrągłego jeziora pełnego liści nenufarów. Stromy dziedziniec z sękatymi drzewami owocowymi prowadził w górę do domu, dalej we wszystkich kierunkach rozciągał się las. Budynek był starym, uroczym, żółto-białym drewnianym domem; osiem mniejszych pokoi na piętrze, kuchnia i cztery trochę większe na dole. Na rogu stał mniejszy dom – siedziba sekretariatu i dwa pokoje dla personelu. Powyżej, na skraju lasu, znajdował się jeszcze kolejny budynek: mały, czerwony domek z pokojem i kuchnią, nazywany „służą wewnętrzną”. Mieszkały w nim dwie najbardziej zaawansowane w leczeniu dziewczyny, które niebawem miały się przenieść do „służby zewnętrznej” w Dalby, a potem wrócić do normalnego życia.

Przebywały tu tylko kobiety. Szefowa Sonja Svensson, pół tuzina personelu, były narkomanki i mieszkańcy ośrodka: młode kobiety, które miały zostać wyrwane z haniebnego bagna alkoholu i narkotyków – obecnie osiem osób. Tego samego dnia, kiedy przyjechała Anna, przyjęto też Ellin, osiemnastoletnią dziewczynę z Karlstadu.

Dziewczyny pochodziły z różnych części kraju, głównie ze środkowej i zachodniej Szwecji. Już pierwszego przedpołudnia nauczyła się ich imion – to był podstawowy krok w terapii, jak wyjaśniła Sonja, śmiejąc się tym swoim trochę pustym śmiechem.

Jak mamy się nawzajem szanować, skoro nie znamy swoich imion?

W ośrodku Elvafors w dużej mierze chodziło o szacunek. Przynajmniej na papierze.

Mimo to właśnie brak szacunku sprawił, że Anna Gambowska wkrótce zdecydowała się na ucieczkę.

Czy o to właśnie chodzi? – pytała samą siebie.

Tak, właśnie o to.

W Elvafors obowiązywało kilka prostych zasad. W trakcie rejestracji Anna musiała podpisać papier, na którym poświadczala, że je akceptuje. Leczenie było dobrowolne, ale opłacane przez gminę każdej z młodych kobiet. Jeśli nie było się zadowolonym z terapii, należało oczywiście przekazać miejsce komuś potrzebującemu.

A takich nie brakuje, Bóg mi świadkiem.

Terapia trwała zazwyczaj od sześciu miesięcy do roku, a po jej zakończeniu zawsze można było utrzymywać kontakt z ośrodkiem. Wizyty wdzięcznych, byłych klientów nie należały do rzadkości. Sonja Svensson wspomniała o tym już pierwszego dnia.

Podstawą był jak najmniejszy kontakt ze światem zewnętrznym. To tam dziewczyny – żadna z nich nie ukończyła dwudziestu trzech lat i Annie trudno było nazywać je kobietami – poraniły się cierniami, tam utrzymywały wszystkie swoje złe kontakty i miały destrukcyjnych znajomych. Chodziło o przerwanie złych schematów – zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Zabronione było używanie telefonów komórkowych; pozwalano na jedną rozmowę w tygodniu – z członkiem rodziny, którego numer wcześniej podały, najczęściej był to rodzic. Krewni mogli się odzywać, ale musieli przestrzegać restrykcyjnych zasad. W zamian za to dwa razy w roku organizowano tak zwany Dzień Krewnych.

W ośrodku nie było komputerów ani Internetu, wyjątkiem było biuro, do którego mieszkańcy nie mieli wstępu.

Było radio i telewizja – trzy kanały.

Przez pierwsze dwa miesiące nie puszczano na przepustki, a później jeśli nawet, to na wspólną odpowiedzialność pensjonariuszki ośrodka i co najmniej jednego krewnego.

Gotowaniem, a także zmywaniem, sprzątaniami i innymi pracami domowymi zajmowały się same pensjonariuszki. Co najmniej dwa razy w tygodniu jechały na wspólną wycieczkę, najczęściej do najbliższej położonej miejscowości Dalby, oddalonej o osiemnaście kilometrów. W programie były kręgle, kawiarnia albo basen.

Elvafors nie przez przypadek było oddalone. Kiedy przed trzynastu laty Sonja Svensson zaczynała swoją działalność, geograficzne położenie było jej głównym priorytetem.

Zadnej natrętnej cywilizacji. Żadnych niebezpieczeństw. Żadnych kontaktów.

Sama terapia opierała się na czterech filarach: otwartości, koleżeństwie, pomocy w samopomocy i Programie dwunastu kroków. Krótko mówiąc, po śniadaniu zawsze zbierano się w dużym pokoju rozmów, siadano w kręgu i opowiadało o swoim samopoczuciu. Trwało to tyle, ile było trzeba. Następnie odbywały się rozmowy indywidualne i na chwilę wracano do Programu dwunastu kroków.

Po lunchu coś organizowały: albo jechały na wycieczkę, albo zajmowały się czymś w ośrodku. We wtorki i w piątki przychodził psycholog i przeprowadzał indywidualne rozmowy z dziewczętami. Czasami Sonja Svensson wychodziła z inicjatywą i prywatnie rozmawiała ze swoimi podopiecznymi.

Potem był czas na przygotowanie kolacji, posiłek i sprzątnięcie po nim, a w końcu wspólne zebranie w kręgu, by przedyskutować pozytywne i negatywne przeżycia dnia, który minął.

Mimo to było dużo czasu na inne rzeczy. Na pobycie z samą sobą. Na czytanie, pisanie albo oglądanie telewizji. Było też pianino, a Anna miała ze sobą gitarę. Jednak nigdy nie było mowy o wspólnym śpiewaniu. Żadna z pozostałych

dziewczyn nie była szczególnie muzykalna, ale wiele z nich lubiło grę Anny i każdego dnia jedna albo kilka z nich przesiadywało w jej pokoju.

W każdym razie na początku.

Kiedy minął tydzień płaczu, najpierw pojawił się pewnego rodzaju spokój. Lubiła ten monotony, niestresujący rytm ośrodka. Wymiana doświadczeń z innymi dziewczynami też wydawała się sensowna, choć niekiedy odrobinę przerażająca. Szybko zrozumiała, że jeśli chodzi o nieprzyjemne i okrutne życiowe doświadczenia, to w tym towarzystwie jest nowicjuszka. Cztery osoby, a zatem połowa, przebywały już wcześniej w ośrodku odwykowym. Dla Marit z Göteborga ten był czwarty i twierdziła, że nie umie już płakać. Prawdopodobnie tak było; chętnie się śmiała, głośno i niemal hałaśliwie, ale jej oczy nigdy. To nie był taki śmiech jak śmiech Anny i jej matki w tamtej kawiarni.

Dwie inne, Turid i Ebba, prostytuowały się, chociaż nie skończyły jeszcze dwudziestki, a Malin, odkąd skończyła dwanaście lat, była potajemną kochanką swojego ojczyma.

Ale jak to zwykła podkreślać Sonja Svensson i inne osoby z personelu, patrzeć wstecz nie jest sztuką. Sztuką jest patrzeć w przyszłość.

Pewnego wieczoru, stojąc i mieszając sałatkę na kolację, Anna za sprawą Marii, najstarszej i najbardziej doświadczonej z towarzystwa, spojrzała na ośrodek trochę bardziej cynicznie.

– Zarabiają na nas, kapujesz? – powiedziała i zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie są podsłuchiwane. – Pomoc społeczna płaci tysiąc koron dziennie za każdą z nas! Sonja i jej facet mają w banku ponad milion.

To prawda? Maria znana była z tego, że wygaduje różne rzeczy, ale może w tym przypadku miała rację.

– To moja ostatnia wola – mawiała, kiedy nikt z personelu jej nie słyszał. – Po wyjściu w dwa tygodnie zaćpam się na śmierć, będzie super.

Miała dwadzieścia trzy lata.

Anna poczyniła też inne obserwacje; trudno było tego nie robić.

Na przykład, że w tym świecie także była rzadkim ptakiem. Jak zawsze. Żadna z pozostałych dziewczyn nie czytała książek, a kiedy opowiedziała Ludmille, dwudziestolatce z Borås, że pisze wiersze, ta nagle się wściekła i nazwała ją pieprzoną małpą, która tylko próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Następnego dnia poruszyła tę kwestię na porannym zebraniu. Przyznała, że jest jej przykro z powodu tego, co powiedziała Ludmilla. Wszystkie osiem dziewczyn siedziało na swoich twardych krzesłach i obrzucało się gównem przez prawie godzinę. Sonji Svensson przy tym nie było. Zamiast niej był ktoś inny z personelu, dość delikatna kobieta, która miała na imię Karin i próbowała załagodzić sytuację.

Po wszystkim nie miała wrażenia, żeby sobie szczególnie dużo wyjaśniły, a następnego dnia odbyła indywidualną rozmowę z Sonją Svensson.

– Nie musisz chyba ciągle siedzieć z nosem w książkach – powiedziała Sonja. – Spróbuj się dopasować.

– Ale ja lubię czytać – wyjaśniła Anna.

– To część twojego problemu – usłyszała w odpowiedzi. – Chowasz się. Gitara, poezja i takie tam. Jutro gramy w piłkę na sali gimnastycznej w szkole w Dalby, tego ci teraz trzeba.

Zaśmiała się pusto i odesłała Annę.

Jaki to ma sens, pomyślała Anna. Mówiła poważnie? Co jest złego w muzyce? Poezja i książki nie mogą chyba stanowić problemu?

Począwszy od tego dnia, dokładnie zamykała drzwi do swojego pokoju. Kiedy grała albo po prostu leżała i czytała lub pisała. Żeby nikomu nie przeszkadzać albo nie wyjść na snobkę, ale najwyraźniej to nie wystarczyło, ponieważ pewnego wieczoru, kiedy wróciły po pływaniu z Dalby, dowiedziała się, że Sonja zaopiekowała się jej gitarą i zamknęła ją w biurze.

– Musisz bez niej przeżyć tydzień. To ci wyjdzie tylko na dobre.

Na zebraniu następnego ranka Anna powiedziała, że jest jej przykro i czuje się ubezwłasnowolniona, ponieważ zabrano jej gitarę. Sonja Svensson nie pozwoliła żadnej z dziewczyn tego skomentować; oznajmiła tylko, że nie pora teraz o tym mówić i przeszła do samopoczucia innych.

Tego samego wieczoru zadzwoniła matka. Żeby jej nie niepokoić, Anna nie wspomniała o incydencie z gitarą. Rzuciła tylko, że wszystko jest dobrze, że czuje się coraz lepiej i pisze właśnie długi list do Marka. Matka opowiedziała, że brat mimo wszystko dostał swój rower, ale ona nie czuje się najlepiej, ponieważ znowu zaczęło jej dokuczać kolano. Może będzie zmuszona pójść na zwolnienie, a jeśli było coś, czego nienawidziła, to być na zwolnieniu.

Tej nocy Anna nie spała przez kilka godzin i płakała nowym płaczem. Najpierw nie rozumiała więcej niż to, że nie był zwyczajny.

Ale pojęła.

To nie był płacz nad samą sobą i nad swoją biedną, poharataną duszą. To był płacz nad światem.

W gruncie rzeczy nad zaistniałym stanem. Nad samym życiem, nad ograniczeniem, głupotą i bezwzględnością – i nad gitarą, która stała zamknięta w zatęchłym biurze, bo była częścią problemu.

Nie wszystko w ośrodku w Elvafors było złe. Na pewno na początku Sonja Svensson miała słuszną wizję – to było dla Anny jasne. Ale im dalej była od narkotyków, tym wyraźniej widziała niedociągnięcia. Nikt z personelu nie miał wykształcenia; wszystkie osoby były eksnarkomankami albo dobrymi przyjaciółkami Sonji, dwie jej krewnymi. Nikt nie mógł mieć odmiennego zdania, jeśli chodziło o terapię – najlepiej wszystko wiedziała Sonja. Wprawdzie zawsze udawało jej się sprawić, by myślano, że wszelkie działania są dla wspólnego

dobra i że wszyscy uczestniczą w podejmowaniu decyzji. Ale od tego było daleko. To Sonja decydowała, a grupa miała się wszystkiemu podporządkować. Jeśli nie chciało się w czymś uczestniczyć – nie miało się ochoty oglądać tej czy innej te-lenoweli albo nie było się zainteresowanym grą w chińczyka – odbierano to jako dziwne zachowanie i oznakę nawrotu. Może nie oznakę nawrotu nałogu, ale oznakę powrotu do zachowań, które mogą do niego doprowadzić, a zatem, które trzeba ukrócić. Pewnego rodzaju terror większości, pomyślała Anna, a to raczej nie było pierwotne założenie.

I tysiąc koron za osobę dziennie? Osiem tysięcy dziennie dawało zawrotną sumę już po kilku tygodniach. To nie może tyle kosztować. Może mimo wszystko było coś w tym, o czym mówiła Maria?

Pewnego weekendu pod koniec sierpnia Ludmilla nie wróciła z przepustki. Kilka dni później powiadomiono Sonję, że nieprzytomną i nagą Ludmillę znaleziono w rowie na południowych przedmieściach Sztokholmu. Przedawkowała, została zgwałcona, a jej stan był krytyczny.

Sonja powiedziała o tym na pokolacyjnym zebraniu. Było coś w jej głosie, kiedy o tym opowiadała. W detalach. Anna rozejrzała się po innych, siedzących w milczeniu dziewczynach i zastanawiała się, czy one też zwróciły na to uwagę.

Odrobina, no właśnie, czego? Satysfakcji? Ale inne dziewczyny wyglądały tylko na przestraszone i zszokowane. Sama też tak się czuła i taki chyba był zamysł.

Zamysł? – myślała kwadrans później, leżąc w łóżku. Co za pieprzony zamysł?

Tego wieczoru pierwszy raz pojawiła się myśl, że nie chce już tam dłużej być.

Kiedy Ante Valdemar Roos wyszedł z oddziału Swedbanku przy Södra Torg w Kymlinge późnego czwartkowego popołudnia, na krótką chwilę osłepiło go słońce i zrozumiał, że to jest znak. Łączył się z siłami wyższymi; jego życie musowało jak szampan w dopiero co otwartej butelce i czuł, że mógłby zatańczyć dookoła rynku.

Albo elegancko podskoczyć prosto do góry i stuknąć obcasami, tak jak to robiła ta Stina, czy jak jej tam było, w telewizji.

A niech mnie! – pomyślał. Takiej chęci życia nie czułem od... od kiedy?

No właśnie, nie wiedział.

Może odkąd oświadczył się Lisen, a ona się zgodziła? Chociaż była już wtedy w ciąży, więc odpowiedź w sumie nie była chyba aż tak zaskakująca.

A może kiedy policzył palce u stóp swojego nowo narodzonego syna Gregera i okazało się, że jest ich dziesięć i że chłopiec z największym prawdopodobieństwem jest całkowicie zdrowy. Tak, to była ważna i doniosła chwila. Czuł wtedy taką samą euforię.

Taką samą chęć życia. Taką samą chęć działania.

Wszystko działało bez zarzutu. Na nowo otwartym koncie miał dwa miliony sto tysięcy koron. Automatyczne zlecenie przelewu na jego stare konto było ustawione na dwudziestego piątego każdego miesiąca – osiemnaście tysięcy dwieście siedemdziesiąt koron, dokładnie tyle, ile zwykle wpływało z Wrigmans Elektriska po potrąceniu podatku. Powinno wystarczyć na sto dwadzieścia miesięcy, licząc bez odsetek.

Dziesięć lat. A niech mnie.

Ale nie miał zamiaru przelewać pieniędzy tak długo. Nie do końca. Za kilka lat zacznie pobierać swoją zasłużoną i okupioną ciężką pracą emeryturę. Alice nigdy nie powinna się niczego domyślić. Nie będzie miała bladego pojęcia, jak to

się teraz mówi. Miała swoją kartę do jego konta i tak długo, jak długo pieniądze wpływały swoim zwyczajnym rytmem, nie było najmniejszego powodu, by miała coś sprawdzać. Nie znała żadnego z jego kolegów z pracy i nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek któryś z nich dzwonił do niego do domu. W każdym razie nie odkąd mają z Alice wspólny numer. Może było to nawet odrobinę dziwne.

Nigdy nie dzwonił do siebie do pracy. Możliwe, że któraś z córek miała kiedyś do niego sprawę, ale zawsze dzwoniła na jego komórkę. Kiedyś pokazał Alice, gdzie jest fabryka, kiedy ją mijali, nic więcej. Dziewczęta nie trafiłyby tu nawet z mapą w rękę.

Uśmiechnął się i nie wchodząc do środka, minął kolekturę. Powodzenia biedaki, pomyślał. Trzeba cierpliwości.

Milion spożytkuje w taki właśnie sposób. Powinno wystarczyć do emerytury. W wieku sześćdziesięciu trzech czy sześćdziesięciu czterech lat byłoby w sam raz. Albo sześćdziesięciu pięciu, jeśli zechce; może tak dobrze jak teraz będzie się czuł aż do setki.

Ale drugi milion przepuści. Po cichu, dyskretnie.

Wiedział, jak i na co go przeznaczy; nie musiał się długo głowić, żeby na to wpaść, ale wszystko w swoim czasie. Najpierw musi pogadać z Walterem Wrigmanem.

Przemierzając mostek Oktober nad rzeką Kymlinge, zauważył ku swojemu przerażeniu, że gwizdże.

Muszę się uspokoić, pomyślał Ante Valdemar Roos. Muszę się postarać nie zwracać na siebie uwagi? A może okazać skruchę?

Zresztą, nieważne. Co nagle, to po diable.

Przyjął obojętny wyraz twarzy i powlókł się do domu.

– Co masz na myśli? – chciał wiedzieć Walter Wrigman następnego ranka, zakładając okulary na łysinę. – Co ty pie-przysz?

– Zwalniam się – powiedział Valdemar. – Mam dość.

Szczęki Waltera Wrigmana miały przez chwilę, ale nie wydobywały się żadne słowa. Okulary zjechały z łysiny i z cichym młaśnięciem wylądowały na grzbiecie nosa, gdzie znajdowało się głębokie, różowe wgłębienie właśnie do tego przeznaczone.

– Składam wymówienie – sprecyzował Valdemar. – Najchętniej natychmiastowe, jeśli nie masz nic przeciwko, ale mogę zostać jeszcze tydzień, jeżeli uznasz, że to konieczne. Obejdzie się bez odprawy.

– Co... co będziesz robić? – zapytał Walter Wrigman głosem pełnym zdziwienia.

– Mam swoje plany – odparł Valdemar.

– Jak długo nosiłeś się z tym zamiarem?

– Jakiś czas – odpowiedział. – Sądzę, że Tapanen może przejąć moje obowiązki.

– To nie jest najlepszy moment – rzekł Wrigman.

– Nie sądę – odparł. – Nie ma przecież większych zamówień, mimo wszystko. Możesz zatrudnić kogoś młodszego.

– Jasna cholera – odburknął Wrigman.

– Nie chcę tortu, kwiatów i całej tej szopki – kontynuował Valdemar. – Zamierzam zostać dzisiaj po południu i spakować swoje rzeczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasna cholera – powtórzył Wrigman.

Uroczy to ty nie jesteś, pomyślał Valdemar, wyciągając rękę.

– Dzięki za dwadzieścia osiem lat. Mogło być gorzej.

Walter Wrigman pokiwał głową, ale nie uściśnął wyciągniętej dłoni. Przez chwilę siedział w milczeniu, przygryzając dolną wargę.

– Spieprzaj – powiedział w końcu.

Taki miałem zamiar, pomyślał Ante Valdemar Roos. Świnio.

Zanim opuścił Wrigmans Elektriska, ostatni raz wsiadł do samochodu i pojechał na swoją lunchową polanę. Wyłączył silnik, opuścił boczną szybę i odchylił zagłówek.

Rozejrzył się dookoła. Popatrzył na pola, na kamienisty pagórek, na skraj lasu. Światło było teraz inne, dochodziła piąta po południu i uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie był tutaj o tej porze. Zawsze w środku dnia, między dwunastą a pierwszą, i nagle wydało mu się, jakby to było zupełnie inne miejsce. Świerki nie były jak zwykle skąpane w słońcu, pole miało głębszy kolor, a jałowce były prawie czarne.

Tak to jest, pomyślał Ante Valdemar Roos. Czas i miejsce krzyżują się w tym samym punkcie tylko raz na dobę. Godzina w tą czy w tamtą to już zupełnie inne skrzyżowanie, tak to faktycznie jest.

Tak, właśnie w taki sposób przedstawia się sprawa czasu i rzeczy – filozofował dalej. – Otoczenia i tego, co wokół. Nie trzeba się zatem ruszać, żeby rzeczywistość dookoła się zmieniała, ona sama o to zadba. Wystarczy po prostu siedzieć bez ruchu w tym samym miejscu.

Zrozumiał, że w jakiś niejasny sposób – nie do końca pojmował jaki, ale był przekonany, że pewnego dnia zrozumie – ma to związek z tym, o czym w lesie mówił ojciec.

Tamtego dnia i w tamtej chwili, która prawdopodobnie wcale się nie wydarzyła.

Życie nigdy nie będzie lepsze.

Kiedy wszedł, natychmiast stwierdził, że obie pasierbice są w domu.

Miały swoje pokoje na prawo i na lewo od przedpokoju; obie zostawiły uchylone drzwi. Z pokoju Signe dochodziła muzyka, którą na swoje potrzeby nazwał techno. W każdym razie brzmiała, jak coś topornie elektronicznego, zacinającego się; puszczała muzykę dość głośno, bo tak miało być, dyskutowali na ten temat kilka razy. Z pokoju Wilmy dochodziły amerykańskie salwy śmiechu jakiegoś talk-show.

Coś w rodzaju *Hylands hörna**, tylko głośniej i wulgarniej, pomyślał Valdemar. Otyłość lub kazirodztwo albo jedno i drugie.

Minął ten ogień krzyżowy i wszedł do salonu. Tutaj też był włączony telewizor, ale nikt nic nie oglądał, więc podniósł z podłogi pilot i wyłączył.

Alice leżała w czerwonych spodniach od dresu na żółtej gumowej macie w sypialni i robiła brzuszki. Trochę przypominała żółwia, który leży na plecach i próbuje stanąć na tylnych nogach. Z marnym skutkiem. Zobaczył, że ma w uszach słuchawki, więc odpuścił sobie rozmowę. W kuchni leżała góra składników na coś, co przypuszczalnie miało się znaleźć w woku: warzywa z kurczakiem i ryż. Rozważał przez chwilę, czy nie zacząć tego siekać, ale postanowił, że poczeka na dalsze instrukcje.

Zamiast tego usiadł przed komputerem. Był włączony; prawdopodobnie jedna z dziewcząt albo obie czatowały trochę w piątkowy wieczór, rozmawiały przez Skype'a lub przeglądały Facebook, czy jak to się tam nazywa, bo wiadomość z czerwonym sercem migiała do niego na monitorze – „Słonko, jesteś taka słodka, że nie mogę się opanować!!!” – i był raczej pewien, że to nie do niego. Zamknął pięć albo sześć programów i otworzył swoją skrzynkę mailową. Dziesiąty dzień z rzędu nie miał żadnej wiadomości. Przez chwilę zastanawiał się, co go właściwie podkusiło, żeby zakładać sobie adres mailowy. Może mógłby chociaż przychodzić spam, o którym tyle się mówiło? Signe weszła do pokoju i stanęła za jego plecami.

– Potrzebuję pięćset koron.

– Na co? – zapytał Valdemar.

– Wychodzę dziś wieczorem, a skończyły mi się pieniądze.

* Popularny szwedzki talk-show nadawany w latach 1962–1983 (przyp. tłum.).

– W takim razie zostań w domu – zaproponował.
– Co się z tobą, do cholery, dzieje? – zapytała Signe. –
Odbiło ci czy co?
Sięgnął po portfel i wyjął pięćsetkoronowy banknot.
– Nie dostałaś wypłaty?
– Zwolniłam się z tego pieprzonego butiku.
Aha? – pomyślał Valdemar. Tym razem też nie trwało to
dłużej niż miesiąc.
– Więc szukasz teraz nowej pracy?
Twarz zastygła jej w grymasie.
– Widzimy się wieczorem w Prince, tak?
Włożyła banknot do stanika i wyszła. Wyłączył kompu-
ter i postanowił, że weźmie prysznic.

– To nie jest wina Signe – powiedziała Alice cztery godzi-
ny później, kiedy w domu zrobiło się względnie spokojnie.
Obie córki ulotniły się i jedyne, co było słychać, to zmywar-
ka i pralka, które stały i huczały na swój sposób, we właści-
wych sobie tonacjach. – Taki wiek.

Słychać było również sąsiada Högerberga ćwiczącego grę
na pianinie ze swoją sześciolletnią córką.

Czy sześciolatki nie powinny o tej porze spać? – zasta-
nowił się.

Alice siedziała na sofie i kartkowała książkę o indeksie
glikemicznym. Nie wiedział, co to takiego. On sam siedział
na jednym z dwóch foteli i robił co mógł, żeby nie zasnąć
w oczekiwaniu na początek filmu, który postanowili obej-
rzeć. Według programu była to amerykańska komedia ak-
cji na TV3. Był ciekaw, ile będzie przerw reklamowych, ale
podejrzał, że nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie,
ponieważ miał zamiar uderzyć w kimono, jak tylko zacznie
się ta miernota.

– Dokładnie – powiedział w ostatniej sekundzie, kiedy
pamiętał jeszcze, o czym rozmawiają. – Po prostu potrzebu-
je faceta i pracy.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała Alice. – Faceta i pracy?
– Mhmm – odchrząknął Valdemar. – Mniej więcej tyle...
faceta i pracy. Przynajmniej pracy.

– Młodzi nie mają łatwo w dzisiejszych czasach – stwierdziła Alice.

– Nigdy w całej historii świata nie było łatwiej żyć niż teraz – powiedział Valdemar. – W każdym razie w tym kraju.

– Nie rozumiem, co się z tobą dzieje – zauważyła Alice.
– Dziewczynki też nie. Zrobiłeś się taki butny. Wilma powiedziała dzisiaj, że cię prawie nie poznaje.

– Tak powiedziała?

– Tak.

– No cóż. Zawsze taki byłem – odparł Valdemar i westchnął. – Jestem tylko starym skurczybykiem. Po prostu.

– Nie ma się z czego śmiać, Valdemar.

– Nie śmieję się.

– Są w trudnym wieku.

– Sądziłem, że nie są równolatkami?

– Film się zaczyna. Valdemar, możesz włączyć telewizor i przestać być taki złośliwy?

– Przepraszam, moja droga, nie chciałem.

– Dobra, dajmy temu spokój. Włącz telewizor, żebyśmy nie przegapili początku. I pomóż mi zjeść tę czekoladę, naprawdę jest niedobra.

Wcisnął guzik i zapadł się głębiej w fotel.

Dobrze, że znowu zaczęła rozmawiać, pomyślał. Było jak było: wszystko jedno co mówiła, byle nie karała go milczeniem. Ziewnął, po mieszance warzywnej zaczęła go palić zgaga i rozważał, czy opłaca się iść po szklankę wody.

Było po dziesiątej i zmęczenie dopadło go jeszcze przed pierwszą przerwą reklamową.

Patrząc optymistycznie, można było stwierdzić, że Ante Valdemar Roos miał jednego dobrego przyjaciela.

Nazywał się Espen Lund, był w tym samym wieku co Valdemar i pracował jako agent w biurze nieruchomości Lindgren, Larsson i Lind na Vårgårdavägen w Kymlinge.

Espen Lund był starym kawalerem; znali się od liceum. Teraz się nie spotykali, nie odkąd Valdemar ożenił się z Alice, ale był okres między Lisen a Alice – jakieś piętnaście czy dwadzieścia lat – kiedy mieli trochę wspólnych spraw. Głównie chodzenie po knajpach, ale także od czasu do czasu wypad na mecz piłki nożnej czy na tor wyścigowy dla kłusaków. Espen był zapalonym kibicem i graczem, umiał wyliczyć wszystkich zdobywców złotego medalu płci męskiej z letniej olimpiady w Melbourne (i każdej następnej) i od zawsze naśmiewał się z żalosego Lotto Valdemara, chociaż to nie z tego powodu w niedzielny wieczór Valdemar wybrał jego numer.

Czekał, aż zostanie w mieszkaniu sam. Alice i Wilma właśnie wyszły do kina Zeta, żeby zobaczyć film z Hugh Grantem; Valdemar go nie trawił. Wszystko wskazywało na to, że Signe znalazła sobie w sobotni wieczór nowego chłopaka i przez dobę nie dała znaku życia.

– Mogę ci zaufać? – zapytał Valdemar.

– Nie – odparł Espen Lund. – Sprzedałbym moją babkę za butelkę wódki.

Cały Espen Lund. Valdemar miał w każdym razie taką nadzieję. Espen zawsze był przekorny – w życiu prywatnym, a nie zawodowym, gdzie ciągle był zmuszony mówić dokładnie to, czego od niego oczekiwano. Twierdził, że na tym polegał fenomen tego ponurego faktu. Jeśli ktoś mówił, że jest ładna pogoda, Espen Lund chętnie odpowiadał, że według niego pada i wieje. Jeśli ktoś twierdził, że dobrze wygląda, potrafił wypalić, że właśnie się dowiedział, że ma guza mózgu i przed sobą dwa miesiące życia.

– Potrzebuję twojej pomocy – wyjaśnił Valdemar.

– Źle trafiłeś – oznajmił Espen.

– Chcę to sprawnie załatwić, tak żeby nikt się nie dowiedział.

Espen kaszlnął do słuchawki i Valdemar mógł usłyszeć, jak, dla zdrowia, zapala papierosa.

– Okej – powiedział. – Zamieniam się w słuch.

Dobrze, pomyślał Valdemar. Koniec żartów.

– Szukam domu.

– Rozwodzisz się?

– Oczywiście, że nie. Ale potrzebuję małego domu, w którym mógłbym się zaszyć... z pewnym projektem.

To ostatnie pojawiło się znikąd.

Projekt? – pomyślał. A tak, czemu nie? To mogło, do diabła, oznaczać wszystko. Na przykład siedzenie na krześle i obserwowanie zmian w czasie i przestrzeni.

– Czego szukasz? – chciał wiedzieć Espen Lund.

– Domku w lesie – odpowiedział Valdemar. – Na jak największym odludziu. Ale niezbyt daleko od miasta.

– Jak daleko od miasta? – zapytał Espen.

– Dwadzieścia, trzydzieści kilometrów – odparł Valdemar. – Nie więcej niż trzydzieści.

– Wielkość? – zapytał Espen.

Valdemar się zastanowił.

– Mały – powiedział. – Potrzebuję tylko małej chatki. Z działką czy coś takiego. Żadnych wygod, ale oczywiście nie zaszkodzi, jeśli będzie prąd i woda.

– Kanalizacja? – drążył Espen.

– Nie zaszkodzi – odpowiedział Valdemar.

– Cena?

Valdemar usłyszał, że Espen zaczął coś rzuć. Prawdopodobnie tabletkę na gardło. Espen Lund zjadał średnio dwa opakowania dziennie.

– No cóż – powiedział. – Zapłacę, ile będzie trzeba. Ale bez przesady, rzecz jasna.

– Dorobiesz się?

– Trochę odłożyłem – odparł Valdemar. – Ale chciałbym, żeby... żeby Alice się o tym nie dowiedziała. I nikt inny. Da się to zrobić?

– Zgodnie z prawem zakup trzeba zarejestrować – poinformował Espen. – Ale to wszystko, nie trzeba tego ogłaszać. Potem musisz to oczywiście wykazać w rocznym zeznaniu podatkowym.

– Wtedy będę się martwił.

– Hmm... – chrząknął Espen. – Chodzi o jakąś kobietę?

– Bynajmniej – odpowiedział Valdemar. – Jestem za stary na kobiety.

– Daj spokój. Masz dostęp do Internetu?

– Tak. A co?

– Możesz wejść na naszą stronę i sam zobaczyć. Jest tam wszystko i sędzę, że kilka obiektów może cię zainteresować. Poza tym dobrze jest kupić jesienią, jest dużo taniej.

– Właśnie, też o tym pomyślałem – powiedział Valdemar.

– Jak rzucisz okiem w Internecie i coś znajdziesz, zadzwoń do mnie. Pojedziemy i obejrzymy. Albo jeśli wolisz, pojedziesz sam. Co ty na to?

– Wspaniale – odrzekł Valdemar. – I ani słowa. Dbaj o siebie.

– Ani mi się śni – rzucił Espen Lund, podał adres strony internetowej i zakończyli rozmowę.

Kiedy się położył, nie mógł zasnąć.

Alice leżała na plecach u jego boku, trochę ciężko odychając; opanowała trudną sztukę zasypiania zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Valdemar miał z kolei umiejętność zapadania w sen gdzie popadnie – i o każdej porze dnia – ale kiedy naprawdę chciał, kiedy w końcu wślizgiwał się pod kołdrę i gasił światło po długim i bezsensownym dniu, zdarzało się czasami, że się klinował.

Jak korek, który chce opaść, ale nie może, pomyślał, bo tak się mniej więcej czuł. Sen był tam, w dole, głęboko,

dobry, regenerujący sen, ale w górze Ante Valdemar Roos dryfował po lśniącej, przytomnej tafli i nie wiedział, co ze sobą począć.

Dziś wieczorem były oczywiście powody. Jutro pierwszy dzień reszty mojego życia, jak głosiło jedno śmieszne powiedzenie w latach osiemdziesiątych, jeśli się nie mylił.

Reszta mojego życia? – pomyślał. Jak to będzie?

Przypomniał sobie, jak Alexander Mutti, stoik, nauczyciel filozofii w liceum, próbował wbić do ich długowłosych głów swoją złotą zasadę. „Tylko ty sam możesz nadać swojemu życiu sens. Jeśli składasz decyzje w ręce innych, to jest to jednak twoja własna decyzja”.

Espen? – pomyślał niespodziewanie. Czy Espen jest panem własnego losu?

Może tak, może nie. Chodzenie po knajpach, oglądanie meczów, przegrywanie pieniędzy. Czytanie Hemingwaya, bo to też robił – te same książki rok za rokiem. Ganieanie w kółko, pokazywanie domów i mieszkań marudnym klientom czterdzieści czy pięćdziesiąt godzin w tygodniu.

Czy to miało jakiś sens?

Przypuszczalnie dla Espena tak, mimo wszystko, pomyślał Valdemar. Dla niego, ale nie dla mnie.

Co takiego więc chcę zrobić?

Co, do licha, chcesz wycisnąć z tego, co ci pozostało tu na ziemi, Ante Valdemarze Roosie?

To pytanie trochę go wystraszyło. A może to odpowiedź wywołała ciężkość w jego piersiach.

Bo nie było odpowiedzi. W każdym razie takiej, która brzmiałaby sensownie.

Chcę siedzieć na krześle przed moim domem w lesie i rozglądać się dookoła. Może od czasu do czasu pójść na spacer. Wejść do środka, jeśli będzie zimno.

Zapalić ogień w kominku.

Czy to ma jakiś sens? Jakby to, do cholery, wyglądało, gdyby wszyscy tylko siedzieli na krzesła, rozglądali się dookoła i palili w kominku?

No tak, pomyślał Valdemar, to nie mój problem. Z pewnością nie jestem taki jak inni, ale mam w każdym razie nadzieję, że głęboko w środku jest we mnie jeszcze trochę dobroci.

Trochę.

Nie wiedział, skąd pojawiła się ta myśl o dobroci, ale po tym podsumowaniu nie upłynęło więcej niż kilka minut, gdy zapadł w głęboki, błogosławiony sen.

5

Poniedziałek zaczął się kilkoma przelotnymi ulewami. Alice i Wilma, wychodząc z domu, miały na sobie kurtki przeciwdeszczowe, ale kiedy w drodze na parking ścinał na ukos ulicę na tyłach piekarni Lilje, pogoda się ustabilizowała. Równa bladoszara czapa rozciągała się po horyzont, temperatura zatrzymała się na około dwudziestu stopniach i nie sądził, by przydał mu się gruby sweter, który spakował do torby razem z prowiantem.

Wyglądało na to, że nie będzie więcej padać, lekko powiewał ciepły południowo-zachodni wiatr. Kiedy otworzył samochód, znowu poczuł w ciele euforię, tę samą, która go dopadła, kiedy wyszedł z banku i chciał tańczyć na środku rynku.

Coś się ze mną dzieje, pomyślał. Jak one się nazywają, te rośliny, których nasiona otwierają się tylko po rozległym pożarze lasu? Pirofity czy jakoś tak?

Jestem człowiekiem o pirofitycznym usposobieniu – pomyślał Ante Valdemar Roos – i to na tym polega mój problem. Budzę się tylko raz na jakieś sto lat.

Kierował się na północ, w stronę Rockstarondellen, tą samą drogą, którą przemierzał od dwudziestu ośmiu lat, ale zamiast pojechać prosto, odbił w lewo, na zachód, i ta nic nieznacząca, mała zmiana sprawiła, że krzyknął „Jabada-baduuu!” przez do połowy opuszczoną szybę. Nie mógł się odpanować; dusza drżała w piersiach z radości.

Odzyskał kontrolę i spojrzął na zegarek. Było wpół do dziewiątej, jak zwykle, kiedy przejeżdżał przez Rockstarondellen. Ale tutaj, co odnotował, na drodze numer 172, ruch był mniejszy, znacznie mniejszy niż zazwyczaj na Svar-tövägen. Większość samochodów jechała w stronę miasta, tylko jakieś pojedyncze w przeciwnym kierunku.

Tak jak on. W przeciwnym kierunku.

We Flatfors skierował się na Kymmen i kilka kilometrów dalej, w miejscowości Rimmingebäck zatrzymał się na stacji benzynowej Statoil i zatankował. Kupił też trochę jedzenia na drogę, gotową kanapkę z małymi kulkami z mięsa mielonego i sałatką z czerwonej kapusty, wodę mineralną i czekoladę. Jak zwykle miał w torbie prowiant, ale nigdy nie wiadomo; może całodniowe dotlenienie sprawi, że będzie bardziej głodny niż zazwyczaj.

Zanim ruszył w dalszą drogę, wyjął mapy. Swoją samochodową i dwie inne, które wydrukował z Internetu. Znalazienie któregoś z tych miejsc nie powinno być trudne. Pierwsze nazywało się Rosskvarn i znajdowało się prawie przy północnej plaży w Kymmen, jakieś piętnaście kilometrów od miasta, jeśli się nie mylił. Może trochę zbyt otwarta przestrzeń i na pewno są sąsiedzi.

Przypuszczał, że drugi obiekt, który w katalogu biura nieruchomości figurował pod nazwą Lograna, był bardziej interesujący, ale mimo wszystko postanowił, że najpierw pojedzie i zobaczy Rosskvarn.

Miał przecież czas.

Ante Valdemar Roos miał mnóstwo czasu i kiedy drugi raz tego historycznego poranka zapalał samochód, w źle

ustawionym lusterku wstecznym zobaczył swoją twarz i zauważył, że się uśmiecha.

Nie ma nikogo, pomyślał, ani jednego skurczybyka na całym świecie, który wiedziałby, gdzie teraz jestem.

I gdzieś w okolicach krtani, gdzie mają swoje źródło wszystkie silne emocje, poczuł drgnienie czegoś, co musiało być szczęściem.

Przecucia okazały się w miarę słuszne.

Rosskvarn był domem położonym w wydłużającej się w kierunku jeziora niecce, która prześwitywała z odległości kilkuset metrów przez rzadką kurtynę liściastych drzew. Pasało się tam stado owiec, a po okolicy niósł się ostry dźwięk, jakby motor. A może piła tarczowa?

Domowi w gruncie rzeczy nic nie brakuje, pomyślał Valdemar, przejeżdżając obok bez pośpiechu, ale stoi przy samej drodze i co najmniej trzy inne chatki znajdują się w zasięgu wzroku. Nie wysiadł z samochodu, jechał dalej, a kilka minut później był już znowu na głównej drodze.

Spojrzał na zegarek. Było dopiero dziesięć po dziewiątej, zdecydował się więc od razu jechać do Lograny. Powinna być oddalona o jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów, najpierw kawałek drogą numer 172, następnie, zaraz przed Vreten, drogą numer 818 na północ w kierunku Dalby. Wyjeżdżając z domu, zapomniał wyzerować licznik, ale na mapie oszacował odległość na jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu kilometrów od centrum Kymlinge.

Co najwyżej, pomyślał. Ale to nie o odległość oczywiście chodziło. Nie, najważniejsze było położenie, dokładnie tak, jak to wyjaśnił Espenowi. A może tego nie zrobił?

Tak czy siak, pomyślał Valdemar, tak czy siak, jestem gotów kupić kompletną ruderę, byleby tylko znajdowała się w miejscu, gdzie będę miał święty spokój.

Zauważył, że tego ranka w jego myślach była pewność, do której nie był przyzwyczajony. Pewnego rodzaju siła.

Biorąc pod uwagę okoliczności, przypuszczalnie nie było się czemu dziwić czy też czym niepokoić. *Money talks* – jak to półgębkiem wysyczał jeden z bohaterów gangsterskiej komedii, którą kilka dni temu widział w telewizji razem z Alice; całkiem na początku filmu, jak sądził, ciągu dalszego kompletnie bowiem nie pamiętał.

W Internecie były dwa kiepskie zdjęcia Lograny – jedno robione z zewnątrz, drugie w środku, oba nie mówiły zbyt wiele. W opisie widniało jedynie słowo „chatka”; nie chcieli za nią więcej niż trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy, mniej więcej połowę tego, ile kosztował Rosskvarn. Przypuszczał, że powodem był brak jeziora w okolicy.

Zaledwie po dwudziestu minutach, zaraz za Rimmersdal, znalazł się na zjeździe do Dalby i skręcił w znacznie węższą, ale ciągle asfaltową drogę. Miał ochotę na kawę i uzmysłowił sobie, że za krótką chwilę we Wrigmans będzie przerwa. O dziewiątej czterdzieści pięć. Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata wykształcił w sobie wewnętrzny zegar.

Absolutnie nic dziwnego.

Zmarnowałem życie w tej przeklętej firmie, pomyślał Ante Valdemar Roos. Mam nadzieję, że nie jest za późno, żeby to naprawić.

Właśnie przegapiał następny zjazd i to też nie było dziwne. Zaraz za skrętem w prawo pojawiła się – z gęstym i nieprzetrzebionym lasem świerkowym po obu stronach – mała dróżka, przy której stał zardzewiały, obłazący z farby drogowskaz z napisem Rödmosse. Skręcił w nią i zatrzymał się. Sprawdził na mapie i w opisie. Zgadzało się; powinien trzymać się tej drogi – była żwirowa i tak wąska, że dwa samochody musiałyby się umiętnie wyminąć. Za jakieś siedemset metrów, zaraz za niewielkim ogrodzeniem, miała się pojawić jeszcze mniejsza, w lewo. Żadnej tabliczki, tylko wąska, leśna dróżka i kolejne mniej więcej pięćset metrów. Tam powinna być Lograna.

Idealnie, pomyślał Valdemar. Wydaje się idealnie, a niech mnie.

Nie minął żadnego samochodu i na tych siedmiuset metrach do ostatniego skrętu nie musiał planować żadnego wymijania. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy od dawna nie widział żadnego auta. Jakieś dziesięć czy piętnaście minut. I pomyśleć, że Szwecja mogła być taka odludna, mimo że to nie była Norrlandia.

I taka zalesiona. Pamiętał huragan Gudrun, który nadciągnął kilka lat temu i spowodował duże straty dla właścicieli lasów. Wyglądało na to, że większość tutejszych lasów dała sobie radę, ale znajdował się też trochę na północ od najbardziej dotkniętych rejonów.

Leśna droga, którą się teraz ostrożnie telepał, nie była zbyt często użytkowana. Środkiem biegł bujny pas trawy; słyszał, jak kłosa ocierają się o podwozie samochodu.

Ładny las po obu stronach, stwierdził w myślach; w kilku miejscach zrobiono wycinkę, ale tylko go przetrzebiano, stos bali drewna leżał porządnie ułożony z boku drogi. Minął go i poczuł w ciele tykającą ekscytację.

Dookoła małego pagórka było odrobinę bardziej przestronnie.

Można by się tutaj wdrapać i rzucić okiem na krajobraz, pomyślał.

Potem długi zakręt w prawo, odrobinę w dół i ostatnie, małe odbicie w lewo.

Oto ona.

Biorę ją, pomyślał, zanim jeszcze zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

Przez pierwsze pół godziny siedział bez ruchu i obserwował. Słuchał i wciągał zapachy. Splótł dłonie i poczuł, jak zmysły z wolna przecierają oczy i budzą się do życia. W jego wnętrzu pękały skorupki pirofitycznych nasion.

Siedział na pieńku; był niski i widniały na nim ślady siekiery, stał tuż obok małej przybudówki, przy której wzdłuż ściany ułożony był okazały stos drewna.

Wypił filiżankę kawy, kilka łyków wody mineralnej i pozwoli przeżuwać kanapkę.

Po chwili się rozpląkał. Nie robił tego pewnie ze dwadzieścia lat i najpierw próbował się opanować; rezolutnie wytarł nos w rękę, a oczy osuszył mankietem koszuli.

Ale łzy płynęły.

Siedzę tu i płacę, pomyślał i przez dłuższą chwilę była to jedyna myśl, jaka znalazła miejsce w jego głowie.

Siedzę tu i płacę.

Potem przypomniał sobie coś, co przeczytał w pewnej książce przed wieloma laty; nie była to jedna z tych mniej lub bardziej skomplikowanych powieści, które zwykł czytać, lecz książka podróźnicza. Nie pamiętał nazwiska autora, ale na pewno był to Anglik i pisał o aborygenach, pierwotnych mieszkańcach Australii. Twierdził, że patrzyli na życie jak na długą wędrówkę i kiedy czuli, że zbliża się koniec, szukali miejsca, w którym mogliby umrzeć. Wcześniej ustalonego miejsca.

Songlines, tak to się chyba nazywało?

Lograna, pomyślał. Jak to się stało, że do tej pory tutaj nie trafiłem?

Nie była duża. Licha chatka na kamiennej podmurówce pokryta dachówką. Wyglądała mniej więcej jak wszystkie drewniane domki w tym kraju. Czerwień faluńska* i białe narożniki, gdzieniegdzie trochę poodpryskiwane. Pokój z kuchnią, może jeszcze mała izba.

Możliwe, że sto pięćdziesiąt lat temu mieszkał tu żołnierz, pomyślał Valdemar. Żołnierz i jego żona.

Otoczająca działka, na której pod dwiema sękatymi jałbioniami i między kilkoma krzakami porzeczek rosła wysoka

* Najczystszy kolor szwedzkich domów. Nazwa pochodzi od miasta Falun, gdzie wydobywano miedź (przyj. tłum.).

trawa, nie była większa niż dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć metrów. Z jednej strony świata, południowej, o ile się nie mylił, rozciągało się mniej więcej takie samo duże pole, ale całe porośnięte pędami brzozy i osiki, które wyrosły na wysokość człowieka. W trzech innych kierunkach i po drugiej stronie pola widać było tylko las. Głównie świerk i sosna, z domieszką brzozy i jakiegoś innego gatunku drzew liściastych. Na samym skraju działki, po północnej stronie, znajdowała się ziemianka.

No i wałaca się przybudówka, przy której siedział, z kibkiem przy ścianie szczytowej. To wszystko.

Zastanawiał się, od jak dawna była na sprzedaż. Wyglądała na niezamieszkaną od wielu lat. Od ulicy do ceglanego komina biegł przewód, przypuszczalnie elektryczny. Albo stary kabel telefoniczny, nie wiedział. Pompa na środku podwórka świadczyła o tym, że to stąd brano wodę. Najprawdopodobniej nie była od dawna używana.

Studnia głębinowa? Słyszał to określenie.

Miejmy nadzieję, że woda nadaje się do picia, pomyślał i zauważył, że przestał płakać i już planuje.

Potem dopadł go strach. A co jeśli ktoś inny już tu był i kupił to miejsce? A co jeśli jest za późno? Wstał, wyjął z kieszeni komórkę, ale mógł jedynie stwierdzić, że nie ma zasięgu.

Uspokój się, pomyślał. Kto poza tobą chciałby posiadać coś takiego?

Ktoś taki jak ja? Nie ma nas znowu tak wielu.

Ale ktoś mimo wszystko może się znaleźć. Lepiej się jeszcze nie cieszyć.

Ostrożnie okrążył dom. Próbował zajrzeć do środka; nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Tylko cztery okna, w trzech opuszczone rolety, lecz w czwartym roleta wyraźnie podniesiona do góry. Kiedy przycisnęła twarz do szyby i zaciemnił ręką pole widzenia, mógł co nieco zobaczyć.

Stół przykryty szydełkowanym obrusem i trzy krzesła.

Komodę.

Łóżko.

Obraz i lustro na ścianie oraz drzwi do pomieszczenia, które musiało być kuchnią.

Murowany kominek. Mimo wszystko nie było najgorzej, i szyby były całe. Dachówki też wydawały się dobrze ułożone, może kilka będzie trzeba wymienić.

Podszedł do pompy. Kilka razy pociągnął w górę i w dół. Zaskrzybiało, zaburczało i zarzęziło w głębi; z pewnością nikt jej od dawna nie dotykał, a wiedział, że pompy potrzebują czasu.

Gdzie zdobył tę wiedzę, nie miał pojęcia.

Pompy, które potrzebują czasu?

Stał w wysokiej trawie. Ponownie rozglądał się we wszystkich kierunkach. Zamknął oczy i wyostrzył słuch.

Dochodził do niego jedynie niewyraźny szum lasu. Prawie jak morze. Ale daleko, daleko stąd.

Zapach trawy i ziemi. I czegoś, co przypuszczalnie było po prostu lasem. Pewien rodzaj leśnego zapachu. Nagle zza chmur przebiło się słońce; otworzył oczy i musiał je zmrużyć. Wrócił do przybudówki i otworzył drzwi: w skoblu była tylko blaszka i gwóźdź. W środku pomieszczenie pełne rupieci czuć było pleśnią i wilgocią. Znalazł stare składane krzesło. Rozłożył je i usiadł przy ścianie.

Skierował twarz ku słońcu.

Znowu zamknął oczy i usłyszał głos ojca.

Nigdy nie będzie lepiej.

Godzinę później stał na małym pagórku, który mijał po drodze. Rozciągał się stąd widok we wszystkich kierunkach: nie ciągnął się kilometrami, ale mimo wszystko był. Jak okiem sięgnąć ani jednego budynku. Logranę chroniło małe wzniesienie i tylko najbardziej na północ mógł zobaczyć otwarte pola. Do tego miejsca były z pewnością jakieś dwa kilometry. Poza tym las i tylko las.

I dokładnie tak jak myślał, tutaj na górze był zasięg. Wybrał numer informacji i poprosił o numer do Lindgren, Larsson i Lund.

Odpowiedział Lindgren. Poinformował, że Lund jest na spotkaniu z klientem.

Dostał jego numer, który od razu wybrał. Espen Lund odpowiedział po kilku sygnałach.

– Lund. Jestem trochę zajęty.

– Valdemar z tej strony – powiedział i usiadł na pieńku.

– Kupuję Logranę.

– Niestety, przyjacielu – oznajmił Espen. – Dziś rano została sprzedana.

Ante Valdemar Roos pochylił się do przodu i wylądował na kolanach, na kupie gałęzi, chrustu i łupin. Poczul, jak krew odpływa mu z głowy, a pole widzenia szybko się zawęża.

– To niemożliwe... – wydobył z siebie. – Nie...

– Tylko żartowałem – przerwał mu Espen. – Jesteś pierwszym zainteresowanym od wiosny.

– Ja pierdołę – wysapał Valdemar i z powrotem podniósł się na pieńki. – Ale dzięki.

– Problem polega na tym, że baba nie chce zejść z ceny – kontynuował niewzruszony Espen. – Chyba będziesz musiał dać trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy.

– Żaden problem – zapewnił Valdemar. – Absolutnie żaden problem. Kiedy możemy dobić targu?

– W gorącej wodzie kąpany – stwierdził Espen. – Przyjdź jutro przed południem... a nie, przecież ty pracujesz.

– Mogę się zwolnić na dwie, trzy godziny – zapewnił Valdemar. – O której?

– Najpierw muszę pogadać z właścicielką. Jeśli się nie odezwę, bądź o dziesiątej.

– Chciałbym...

– Tak?

– No wiesz... chodzi o dyskrecję.

Espen zrobił krótką przerwę i kaszlnął kilka razy.

– Nie ma problemu – oznajmił. – Lindgren i Larsson będą w tym czasie poza biurem. Będziemy tylko ty, ja i właścicielka.

– Świetnie – powiedział Valdemar. – Jak... jak ona się nazywa?

– Anita Lindblom – odpowiedział Espen Lund. – Jak ta piosenkarka. Ale to nie ona. Ta ma ponad osiemdziesiąt pięć lat. I tylko jedno ramię. Cholera wie, czemu, ale widać takie rzeczy też się zdarzają.

– Życie – stwierdził Valdemar.

– Dokładnie – odparł Espen.

Kiedy skończyli rozmowę, spojrzął na zegarek: za kwadrans pierwsza. Najwyższy czas wrócić do chaty i zjeść jakiś lunch.

Kiedy schodził w dół, w kierunku drogi, czuł, że coś śpiewa mu w duszy. Prawie jak Anita Lindblom.

6

Późnym wieczorem dwudziestego ósmego sierpnia spłonęła Wolność.

Pomalowany na biało mały, drewniany budynek – coś pomiędzy altaną a domkiem zabaw, mniej więcej – położony przy krzakach bzu, jakieś dziesięć metrów od brzegu jeziora. Właściwie składał się tylko z drewnianej podłogi i drewnianego dachu, połączonych w rogach czterema grubymi podporami. Dwie niskie ławy naprzeciw siebie i ministolik między nimi. Dziewczyny miały tu w zwyczaju przesiadywać, gadać i palić. Anna nie wiedziała, skąd się wzięła nazwa. Nazywano go Wolność, po prostu.

Wszystkie dziewczyny w ośrodku paliły; uzależnienie od narkotyków było raczej nie do pomyślenia, jeśli się wcześniej

nie paliło. Anna przypominała sobie, jak w gimnazjum kierownictwo wpadło na pomysł, że zarejestruje wszystkich palących uczniów. Wysłano list do rodziców z sugestią, że ich dzieci mogą się znajdować w tak zwanej grupie ryzyka. Rozpętało się piekło. Naruszenie wolności osobistej, faszyzowskie praktyki, fałszywe oskarżenia; niektórzy palacze byli członkami SSU* i uczestniczyli w kursie praw demokratycznych. Poskutkowało to nawet półdniowym szkolnym strajkiem.

Mimo wszystko biedny dyrektor miał przecież na swój sposób rację. Anna myślała o tym później. Młodzi ludzie, którzy nie zaczęli palić, nie zaczynają też ćpać.

Chociaż byli też oczywiście tacy, którzy palili bez używania mocniejszych rzeczy. Dobrze dla nich, dla większości, mówiąc ściślej.

W każdym razie palenie w ośrodku w Elvafors było dozwolone. Na zewnątrz i pod dachem Wolności; sprawić, że dziewczyny skończą i z narkotykami, i z papierosami, byłoby zbyt wielkim szczęściem naraz.

– Po kolei, najpierw duże problemy, potem małe – mówiła Sonja Svensson. Sama nie paliła, ale kilka osób z personelu owszem i, o ile Annie było wiadomo, żadna z nich nie uważała tego za coś złego.

Ona sama też nie, pomijając koszty. W ośrodku dostawały tygodniówkę, dwieście koron; nauczenie się zarządzania finansami było kamieniem węgielnym, jeśli chodzi o porządkowanie swego życia. Wszystkie dziewczyny, bez wyjątku, miały długi: pisma z firmy windykacyjnej i pokaźne sterty niezapłaconych rachunków. W pierwszych tygodniach Lena-Maria, kuzynka Sonji, która miała jakieś ekonomiczne wykształcenie – w każdym razie w liceum chodziła do klasy o profilu ekonomicznym – przeprowadzała rozmowy

* Sveriges Socialdemokratiska Ungdomsförbund, pol. Szwedzki Socjaldemokratyczny Związek Młodzieży (przyp. tłum.).

z każdą z dziewcząt, żeby spróbować wyjaśnić meandry ich zagmatwanej egzystencji. Założenie było takie, by z czasem dziewczyny same nawiązały kontakt ze swoimi wierzycielami i spróbowały sporządzić plan spłaty. Brzmiało to bardzo skomplikowanie, w każdym razie tak uważała Anna i pozostałe dziewczyny.

Tak czy inaczej, więcej niż połowa tygodniówki szła na papierosy, tak właśnie było.

Jednak Wolność nie spłonęła z powodu zaproszenia ognia papierosem. Wręcz przeciwnie, już następnego ranka wszyscy wiedzieli, że to było podpalenie.

To Conny, mąż Sonji, jedyny przedstawiciel płci męskiej, którego noga stanęła w Elvafors, znalazł za magazynem pusty kanister po benzynie. Kanister pochodził pierwotnie z tego samego magazynu, gdzie przechowywano wszystko co możliwe i potrzebne w ośrodku: narzędzia, duże opakowania papieru toaletowego i inne.

Drzwi nie były zamknięte na klucz; zwykle tego nie robiono, ponieważ w środku nie było niczego, co można byłoby ukraść. O jedenastej wieczorem mógł się tam wślizgnąć każdy; zaczęło się palić jakiś kwadrans po jedenastej. Ktoś wziął kanister, rozpryskał zawartość po Wolności i przyłożył zapalniczkę. Conny był strażakiem-ochotnikiem i trochę w życiu widział, nie miał więc wątpliwości, jak do tego doszło.

Zatem któraś z dziewcząt. Teoretycznie mógł to być ktoś, kto tamtędy przechodził, ale tylko teoretycznie. Sonja Svensson zdecydowanie odrzuciła tę możliwość; jaki motyw mogłaby mieć obca osoba?

Nie rozwodziła się natomiast nad motywem, jaki miałyby któraś z dziewcząt. Na zebraniu po śniadaniu wygłosiła ostrą mowę i wyjaśniła, że jeśli winna nie przyjdzie do niej w ciągu dnia i nie przyzna się, odpowiedzialność poniosą wszystkie.

Jeśli jednostka nie chce podjąć osobistej odpowiedzialności, musi to zrobić cała grupa. Prosta zasada, obowiązująca w życiu i w ośrodku w Elvafors.

Po południu Anna stała nad jeziorem i paliła razem z Turid, dziewczyną z Arviki, która mieszkała w „służbie wewnętrznej”, i zapytała ją, czy sądzi, że zostanie w to wmieszana policja.

– Policja – parsknęła Turid. – Nigdy w życiu. Sonja cholernie boi się wszystkiego, co mogłoby popsuć reputację Elvafors, nie rozumiesz?

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Anna.

– Dlatego że jeśli pomoc społeczna uświadomi sobie, że w Elvafors nie dzieje się dobrze, nie będą tu wysyłać dziewczyn. Jesteśmy warte tysiąc koron dziennie, pamiętaj. A ośrodek przecież nie jest pełny.

Anna zastanowiła się i pokiwała głową. To prawda, odkąd Ludmilla zniknęła, w dużym domu mieszkało teraz tylko pięć dziewczyn i było jeszcze miejsce dla czterech. Zgodnie z pogłoskami Turid i Maria niebawem przeniosą się do „służby zewnętrznej” w Dalby.

– Może w tym kraju zaczyna brakować ćpunek – próbowała zażartować.

– Raczej, kurwa, nie – powiedziała Turid, która nigdy się nie śmiała i Anna pomyślała, że z jej życiorysem może nie było to takie dziwne. – Ale chyba nie sądzą, że oplaca się inwestować w takie jak my. Lepiej jeśli młodo umrzemy i nie będziemy obciążać społeczeństwa.

Anna przełknęła gulę w gardle.

– Jak sądzisz, kto podłożył ogień? – zapytała.

– A jak, kurwa, myślisz? – zapytała Turid, wrzucając peta do wody. – Pierdolnięta Maria, to jasne, każdy chyba to wie.

– Maria? – zdziwiła się Anna. – Jesteś pewna?

– Widziałam ją – powiedziała Turid, odwróciła się do Anny plecami i zaczęła iść w górę, w kierunku domu.

Maria? – pomyślała Anna, a w gardle znowu urosła gula. Dlaczego Maria miałaby podpalić Wolność? Jeśli miałaby wybrać jedną z dziewczyn, której mogłaby zaufać – albo

dzielić z nią wkrótce „służę wewnętrzną” – wskazałaby na Marię. Bez specjalnie długiego namysłu. Lubiła ją. Tak to przecież działało – pewnych ludzi się lubiło, a innych nie. Takiej osoby jak Turid Anna nigdy nie umiałaby pokochać, nawet jeśli próbowałaby całe życie.

Maria urodziła się w Korei, była słodka jak lalka i kiedy miała dwa albo trzy latka, adoptowali ją szwedzcy rodzice. Nie znała ani dnia, ani roku swojego urodzenia. Była małomówna i serdeczna, ale molestowali ją chłopcy i brat matki; poza tym miała dziecko i była pozbawiona praw rodzicielskich. Wraz z przybyciem do Elvafors – kilka tygodni przed Anną – zaczęła wierzyć w Boga. Tak w każdym razie twierdziła, na swój cichy i nieśmiały sposób. Anna widziała też, jak czyta Biblię.

Dlaczego, do jasnej cholery, miałyby podpalić Wolność?

Anna uzmysłowiła sobie, że właściwie jej nie zna. Nagle zdała sobie sprawę, że nie zna żadnej z dziewczyn. Ktokolwiek mógł powiedzieć cokolwiek o którejś z nich, a ona nie będzie wiedziała, czy to prawda, czy nie.

I dotarło do niej, że w dużej mierze zależało to od niej. Powoli idąc za Turid w stronę domu, myślała o tym, co kiedyś powiedział jej kuzyn Ryszard – ten, co to mieszkał w Kanadzie i chciał wyglądać jak Johnny Depp – tego lata, kiedy się spotkali.

– No tak, jesteś *loner*, Anno, po prostu. Ty i ta twoja pieprzona dusza macie tak dużo do powiedzenia, że na nic innego nie znajdujecie już czasu.

Powiedział to po angielsku, bo nie umiał już mówić porządnie po polsku.

You and your fucking soul, Anna.

Czy tak właśnie jest? Tak – przyznała cicho sama przed sobą. – Może tak właśnie jest.

A gdyby zamienić jedną literę w angielskim słowie *loner*.
Loser.

Tego samego wieczoru do jej pokoju weszła Sonja i oznajmiła, że w biurze jest do niej telefon.

Dzwoniła matka. Anna od razu wyczuła w jej głosie, że coś jest nie w porządku. Coś, co ten jeden jedyny raz nie było winą Anny.

– Nie mogę przyjechać i cię odwiedzić w przyszłym tygodniu.

Było ustalone, że przyjedzie z wizytą na pół dnia w kolejny piątek, żeby dowiedzieć się, jak Anna się ma, jakie zrobiła postępy w czasie pierwszych tygodni w Elvafors i żeby pobyc z nią przez chwilę. To nie był dzień otwarty dla rodziny, ale zdarzało się, że jakiś rodzic albo bliska osoba przyjeżdżała z krótką wizytą po około miesiącu.

– Dlaczego? – zapytała Anna i zaszczołała wbrew swej woli. Miała nadzieję, że matka nie zauważy.

Nie zauważyła.

– Mama... – powiedziała – twoja babcia, jest chora. Muszę jechać do Warszawy i się nią zająć.

– Czy ona... czy...?

– Nie wiem – odpowiedziała matka. – Nie, nie umrze. Nie wygląda to aż tak poważnie. Ale mimo wszystko muszę jechać. Wojtek mówi, że nie da rady dłużej się nią zajmować, a ja jestem przecież na zwolnieniu z powodu kolan. Nie mam wyboru, Anno, musisz mi wybaczyć.

– Jasne, że ci wybaczam. Co będzie z Markiem?

– Na razie będzie mieszkał z Majką i Tomkiem. I Anno...

– Tak?

– Obiecuję, że przyjadę cię odwiedzić, jak tylko wrócę.

Rozmawiały jeszcze kilka minut. Anna cały czas walczyła z płaczem, ale trzymała się, na szczęście. Ostatnią rzeczą, jaką chciała, to wywołać w matce jeszcze większe poczucie winy. Po skończonej rozmowie siedziała jeszcze przez chwilę w półmroku biura i próbowała się pozbierać. Zrozumieć, dlaczego nagle poczuła się tak przesadnie smutna. Naturalnie złożyło się na to wiele rzeczy: spalona Wolność,

insynuacje Turid, że to Maria podłożyła ogień, jej biedna matka, babka i mały Marek, i ogólnie beznadziejne życie – pomimo że dostała z powrotem swoją gitarę. Tak, trochę tego dużo.

I jeszcze jedno; wpadła na to później, jakby nie do końca chciała się do tego przyznać. Ale może to właśnie było najgorsze.

Matka nie była trzeźwa. Pewnie zanim zadzwoniła, wlała w siebie cztery lub pięć kieliszków czerwonego wina.

Ona także, pomyślała Anna, przecinając dziedziniec. Odziedziczyłam to po obojgu.

Kiedy chwilę później wślizgnęła się do łóżka, dłuższy czas myślała o swojej rodzinie. Leżała na boku, gapiąc się przez okno w kierunku lasu po przeciwnej stronie drogi i na pojedyncze gwiazdy, które zaczynały świecić tam, na górze.

O swojej rodzinie i o swoim życiu.

Że mogło się tyle wydarzyć między pokoleniami. Że wszystko działo się tak szybko. Jej babcia, ta, która teraz była poważnie chora, urodziła się w 1930 roku w małej polskiej wsi, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Warszawy, i dalej tam mieszka. Anna była tam dwa razy i za każdym razem czuła, jakby cofała się w czasie do tego roku 1930 albo jeszcze wcześniej. Inny czas i zupełnie inne życie. W sumie spotkała swoją babcie pięć, może sześć razy i zawsze miała wrażenie, że jest w niej coś przerażającego. Przypominała Bukę z Muminków. Coś było też nie tak z jej głową, z jej psychiką; więcej matka nigdy jej nie powiedziała.

A teraz leżała prawdopodobnie w szpitalu w Warszawie. I miała wnuczkę, która przebywała w ośrodku odwykowym dla narkomanek w małej dziurze w Szwecji, kraju, którego babcia coraz bardziej nie lubiła, z każdym razem, kiedy musiała tu przyjechać. Mawiała, że tu nie ma żadnej religii i żadnego honoru, że Bóg opuścił ten kraj. Dziura, w której

uwięziono jej wnuczkę, była jeszcze mniejsza niż ta polska wieś, naprawdę.

Uwięziono? Anna potrząsnęła głową i próbowała się zaśmiać, ale jej nie wychodziło.

Jej matka przyjechała do Szwecji w 1984 roku. Kiedy w 1987 urodziła się Anna, jej ojciec Krzysztof był już z inną kobietą. Ale rozwód się przeciągał, aż Anna miała sześć lat. Z jakiegoś powodu; matce nigdy nie udało się tego porządnie wyjaśnić. Zanim Krzysztof skończył czterdzieści lat, miał dzieci z czterema różnymi kobietami. Wszystkie były Polkami, które wyemigrowały do Szwecji w latach osiemdziesiątych. Wszystkie mieszkały w Örebro albo w Västerås i okolicach. Był przystojnym, wrażliwym mężczyzną i kobiety chętnie tonęły w jego melancholijnych oczach, jak to pewnego razu ujęła jej matka. On sam utonął w wódce.

Artystyczna dusza – powiedziała również. Niestety, zabrakło jakiegokolwiek talentu.

Może ze mną jest tak samo, pomyślała Anna. Z moją gitarą i moimi patetycznymi, cholernymi piosenkami.

Marek, jej młodszy brat, miał innego ojca, Adama. Kolejny facet, na którym, według jej matki, nie można było polegać. Wydawało się, że jest tak ze wszystkimi mężczyznami w polsko-szwedzkim środowisku, w którym dorastała Anna. To kobiety były silne, to one scalały rodziny i sieć kontaktów, zajmowały się dziećmi i brały się z życiem za bary. W jakiś sposób. Mężczyźni pili, byli nieobecni, niezrozumiani i dyskutowali o polityce.

Ale Anna nie była silna i zastanawiała się, jak to właściwie jest z jej matką. Wino w jej głosie nie uspokajało.

A jeśli matka nie miała siły, to jak ona sama miała ją znaleźć.

Szwedka czy Polka, tak naprawdę wszystko jedno. Kiedy chodziła do liceum, gdzie nie czuła się dobrze, nim w końcu go nie rzuciła, za wszystko winiła swoją podwójną tożsamość. Potem zrozumiała, że to była tchórzliwa wymówka.

Między Szwecją a Polską nie było aż tak dużej różnicy. Po wyglądzie nie można było określić jej pochodzenia, równie dobrze mogła urodzić się szwedzkim, z dziada pradziada, rodzicom w Sztokholmie czy Säffle.

Miała życie w swoich rękach, po prostu. Jeśli chciała je zmarnować, to był jej wybór – dokładnie tak, jak zawsze powtarzały, siedząc w kręgu i analizując swoje słabości. Życie nie zależy od okoliczności, tylko od nas samych.

Cholernie łatwo powiedzieć, gorzej zrobić.

Program dwunastu kroków – to był ratunek. Siła silniejsza ode mnie...

W myślach pojawił się Steffo. To też była siła.

Jak, do cholery, mogła wpuścić do swojego życia kogoś takiego jak Steffo? Było to najbardziej nieprzyjemne pytanie, którego nienawidziła i z którym nie chciała się skonfrontować. Nigdy nie była nawet bliska zakochania się w nim. Nie uważała też, by był szczególnie przystojny.

Odpowiedź była prosta. Wabił ją narkotykami i tym samym był ważniejszy niż wszystko inne. Tak samo było z innymi dziewczynami. W ten schemat popadały kobiety uzależnione od narkotyków. Wszystkie dziewczyny z ośrodka w Elvafors były ze skurwielami: jeden większy prostak i egoista od drugiego. Steffo może nie był najgorszy; byli ze sobą tylko kilka miesięcy, trudno powiedzieć, jak by się zmieniał, gdyby to trwało dłużej.

Chociaż był chyba złym człowiekiem. Nagle przypomniała sobie pewne zdarzenie i kiedy się nad tym zastanowiła, zrozumiała, że trochę to o nim mówiło.

Opowiedział jej pewną historię. Był u jakiegoś psychologa, kobiety, którą pewnie pogardzał. Rozmawiała z nim o empatii, o umiejętności zrozumienia tego, co czują i myślą inni.

O tym, że na przykład, kiedy dzieci robią krzywdę zwierzętom, nie rozumieją, że te odczuwają ból. Są także dorośli, którzy tego nie rozumieją.

Sądysz, że jestem takim człowiekiem? – zapytał panią psycholog. Odpowiedziała, iż ma nadzieję, że nie.

Wtedy Steffo odparł, że ma całkowitą rację, bo kiedy miał dwanaście lat i złamał skrzydła obu kanarkom swojej młodszej siostry, doskonale wiedział, że to boli. O to przecież, kurwa, chodziło.

Śmiał się, opowiadając to Annie. Jakby był z tego dumny. Zarówno z tego, co zrobił z tymi biednymi kanarkami, jak i z tego, co powiedział żalosnej pani psycholog.

Dostała gęsiej skórki, kiedy sobie o tym przypomniała.

Tak to jest, pomyślała. Wraz ze znikaniem trucizny z mojej krwi zaczynam rozumieć, jak w gruncie rzeczy bardzo się go boję.

Nigdy więcej. Wszystko, tylko nie Steffo.

Żadna z dziewcząt nie przyznała się do podpalenia Wolności.

Sonja poinformowała o tym na zebraniu następnego ranka. Ale mimo to znajdą sprawcę. Jeśli tylko dziewczyny zdecydują się współpracować.

A przecież wszystkie wyraziły zgodę na Program dwunastu kroków i zasady Elvafors, czyż nie? Czy nie rozumieją – głęboko w środku – że to właśnie jedyna droga, by wyrwać się z piekła, w którym żyły przez wiele lat.

Anna nie miała pojęcia, o czym mówi Sonja. Co wspólnego z pożarem miał Program dwunastu kroków? Co Sonja miała na myśli, mówiąc, że albo będą współpracować, albo zginą.

Tak właśnie powiedziała. „Jeśli nie będziecie współpracować, zginiecie”. Anna rozejrzała się i zobaczyła, że inne dziewczyny wyglądają na równie zbite z tropu jak ona. Może z wyjątkiem Turid.

Po wszystkim tylko Annę poproszono, żeby została. Dziewczyny wstały, wsunęły krzesła i wyszły na papierosa. Anna siedziała i czekała na to, co tym razem powie Sonja.

Tym razem – tak to czuła. Nie była tym zdziwiona i nie musiała długo czekać, żeby usłyszeć pytanie.

– Wiem, że wiesz, kto podpalił Wolność – oznajmiła Sonja. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Wcale nie wiem – odparła Anna.

– Nie kłam – powiedziała Sonja. – Powiedz mi prawdę, w przeciwnym razie tylko narobisz sobie kłopotów.

– Nie kłamię – oznajmiła Anna.

– Jedna z dziewcząt powiedziała, że wiesz. Że jej o tym mówiłaś.

Wtedy zrozumiała, co się stało.

Turid.

Jak, do cholery... jak, do cholery, mogła? Najpierw powiedziała Annie, że to Maria, a potem... taak... potem powiedziała Sonji, że Anna wie, kto jest sprawcą.

Tak było. Na to wygląda i... taak... dokładnie tak wredna i nieobliczalna potrafiła być Turid. Anna potrząsnęła głową i trudno jej było uwierzyć, jak mogła być tak tępa. Dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Musiała wziąć się na Marię. Dlaczego? Tylko dlatego że Maria jest taka słodka i przez wszystkich lubiana?

Zamyśliła się. Tak, to chyba wystarczyło. Turid nie była szczególnie ładna, miała w talii kilka zbędnych kilogramów i cerę typową dla narkomanów. Z tego, co wiedziała Anna, nie była specjalnie lubiana. Takie to proste?

Tak, przypuszczalnie było to tak cholernie banalne i proste. Dwadzieścia dwa lata i już zgorzkniała. A może to ona podłożyła ogień?

– Poczekam – stwierdziła Sonja. Skrzyżowała ręce na piersiach i siedziała, bujając się na krześle. Wydawała się być z siebie i swojej twardej, lecz sprawiedliwej postawy bardzo zadowolona. Anna poczuła nagle chęć splunięcia na Sonję, ale się powstrzymała.

– Niestety – powiedziała i wyprostowała się. – Obawiam się, że zostałaś wprowadzona w błąd. To nie ja podpaliłam Wolność i nie mam pojęcia, kto to zrobił.

– Wiem, że kłamiesz – oznajmiła Sonja.

– Myśl sobie, co chcesz – rzekła Anna. – Mogę już iść?
– Idź – odpowiedziała Sonja. – Szkoda, że odmawiasz współpracy. Pożałujesz tego.

Kiedy wyszła na dziedziniec, zaczęło padać. Dziewczyny zdążyły zapalić i wracały z powrotem. Tylko z Marią udało jej się nawiązać kontakt wzrokowy. Była zapałkana.

Nie, pomyślała Anna. Dlaczego miałabym tu zostać? Moja dusza właśnie umiera.

7

Przez cztery kolejne dni, od wtorku do piątku, Ante Valdemar Roos pokonywał trzydzieści osiem kilometrów między Fanjunkargatan w Kymlinge a Lograną. Codziennie tam i z powrotem. Spędzał osiem godzin w pobliżu chaty, nie wchodząc do niej – z wyjątkiem środy, kiedy podpisywał papiery w mieście, w biurze Espena Lunda, i był tam tylko pięć godzin. Przejęcie własności było wyznaczone na pierwszego września; Anita Lindblom nie miała zamiaru zmienić zasad i wcześniej przekazać kluczy.

Wykorzystywał te ciepłe i przyjemne późnoletnie dni: raz na wędrowni po okolicznym lesie, raz na siedzenie na krześle pod przybudówką z twarzą zwróconą ku słońcu. Popijał kawę z termosu, przeżuwał kanapki – podwójną z serem, podwójną z kiełbasą – i rozmyślał nad tym, jak różnie może potoczyć się życie.

Wszystko jedno czyje. Nieważne, czy tylko siedział oparty o ścianę przybudówki w kolorze czerwieni faluńskiej, czy spacerował pod okazałymi sosnami w kierunku Rödmossevågen, na południe, przez trochę podmokłe tereny porośnięte świerkami i chaszczami lub w górę w stronę

wyżej położonych terenów na zachodzie – było w nim coś, co upominało się o swoje.

Tak, „upominało się o swoje” jest chyba najlepszym określeniem, pomyślał Ante Valdemar Roos. Jakby był zapłodniony, jakby pusta do tej pory przestrzeń wypełniła się nowym życiem. Jakby był w ciąży.

Na stare lata, słowo daję – nie za późno?

To się zdarza – pomyślał. – Takie dziwy mogą spotkać nawet nas, pirofitów, i takie jest życie, jak już wcześniej wspomniałem.

Kupił mapę okolicy, tak zwaną mapę topograficzną w skali 1:50 000, na której można było zobaczyć wszystkie szczegóły krajobrazu: lasy, otwarte pola, zabudowania, a nawet pojedyncze zagrody i domy. Drogi, ścieżki, ciekły wodne, no i poziomnice. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby studiował tego typu mapę od czasów obowiązkowych zajęć z orientacji w terenie w liceum Bungeläroverket.

Skonfrontował też mapę z rzeczywistością i ku swemu zadowoleniu stwierdził, że Lograna jest dokładnie tak odludna, jak to sobie wyobrażał. Mała, czarna kropka w dużym, dużym lesie. Najbliższa zagroda była oddalona o ponad dwa kilometry i była to właśnie Rödmosseń widniejąca na zardzewiałym drogowaskazie przy Dalbyvägen. Pewnego ranka poszedł tam, stanął na skraju lasu i obserwował gospodarstwo, dość przeciętne, na ile mógł ocenić, z kilkoma budynkami, oborą i czymś w rodzaju hali z maszynami. Plony z okolicznych pól były świeżo zebrane, z wyjątkiem pola na zachodzie, gdzie pasło się z dziesięć krów. W psiarni szczekały dwa psy.

Wąska i wyboista droga, przy której leżała Lograna, wiodła do wydłużonego zakrętu w kształcie litery U i wracała do Rödmossevägen jakieś sto metrów od tego gospodarstwa; natknął się jeszcze tylko na jeden budynek przy leśnej drodze: starą chatkę mniej więcej tej samej wielkości co

Lograna, ale w zdecydowanie gorszym stanie. Znajdowała się niecały kilometr na zachód, głębiej w lesie: komin zapadł się do połowy, okna zabito płytami izolacyjnymi i wątpił, żeby jakiś człowiek postawił tam swoją nogę w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

Innych dróg tam nie było. Pewnego dnia próbował trzymać prosty kurs na południe, żeby dojść do drogi 172, szosy między Kymlinge a Brattfors na wysokości Vreten; według mapy powinno być do niej jakieś dwa i pół kilometra, ale teren był zbyt niedostępny: nieprzetrzebione chaszczki i podmokłe torfowiska. Po godzinie musiał zawrócić.

We wtorek i w czwartek poszedł na dwa spacery. Dłuższy rano i krótszy po południu.

Zdobywam moją przestrzeń, pomyślał. Tak to się właśnie odbywa, to jest ten uciekający punkt, za którym tęskniłem.

Codziennie ucinał też sobie krótką drzemkę: dwadzieścia minut lub pół godziny na krześle, po lunchu; zaraz po przebudzeniu miał problem z orientacją, ale to minęło. W piątek, kiedy otworzył oczy, od razu wiedział, gdzie jest.

Lograna. Jego miejsce na ziemi.

W piątek nie poszedł na popołudniowy spacer. Siedział na krześle i rozmyślał o tym i o owym; robił to również, kiedy się ruszał, ale tego dnia było coś wyjątkowego w siedzeniu z twarzą zwróconą ku ciepłemu słońcu, po prostu w oddychaniu i byciu.

Żadnego celu. Gdyby jabłonie, krzaki porzeczek lub pompa umiały mówić, moglibyśmy trochę pokonwersować, pomyślał.

Nie żeby tego potrzebował, ale mogłoby być ciekawie usłyszeć, co mają do powiedzenia. Może mogłyby go tego czy tamtego nauczyć. Wykorzystał też okazję i spróbował jabłek, ale były kwaśne i twarde. Przypuszczalnie to zimowa odmiana, zgadywał; może należy je pozbierać, włożyć do papierowych toreb i wyciągnąć na Boże Narodzenie. Pamiętał, że tak się robiło w czasach jego dzieciństwa w K.

Myśli chętnie wędrowały wstecz, ale od czasu do czasu również w przód. Zauważył, że znajduje się w dobrze wyregulowanym punkcie stycznym między terażniejszością, przeszłością oraz tym, co ma się wydarzyć, i przypuszczał, że ma to związek zarówno z jego wiekiem, jak i z nowymi okolicznościami w jego życiu.

Tu i teraz. To, co przede mną. To, co za mną.

Wszystko miało ten sam ciężar. A oprócz tego było takie jak nigdy wcześniej. Pewnego rodzaju trójwymiarowość.

Jego kobiety – myślał także o nich. Lisen i Alice. Obie były przecież przeszłością, terażniejszością i przyszłością. Myśli o nich, powiedzmy. Lisen nie żyła – nie można było tego zakwestionować – ale kiedy głębiej się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że był skłonny zepchnąć je do przeszłości, obie. Nie tylko Lisen, ale także Alice. Ona i córki nie pasowały do jego nowego życia w Logranie. Były niekompatybilne, jak to się teraz mówiło, a brzmiało jak wstępne stadium inkontynencji – już o tym kiedyś myślał.

Ale mamy teraz niewydarzone słowa. Czy było coś złego w „nie pasować” albo w „nietrzymanie moczu”?

Kiedy po ostatnim łyku kawy zamknął oczy i czekał tylko, aż zawładnie nim sen, myśli nabrały klarowności i śmiałości.

Powinienem był pokazać Alice figę z makiem – potrafił to sobie wyobrazić. – Tak jak pokazałem Wrigmanowi. Gdyby nie mieli tych przeklętych, idiotycznych wózków w ICA, nigdy bym jej nie spotkał.

A ona mnie, zwłaszcza ona mnie.

A było to tak. Pewnego piątku dwanaście i pół roku temu wszedł do ICA Stubinen przy Norra Torg w Kymlinge, prowadząc wózek, i kiedy skręcał w prawo do działu Zupy i sosy, z hukiem wpadła na niego jakaś kobieta. Nadjechała z lewej strony z nadmierną prędkością i ich wózki się szczypiły.

Niepojęte – poświadczył personel – nic takiego nigdy wcześniej nie miało miejsca; jej rozbite jajka ściekały po jego parówkach i minęło prawie pół godziny, zanim udało im się rozdzielić wózki. Przy okazji Valdemar i Alice zaczęli rozmawiać; okazało się, że oboje są samotni, i od słowa do słowa osiem miesięcy później pobrali się w kościele Świętej Trójcy. Żadne z nich nie było szczególnie wierzące, ale uroczystość powinna się odbyć w kościele – tak uważała Alice. Poprzednim razem zadowolili się ślubem cywilnym i proszą, jak się skończyło.

Co do Lisen, to było to tak dawno, że Valdemar ledwo mógł sobie przypomnieć, jak się poznali. Chyba raczej połączyli jak dwie meduzy w morzu *love, peace and understanding* późnych lat sześćdziesiątych. Jakie to teraz miało znaczenie. Tak czy siak, pierwszy raz kopulowali na trawniku w Göteborgu, po plenerowym koncercie jakiejś angielskiej kapeli rockowej i kilku rodzimych zespołów, a ponieważ Lisen zaszła w ciążę, to ze sobą zamieszkali. Potem poroniła, ale ponieważ byli już parą, to żyli jak do tej pory i już jakiś rok później na świat przyszedł Greger.

Naprawdę to przeżyłem? – chętnie powracał do tej myśli. – To moje życie?

Nie czuł tego ani w pierwszym, ani w drugim przypadku.

I jeśli teraz tak ono wygląda, to chyba nie o to w tym wszystkim chodzi.

A o co, w takim razie?

Oczywiście najwyższy czas, żeby zadać sobie to pytanie, skoro niebawem skończy sześćdziesiąt lat. Ludzie robią to w liceum albo kiedy idą do wojska, żeby potem przez resztę swojego życia móc zająć się poważniejszymi sprawami: domem, pracą, dziećmi i całą resztą.

Tak przypuszczał. Nigdy nie zapytał swoich kobiet, ani Lisen, ani Alice – syna ani pasierbic też nie – o co w tym wszystkim chodzi.

Czuł, że Alice wściekłaby się, gdyby to zrobił.

– Niedługo kończysz sześćdziesiąt lat – powiedziałaaby. – Pomyśl o tym, co mówisz.

Jeśli chodzi o egzystencjalne poszukiwania, więcej dałaby chyba rozmowa z pompą, jabłonią i krzakami porzeczek.

Ojciec najpewniej by się z tym zgodził. Zanim się powieścił, pracował jako magazynier w fabryce butów. Oczywiście lepsza taka praca niż żadna, ale Eugen Sigismund Roos nie zaprzedał swojej duszy butom.

Tak na pogrzebie powiedział jego starszy brat, Leopold. Valdemar ciągle to pamiętał, każde słowo.

Byłeś wielkim człowiekiem, Eugenie, bracie mój. Nie pasowałeś do otoczenia. Twoja dusza nie znalazła miejsca w podupadającej fabryce butów Larssona, nie, twojej duszy należy szukać zupełnie gdzie indziej.

W lasów jęku, w rzek delikatnym dźwięku, w nieuleczalnej samotności ludzkiego serca. Tam, gdzie teraz znalazła swój ostatni dom.

Wtedy, jako dwunastolatek, uważał, że „w lasów jęku, rzek delikatnym dźwięku” brzmiało tak pięknie, i irytowało go, że „samotność ludzkiego serca” już równie dobrze nie brzmi ani się nie rymuje. Niewątpliwie Leopold mógł się wysilić i wymyślić lepsze zakończenie.

A może tak właśnie miało być, pomyślał, kiedy był starszy, że „samotność ludzkiego serca” nie miała się rymować i że taki w gruncie rzeczy był zamysł.

Leopold zmarł rok po młodszym bracie i nigdy nie nadarzyła się okazja, żeby go o to zapytać.

Nie miał też oczywiście okazji zapytać taty Eugena o to, co jest ważne, a co zdecydowanie mniej. Szkoda, bo czuł, że ojciec coś na ten temat wiedział. Fakt, że postanowił skończyć z życiem, kiedy miał czterdzieści cztery lata, był właśnie na to dowodem: że pewne rzeczy dostrzegął.

Życie nigdy nie będzie lepsze.

Przypomniął sobie pewne zdarzenie – to było jesienią i mieszkali wtedy w Väster, jeszcze przed pożarem w piwnicy; mógł mieć jakieś siedem czy osiem lat.

Coś robił na dworze, kopał piłkę z chłopakami sąsiadów w parku, potem przyszedł do kuchni. Zmierzchało. Ojciec siedział przy kuchennym stole. Przypuszczalnie wychylił kilka głębszych; przed nim, na kraciastym obrusie, stały butelka i kieliszek, a on ssal swoją zakrzywioną fajkę.

– Niebieski zmierzch, mój chłopcze – powiedział. – Wiesz chyba, dlaczego jest niebieski?

Valdemar przyznał, że nie wie.

– Dlatego, że oplakuje dzień – wyjaśnił ojciec, wydmuchując kłęby dymu. – Tak samo jak mężczyzna oplakuje kobietę, którą traci.

Po głosie słychać było, że jest trochę wstawiony, ale nawet wtedy nie mówił takich dziwnych rzeczy. Valdemar nie wiedział, co odpowiedzieć, i nie musiał tego robić, ponieważ w tej samej chwili do kuchni weszła matka.

Zadziwiające było to, że była naga.

– Mogłeś powiedzieć, że chłopak jest w domu – powiedziała do męża, ale on tylko się uśmiechnął i obserwował ją, mrużąc oczy z fajką zwisającą z kącika ust.

Nie zrobiła nic, żeby się zakryć, przez chwilę kręciła się w kółko, szukając czegoś w szafkach i szufladach; jej piersi ładnie i miękko falowały, a kasztanowa kępka włosów między nogami wyglądała jak... jak przeciwieństwo niebieskiego zmierzchu.

To również sformułowanie ojca.

– Oto przeciwieństwo smutnego, niebieskiego zmierzchu, mój chłopcze – powiedział, cybuchem fajki wskazując kasztanową kępkę.

Na to Valdemar także nie odpowiedział, a matka podeszła do ojca i palnęła go w głowę. Nie było to prawdziwe uderzenie, ale zwyczajne klepnięcie też nie; jej na wpeł

zaciśnięta pięść trafiła go w kark, a po wszystkim, kiedy znowu zostawiła ich samych, ojciec siedział i rozmasowywał to miejsce przez dłuższą chwilę.

Nie powiedział do Valdemara już nic więcej. Nalał sobie kolejny kieliszek i dalej patrzył w okno. Na zewnątrz błękitniało i błękitniało.

Nigdy nie będzie lepiej?

Tym, co pomogło szczególnie mocno wryć się temu epizodowi w pamięć Ante Valdemara Roosa, był prawdopodobnie fakt, że był to jedyny raz w całym jego dzieciństwie, kiedy widział swoją matkę nago.

I przez całe życie nie mógł pojąć, co poprzedziło tę krótką scenę w kuchni.

Nie pojmował tego wtedy ani później. Ojciec był całkiem ubrany i trudno było uwierzyć, że matka właśnie wyszła z kąpeli. W tamtych czasach w Väster nie było prysznicza, a kąpiel brano raz w tygodniu. Rodzice robili to zawsze w sobotni wieczór po tym, jak Valdemar położył się spać.

Lekko wstawiony ojciec przy kuchennym stole, jego gadka o niebieskim zmierzchu i smutku po kobiecie, nagość matki, jej kasztanowy wzgórek łonowy i uderzenie w kark – długo później myślał, że gdyby tylko udało mu się zinterpretować tę przedziwną scenę ze swojego dzieciństwa, dużo lepiej poradziłby sobie ze swoim życiem.

A teraz, teraz kiedy siedział tu przed swoją na razie zaryglowaną chatą w obcym lesie, od tamtego wydarzenia w kuchni minęło pół wieku. Co się stało z tymi wszystkimi latami?

Pracę kończył zazwyczaj o wpół do piątej – zdarzało się, że zostawał po godzinach, ale rzadko i nigdy dłużej niż jakąś godzinę lub dwie.

W pierwszych dniach wyjeżdżał z Lograny o tej samej porze. Za każdym razem z małą tęsknotą w sercu, ale dawał

sobie z tym radę. Wiedział przecież, że wróci tu następnego ranka.

W piątek dwudziestego dziewiątego sierpnia było inaczej. Z trudną do zignorowania gulą w gardle wsiadł do samochodu i zostawił Logranę. Nadchodzący weekend wydawał się nieskończenie długi i przygnębiający. Nie mógł nie zadać sobie pytania, jak to będzie wyglądało w przyszłości.

Może nigdy nie będzie mógł tu przenocować? Obudzić się o świcie przy śpiewie ptaków, zapalić w piecu i zaparzyć porannej kawy?

No tak, co ma być, to będzie, pomyślał.

Trzeba umieć trochę odsuwać sprawy w przyszłość, nie wszystkie decyzje muszą być podjęte tu i teraz; i w poniedziałek pierwszego września, zaraz po godzinie dziewiątej rano, Ante Valdemar Roos pierwszy raz wkładał klucz do zamka i stawał się właścicielem Lograny.

8

W tygodniu, który minął, odkąd podpisał dokumenty i został właścicielem Lograny, nie spadła ani jedna kropla deszczu, a i ten poniedziałek oferował wspaniałą pogodę. Bezchmurne niebo. Po odebraniu kluczy od Espena Lunda, siedząc w samochodzie i przemierzając całkiem teraz znane czterdzieści kilometrów na zachód, zaczęła śpiewać.

Wyglądało na to, że „Takie jest życie” przyczepiło się do niego na dobre i oczywiście nie było to takie dziwne, zważywszy na okoliczności. Przypomniawszy sobie, jak stryj Leopold tłumaczył mu pewnego razu – będąc przypuszczalnie na bani, kiedy Valdemar mógł mieć najwyżej dziewięć, góra dziesięć lat – że życie, wbrew temu, co wielu sądzi, nie toczy się cały czas. Kilka godzin w tygodniu, na tyle można

było liczyć, w sumie czternaście dni w roku; pozostały czas – to szare, wlokące się bez końca pieprzone skaranie boskie – było czymś zupełnie innym. Jak wystygły kleik w oczekiwaniu na kawę albo upierdliwe zatwardzenie.

– Chodzi o to – podkreślił, dźgając klatkę Valdemara żółtym od papierosów palcem wskazującym – chodzi o to, by nie przegapić tej chwili. Nadażać, kiedy życie naprawdę nabiera tempa. W przeciwnym razie liżemy cukierek przez szybę.

Do licha ciężkiego.

Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otworzył. Widocznie przez lata trochę opadły, wbiły się w środku w deski podłogowe, więc musiał podważyć je barkiem i porządnie docisnąć. Trudno było, rzecz jasna, spodziewać się czegoś innego.

Ale poza tym wszystko wyglądało w porządku. Mały przedsiónek, kuchnia, pokój. To wszystko. Szerokie, pomalowane na szaro deski podłogowe. Kilka chodniczków. Jasnobrązowe ściany. Kuchnia węglowa w kuchni, a oprócz tego dwie elektryczne płyty. Mała lodówka, stół z dwoma taboretami, zlew z zawieszoną nad nim szafką. W pokoju, do którego zaglądał już wcześniej z zewnątrz, był kominek, stół, trzy krzesła z wysokim oparciem i jedno wiklinowe oraz kredens, a nad nim przymocowana do ściany półka na książki.

Na ścianach oprócz lustra wisały dwa małe obrazki, na oko oryginalne oleje, dwa krajobrazy. Zimowa łąka z zajęcem, plaża z sitowiem i pasące się krowy. W kuchni stał zegar, który zatrzymał się na za kwadrans czwarta, wisiął też kalendarz warsztatu samochodowego Sigges & Bennys z 1983 roku i haftowana makatka z mottem „Powinno się żyć dla innych”.

Umowa sprzedaży obejmowała całe mienie ruchome. Wdowa Lindblom nie była zainteresowana przyjazdem do Lograny i zabieraniem rzeczy.

Cóż, pomyślał Valdemar i rozejrzał się dookoła. Czegóż więcej trzeba?

Wypróbował wiklinowe krzesło. Trzeszczało.

Wypróbował łóżko. Nie wydawało dźwięków, chociaż było trochę nierówne.

Podciągnął rolety i otworzył okno, żeby wywietrzyć. Rolety chodziły trochę ciężko – zarówno w kuchni, jak i w pokoju. Wciągnął powietrze nosem i stwierdził, że trochę czuć stęchlizną. Żadnej pleśni ani szcurzych odchodów. Otworzył drzwi, żeby zrobić przeciąg.

Usiadł przy kuchennym stole, odkręcił zakrętkę termosu i nalał sobie kawy.

Nigdy nie będzie lepiej.

Poczuł, że zbiera mu się na płacz, ale przeszło mu, kiedy wziął gryza kanapki z żółtym serem.

Przez resztę dnia zajmował się praktycznymi rzeczami. Przejrzał cały domowy sprzęt. W szufladach i szafkach kuchennych oraz w komodzie w pokoju znalazł większość rzeczy, których mógłby potrzebować: talerze, szklanki, sztuce, garnki i patelnię; prześcieradła, koce, poduszki. Obwąchał wszystkie tekstylia – oczywiście wymagały przewietrzenia, ale niczego więcej. Poza tym nie miał przecież zamiaru tu nocować, chociaż byłoby miło również w ciągu dnia rozprostować się przez chwilę na łóżku.

Kiedy jednak pojawiła się myśl, że nie spędzi tu żadnej nocy, znowu posmutniał i zrozumiał, że musi rozwiązać ten problem. Najlepiej w miarę szybko.

Noc bowiem jest matką dnia.

Prąd nie był jeszcze podłączony, ale we wtorek miał przyjść fachowiec i się tym zająć. To również załatwił Espen; nie dlatego że należało to do jego obowiązków, ale dlatego że był równym gościem. Valdemar zastanowił się przez chwilę, czy nie spróbować rozpalić pod kuchnią, ale postanowił poczekać z tym kilka dni. Zdawał sobie sprawę, że po tylu latach w kominie mogą być ptasie gniazda i Bóg wie co jeszcze.

Tego pierwszego dnia nie poszedł do lasu, ale po lunchu pozwolił sobie na swoją zwyczajową drzemkę w słońcu. Kiedy się obudził kwadrans po pierwszej, poczuł, że trochę bołą go plecy i zdecydował, że kupi wygodniejszy leżak. Dołączył go do listy zakupów, którą zaczął sporządzać, a ponieważ nabierało się trochę rzeczy do kupienia, wyjechał z Lograny nieco wcześniej niż zwykle, by zdążyć załatwić chociaż część sprawunków, zanim będzie musiał wracać do domu, do Alice i córek.

Może daruję sobie dzisiaj leżak – trudno będzie go zmieścić w samochodzie, ale kilka siatek z innymi artykułami pierwszej potrzeby mógł zostawić na noc w bagażniku. Alice miała swój samochód, nie było więc ryzyka, że go nakryje.

Żadnego ryzyka.

Elektryk przyszedł we wtorek przed południem. Ponury, długowłose, młody człowiek, który podłubał przez chwilę w skrzynce z bezpiecznikami, wziął pieniądze i odjechał. Valdemar sprawdził w kuchni i pokoju, czy można zapalić lampy i czy działają płyty elektryczne. Włączył lodówkę, która obudziła się, wydając z siebie zaskakujący pomruk, ale wszystko wskazywało na to, że ma się dobrze.

Potem zabrał się za pompę. Już w minionym tygodniu próbował wypompować wodę, ale bez powodzenia. Przypomniał sobie, że słyszał gdzieś, że by rozruszać tego typu stary mechanizm, trzeba nalać wody z góry, i tak też zrobił. Ostrożnie wlał wodę z wiadra, które napełnił na stacji benzynowej Statoil w Rimmingebäck i już po kilku litrach usłyszał, że tam na dole coś się dzieje. Jakiś inny, głębszy dźwięk. Po dwudziestu czy trzydziestu machnięciach pompą pojawiły się pierwsze krople. Po chwili lał się strumień. Na początku woda była brązowoczarna, ale szybko zrobiła się jasnobraza, potem szarżółta, aż w końcu czysta i przejrzysta. Prawą dłonią cały czas pompował, a lewą stulił na kształt miseczki, nabrał wody i jej spróbował.

Ziemia i żelazo, stwierdził. Może jeszcze jakieś inne minerały. Smakowała inaczej niż woda miejska, ale przede wszystkim miała smak. Nie była zła. Zimna i czysta.

Wziął kilka dużych łyków.

Bez wątpienia, pomyślał, to woda, która gasi pragnienie.

Poczuł, że ta myśl coś w nim poruszyła, jakąś strunę, która zaczęła wibrować, tak nisko i czysto, iż zrozumiał, że dotyka samej istoty życia.

Wziął dwa zakupione wiadra, napełnił je i zaniósł do kuchni.

Taak, pomyślał. Czas zabrać się za piec.

Trochę to trwało, choć nie jakoś szczególnie długo; obawiał się, że będzie musiał wejść na dach – w szopie stała drabina nadająca się do użytku – ale okazało się, że nie jest to konieczne. Kiedy podpalił pierwsze strony gazety, w przewodzie kominowym nie dało się zauważyć ciągu, ale po tym, jak za pomocą kija od miotły wydobył duży zbitek czegoś niezidentyfikowanego – przypuszczalnie stare, porzucone gniazdo os – zrobił się prześwit i po chwili porządnie się paliło zarówno w kuchennym piecu, jak i w kominku w pokoju. Zmył z siebie sadzę, brudną wodę wylał przez okno i kiedy stał na podwórku, obserwując wydobywający się z komina i rozchodzący się w jasnym, jesiennym słońcu dym, przypomniała mu się fajka ojca.

Pomyślał, że chciałby być fajczarzem. Właśnie teraz, w tej chwili, mógłby wyjąć z kieszeni spodni tytoń i fajkę, nabić ją i zapalić. Było coś w tych ostrożnych gestach, które wydawały się jakoś szczególnie prawdziwe, jakby wpisane w jego dłonie, a przez to pozostające w harmonii z czymś życiowo ważnym i równocześnie tajemniczym.

Nie wiedział, skąd mu się wzięły te myśli, ale postanowił, że jeśli będą wracać, to zacznie palić fajkę. Oczywiście nigdy nie jest za późno, żeby zacząć delektować się tytoniem; wręcz przeciwnie, jeśli rozpocznie się w tak zaawansowanym

wieku, ryzyko, że dotkną nas szeroko dyskutowane skutki palenia, jest znacznie mniejsze. Właściwie nie ma ryzyka.

Ante Valdemar Roos w młodości wypalił, rzecz jasna, kilka papierosów, ale nigdy na serio.

Tak samo było z piciem. Upijanie się nigdy go nie bawiło. To, że ostatnimi czasy udało mu się wlać w siebie trochę za dużo na tym beznadziejnym przyjęciu u Hummelbergów, naprawdę było odosobnionym przypadkiem.

Cóż, jest jak jest, pomyślał, stojąc w trawie i obserwując, jak rozrzedzone spirale dymu wzbijają się w kierunku wyższych warstw powietrza. Wiele rzeczy w moim życiu nie było na serio.

Szkoda. Miało być inaczej.

W środę nie przygotował sobie drugiego śniadania. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, udawał co prawda, że je robi, w kuchni na Fanjunkargatan, ale jak tylko Alice i córki wyszły z domu, dał sobie z tym spokój. Mimo wszystko wziął tę co zawsze torbę, ale napełnił ją dopiero w małym sklepie ICA w Rimmersdal. Kupił kawę, masło, chleb i coś do chleba. Oprócz tego opakowanie jajek, sól, pieprz i trochę owoców. Kiedy płacił i dziękował sympatycznej kasjerce, wydawało mu się, że w jej ciepłym uśmiechu zobaczył pewnego rodzaju porozumienie.

Jakby chciała powiedzieć: „Tu siedzę ja, tam stoisz ty. Widzę po tobie, że czeka cię dobry dzień, zapraszam ponownie, tak, jutro też tu będę. I we wszystkie inne dni”.

Chyba była w wieku Alice, ale całkiem od niej inna. Może była imigrantką. Miała ciemne, półdługie włosy i brązowe, lekko rozbiegane oczy.

Następnym razem, jak będę robił zakupy, porozmawiam z nią trochę, postanowił Ante Valdemar Roos. Nie za długo, powiem coś na temat pogody albo miasteczka Rimmersdal. Może zapytam, czy dobrze się tu mieszka.

A pan? – spyta ona. – Dopiero pan się tu wprowadził, tak?

Mam swoje miejsce kawałek stąd – mógłby wtedy odpowiedzieć. – Ale wy macie tutaj dobry sklep, chyba będę tu częstym gościem.

Uśmiechnęłaby się do niego i powiedziała, że zawsze jest tu mile widziany. Zawsze – w tym mógłby być jakiś podtekst.

W Rimmersdal kupił też krzyżówkę i po południu, leżąc na łóżku, rozwiązywał ją. Pierwszy raz od wielu tygodni niebo było zachmurzone i tuż przed wpół do pierwszej spadły pierwsze krople deszczu. Rano spacerował godzinę po lesie, więc mógł sobie pozwolić na trochę odpoczynku. Kiedy tak leżał i próbował rozwiązać szaradziarskie zawilości, ogarnęło go rzadkie i przyjemne uczucie. Nie był maniakiem krzyżówek, ale z drugiej strony całkowicie zielony też nie był. Od czasu do czasu – tak jak Nilsson i Tapanen – dawał się wciągnąć i pomagał Red Cow, kiedy pasła się czymś na stołówce we Wrigmans.

Ale nigdy samemu Wrigmanowi, a ten nie był człowiekiem słowa, pisał z błędami, a słownictwo, którego używał na co dzień, pozostawiało wiele do życzenia. Zresztą Red Cow w ostatnich latach coraz bardziej przerzuciała się na horoskopy i rzadko potrzebowała jakiejś pomocy.

Jakie to było odległe. Jakie dalekie i obce. Teraźniejszość natomiast była tak przyjemnie obecna.

Leżę tu, w mojej chacie, i rozwiązuję krzyżówkę, pomyślał Ante Valdemar Roos. W środku jasnego popołudnia, w roku moich sześćdziesiątych urodzin. Za chwilę utnę sobie drzemkę, potem napalę w piecu i zaparzę kawę.

Nie muszę wracać wcześniej niż za cztery godziny.

Jutro kupię dwie nowe poduszki i koc, stwierdził. Może małe radyjko. Gdybym je miał, mógłbym posłuchać *Echa dnia*.

Przez chwilę rozmyślał o tych różnych czasach – o tym, który ciągłe mijał, i o tym, który mógł się zatrzymać i dać

człowiekowi chwilę wytchnienia, a także o słowach stryja Leopolda – ale zanim zdążył się w tych rozważaniach pograć, zasnął i zaczął śnić o Jeziorze Bodeńskim.

To mu się zdarzało. Od czasu do czasu, niezbyt często; może cztery czy pięć razy w roku. Z czasem oczywiście coraz rzadziej, odstępy były coraz dłuższe; gdy wspomnienie było jeszcze świeże, obrazy i sny powracały znacznie częściej niż obecnie.

Wydarzyło się to latem 1999 roku, byli małżeństwem od dwóch lat i Hummelbergowie zajęli się dziewczynkami. Valdemar i Alice pojechali samochodem do Bawarii, planowali też kilka wypadów do Szwajcarii i Austrii. Poszli na żywioł i niczego wcześniej nie rezerwowali; to miała być romantyczna przygoda, w każdym razie taki był pomysł Alice. Tydzień, dziesięć dni, jeśli będzie trzeba. Hummelbergowie się zgodzili.

Zatrzymali się w małym hotelu w Lindau, po południu snuli się po malowniczym mieście, a wieczorem zjedli dobrą kolację w drogiej restauracji z widokiem na jezioro i piękne szwajcarskie góry po jego drugiej stronie. Alice była bez wątpienia najmłodszą kobietą w lokalu; nie wiedzieli, że Lindau to najwyraźniej mekka emerytów. Teraz to zauważyli.

Coś poszło nie tak. Może Alice wypięła trochę za dużo – do każdego z siedmiu dań podawane było nowe wino. Z pewnością siedzieli, jedli i pili ze trzy godziny, a kiedy wyszli na brukowy deptak ciągnący się wzdłuż plaży, nad jeziorem żeglował okazały księżyc w pełni. Valdemar pomyślał, że wszystko wygląda jak dość kiczowaty landszaft, ale tego nie powiedział, a Alice natychmiast wpadła w swoisty romantyczny trans. Namiętnie go pocałowała i zaproponowała, żeby się kochali nad brzegiem jeziora. Zrobili to już kiedyś na wyspie Samos i było to szczególne wydarzenie, godne zapamiętania.

Teraz Valdemar nie uważał, żeby to był dobry pomysł. Co prawda miejsce wyglądało na wyludnione; większość

emerytów legła już chyba w łóżku, a gdzieś rosną maskujące krzaki, ale mimo wszystko. Była pewna różnica między grecką plażą na odludziu a Jeziorem Bodeńskim. Może tutaj jest to nawet karalne.

Przedstawił swoje stanowisko, nie będąc przy tym obcesowym, ale Alice wzięła to błędnie do siebie. Zaczęła szlochać, stwierdziła, że on już jej nie kocha, że jest żoną nieromantycznego osła i impotentą oraz że nie chce już dłużej żyć. Dlatego zdjęła z siebie wszystkie ubrania z wyjątkiem majtek i stanika, ułożyła je ładnie na kamieniu i rzuciła się do wody.

Valdemar uszczyplnął się najpierw w skrzydełko nosa, żeby się upewnić, czy to czasem nie sen. Nauczył się tego jako mały chłopiec od stryja Leopolda. „Zwykłe głupki szczypią się w ramię i sądzą, że to ich obudzi, my, wybierający skrzydełko nosa, paznokcie kciuka i palec wskazujący, my wiemy na pewno. Żaden skurczybyk nie będzie spał po takim uszczyplnięciu”.

Nie śnił. Stał na brzegu Jeziora Bodeńskiego i patrzył, jak jego słusznych gabarytów żona pływa w jeziorze oświetlonym księżycem. Spokojnie i ze świadomością celu, przynajmniej tak to wyglądało, energiczną żabką. Próbował zdecydować, co właściwie czuje, i doszedł do wniosku, że jest kompletnie skonfundowany.

Co powinien zrobić?

Czego ona od niego oczekuje?

Czy w tej sytuacji jest jakieś dobre wyjście?

Kiedy tak stał i snuł swe rozważania, Alice zdążyła odpłynąć spory kawałek.

W każdym razie jest za późno, żeby za nią płynąć, pomyślał Valdemar. Gdyby chciał ją nakłonić do powrotu, musiałby solidnie podnieść głos, by w ogóle go usłyszała – a krzyczący mężczyzna na plaży, tylko jakieś trzydzieści metrów od najbliższej restauracji, w której, jak widział, ciągle siedzą goście, cóż, bez wątplenia wzbudziłby zainteresowanie.

Postanowił wrócić do hotelu. Wydawało się, że to najrozsądniejsze rozwiązanie, przynajmniej jeśli chodziło o niego. Mimo to nie chciał tak bezceremonialnie zostawiać swojej żony na pastwę losu; czuł, że zanim sobie pójdzie, musi jej o tym powiedzieć.

Pomyślał przez krótką chwilę, po czym złożył ręce wokół ust i krzyknął z całej siły:

– Alice, muszę iść do toalety! Wrócę za chwilę, żeby sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku!

Nie był w pokoju dłużej niż dziesięć minut, kiedy się pojawiła. Ubrała się, ale wcześniej się nie wytarła i woda przesiąkła przez spódnice i bluzkę. Włosy zwisały ulizane i smutne jak wypłukane glony, a jasne mokasyny zrobiły się gliniaste. Brodawki jej ciężkich piersi prześwitywały przez stanik i materiał bluzki i wydawały się świdrować go wzrokiem jak dwa wściekłe kotlety mielone. Valdemar stwierdził, że jego żona naprawdę wygląda jak topielec.

Stała na rozstawionych nogach na środku pokoju i patrzyła na niego chmurnym wzrokiem; tusz spłynął, ale nie do końca: prawe oko wyglądało jak podbite, a w lewym odkleiła się sztuczna rzęsa. Generalnie wyglądała na nie zrównoważoną.

Potem kopnięciem zdjęła buty, rzuciła się brzuchem na łóżko i zaczęła szlochać.

Valdemar zawahał się na kilka sekund.

– Dobrze już, dobrze – powiedział, gładząc ją uspokajająco po plecach. – Teraz rozegramy partyjkę w kości i nie będziemy już więcej o tym myśleć.

To ją uciszyło. Podniosła się na łokciach, popatrzyła na niego swoimi zezowatymi oczami z miną, której nigdy wcześniej nie widział, i zaciśniętą pięścią prosto w nos.

Zaczął krwawić jak zarzynana świnia. Był zmuszony zatamować krwotok poszewką, ponieważ Alice natychmiast po zadaniu ciosu wybiegła i zabarykadowała się w łazience

– a kiedy wszystko po chwili się uspokoiło, Ante Valdemar Roos pomyślał, że ich pokój wygląda, jakby kogoś w nim zamordowano.

Tak było w rzeczywistości. Kiedy Valdemarowi śnił się tamten pamiętny wieczór, scenariusz wyglądał różnie.

Czasami rzucał się za swoją żoną do wody. Niekiedy pomagali mu przechodzący turyści, którzy zawsze okazywali się być starymi nieprzyjaciółmi albo kumplami z wojska, a raz był to jego nauczyciel z liceum Bungeläroverket sprzed czterdziestu lat. Kiedyś śniło mu się, że biegł za Alice dookoła Jeziora Bodeńskiego i dogonił ją dopiero po szwajcarskiej stronie.

Ale niezależnie od scenariusza jedna rzecz była zawsze niezmienna.

Sen nigdy nie kończył się dobrze. Czego by nie robił, prędzej czy później następowała ta chwila, kiedy zdziała go pięścią, a jego nos rozsadzała krew.

W tym momencie zazwyczaj się budził, ale dzisiaj prze-rwało sen, kiedy był jeszcze na plaży. Z jakiejś przyczyny to on się tym razem rozebrał; nagi brodził po kolana w zimnym Jeziorze Bodeńskim i gapił się w górę, na wyjątkowo duży księżyc, a ten uśmiechał się do niego zatroskany, z małą rezerwą, i to wtedy zadzwoniła jego komórka.

To była Wilma.

– Jesteś w pracy? – zapytała.

Valdemar rozejrzał się po pokoju. Usiadł na brzegu łóżka i ziewnął.

– Oczywiście – odparł. – A gdzie miałbym być?

Spojrzał na zegarek. Było wpół do trzeciej, więc się zgadzało. Gdzie miałbym być, jeśli nie w pracy?

– Co chciałaś? – zapytał.

Rzadko się zdarzało, żebyby któraś z nich – żona albo córki – dzwoniła, kiedy był w pracy, ale jeśli już, to zawsze na jego komórkę. Nie podejrzewał, żeby Alice miała wpisany albo

w jakiś sposób zapamiętany w komórce numer do fabryki, a Wilma i Signe prawdopodobnie nie pamiętały nawet, gdzie pracował. Właśnie teraz należało dziękować, że tak jest. Westchnął zadowolony.

– Śpię dzisiaj u Malin – wyjaśniła Wilma.

– Najlepiej porozmawiaj z mamą – powiedział Valdemar.

– Nie mogę jej złapać.

– Próbuj do skutku.

– Nie da rady – oznajmiła Wilma.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że za kwadrans kończymy i przyjedzie po nas tata Malin.

– Dzwonisz w trakcie lekcji? – zapytał zdziwiony Valdemar.

– Mamy zastępstwo – wyjaśniła Wilma. – Zaraz rozładuje mi się bateria. To jak, powiesz mamie, że nocuję u Malin?

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyś...?

– Nie bądź taki cholernie uparty – powiedziała Wilma. – Nie mogę dłużej rozmawiać, cześć.

Ante Valdemar Roos schował komórkę, wstał i podszedł do okna. Przetarł oczy.

Na zewnątrz stały dwie sarny. Przestało padać i zza chmur zaczęło przebijać się słońce.

Boże drogi, pomyślał i uszczypnął się w skrzydełko nosa. Nigdy nie pozwól mi tego stracić.

9

Minął tydzień, zanim ruszyła w drogę, i właściwie nie rozumiała, dlaczego aż tyle.

Z drugiej strony nie było pośpiechu, skoro decyzja już zapadła. Najpierw musiała porządnie wypocząć, wykurować przeziębienie i zebrać się na odwagę.

Może myślała także o zbadaniu sprawy z Marią, Turid i Wolnością, ale nic z tego nie wyszło. Rozeszło się po kościołach. Sonja nie wróciła do tematu ani w rozmowie z Anną, ani na forum grupy, więc kimkolwiek był winny, uszło mu na sucho.

Jeśli to naprawdę była któraś z dziewcząt, a Annie trudno było w to uwierzyć. Kto inny jednak mógł to zrobić? Tak czy owak, sprawa przeszła do historii; pora to samo zrobić z Elvafors.

Było jej odrobinę przykro, że nie może zabrać wszystkiego.

Do ośrodka przywiozła ją mama samochodem; opuściła go na własnych nogach. Plecak i gitara – więcej nie udźwignie. W piątek późno wieczorem, kiedy wszyscy już spali, pakowała się i próbowała wyselekcjonować niepotrzebne rzeczy albo takie, do których nie była zbyt przywiązana.

Problem polegał na tym, że nie miała żadnego planu. Nie mogła ocenić, co jej będzie potrzebne, a tak naprawdę nie chciała niczego zostawiać. Szkoda jej było nawet starych kaloszy, za dużych i zbyt nieporęcznych, żeby je ze sobą brać. Książek też trudno się było pozbywać, nawet jeśli przeczytała je raz czy dwa i z pewnością będzie je mogła kupić, jeśli w przyszłości zechce do nich wrócić.

W końcu była gotowa. Ugięła się pod ciężarem plecaka, ale była w stanie go unieść. Sześć książek, kurtka, kalosze i dwie grube, brzydkie bluzy zostały w Elvafors. To wszystko, co po niej zostanie, kiedy jutro rano Sonja albo ktoś inny zajrzy do jej pokoju, by sprawdzić, dlaczego nie zeszła na śniadanie.

Nikomui nie powiedziała, że ma zamiar uciec, ale wydawało jej się, że Maria mimo wszystko się domyśliła. W każdym razie nie powinna być zdziwiona. Po południu siedziały nad jeziorem, paliły i rozmawiały dobrą chwilę. Maria nie mówiła wiele ani na temat niewypowiedzianych oskarżeń o podpalenie, ani na żaden inny temat. Czuła, że pozostałe

dziewczyny, nie tylko Turid, są przeciwko niej. Zawsze tak było, jak twierdziła. Odkąd poszła do gimnazjum i nie potrafiła zaprzyjaźnić się z dziewczynami z nowej klasy. Mimo iż niczego bardziej nie pragnęła, jak mieć przyjaciółkę od serca.

Było jak było. Wśród chłopców zawsze cieszyła się popularnością i dlatego się z nimi zadawała. Nauczyła się palić, pić i jarać hasz. Dowiedziała się, czego od niej chcą. Jej łagodnej, ładnej buzi, jej uległości, jej cipki. Dziewictwo straciła jesienią w drugiej klasie gimnazjum i zanim skończyła szkołę, spała z dziesięcioma różnymi chłopakami. Czy mężczyznami, bo najstarszy był po trzydziestce.

Anna nie miała żadnych problemów ze zrozumieniem, gdzie tkwi problem.

– Jesteś zbyt ładna i zbyt miła – powiedziała. – To bezna-
dziejna kombinacja.

– Lubisz mnie? – zapytała Maria, patrząc na nią pocziwie.

Może jeszcze trochę niemądra, pomyślała Anna i objęła Marię. I zbyt słaba, głównie to, całkiem słaba.

Ale gdzie, na miłość boską, takie dziewczyny jak Anna i Maria miały znaleźć siłę w takim świecie jak ten?

– Chciałabym, żebyś została moją przyjaciółką, tutaj w Elvafors – powiedziała Maria. – Jesteś najmiłsza ze wszystkich.

Ale tego, że będzie jej przyjaciółką, też nie mogła obiecać. Wydusiła tylko z siebie coś niewyraźnego i niezobowiązującego, a potem wróciły do domu, żeby zabrać się do gotowania.

Może mimo wszystko rozumiała.

Jeśli nie, zrozumie jutro.

To znaczy dzisiaj.

Nastawiła budzik na wpół do piątej, ale obudziła się trzy minuty przed czasem. Szybko się ubrała i po cichu zeszła po schodach ze swoim plecakiem i gitarą w miękkim, czarnym

pokrowcu. Nikt jej nie słyszał i za kwadrans piąta już stała na drodze. Zatrzymała się, poprawiła plecak, odwróciła się i spozjrzała na żółty budynek spowity rosą i poranną mgłą ciągnącą znad jeziora.

Zadygotała i, żeby się nie popłakać, kilka razy przełknęła ślinę.

Co ze mną będzie? Co ja, do cholery, robię? To się nie uda. Mimo to zaczęła iść.

W lewo. Na południe, a nie w kierunku Dalby. Wiedziała, że Göteborg nie leży dalej niż jakieś sto, sto pięćdziesiąt kilometrów i to przypuszczalnie, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć, zdecydowało o wyborze kierunku. W Göteborgu była tylko dwa razy, jako dziecko, za każdym razem w parku rozrywki Lisaberg. Bądź co bądź, to duże miasto z możliwościami.

Możliwości – nie ma sensu ich idealizować. Jeśli chciałyby się znowu stoczyć, to nie było do tego bardziej odpowiedniego miejsca niż duże miasto.

Tak właśnie wyglądała ta kwestia, ale tymczasem była jeszcze daleko od tego, co można by nazwać miastem. Brnęła drogą wijącą się przez gęsty las. Pod górkę, z górki, zakręć za zakrętem; świerki i sosny, niewiele prostych odcinków. Przez pół godziny nie minęła ani jednego domu, ani jednej polany.

Ani jeden samochód nie przejechał w żadnym kierunku. Przez głowę przebiegła jej myśl, dwie liniжки kawałka, nad którym ślęczała przez kilka wieczorów:

Young girl, dumb girl, dreaming in the grass
Sad girl, bad girl, wannabe a dead girl.

Szła w takt melodii. Czasami zamieniała *wannabe* na *gonnabe* – nie mogła zdecydować, co brzmi lepiej. Czy raczej gorzej. To był beznadziejny tekst; wiedziała o tym, ale melodia nie była taka znów najgorsza. Potrzebowała zająć głowę czymś

mechanicznym, by nie myśleć o tym, że jest już spocona i spragniona, chociaż było pochmurno i niespecjalnie ciepło.

No i zmęczona. Czym innym było bez ruchu stać w pokoju z plecakiem, a całkiem czym innym iść z nim na plecach. Paski wrzynały się w ramiona, a coś wystającego i twardego, najprawdopodobniej kosmetyczka, wbijało się w plecy przy każdym kroku.

Young girl, dumb girl... w portfelu miała sto dwadzieścia koron, a w paczce sześć papierosów. Dokładnie po godzinie usiadła na kamieniu na skraju drogi i zapaliła pierwszego. Zrzuciła z siebie plecak, a kiedy papieros się skończył, przeklęła w duchu, że nie wzięła ze sobą chociaż jednej butelki wody.

Jak mogłam być tak głupia?

Marzyła o coli i o... o dużym, miękkim łóżku, do którego mogłaby się wślizgnąć.

Moje życie nigdy takie nie będzie, pomyślała nagle. Nawet jeśli znowu będę spać w łóżku, będzie nierówne, z pościelą po innych ludziach, a puszka coli też będzie przez nich napoczęta.

Dom? – stwierdziła. Byłoby dobrze, gdyby to słowo miało jakieś znaczenie, jakąś głębię.

Do mieszkania, które zajmowała przez ostatnie pół roku, wrócił właściciel, a jej skromny dobytek umieszczono w magazynie; matka tego dopilnowała.

Chciałabym mieć do czego uciekać, pomyślała. Nie tylko przed czym.

Dokąd właściwie zmierzam? Spróbuję złapać stopa czy będę tak po prostu szła i szła, aż w końcu o zachodzie słońca uratuje mnie rycerz na białym koniu.

Albo zgarbie policja. Z rowu, nieprzytomną ze zmęczenia.

To wydawało się bardziej prawdopodobne. Zdawała sobie sprawę, że, tak czy owak, lepiej iść, niż siedzieć. Ruch trzymał w szachu płacz i rezygnację. Rymowanka także... *Sad girl, bad girl...* nawet otarcie barków i uderzenia

w siodłowato wygięty kręgosłup były pożyteczne, ponieważ odciągały myśli od rozpaczliwego położenia.

Od bagna litości – jak miała w zwyczaju mawiać matka. Jej matka wiedziała co nieco o życiu, co do tego nie było wątpliwości.

Zarzuciła plecak, chwyciła gitarę i poszła dalej.

Za godzinę będzie siódma, pomyślała. Wtedy na pewno dotrę do jakiejś stacji benzynowej albo kawiarni. Wtedy podejmę decyzję.

Tak się jednak nie stało.

Zaraz po tym, jak minęła opuszczoną zagrodę i poczuła na policzku zimniejszy powiew wiatru oraz kroplę deszczu, nadjechał pierwszy tego ranka samochód.

Jechał we właściwym kierunku, więc niewiele myśląc, podniosła rękę do góry. Nie za wysoko; nie był to prawdziwy gest autostopowiczki, raczej niezdecydowane machnięcie, bez wyrazu i determinacji.

Samochód okazał się być niebieskim volvo, niespecjalnie nowym, niespecjalnie starym. Za kierownicą siedział pięćdziesięcioletni mężczyzna. Kiedy przejeżdżał obok, zdążyła w przelocie zobaczyć jego twarz. Może był starszy. Nigdy nie umiała dobrze ocenić wieku.

Zatrzymał się przy samym poboczu, dziesięć metrów przed nią. Opuścił boczną szybę i wystawił głowę.

– A panienska dokąd?

Jej pierwszą myślą było, żeby go zignorować. Miał trochę nalaną twarz, ale nie był zapuszczony. Okulary, krótko obcięte włosy, koszula i skórzana marynarka. Wyglądał całkiem normalnie. Chociaż było coś w jego głosie i spojrzeniu. Kiedy podeszła do samochodu, zanim spojrzał jej prosto w oczy, zmierzył ją wzrokiem z góry do dołu, jakby oceniająco.

Najpierw trzeba patrzeć ludziom w oczy – mawiała jej matka. – Potem można patrzeć, gdzie się chce.

– Wskakuj, to cię kawalek podwiozę.

– Dziękuję, ale...

– Jadę tylko do Norrviken, ale nadrobisz prawie pięć kilometrów. To jak?

Wcisnął lekko pedał gazu i zrozumiała, że musi się zdecydować. To ona potrzebowała pomocy, nie on.

– Okej.

Obeszła samochód dookoła, otworzyła tylne drzwi i wsadziła plecak i gitarę. Leżała tam już stara i zniszczona brązowa torba. Pochylił się nad siedzeniem pasażera i otworzył jej drzwi. Wsiadła i zapięła pasy. Zanim wrzucił bieg i ruszył, przez chwilę siedział nieruchomo i obserwował ją z boku.

– Grasz?

– Co?

Wskazał na gitarę leżącą na tylnym siedzeniu.

– Na gitarze.

– Trochę. Uczę się.

– Kiedyś grałem w jednym zespole.

– Na czym?

– Na perkusji. Byłem perkusistą.

Palcami wystukiwał rytm na kierownicy.

– Jesteś z Elvafors, prawda?

– Elva... Dlaczego tak myślisz?

Zaśmiał się.

– Uciekłaś, tak? Nie tak trudno się domyślić. Muszę przyznać, że nie sądziłem, że tak wcześnie wstajecie. Dlaczego uciekłaś? Nie bój się, nie doniosę na ciebie.

Szybko pomyślała. Zrozumiała, że bez sensu było zaprzeczać. Wiedział, czym jest ośrodek w Elvafors, prawdopodobnie wszyscy w okolicy wiedzieli, nietrudno było wyciągnąć wnioski.

– Wracam do domu. To dobrowolne miejsce, które mi nie odpowiadało.

– A co panience odpowiada w takim razie?

Klepnął ją w udo dwa razy, a potem z powrotem położył rękę na kierownicy. Przeszły ją ciarki i zadała sobie pytanie, czy to się teraz stanie.

Najgorsze.

Nigdy jej się to nie przytrafiło. Sypiała z chłopakami, mimo że nie miała na to ochoty, oczywiście, ale nigdy nie była naprawdę zgwałcona. Te lekkie klepnięcia wywołały w niej dreszcze, a te sprawiły, że w środku niej wszystko się skurczyło. W każdym razie tak to czuła.

BNZP, pomyślała. Pierwsza zasada, jakiej nauczyła się od babki, która prowadziła w szkole pogadanki na temat samoobrony.

Bierz nogi za pas.

No tak, ale co robić, jeśli siedzi się w pędzącym samochodzie.

– Może chciałabyś trochę zarobić?

Powiedział to w całkowicie neutralny sposób. Niewinne pytanie, jakby chodziło o zmywanie w jakiejś kafejce. Albo o roznoszenie gazet.

Nie chodziło ani o jedno, ani o drugie – była tego całkiem pewna.

– Może się pan zatrzymać, chcę tutaj wysiąść.

Wydawał się jej nie słyszeć.

– Pięćset koron za pół godziny pracy, co ty na to?

– Nie, dziękuję. Czy może pan być tak miły i się zatrzymać?

– Mogę być miły, ale zatrzymam się, kiedy będę chciał. Taka dziewczyna jak ty pewnie już swoje przeszła?

Trochę przyspieszył. Wbiła paznokcie w dłoń i przygryzła wewnętrzną stronę policzka. Zdecydowała, że będzie cicho.

– Chodzi tylko o kilka fotek. Z tyłu jest aparat. Nie dotknę cię.

Rzuciła okiem na jego silne dłonie obejmujące kierownicę. Zrozumiała, że nie miałyby z nim szans. Był rosy, nie

gruby. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat; może mogłaby mu uciec, ale nie dać mu radę. Zostawić swoje rzeczy? Zapomnij, pomyślała. Zastanawiała się, czy to z aparatem jest prawdą. Mogło tak być? Że chce tylko zobaczyć ją nagą? Że należy do tych, którzy zadowalają się patrzeniem?

Wzięła głęboki wdech i spojrzała na niego z ukosa. Odpowiedział tym samym i uśmiechnął się szyderczo. Zauważyła, że ma dość równe i białe żęby. W każdym razie nie był żadnym obdartusem, to już wiedziała.

Tylko oblechem. Względnie dobrze sytuowanym oblechem. Może miał dziecko, które było starsze od niej. Żonę, dom i kochankę.

Sad girl, bad girl, pomyślała. Jak, do cholery, mogłaś być tak głupia i wsiąść do tego samochodu? Nie ma cię w Elvafors od niecałych dwóch godzin i już wpakowałaś się w tarapaty.

Ładnie się, kurwa, urządziłaś.

– Umowa stoi? – zapytał.

– Zatrzymaj się i mnie wypuść – powiedziała. – Rozpoznam cię i znam twoją rejestrację.

Mówiąc to, zdała sobie sprawę, że była to prawdopodobnie kolejna głupota. Jeśli naprawdę ją zgwałci, będzie musiał ją także zabić. *Gonnabe a dead girl* – nagle ten żaloszny fragment tekstu wydał się jak najbardziej wiarygodny.

– Wyluzuj – powiedział. – Chcę ci tylko zrobić kilka fotek. Dostaniesz pięćset koron, a na pewno ich potrzebujesz, prawda?

W każdym razie nie przestraszyła go. Z drugiej strony nie było widać, żeby miał zamiar się zatrzymać albo zmniejszyć prędkość. Siedział spokojnie z dłońmi na kierownicy, patrzył na drogę, od czasu do czasu rzucając na nią okiem.

– Mogę zobaczyć aparat? – zapytała po dłuższej chwili milczenia.

Odwrócił się i jedną ręką grzebał w brązowej torbie. Wyjął aparat z wymiennym obiektywem; wyglądał na dość stary,

a jednocześnie na profesjonalny. Może był prawdziwym fotografem. Podał jej go, zmniejszając równocześnie prędkość i skręcając w prawo, w leśną drogę nie szerszą niż na dwa koła, z pasem trawy pośrodku. Uświadomiła sobie, że przypuszczalnie mogłaby otworzyć drzwi i wyskoczyć, nie uszkadzając się zbyt. Pytanie, co on by wtedy zrobił. Jeśli pobiegnie w las, a on nie rzuci się za nią, straci plecak i gitarę.

W plecaku był portfel ze stu dwudziestoma koronami.

– Zatrzymaj się – powiedziała, nie wiedząc, który już raz, i tym razem posłuchał.

Nie przejechali więcej niż sto metrów, wjechał na małą polanę między czterema sosnami, wycofał i obrócił samochód, tak że znowu stał przodem do drogi. Próbowala otworzyć drzwi, ale nie dała rady; oczywiście centralny zamek, tego też nie przewidziała. Wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni, wyciągnął pięćset koron i położył je na desce rozdzielczej przed kierownicą.

– No dobrze, wyjdź i się rozbierz. Posiedzę tu i poczekam, a jak będziemy gotowi, to dostaniesz pieniądze. Dwa-dziesiąt minut, nie będziesz musiała pracować nawet pół godziny.

Zastanowiła się.

– Chcę żebyś najpierw wyjął z samochodu moje rzeczy – powiedziała. – Potem nie mam zamiaru przejechać z tobą ani metra więcej.

Skinął głową.

– Wystawię je, jak się będziesz rozbierać.

Nacisnął przycisk otwierający drzwi po jej stronie. Wyszła. Postawiła jedną nogę na ziemi, a potem podjęła decyzję, której po wszystkim nie mogła zrozumieć.

W dalszym ciągu miała na kolanach jego aparat. Zanim wyszła z samochodu, wzięła go w prawą rękę i udając, że chce mu go oddać, z całej siły uderzyła go w głowę.

Cios trafił pod kątem w jego prawą skroń. Usłyszała dźwięk gniecionych okularów i nagle uchodzącego z niego

powietrza. Niczym głębokie westchnienie – brzmiało złowieszczo i dziwnie. Osunął się na oparcie i boczną szybę, a potem zastygł z otwartymi ustami, z krwią spływającą z boku twarzy i dalej, wzdłuż skórzanej marynarki, na siedzenie. Dłonie, które trzymał przed sobą, na udach, lekko drgały.

Przez sekundę myślała, że sama zemdleje, ale wydostała się z samochodu, otworzyła tylne drzwi i wyjęła swoje rzeczy. Zarzuciła plecak, gitarę wzięła do ręki i zaczęła biec. Prosto przez las.

Nie było łatwo. Wiele razy potykała się o gałęzie i kępy traw, nie oglądając się za siebie. Serce waliło jak młotem, sapała z otwartymi ustami, ale nie zatrzymała się. Nie znalazła żadnej ścieżki, biegła jednak dalej, zataczając się, powłóczyła nogami, do chwili kiedy dłużej nie dała już rady. Osunęła się za głazem porośniętym mchem i czekała.

Tak czuje się zwierzę na polowaniu – przebiegło jej przez głowę – dokładnie tak to jest być zwierzyną.

Siedziała tak przez kilka minut.

Jak przyjdzie, to przyjdzie, pomyślała. Nie mam już siły. Ani kroku dalej. Jak się pojawi, to trudno. *Young girl, dumb girl.*

W końcu puls spadł poniżej setki, odważyła się ruszyć i wyrzec z za glazu. Sprawdziła, jak wygląda sytuacja od strony, z której przybiegła.

Widoczność nie była większa niż na jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów, ale nie widziała żywego ducha. Młode brzoźki, kamienie i gałęzie, niezbyt ładny las, tylko gdzieś tam jakiś wyższy świerk czy sosna. Może to stare wyrabisko. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Odgłosy lasu, prawie jak oddech, nic więcej.

To się nie mogło...? Chyba go nie...? Nie chciała do końca sformułować tej myśli, ale w końcu to zrobiła.

Nie mógł chyba umrzeć?

Znowu się osunęła, opierając się plecami o kamień, i poczuła, jak zalewa ją fala słabości. Pole widzenia zaczęło się

zawęzać, żółte plamy tańczyły po bokach i ponownie poczula, jakby za chwilę miała zemdleć. Albo wymiotować. Albo jedno i drugie.

A jeśli zabiła człowieka?

Pozbawiła go życia.

Żył tu na ziemi pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, każdego dnia i każdej godziny przez te wszystkie lata. Pech chciał, że natknął się na zbiegłą z Elvafors dziewczynę. Wziął ją do swojego samochodu, a teraz jest martwy.

Nie wiedziała, jak się nazywał. Może, koniec końców, chciał ją tylko sfotografować. Może w ogóle by jej nie dotknął, dokładnie tak jak obiecał.

I co, u licha, pomyśli sobie policja, kiedy go znajdzie? Co będą sobie wyobrażać jego żona i dzieci, jeśli je miał?

Jej myśli przerwał jakiś odgłos. Ruszający i odjeżdżający samochód. Boże, nie odeszła dalej? Wydawało się, jakby to było nie dalej niż pięćdziesiąt metrów. Biegła w kółko?

Ucichło. To musiał... to musiał chyba być on? Nie mogło być w pobliżu innego samochodu? Przez cały ranek nie widziała ani jednego auta oprócz tego volvo.

Zauważyła, że przestało padać. A może wcale porządnie nie zaczęło? Nie przypominała sobie, żeby miał włączone wycieraczki. A może miał?

Ja pierdole, siedzę i rozmyślam o wycieraczkach? Zdecydowanie nie jestem normalna.

Zanim obezwładnił ją płacz, zdążyła zapalić papierosa. Równocześnie spojrzała na zegarek – była punkt siódma.

Tak przecież postanowiła. Następny papieros i kolejne decyzje.

Chociaż plany były trochę inne. Zamiast na stacji benzynowej albo w kawiarni siedziała w stanie szoku za jakimś głazem w środku lasu i oto uniknęła gwałtu.

Właśnie udało jej się nie zostać mordercą.

Nie, pomyślała Anna Gambowska, mocno się zaciągając, nie zaczęło się dobrze. Wcale się dobrze nie zaczęło.

Chwilę później była w miejscu, gdzie zaparkował samochód. Już zniknął; tak jak sądziła, ocknął się i odjechał. Zakrwawiony i oszołomiony, ale mimo wszystko żywy. Bogu dzięki.

Kiedy się nad tym zastanowiła, musiała przyznać, że go rozumie. Czyż nie? Lepiej dać spokój, wycofać się z niebezpiecznej gry, niż szukać szurniętej dziewczyny z Elvafors, która najwyraźniej potrafiła być śmiertelnie niebezpieczna.

Potrząsnęła głową. Próbowała dowlec się z powrotem do drogi i dodać sobie otuchy.

Mimo wszystko, pomyślała z pewnego rodzaju desperackim optymizmem, mimo wszystko całkiem nieźle sobie poradziłam.

On dostał porządną nauczkę, a ja zachowałam moją godność. Tak trzeba spojrzeć na sprawę.

Nie zatrzymała się, kiedy znowu znalazła się na drodze. Poprawiła tylko plecak i ruszyła dalej, na południe. Albo na zachód. Rymowanka wróciła, jak tylko znalazła swój stary rytm, ale trochę ją zmieniła. A raczej sama się zmieniała; wyraźnie się czuło, że na ten moment ma dość śmierci i cierpienia.

Sad girl, bad girl, gonnabe a good girl.

Tak lepiej, zdecydowanie lepiej.

Ale zmęczenie czyhało; nie uszła daleko, nim zdała sobie sprawę, że musi porządnie odpocząć. Także napić się i coś zjeść, chociaż to głównie zmęczenie ciążyło jej jak ołów. Jeśli tylko będę się mogła przespać kilka godzin, to dam radę, pomyślała i wzniosła oczy ku górze. Znowu zaczęło się chmurzyć. Zaraz zacznie padać.

Schronienie, postanowiła. Muszę znaleźć schronienie. W każdym razie jakieś zadaszone miejsce; jeśli położę się i kimnę w lesie, dostanę zapalenia płuc, zanim się obudzę.

Doszła do bocznej wąskiej dróżki skręcającej w prawo. Na trochę odrapanym drogowskazie wystającym z rowu widniało Röd mossen. Właściwie nie wiedząc czemu, skręciła w nią.

10

Minął czwartek i piątek.

Potem był ciągnący się w nieskończoność koniec tygodnia – pasierbice zazwyczaj miały jakieś zmęczenie w oczach, kiedy używał tego określenia, chodziło przecież o weekend. Nigdy w swoim życiu nie uczestniczył w czymś tak okropnie rozwlekłym i banalnym.

Po sobotniej przedpołudniowej kawie i kilkakrotnym wyjaśnieniu, jak mu się udało rozdeptać okulary pod prysznicem, dzień podzielił się na trzy części.

Najpierw pojechali do domu towarowego Coop w Billundsbergu i zakupili najpotrzebniejsze rzeczy za około dwa tysiące koron. To zabrało trzy godziny. Potem wrócili do domu i zaczęli pichcić. Trwało to równie długo.

Następnie wzięli prysznic i doprowadzili się do ładu. Valdemar potrzebował kwadransa, Alice półtorej godziny. Valdemar zdążył jeszcze uciąć sobie dziesięciominutową drzemkę.

O siódmej usłyszeli dzwonek do drzwi; to przyszli Gunvor Sillanpää, dawna koleżanka Alice ze studiów, i jej partner, Åke Kvist.

Przez cztery godziny i czterdzieści pięć minut rozmawiali i pochłaniali przygotowane potrawy, a oprócz tego raczyli się szerokim wyborem wina i wódki. Dyskusja oscylowała między czterema głównymi tematami: strzelaniem do rzutek, programem telewizyjnym *Kto chce zostać mizantropem*,

zaburzeniami osobowości i podatkami. Kwadrans po pierwszej wszystko było już pozmywane i posprzątane. Valdemar miał zgagę, kiedy przewracał się na łóżku. Żadna z córek nie pojawiła się w domu od szesnastej. Potłukł się jeden kieliszek z nowego kompletu Kosta-Boda.

– Co sądzisz? – chciała wiedzieć Alice.

– O czym? – spytał Valdemar.

– O nim, oczywiście – odparła Alice.

Valdemar się zamyślił.

– Jest trochę za niski.

– Niski? – zapytała Alice i zapaliła nocną lampkę, którą dopiero co zgasiła. – Co masz na myśli, mówiąc, że jest za niski? Przecież wzrost nie ma znaczenia.

– Okej – powiedział Valdemar. – Masz rację. Jest w sam raz.

– Nie rozumiem cię – odparła Alice.

– Ciekawie było dowiedzieć się tyle o strzelaniu do rzutek – powiedział Valdemar. – Nie miałem pojęcia, że tyle osób to uprawia. A niski wzrost jest zaletą, kiedy...

Ucichł, ponieważ Alice oparła się na łokciu i obserwowała go z odległości dwudziestu centymetrów.

– Valdemar, sądzisz, że jesteś zabawny?

– Nie, próbuję jedynie...

– Bo ja tak nie uważam.

Odwróciła się do niego plecami i wyłączyła lampkę.

Jutro niedziela, pomyślał Ante Valdemar Roos. Muszę uważać na to, co mówię.

W niedzielę pojechali do Västra Ytterbodarna odwiedzić w szpitalu ojca Alice, Sigurda. To były jego osiemdziesiąte szóste urodziny, choć nie miał o tym pojęcia, tak jak o niczym innym. Nie poznał Valdemara ani Alice, ale Wilmę – którą do przyjazdu przekonała perspektywa dostania na urodziny (które miały być już za dwa tygodnie) iPoda (urządzenia do odtwarzania muzyki, z którym teraz wszyscy chodzili) – od razu zidentyfikował jako Katrinę z Karelen,

kobietę, w której w młodości był mocno zadurzony. To nie była matka Alice, która zmarła przed kilkoma laty, o nie, Katrina była dużo lepsza. Całkiem innego kalibru, głównie jeśli chodzi o łóżko, jak głośno wyjaśnił Sigurd jakieś trzydzieści razy w ciągu godziny, kiedy tam byli. Kilka razy próbował także złapać Wilmę za biust, ale jego niedołęstwo i dobitnie manifestowana niechęć Wilmy ostudziły jego zapędy.

– Nigdy więcej nie odwiedzę tego obleśnego starca – oznajmiła Wilma, kiedy wsiedli do samochodu.

– To twój dziadek – powiedziała Alice.

– Mam to w dupie! – krzyknęła Wilma. – To perwersyjny, stary idiota.

– Żal mi go – przyznała Alice.

– A mnie żal wszystkich z jego otoczenia – oznajmiła Wilma.

Podczas całej wizyty Valdemar prawie się nie odzywał i teraz też siedział cicho. Milczał przez całą trzystukilometrową drogę do domu.

Jestem na wewnętrznej emigracji, pomyślał.

Muszę znaleźć sposób, żeby wyrywać się także na kilka godzin w weekendy. Inaczej nie wytrzymam.

Zanim wieczorem położył się do łóżka, długo leżał w wannie i rozmyślał. Zamknął się na klucz, w świeczniku na ścianie zapalił świecę, której migoczący płomień rzucał ładne, tańczące cienie na włoskie kafelki, z których Alice była taka dumna, a jego myśli koncentrowały się głównie na zakupach.

Jutrzejszych zakupach. Na tym, że zatrzyma się w Rimmersdal i zrobi zakupy w ICA, gdzie pracuje ta miła kasjerka. Próbował stworzyć w głowie listę i ją zapamiętać: kawa, filtry, zaparacz, mleko, cukier, sól, czarny pieprz, chleb, herbatniki, sucharki, masło, ser żółty, owoce, parówki, jajka, jogurt, papier toaletowy... Byłoby idealnie, gdyby wystarczyło robić zakupy raz w tygodniu, w poniedziałkowe

poranki, a zapas starczał na pięć dni. Szóstym zmysłem mógł zobaczyć szereg krótkich rozmów z tamtą kasjerką o ciemnych oczach; nietrudno było wyobrazić sobie, jak ich kontakt się pogłębia, jak każde poniedziałkowe spotkanie jest czymś więcej niż tylko spotkaniem kasjerki i klienta... jak pewnego dnia opowie mu coś o swoim życiu, koniecznie coś przykrego – nie dziwota, skoro ma się takiego chama za męża – i Valdemar zapewni ją, że rozumie, że kiedyś też miał takie marne życie, ale że nic nie jest wieczne, że trzeba być cierpliwym i wkrótce, za jakiś rok albo może już za kilka miesięcy, zapyta ją, czy nie miałyby ochoty pojechać z nim i zobaczyć jego leśnej posiadłości. Na początku przez jakiś tydzień albo miesiąc będzie się wahać, ale w końcu powie, że chętnie, czemu nie, że ci, co nie ryzykują, nigdy nie wygrywają, a on się z nią zgodzi i powie, że właśnie tak w życiu jest. Ona wyjdzie ze swojego boksu i pójdzie z nim, on otworzy jej drzwi samochodu i pojedą razem do Lograny. Najpierw zupełnie oniemieje, potem dotknie dłońmi ust, a następnie jedną z nich położy na jego ramieniu i powie, że... że przez całe życie tęskniła za takim miejscem, jak to. Wtedy nie będzie się mógł dłużej powstrzymać i...

Obudziło go walenie w drzwi. Woda była zimna i uświadomił sobie, że leży tak i marzy już dłuższą chwilę.

Signe coś krzyczała, ale nie rozumiał co.

– Jestem na wewnętrznej emigracji! – krzyknął.

– Co?

Valdemar wstał i wyszedł z wanny.

– Powiedziałem, że będę gotowy za kilka minut.

– Muszę wejść!

– Jest druga toaleta, jeśli poprosisz mamę, to na pewno ci pokaże...

– Nie chcę do kibla, nie rozumiesz? Potrzebuję kilka rzeczy z szafki.

– Pięć minut – powiedział Valdemar.

– Cholera jasna – rzuciła Signe.

Słyszał, jak się oddala, wyciągnął korek z wanny i zaczął się wycierać. Zdmuchnął świeczkę, żeby nie widzieć w lustrze swojego bladego ciała.

Gatunek ludzki czułby się lepiej, gdyby był ślepy, pomyślał.

– Valdemar, jest jedna rzecz, o którą muszę cię spytać – powiedziała Alice, kiedy w końcu tego niedzielnego wieczoru położyli się do łóżka.

– Ach tak? – zdziwił się. – O co chodzi?

– Uważam, że się zmieniłeś. Stało się coś?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wszystko jest dokładnie tak jak zwykle.

– Dziewczynki też mówią, że cię nie poznają.

– Nie poznają mnie?

– Tak, Wilma właśnie tak powiedziała. Tak jakbyś coś ukrywał.

– Co miałbym, do jasnej cholery, ukrywać?

– To wiesz tylko ty.

– Alice, naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz.

Przez chwilę leżała cicho. Włożyła swoją szynę zębową, a potem ją wyjęła.

– Valdemar, nie rozmawiamy już ze sobą.

– Nigdy chyba tego nie robiliśmy.

– Uważasz, że to zabawne?

– Co?

– To, że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie rozumiem, dlaczego wygadujesz takie rzeczy. Na co to się zda?

– Na nic się nie zda. Podobnie jak wszystko, co mówię i co kiedykolwiek powiedziałem. Na nic to się zdało. Naprawdę nie ma sensu mówić o jakiegokolwiek zmianie.

Alice odwróciła głowę. Czul nadal jej spojrzenie, plamę ciepła na lewej skroni, i miał wrażenie, że trochę przesadził. Minęły dwie, może trzy minuty, żadne z nich nic nie mówiło; żeby zająć czymś mózg, zaczął w myślach analizować

listę zakupów: kawa, filtry, zaparacz, mleko, cukier, sól, czarny pieprz, chleb, herbatniki, sucharki, masło, żółty ser...

– Valdemar, wydaje mi się, że masz depresję – w końcu powiedziała Alice. – Naprawdę uważam, że dopadła cię klasyczna depresja.

Przerwał analizowanie listy sprawunków i zamyślił się. Może w sumie to nie taki zły pomysł.

– Tak – odparł. – Skoro tak mówisz... ostatnio jestem trochę nie w formie.

– Właśnie – powiedziała Alice. – To wyjaśnia sprawę. Od jutra zaczniesz brać leki.

Włożyła szynę zębowa i wyłączyła lampkę po swojej stronie. Valdemar sięgnął po książkę leżącą na nocnym stoliku, powieść rumuńskiego pisarza, którą czytał od dwóch miesięcy. Trochę było niejasne, o czym jest, a powód, dla którego kontynuował czytanie, był złożony: po części nie lubił odkładać do połowy przeczytanych książek, a po części w tekście pojawiały się zdania, które wydawały mu się wyjątkowo prawdziwe. Jakby pisarz w jakiś przedziwny sposób zwracał się bezpośrednio do niego i tylko do niego. Tego wieczoru nie zdążył przeczytać więcej niż pół strony, kiedy trafił na następujący fragment:

Jak por drążący twardą kość słoniową otaczającą wewnętrzne światło, wijący się por przypominający podziemny korytarz gryzonia; tunel może nagle ujrzeć światło, otworzyć się na nieśmiertelny ogień tam, w środku, chociaż w snach niespokojnie kręcimy się wokół Tajemnicy.

Jak można coś takiego wymyślić? – pomyślał Valdemar. I ubrać to w słowa?... „kość słoniową otaczającą wewnętrzne światło”, jak można wpaść na coś takiego?

Znalazł tę książkę w metalowym koszu w domu towarowym Åhléns na początku lata i dał za nią dwadzieścia dziewięć koron.

Czytał to zdanie trzy razy i próbował je zapamiętać, a potem natchnęło go i do listy zakupów dodał coś jeszcze: notatnik.

Każdego dnia spędzonego w Logranie będą pisał jedno zdanie. Będę ważył każde słowo i formułował prawdziwą myśl o życiu. Potem zapiszę ją z datą w notatniku, zwykłym notatniku w linie, z miękką, czarną okładką, takim, jaki na pewno można kupić w ICA w Rimmersdal.

Zadowolony z podjętej decyzji i z tego, że jak się obudzi, będzie już poniedziałek, odłożył na bok rumuńską lekturę, zgasił lampkę i zrobił, co w jego mocy, żeby zasnąć.

Ostatnim razem, kiedy otworzył oko i spojrzął na zegarek, była za pięć druga.

11

Alice nie zapomniała przez noc o zdiagnozowanej depresji. Zweryfikowała tylko plan leczenia.

– Chyba nie powinno się tak od razu zaczynać od leków – wyjaśniła, kiedy Valdemar usiadł za nakrytym do śniadania stołem i ukrył się za poranną gazetą. – Najpierw umówię cię do Faringera.

– To nie jest konieczne – oznajmił Valdemar.

– Jest konieczne – zripostowała Alice.

– Samo przejdzie – stwierdził Valdemar.

– Nie jesteś w stanie tego ocenić – powiedziała Alice.

– Co jest konieczne i czego nie można ocenić? – chciała wiedzieć Wilma. – Kim jest Faringer?

Valdemar spojrzął znad gazety, mrużąc oczy. Wilma brzmiała i wyglądała na nadzwyczajnie ożywioną jak na poniedziałkowy ranek. Należało do rzadkości, by o tej porze dnia w ogóle się odzywała.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, kochanie – rzekła Alice.
– Signe już wstała?

– Skąd mam wiedzieć? – odparła Wilma. – W każdym razie nie ma jej w pokoju.

– Jak to nie ma jej w pokoju? – zapytała Alice, wyciskając pasek kawioru na swoje jajko.

– Spała u Birgera Butta – odpowiedziała Wilma.

– Nie mów tak – powiedziała Alice. – Jak on się właściwie nazywa? Chyba ma normalne nazwisko?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekła Wilma. – Wszyscy tak go nazywają. Albo Birger Zgrabny Tyłek.

– Proszę cię – odparła Alice. – Jak tak można... Czemu?

– Jakiś czas temu wygrał konkurs na najzgrabniejszy tyłek w mieście. Chociaż na pewno przekupił dziewczyny z jury. Zapytaj Signe, jak wróci do domu, skoro cię to interesuje.

– Wilma! – skarciła ją Alice. – Wystarczy. Nie mamy ważniejszych tematów?

– Owszem, skończyły mi się pieniądze na karcie autobusowej – oznajmiła Wilma. – I potrzebuję pięć stówek na buty na wf. Muszę je kupić dzisiaj na długiej przerwie.

Ante Valdemar Roos złożył gazetę, dochodząc do wniosku, że doktor Faringer w jakiś sposób zszedł na dalszy plan.

Kwadrans później był w mieszkaniu sam. Z namaszczeniem smarował swoje kanapki – ponieważ Alice kupiła jakiś nowy ekochleb, na temat którego musiał się koniecznie wypowiedzieć – zapakował je i włożył razem z pustym termosem i bananem do swojej brązowej, skórzanej torby, tej samej, którą w 2002 roku dostał w prezencie gwiazdkowym od swoich pasierbic. Okleił okulary nową taśmą; musi je oddać do optyka, ale to może kilka dni poczekać. Zastanowił się, czy powinien zrobić listę zakupów, czy może zaufać swojej pamięci; zdecydował się na to drugie. Jeśli zapomni czegoś ważnego, zawsze może przecież zajrzeć do sklepu w pozostałe dni tygodnia i nie będzie to stracony czas.

Był ciekaw, jak ma na imię ta jego kasjerka. Może mógłby ją zapytać wprost, ale trudno przewidzieć, jak coś takiego zostanie odebrane. Prawdopodobnie najmądrzej będzie poczekać z tym jakiś czas.

Wyruszył w drogę prawie dziesięć minut wcześniej niż zwykle. Już idąc dziedzińcem w stronę samochodu, czuł, jak przepelnia go – zarówno ciało, jak i duszę, w taki poranek ciężko je było oddzielić – uczucie lekkości i radości. Próbował przypomnieć sobie tamte słowa... „tunel może nagle ujrzeć światło, otworzyć się na nieśmiertelny ogień tam w środku”... tak, to nie był głupi opis tego stanu. W samym środku jego wnętrza, w pokoju, który przez tak wiele lat stał zamknięty i zaryglowany, jakiś czas temu zaczęły się uchylać drzwi... na zapieczonych i zardzewiałych zawiasach, ale z konsekwencją i niezłomną odwagą, z której przez ten długi czas, wszystkie te dni i zaprzepaszczone lata, także nie było pożytku...

Z tymi dziwnymi myślami opadł za kierownicę i przypomniał sobie, że nawet jeśli zapomni kupić czegoś w Rimmersdal, to nie może przeoczyć czarnego notatnika. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego było to takie ważne, ale było.

Pewne myśli i sformułowania nie dają się po prostu ująć w jakiegokolwiek ramy, pomyślał, a właśnie takie słowa miał zamiar uchwycić i przygwoździć. Słowa wyrzucane przez jego nieśmiertelny ogień, ni mniej, ni więcej, żeby wylądować pomiędzy czarnymi, miękkimi okładkami.

Tak będzie, jeśli nie inaczej.

Życie nigdy nie będzie lepsze – to mogłyby być pierwsze zanotowane słowa, tekst na okładkę; może mógłby jeszcze dodać, że trzeba się zatrzymać i zwolnić kroku, bo jeśli się tego nie robi, przeoczy się to, co najpiękniejsze.

Spojrzał we wsteczne lustro i uśmiechnął się do siebie poważnie, ruszył i wycofał z parkingu. Całkiem opuścił boczną szybę i wyjechał na Regementsvägen. Ciągłe było późne lato, ciepły wiatr mierzwił mu włosy i z jakiejś

przyczyny w głowie zaświtała mu Lucy Jordan. Kim, do cholery, jest Lucy Jordan?

Szybko wpadła jednak z powrotem w anonimową studnię zapomnienia; kiedy skręcił w Rockstavågen, odnotował, że słońce właśnie wspięło się nad skraj lasu na wzgórzu pod Kymlinge i rozświetliło nowo położony, miedziany dach kościoła św. Jana. Ptaki szybowały nad polami, z których zebrano już zboże, młoda dziewczyna pedałowała poboczem, aż furkotała spódnica.

Nigdy nie będzie lepiej.

W ICA w Rimmersdal były aż dwa rodzaje czarnych notatników. Jeden formatu A4, drugi A5 – ta sama firma, takie same miękkie okładki; po chwili wahania wybrał mniejszy. Skromność jest cnotą. Już wchodząc do sklepu, zauważył, że jego kasjerka jest na miejscu; zobaczył ją, ale ona jego nie, siedziała bowiem odwrócona plecami i właśnie obsługiwała klienta.

Po dwudziestu minutach przechadzania się między półkami był gotowy. Sklep świecił pustkami, jedynie dwie starsze, przykurczone kobiety krążyły powoli i grawitacyjnie, jak dwa smutne ciała niebieskie, pomiędzy ciastkami migdałowymi, tanią kawą a filetemi śledzia.

Zwyczajni ludzie są oczywiście w pracy, pomyślał Valdemar. Teraz są te godziny, które należą do tych niezwykłych.

Ja jestem niezwykający, rozmyślał dalej Ante Valdemar Roos. Interesujący, ta myśl z pewnością przemknie przez jej głowę, kiedy mnie zauważy.

– Dzień dobry – powiedziała go z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Tak, to doprawdy dobry dzień.

Zaśmiała się i zaczęła kolejno zbliżać jego zakupy do czytelnika. Valdemar opróżniał koszyk, powoli i dostojnie; pilnował, by się za bardzo nie spieszyć i by utrzymywać

mniej więcej takie samo tempo. Jakby w gruncie rzeczy byli kolegami z pracy, uderzyło go. Jakby stali przy tej samej taśmie i wykonywali te same ruchy: dzień za dniem, przez wiele lat. To, że ludzie trochę się do siebie zbliżali w takich okolicznościach, wcale nie było znów takie dziwne. Dziewięć na dziesięć romansów zaczyna się w pracy, nie tak dawno czytał o tym w gazecie.

– To wszystko?

– Tak, dziękuję.

Przeliczając pieniądze, znowu się uśmiechnęła. Pokiwał przyjaźnie głową i wziął resztę. W przelocie dotknął jej dłoni, wydawała się ciepła i delikatna. Zaczął pakować zakupy do jednej z dwóch papierowych toreb; zawahała się przez sekundę, a potem wyszła z boksu i pomogła mu napełnić drugą. Nie było innych klientów.

– Dziękuję. Miło z pani strony.

– Muszę trochę rozprostować plecy – powiedziała z dość wyraźnym akcentem. – Siedzę całe dni, a to niezbyt zdrowe.

– Wiem coś o tym – przyznał. – Świeże powietrze i ruch, tego potrzeba ciału.

Mówiąc to, lekko się przeciągnął, a ona znowu się zaśmiała.

– Święta racja – odparła. – Powietrze i ruch...

Kiedy torby były pełne, ponownie skinął głową w jej kierunku.

– Ładny dzień.

Westchnęła i lekko wzruszyła ramionami.

– Tak. Wczoraj byłam na dworze i spacerowałam przez całe popołudnie. To taka piękna pora roku. Uwielbiam jesień, najbardziej.

– Ma pani całkowitą rację – zgodził się z nią Valdemar. – Jeśli o mnie chodzi, to jesień mogłaby trwać cały rok.

Jedna ze starszych pań zakończyła grawitację między półkami i zdążyła podejść do kasy; kasjerka wróciła, usiadła na swoim krześle i po raz ostatni uśmiechnęła się do Valdemara.

- Miłego dnia!
- Dziękuję, nawzajem!

Wyszedł ze sklepu, a w piersiach śpiewała mu Anita Lindblom. Jej głęboki, sensualny głos nie różnił się zbyt od głosu kasjerki; niesamowite, jak wszystko się łączy.

Nie, pomyślał Ante Valdemar Roos, to nie analogie są godne uwagi, tylko obserwator. Trzeba mieć otwarte zmysły i chłonąć nimi wszystkimi te informacje, które nas otaczają i bombardują w każdym momencie. Tak to wygląda.

Włożył siatki do bagażnika, wyjął notatnik i zapisał:

Rimmersdal, poniedziałek 8 września rano

Życie to obserwacja bombardujących nas w każdej chwili informacji.

Może słowa nie były całkiem odpowiednie i niezupełnie trafne, jak na to liczył, ale uchwycił chwilę i to było najważniejsze.

Z powrotem włożył notatnik do siatki i ruszył w kierunku Lograny.

Już kiedy wysiadał z samochodu, dopadło go przeczucie.

A może to nie było przeczucie, może mu się tylko tak wydawało. Chociaż kiedy szukał klucza w dachowej rynnie i odkrył, że go tam nie ma, to oczywiście był to znak, który nie sposób było błędnie zinterpretować.

Coś się stało.

Ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Czyżby w piątek zapomniał ich zamknąć? Był przekonany, że dla pewności sprawdzał to ze dwa razy, potem stanął na palcach i położył klucz po lewej stronie, pod okapem; to już zdążył być rytuał podczas tych niewielu dni, które spędził w chacie. Oczywiście nie pamiętał, czy w piątek też tak zrobił; niemożliwe było rozróżnienie jednego dnia od drugiego, ponieważ chodziło o te same mechaniczne czynności

– ale wydawało mu się całkowicie nieprawdopodobne, żeby mógł przeoczyć coś tak ważnego. Zwłaszcza że to był piątek i wiedział, że dom przez weekend będzie niedogładany.

Niedogładany? Jakby ktoś miał się przejmować chatą, która przez wiele lat stała opuszczona.

– Cholera, na pewno zamknąłem drzwi na klucz – mrużąc pod nosem, wszedł do kuchni. – Chyba zamknąłem.

Klucz leżał na kuchennym stole. Przytroczony do sznurówki z małym, drewnianym brelokiem, na którym ozdobnym, starym pismem było napisane Lograna.

Na środku stołu? Czy to możliwe, żebym tak po prostu go tu zostawił i zapomniał zamknąć drzwi?

Postawił siatki na podłodze i wszedł do pokoju.

Okno było uchylone, o komin stał oparty plecak. Na łóżku leżały jakieś ubrania i gitara.

Ktoś tu był.

Ktoś tu był. Co, u licha? – pomyślał Ante Valdemar Roos. O co... o co w tym wszystkim chodzi?

Przez chwilę zakręciło mu się w głowie i oparł się ręką o komin.

Był ciepły. Ktoś w nim napalił.

Odwrócił się. Na stole leżała odwrócona książka, notatnik i dwa ołówki.

Stała tam też filiżanka po kawie.

Kto? – pomyślał Valdemar. Dlaczego?

Buzowały w nim pytania, a zawroty głowy nie chciały całkiem minąć. Wysunął krzesło i usiadł. Odchylił głowę i oparł ją na założonych rękach, zamknął oczy, próbując się skoncentrować.

Ktoś tutaj był. Ktoś wtargnął do jego Lograny, zawłaszczyl ją, a teraz... właśnie, co? – pomyślał Ante Valdemar Roos. – O co w tym wszystkim, u diabła, chodzi? Co powinienem zrobić?

Kto?

I przede wszystkim: Gdzie? Gdzie on teraz jest?

Zawładnęło nim uczucie przypominające strach.

Wstał, wrócił do kuchni, potem do pokoju, wyglądał przez okna.

Gdzie jest intruz?

Kimkolwiek był, nie było go teraz w domu. Pewnie wyszedł coś szybko załatwić. Otwarta książka, filiżanka kawy, notatnik... Wszystko świadczyło o tym, że miał zamiar zaraz wrócić. Albo może...

Albo może po prostu uciekł do lasu, kiedy zobaczył samochód Valdemara? Mogło tak być? Czy to nie było najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie?

Przez dłuższą chwilę chodził między pokojem a kuchnią, tam i z powrotem, rozważając, czy to on przepłoszył nieproszonego gościa – kimkolwiek był – a może intruz wyszedł na chwilę i w każdej chwili może się pojawić?

Poczekamy, zobaczymy, pomyślał. Albo pojawi się niebawem, albo będzie się ukrywać.

Wrócił do kuchni i zaczął rozpakowywać to, co kupił w ICA w Rimmersdal. Kiedy był gotowy, wyszedł na podwórko i się rozejrzał. Ani śladu intruza – napompował wiadro świeżej wody, wrócił do domu i nastawił wodę na kawę.

– Poczekamy, zobaczymy – powtórzył cicho.

Zauważył, że niewielki niepokój czy też strach zaczął go opuszczać. Z każdą mijającą minutą było coraz bardziej oczywiste, że to on wystraszył gościa – a ze strony kogoś takiego nie musiał się prawdopodobnie niczego obawiać.

Nie mógł się doszukać wad tego toku myślenia. Nie było się czego bać.

Wydawało mu się natomiast trochę dziwne, że nie czuł złości. Nie żywił urazy do osoby, która bez pozwolenia wtargnęła do jego Lograny. Chyba powinien być co najmniej podirytowany. Może wręcz wściekły.

Ale nie był.

Z szacunku dla tego nieznanego kogoś postanowił także nie grzebać w jego rzeczach, polując na coś, co mogłoby być

wskazówką co do jego tożsamości. Na stole leżało kieszonkowe wydanie książki pod tytułem *Smutni jeźdźcy*, napisanej przez kogoś o nazwisku Barin. Zamknięty notatnik; nie otworzył go.

Zamiast tego wziął ze sobą kanapki, filiżankę kawy, wyszedł na zewnątrz i usiadł na krześle pod ścianą. Skierował twarz ku słońcu i poczuł przyjemną błogość.

Co ma być, to będzie, pomyślał. Pan nie stworzył pośpiechu.

Dzień mijał.

Z uwagi na nieproszonego gościa Valdemar zdecydował, że zaniecha spacerów po lesie. Zamiast tego całe przedpołudnie przesiedział w domu albo na podwórku; pogoda była przyjemna, temperatura około dwudziestu stopni, jak sądził – odnotował w pamięci, że w najbliższym czasie musi kupić termometr – raz słońce, raz chmury i słychać było tylko lekki wiatr w koronach drzew. Zajął się rozwiązywaniem krzyżówek, paleniem w kuchennym piecu, porządkami na działce; przez chwilę szukał w przybudówce kosiarki albo przynajmniej kosi, ale nic takiego nie znalazł i pomyślał, że jakoś w najbliższych dniach powinien też pójść do sklepu żelaznego i zaopatrzyć się w podstawowe narzędzia ogrodnicze. Grabie, szpadel, siekierę, piłę.

I kosę. Zarówno w samym słowie, jak i w przedmiocie była jakaś pociągająca pierwotna siła. Nie mówiąc już o kosisku. Chociaż może kosi nie można już kupić. To tak jak z niektórymi gatunkami zwierząt. Nie było miejsca dla wszystkich; może kiedy weszły telefony komórkowe, zniknęły kosi. Smutne, ale wcale nie takie znów absurdalne.

Parę rękawic roboczych – te w każdym razie na pewno są w użyciu.

Równocześnie uświadomił sobie, że wielu z tych rzeczy właściwie nie potrzebował. Przemawiał przez niego nadgorliwy, lecz na szczęście niezbyt uparty działkowicz. Co to do niego.

Trawa równie dobrze może rosnać, jak chce, pomyślał Valdemar. Krzaki porzeczek i drzewa także, ale zdawał sobie sprawę, że dni drewnutni, która wyglądała na nieskończoną, są policzone. W samym rąbaniu drewna także było coś pociągającego. W kładzeniu polana na pieńku, zamierzaniu się i rozłupywaniu go dobrze wymierzonym ciosem siekiery. Rozprostowywaniu pleców po pracy, mrużeniu oczu patrzących w niebo, żeby ocenić pogodę, i zapalaniu fajki.

Znowu ta fajka. Ante Valdemar Roos podjął wstępną decyzję, że pierwszym narzędziem pracy, jakie zakupi, będzie fajka i paczka tytoniu. Może zrobi to już jutro w ICA w Rimmersdal.

Czy w ICA mieli fajki? Nie był pewien, pozostawało po prostu tam pójść i się przekonać. Nie zaszkodzi.

Około dwunastej zjadł lunch: makaron z kielbasą faluńską. Po zmywaniu postanowił się zdrzemnąć. Najpierw przedstawił gitarę i przełożył ubrania. Dopiero wtedy odkrył, że intruz musi być kobietą. Cienki sweterek, pod nim figi, para skarpetek zdecydowanie niepasujących na męską stopę.

Kobieta? Położył się na plecach, podłożył dłonie pod kark i próbował przeanalizować te nowe i nieoczekiwane okoliczności.

Przez całe przedpołudnie zakładał, że nieproszony gość jest mężczyzną. W świecie Ante Valdemara Roosa kobiety nie biegały po lesie i nie włamywały się do położonych na odludziu chat, po prostu. To było typowo męskie zachowanie, pasujące do uciekinierów, bezdomnych poetów i innych podszytych wiatrem facetów, ale nie do kobiet. Stereotypowe myślenie. Nie potrafił otrząsnąć się ze spontanicznego zaskoczenia. Kobieta?

Kim była?

Jaką miała przeszłość i jaki powód?

Ile mogła mieć lat?

Chociaż odpowiedzi na te pytania – albo przynajmniej podpowiedzi, które mogłyby wskazać odpowiedni kierunek

– można było znaleźć w granatowym i pękającym w szwach plecaku albo w notatniku, który w dalszym ciągu leżał na stole, powstrzymał się jednak od przeszukiwania.

Szacunek, pomyślał. Zawsze należy okazywać człowiekowi szacunek, nawet w takich jak te okolicznościach.

Nie grzebie się w cudzym plecaku, nawet jeśli ten ktoś wtargnął do naszego domu.

Może miał ważny i uzasadniony powód, tego nigdy nie można wiedzieć, a wtedy Valdemar musiałby się wstydzić.

Jestem dżentelmenem, pomyślał. A dżentelmen nie przekracza pewnych granic. Po prostu.

Zadowolony z tych prostych wniosków i decyzji zasnął.

Kiedy się obudził, było już wpół do trzeciej. Spał ponad godzinę. Okno ciągle było otwarte, a na zewnątrz słyszał pohukiwanie gołębia siniaka.

Plecak wciąż stał, a ubrania, które na nim położył, były nieruszone. Tak samo książka i notatnik na stole. Kiedy spał, włamywaczki nie było w domu. Jeśliby się pojawiła, zobaczyłaby przecież, że śpi, pozbierałaby swoje manatki i poszła sobie. Wszystko wskazywało na to, że była bardzo płochliwą istotą i pod żadnym pozorem nie chciała mieć z nim jakiegokolwiek kontaktu. Ukrywa się od prawie sześciu godzin; pewnie jest gdzieś w lesie, prawdopodobnie całkiem blisko domu, tak żeby móc kontrolować jego poczynania.

Ale mimo wszystko na bezpieczną odległość, pomyślał Valdemar, wstając. Tak żeby móc wziąć nogi za pas i zdążyć się ukryć, w razie gdyby wpadł na pomysł, by jej szukać.

Ale nie miał takiego zamiaru. Trzymał się swojej decyzji o byciu dżentelmenem i nieprzeszkadzaniu jej w żaden sposób; robiąc popołudniową kawę, zauważył, że wyczuwa jej obecność.

Właśnie tak. Wyczuwa. Była różnica między odbieraniem rzeczywistości za pomocą zmysłów – węchu, wzroku,

słuchu, smaku i czucia – a tylko jej wyczuwaniem. To było jak doczepiony szósty zmysł, rodzaj ostrożnych czułek, które wysuwały się i rejestrowały to, co ulotne.

Jak na przykład obecność.

Popijając kawę, wyjął notatnik i próbował to sformułować. Ale jakby się nie starał, odpowiednie słowa nie chciały się pojawić. Z trudem zaczęło mu również przychodzić niespoglądanie na inny notatnik – jej notatnik – oparł się jednak pokusie i trzymał się w ryzach.

W końcu zanotował:

Lograna, 8 września po południu

Mam gościa. Kobieta z gitarą. Jeszcze nie wiem, co to oznacza ani do czego doprowadzi. Pionek szachowy nieudolnie odczytuje intencje Pana.

Ostatniego zdania sam do końca nie rozumiał. Ale nie skreślił go; pojawiło się spontanicznie i być może pewnego dnia się na nim pozna. Zdarza się, że słowa wyprzedzają znaczenie – gdzieś o tym czytał, nie pamiętał gdzie, ale może tak twierdził Rumun.

Zanim wsiadł do samochodu, żeby wrócić do Kymlinge, rozważał zostawienie jej jakiejś wiadomości, ale tym razem też nie umiał znaleźć odpowiednich słów i dał temu spokój.

Zamknął drzwi i położył klucz tam, gdzie zwykle, w dachowej rynnie.

Dla bezpieczeństwa pozwolił jednak skobelkom okiennym zwisać i dyndać. Bez wątplenia, jeśli okaże się to konieczne, będzie można tędy wejść.

Po zniknięciu samochodu policzyła do dwustu, zanim odważyła się wyjść z kryjówki.

Zresztą to nie była porządna kryjówka; jeśli zacząłby jej szukać, znalazłby bez problemu. Kilka gęstych świerkowych gałęzi, omszały kamień, przewrócony pień drzewa. Spędziła tu ostatnie trzy godziny po tym, jak najpierw błąkała się po lesie w stanie rozchwiania i paniki. Potem położyła się tutaj. Do domu nie było dalej niż jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów, widziała drzwi i samochód.

Taak... czego się właściwie spodziewała? To pytanie cały czas dźwięczało jej w głowie. Czego się spodziewała?

Że bez przeszkód będzie mogła tu zostać, jak długo zechce?

Że do tej małej chatki nikt nigdy nie przyjdzie? Że nie ma żadnego właściciela?

Jak mogłam być taka głupia? – pomyślała Anna Gambowska. Zdecydowanie nie jestem normalna. *Dumb girl*.

Weszła dalej do lasu, żeby załatwić swoje potrzeby. Nie lubiła wychodka, śmierdział i był obrzydliwy. Woląла raczej kucac na łonie przyrody, nawet jeśli to także nie było zbyt przyjemne.

Pojawił się, kiedy kucala ze spuszczonymi spodniami. Najpierw usłyszała samochód, potem go zobaczyła, a następnie dostrzegła wysiadającego z niego mężczyznę, który szedł w stronę domu z dwiema siatkami.

Niech to lichu weźmie! – było jej pierwszą myślą. No to pozamiatane. Teraz zadzwoni na policję i mogę się pożegnać z plecakiem i gitarą.

Oraz z portmonetką ze stu dwudziestoma koronami.

Anno Gambowska jesteś *mega loser*, pomyślała, i nie ma sensu wyobrażać sobie, że jest inaczej. Było do przewidzenia, że to się tak skończy.

Mimo to została w pobliżu domu. Sandały bez skarpet, dżinsy, podkoszulek, cienki sweterek – to był cały jej

dobytek. Jaki był sens iść w świat z takim bagażem? Uciekać z ośrodka odwykowego.

Nie było najmniejszego sensu – pojmowała to nawet ona. Jedynym wyjściem było więc przeczekać i zobaczyć, co się wydarzy. Poczekać na rozwój wypadków. Czy pojawi się radiowóz? Przecież dokonała włamania. Oczywiście niczego nie rozbiła, nie zniszczyła, ale mimo wszystko. Kiedy przedwczoraj znalazła ten dom, była śmiertelnie zmęczona i dziecinna myśl kazała jej poszukać klucza nad drzwiami pod dachem. Tylko dlatego że wujek Julek chował w tym miejscu klucz do swojego domu pod Kołobrzegiem, całkiem blisko morza; spędziła tam kilka tygodni podczas wakacji, kiedy była nastolatką, a dom Julka rzeczywiście przypominał trochę ten tutaj. W każdym razie tak jej się wydawało i ta myśl kazała jej szukać klucza.

A może to Bóg postanowił trochę jej pomóc na początku.

Najpierw przez pięć godzin spała. Kiedy obudziła się późnym popołudniem, była głodna jak wilk i po półgodzinie targowania się ze swoim sumieniem poczęstowała się jedzeniem, które znalazła w lodówce i spiżarni. Przypomniła jej się bajka czytana w dzieciństwie – o tym, że osoba, która kradnie, by zaspokoić głód, nie jest złodziejem.

Znalazła chleb, masło i żółty ser. Kawę i sucharki, marmoladę i herbatniki. Kilka torebek zupy w proszku i tuzin konserw o różnej zawartości. W domu nie było wody, ale na podwórku stała pompa.

Najem się do syta i przenocuję – taki miała pomysł, ale kiedy w niedzielny poranek obudził ją świergot ptaków i słońce kłujące w oczy, zmieniła zdanie.

Musi być jakiś sens w tym, że tutaj trafiłam – pomyślała. – Przyszłam do tego małego domku, żeby tu przez jakiś czas zostać, tak to czuję.

Zostanę tu i zdecyduję, co zrobić z resztą mojego życia.

W sobotę wypaliła tylko trzy papierosy, zostały jej jeszcze trzy. Jeden dziennie – jak postanowiła, co wydawało się

wręcz heroiczne. Kiedy w niedzielny wieczór paliła w słońcu oparta o ścianę przybudówki, pomyślała, że w takim miejscu jak to mogłaby być szczęśliwa.

Więcej przecież nie chcę, stwierdziła. W każdym razie nie teraz. Móc w spokoju pobyc z samą sobą w małym domku w środku lasu. Czytać, pisać, grać na gitarze, trochę pospacerować po okolicy, jeśli będzie ładna pogoda. Wymagam zbyt wiele?

Young girl, dumb girl... nie, nie czuła się ani młoda, ani głupia. Raczej dojrzała i mądra. Kiedy w niedzielny wieczór zapadł zmrok i napaliła w piecu, napisała kilka nowych linijek, do których prawie natychmiast znalazła prostą melodię. Zagrała ją kilka razy i pomyślała, że jeśli w niebie jest Bóg, w którego w głębi swojej wrażliwej duszy właściwie wierzy, to słucha, przyjaźnie kiwa głową w jej stronę i nawet mu się podoba.

House in the forest

Heaven on earth

Soul is a phoetus

Waiting for birth

Melodia była prawdopodobnie lepsza niż słowa, nie była też pewna, jak się pisze i wymawia *phoetus*. Znaczyło płód – to wiedziała – i kiedy wślizgnęła się do łóżka, pomyślała, że właściwie jest jak płód – dziecinna i niedojrzała – ale tuż przed zaśnięciem Bóg jej powiedział, że wielu ludzi tak właśnie błędnie o sobie myśli.

Że to, co proste i czyste, ginie w naszym świecie i dlatego trzeba o to dbać.

I nadszedł poniedziałek. Kanapka, filiżanka kawy, siku i kupa w lesie – a potem siedem godzin czekania, tyle do tej pory zaoferował ten dzień. W godzinach popołudniowych dał jej popalić głód i jedyne, co znalazła, by go zaspokoić,

to jagody. Zawsze je uwielbiała, ale nie można się było nimi najeść do syta.

Abstrahując od głodu i tego, że była trochę źle ubrana, to nie działa jej się wielka krzywda. Jest jak jest – najpierw potrzeby ciała, potem ducha.

Chociaż kiedy slaniając się, wracała do domu, miała wrażenie, że nogi nie do końca chcą ją nieść. Myślała tylko o tym, żeby się napić i coś zjeść.

W każdym razie nie wziął ich ze sobą – ani gitary, ani plecaka – widziała to ze swej kryjówki za ziemianką. Przez cały dzień zastanawiała się, kim jest ten mężczyzna. Czy jest dobry, czy zły? Miły czy taki jak ten z volvo? Ten, którego prawie zatłukła.

Może tylko udawał, że wyjeżdża? Może przyjedzie, jak tylko stwierdzi, że odważyła się wrócić do domku? Może ukrył się gdzieś w lesie i ją obserwuje?

Położył klucz w tym samym miejscu, gdzie już go raz znalazła. Dlaczego? Dlaczego po prostu go ze sobą nie zabrał?

Niepokój i pytania huczały jej w głowie, ale najpierw trzeba było zaspokoić głód i ugasić pragnienie. Jak już mówiła. Jeśli wróci i ją przydybie, cóż, wtedy będzie się martwić. Powie, jak było, i będzie miała nadzieję, że zrozumie.

Plecak stał przy łóżku. Gitara także; pokrowiec i ubrania, które zostawiła, poskładał i położył na krześle.

Książka i notatnik leżące na stole wydawały się nietknięte. Nie grzebał w jej rzeczach.

Dziwne. A może nie? Portmonetka leżała w zewnętrznej przegródce plecaka; nie mogła ocenić, czy do niego zaglądał, czy też nie. Nie powinien przynajmniej spróbować ustalić jej tożsamości?

Zrobił to? Może wyciągnął jej dowód, zadzwonił na policję i o wszystkim ich powiadomił?

Poszukiwana? Może jest poszukiwana?

Zresztą pewnie już od dłuższego czasu. Sonja Svensson z Elvafors musiała przecież powiadomić stosowne organa już w sobotę, kiedy odkryła jej zniknięcie?

Chociaż z jakiegoś powodu czuła, że Sonja tego nie zrobiła. Nie rozumiała do końca, skąd jej się wzięło to przeczucie, ale nie miała teraz ochoty o tym myśleć. Teraz musiała zaspokoić głód.

Zjadła sześć sucharów i dwie kanapki z pasztetem, wypila pół litra wody. Założyła skarpety, sportowe buty i cieplejszy sweter. W lesie nie było zimno, ale przez ostatnie godziny prawie się nie ruszała i dlatego przemarżała.

Dlaczego sobie nie pójde? – pomyślała trochę rozdrażniona. Dlaczego nie spakuję moich rzeczy i nie ucieknę stąd, zanim będzie za późno?

Dlaczego jestem taka niepozobierana?

Włamałam się do tego domu, spałam tu dwie noce, wzięłam jego jedzenie. Odkrył, że tu jestem, a ja mimo to wciąż tu siedzę i czekam, aż mnie złapie jak tępego szczura.

Potrząsnęła głową z powodu własnego niezdecydowania. Spojrzała na zegarek. Była prawie szósta, słońce zaszło za szpalerem drzew po lewej stronie i na całe podwórko padł cień.

Kawa, pomyślała nagle. Kawa i papieros.

Zaśmiała się, kiedy uświadomiła sobie, że tak właśnie pomyślałaby jej matka. I powiedziałyby.

Anno, najpierw kawa i dymek – wyjaśniała. – Ważnych decyzji nie należy podejmować na czczo.

Wyszła na podwórko z filiżanką i przedostatnim papierosem. Stała tam, w wysokiej trawie, popijając kawę małymi łykami, paląc i słuchając cichego szumu otaczającego ją lasu.

Nie wróci, pomyślała. Nie dziś. Minęła godzina, odkąd wyjechał. Do jutra jestem tutaj bezpieczna.

Rozumiała, że to było myślenie życzeniowe. Nie miała ochoty się pakować i iść sobie stąd, takie były fakty; tłuc

się wzdłuż beznadziejnej drogi ze zbyt ciężkim plecakiem i nieporęczną gitarą. Za kilka godzin będzie ciemno.

Myślami wróciła do soboty. Coś przywiodło ją w to miejsce, czyż nie? Zarówno kiedy skręcała w drogę do Rödmosen, jak i później, kiedy ledwo widząc na oczy ze zmęczenia, skręciła w wąską leśną dróżkę. W chwili gdy zobaczyła ten domek, poczuła się jak... no właśnie, jak kto? Jak Kopciuszek? Wyrzucona z domu przez przyrodnie siostry, czy jakoś tak, sama i opuszczona, wędrująca po wielkim i niebezpiecznym świecie.

Ale pod opieką Boga; i to Jego palec wskazał jej drogę tutaj.

Były też oczywiście inne bajki. O tym, że w takich położonych na odludziu leśnych chatkach mieszkwały czarownice – i te wcale nie kończyły się dobrze.

Tylko że jej nie wyrzuciły z domu przyrodnie siostry. Uciekła z ośrodka, któremu płacono tysiąc koron dziennie za to, żeby jej tam było dobrze i żeby wyszła z narkomanii. Tak wyglądała jej bajka, i warto było ją zapamiętać.

Zatrzęsa się, zaciągnęła po raz ostatni i zgasła papierosa. Weszła do domu. Poczowała, że zaraz się rozpłacze, wobec czego zajęła się przygotowaniem jeszcze jednej filiżanki kawy.

Usiadła przy stole w pokoju i złożyła dłonie. Próbowwała modlić się do Boga, ale zamiast tego czuła, jak strach i rezygnacja gęstnieją w jej wnętrzu.

Wtedy w jej głowie pojawiła się Marja-Liisa. I Steffo. To nie polepszyło sprawy.

Marję-Liisę spotkała kilka tygodni po tym, jak się do niej wprowadził. W parku miejskim pewnego wieczoru po beztróskim dniu, który był *raison d'être* dla narkomanów – wyrażenie, którego nauczyła się w liceum na tych nielicznych lekcjach francuskiego, w których uczestniczyła: *raison d'être* – powód istnienia. Tamtego popołudnia paliła i piła

piwo w parku razem ze Steffem i kilkoma innymi osobami. W pewnym momencie Steffo zostawił towarzystwo, żeby załatwić jakieś interesy.

Tak powiedział: interesy. Nie było zbyt dużych wątpliwości, o co chodziło. Chwilę po tym, jak sobie poszedł, podszły dwie rozchichotane dziewczyny i się przysiadły. Jedną z nich była Marja-Liisa. Delikatna jak pisklak, z ogromnymi oczami. Chichotała i zachowywała się trochę zbyt głośno. Z jakiegoś powodu Anna zaczęła z nią rozmawiać i szybko się okazało, że to jedna z byłych dziewczyn Steffa. Kiedy dotarło do niej, że Anna z nim mieszka, chichot zamarł. Zdenerwowała się i spoważniała.

– Kurwa! – rzuciła. – Kurwa mać, uważaj!

– Czemu? – chciała wiedzieć Anna. – Na co mam uważać?

– Gdzie on jest? Chyba tu nie przyjdzie?

Anna wyjaśniła, że Steffo właśnie poszedł i że pewnie nie będzie go jakiś czas. Marja-Liisa objęła ramionami swoje wątłe ciało, jakby marzła, chociaż był ciepły, wczesnoletni wieczór i miała na sobie gruby sweter.

– Daj sobie z nim spokój – powiedziała. – Jest cholernie niebezpieczny. Próbował mnie zabić.

– Zabić cię? Co ty wygadujesz?

– Słyszysz, co mówię? Próbował mnie zabić.

– Dlaczego?

– Bo wyszłam z koleżankami, zamiast zostać z nim. Wypiłyśmy kilka win i kiedy później spotkałam go tamtego wieczoru, pobił mnie tak, że mogłam umrzeć. Facet z owczarkiem znalazł mnie w krzakach, dwa tygodnie leżałam w szpitalu.

Anna wpatrywała się w przestraszoną dziewczynę.

– No cóż... to znaczy... chyba zgłosiłaś to na policję?

Marja-Liisa potrząsnęła tylko głową.

– Nie miałam odwagi. Gdybym to zrobiła, naprawdę by mnie zabił. Uważaj, Steffo nie jest całkiem normalny.

Potem wstała i stamtąd poszła.

Przez resztę wieczoru trudno jej było pozbyć się myśli o Steffie. Tkwił w niej jak bolący czyrak i był pożywką dla wylęgających się mrocznych myśli, które szybko zidentyfikowała jako klasyczny głód narkotykowy.

Rozmawiali o tym w Elvafors. Głód narkotykowy – czego by człowiek nie robił, jakby się nie starał, prędzej czy później się pojawiał. I nie było sobie łatwo z nim poradzić; w gruncie rzeczy był tym, co najgorsze i najbardziej podstępne. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, chociaż przez te cztery tygodnie w ośrodku Anna nie doświadczyła go na poważnie.

Aż do teraz. Trzeba umieć się do tego przyznać – to była pierwsza zasada. Nie próbować zaprzeczać. Mówić o głodzie, spojrzeć mu w oczy i go zwalczyć... wygrać z tym, co od nas silniejsze.

Ale z kim miała rozmawiać? Czym miała go zwalczyć? Sama, w trakcie ucieczki, w obcej chacie w obcym lesie.

Nie użalaj się nad sobą! – pomyślała i wyprostowała się. Nie daj się wciągnąć w bagno litowania się nad sobą, zrób coś!

Zaśmiała się. Jedynym narkotykiem, do jakiego miała dostęp, był marny papieros, więc nie była wystawiona na żadne bezpośrednie pokusy. Zawsze coś.

Poszła do kuchni i zajrzała do lodówki. Była dość dobrze zaopatrzona; włożył do niej to i owo. Jeśli zostanie na noc i wyruszy jutro rano, będzie się mogła przynajmniej najeść.

Chociaż, co to oznaczało, że kupił jedzenie?

Odpowiedź była tak oczywista, że trudno było na nią nie wpaść.

Planował wrócić. Jeśli nie dzisiaj wieczorem, to jutro. Nie wkłada się do lodówki i spiżarni kefiru, masła, owoców i chleba, jeśli nie ma się zamiaru tego zjeść.

Tak czy owak, całe szczęście, że nie kupił piwa albo wódki – pomyślała. – Wypitałyby, a potem znowu stanęłaby nad przepaścią.

Jakim właściwie jest człowiekiem?

Jak zwykle trudno jej było ocenić wiek. Widziała go dość wyraźnie, jak przyjechał rano i potem, w ciągu dnia, kiedy był na podwórku. Może mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Dwa, trzy razy starszy od niej, w każdym razie. No tak, wiek oczywiście nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że nie wydał jej się groźny.

Chociaż facet z volvo też nie.

Zrozumiał, że jest tylko młodą dziewczyną? Nie wydało się, żeby grzebał w jej rzeczach, ale może się domyślił? Musiał widzieć jej figi i gitarę. Starsze kobiety nie włóczą się chyba z gitarą?

A jeśli był taki jak Steffo, tylko trzydzieści lat starszy?

Dość, pomyślała Anna Gambowska i zdecydowała, że napali w kominku. Muszę przestać się wszystkiego bać. Jeśli mam sobie poradzić, nie mogę cały czas wszędzie wypatrywać zagrożeń.

Zaraz po dziesiątej wślizgnęła się do łóżka. Całkiem ubrana przykryła się kocem; plecak spakowany, gitara w pokrowcu. Jeśli będzie musiała uciekać, uniknie biegania dookoła i szukania swojego dobytku.

Przed zaśnięciem odmówiła modlitwę do życzliwego Boga, który do tej pory jej pomagał. Prosiła o dobry sen, żeby następnego ranka móc kontynuować swoją wędrówkę we względnie dobrej kondycji.

I o to, żeby w nocy nie mieć towarzystwa. Zamknęła drzwi, a klucz zostawiła w zamku; nie była to duża ochrona, ale zawsze.

Ufność, pomyślała. To było słowo, które bardzo lubiła i myślała o nim, aż do zaśnięcia.

Ufność.

Postanowiła, że obudzi się o wpół do siódmej, i tak zrobiła. Jej wewnętrzny budzik działał jak zwykle bez zarzutu.

Wyszła i zrobiła siku. Przy pompie umyła twarz i zęby. Zaparzyła kawę i zjadła dwie kanapki. Pogoda była równie piękna jak poprzedniego dnia: niebieskie niebo i pojedyncze, delikatne chmury. Plecak i gitarę wystawiła na podwórko, ale zamiast je wziąć i wyruszyć w drogę, podjęła całkiem inną decyzję.

Postawiła bagaż za przybudówką. Rosnące tam pokrzywy i chaszczce świetnie chroniły go przed oczami świata. Potem weszła do domu i usiadła przy stole z długopisem i wyrwaną z notatnika kartką.

Napisała wiadomość i zostawiła ją na środku stołu.

Dziękuję. Mam na imię Anna.

Potem napełniła wodą plastikową butelkę, wzięła jabłko i banana, zrobiła cztery kanapki i ruszyła w las.

13

– Umówiłam cię do Faringera.

– Niepotrzebnie.

– Valdemar, sam nie jesteś w stanie tego ocenić. Zaufaj mi.

Miał na końcu języka, że nigdy w życiu nie czuł się lepiej, ale powstrzymał się. To mogłoby zostać źle odebrane. Mogłaby zacząć podejrzewać nie tylko depresję, ale również depresję maniackalną albo coś jeszcze gorszego.

– Na kiedy? – zapytał.

– Czwartek w przyszłym tygodniu – powiedziała. – Nie dało się wcześniej. Ludzie czują się gorzej niż kiedykolwiek.

– W takim razie może lepiej, żeby zajął się kimś, kto naprawdę potrzebuje pomocy?

Alice zdjęła okulary do czytania i zamyślona zaczęła ssać jeden z zauszników.

– Co z tobą? – zapytała. – Coś jest nie tak, cały czas widzę to po tobie.

– Bzdura – odparł Valdemar.

– Coś w pracy?

– Oczywiście, że nie.

– Nigdy nie opowiadasz o swojej pracy.

– Nigdy o nią nie pytasz, kochanie.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Ach tak? W pracy wszystko po staremu. Nie miałaś wychodzić? Jest za kwadras ósma.

– Valdemar, musimy zacząć ze sobą rozmawiać.

– Czy to nie może poczekać do przyszłego tygodnia?

– Co ty wygadujesz? Zauważyłeś, jak brzmisz?

– Brzmieć tak jak zawsze, Alice. Jesteś pewna, że to nie ty się zmieniłaś?

Wyglądało, jakby przez sekundę się nad tym zastanawiała, potem ciężko westchnęła, wstała i odeszła od śniadania.

Właściwie powinien był pójść do Wettergrens Tobak, żeby wybrać sobie tytoń i fajkę, ale otwierali dopiero o dziesiątej. Zamiast tego kupił wygiętą fajkę na krótkim cybuchu i paczkę tytoniu Tiger Brand w wypożyczalni wideo na Selanders Väg.

Pomyśleć, że Tiger Brand ciągle istnieje. Jego ojciec nie palił tej marki – wolał stary tytoń Greve Hamilton – ale mówił o nim z szacunkiem, to Valdemar pamiętał. Tiger Brand, Skipper Shag i Borkum Riff. Ależ te nazwy miały wydźwięk! Co się z nim stało?

Miał nadzieję, że dostanie fajkę Ratos albo Lillehammer, ale słysząc te nazwy, dziewczyna w sklepiku tylko pokręciła głową. Jeśli zakupiona przez niego fajka w ogóle miała jakąś nazwę, to przypuszczalnie Prince, ale napis na cybuchu był

słabo czytelny. Równie dobrze mogło być napisane Princez, ale to chyba była marka okularów.

Wszystko jedno, pomyślał Valdemar. Jeśli nie będzie mi pasować, zawsze mogę kupić nową.

Postanowił, że nie będzie się już zatrzymywał w Kymlinge i kupował jedzenia bez potrzeby. Lepiej najpierw sprawdzić, co ma mu do zaoferowania ICA w Rimmersdal, a potem w ciągu tygodnia dokupić w mieście potrzebne rzeczy.

Oczywiście były też głosy, które podszeptwały, żeby się spręzał. Żeby natychmiast wyruszył do Lograny i sprawdził, jak się ma jego tajemniczy gość. Ciekawość tykała w nim zarówno poprzedniego wieczoru, jak i w nocy; budził się kilka razy z tymi samymi pytaniami.

Kim była?

Dlaczego zdecydowała się przenocować w jego chacie?

Czy będzie tam jeszcze dzisiaj?

Zauważył, że boi się, iż sobie pójdzie. Naprawdę. Że na zawsze zniknie z jego życia i że nigdy nie pozna odpowiedzi na swoje pytania.

Zniknie jak ślad stopy na wodzie.

Postanowił to zapisać. Nie, nie na wodzie, na mokrym piasku brzmi lepiej.

Niektóre zdarzenia i niektórzy ludzie znikają jak ślady stóp na mokrym piasku – tak to można sformułować. Może mógłby jeszcze dodać coś o przyptywach i odpływach zacierających ślady, ale z jakiejś przyczyny nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

W ICA w Rimmersdal nie mieli piły, siekiery ani kosy.

Ale był młotek, patelnia, duży garnek, miska do zmywania, mydło, proszek do prania, szczotka, kubki na szczoteczki do zębów, ociekacz na naczynia, lampa naftowa i kotlety wieprzowe.

No i kasjerka.

– Mam na imię Valdemar – powiedział, biorąc resztę. – Jeśli chciałaby pani wiedzieć.

– Valdemar? – powtórzyła powoli i z ostrożnym uśmiechem, jakby delektowała się praliną. Praliną z nowym i trochę zaskakującym nadzieniem. – To rzadkie imię. Ja mam na imię Yolanda.

– Yolanda? – zapytał Valdemar. – To też chyba niezbyt popularne imię.

– Tutaj – powiedziała Yolanda. – Ale w kraju, z którego pochodzę, wiele kobieta tak się nazywa.

– Naprawdę? – zdziwił się Valdemar. – A jaki to kraj?

– Kiedy z niego wyjeżdżałam, to była Jugosławia – odpowiedziała i od razu posmutniała. – Jestem pół Serbką, pół Chorwatką.

– Rozumiem – powiedział Valdemar, i tak naprawdę było. – Taak... życie nie zawsze jest takie, jak byśmy tego chcieli.

Nic nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się do niego na swój ciepły sposób i zaczęła obsługiwać kolejnego klienta.

Yolanda? – pomyślał, kiedy wyszedł ze sklepu. Yolanda i Valdemar. Ładnie brzmiało, prawie jak para zakochanych z jakiejś starej baśni. Albo ballady.

Valdemar i Yolanda. Ładnie.

Przeczytał wiadomość i próbował zrozumieć, czym było przepełniające go uczucie.

Smutkiem? Tęsknotą?

Bzdura, pomyślał. Nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało.

A może można? Może był to rodzaj gorzkiej prawdy o życiu, że ciągle nosimy w piersiach nieokreśloną tęsknotę; tęsknotę za czymś, czego istnienie możemy tylko przeczuwać, ale nie możemy tego zobaczyć?

Nie, uznał Ante Valdemar Roos, nie może być aż tak cholernie beznadziejnie.

W takim razie rozczarowanie? Tak, bardziej pasowało. Prostsze uczucie, nad którym łatwiej zapanować. Ta nieznaną kobietą była w jego pobliżu – i świadomości – przez dobrą, a teraz zniknęła. Zastanawiające, ale poczuł pustkę.

Nawias bez treści, pomyślał. Coś, co się skończyło, z nim się jeszcze zaczęło.

Usiadł przy stole i spisał poranne samochodowe refleksje:

Lograna, 9 września

Niektórzy ludzie i niektóre zdarzenia znikają jak ślady stóp na mokrym piasku.

Po chwili dodał:

Niektóre istnienia znikają w taki sam sposób.

Potem siedział jeszcze przez chwilę i myślał o tym, jak blisko siebie mieszkają w duszy oczekiwanie i rozczarowanie. Jak dwoje sąsiadów albo nawet bliźnięta, które tak naprawdę nigdy nie są w stanie zamknąć drzwi do pokoju drugiego.

I o tym, z jaką łatwością myśli kierują się do wewnątrz, zamiast wyjść na zewnątrz. Nie po to kupił to miejsce, żeby mieć czas na roztrząsanie swojego wnętrza. Przeciwnie, żeby obserwować i snuć przemyślenia na temat otoczenia, po to. Wędrować po lesie. Słuchać szumu wiatru w koronach drzew, obserwować zwierzęta, rośliny i ptaki; przyjść do domu, napalić w piecu, najeść się do syta, zregenerować się we śnie – to nadawało życiu sens. Bycie częścią czegoś większego.

Tak to jest, pomyślał. Bycie częścią. Tak oczywiste, że nie musiał tego zapisywać.

„Dziękuję. Mam na imię Anna”.

Złożył papier i umieścił go z tyłu notatnika. Wziął fajkę, tytoń i zapalki, i przeszedł się do lasu.

Najpierw wędrował na południe, potem na zachód i nieco na północ; po godzinie dotarł do małego wzniesienia porośniętego rzadkimi brzożami z widokiem na Rödmosse. Usiadł na przewróconym pniu i zabrał się za palenie. Nabijał nieprzyzwyczajonymi, niezdarnymi palcami, dociskał kciukiem, tak jak – z tego, co pamiętał – miał w zwyczaju robić ojciec, a potem zapalił i pociągnął. Łatwo udało się rozżarzyć fajkę: najpierw tylko pykał, ale z czasem odważył się zaciągnąć.

Poczuł jakby kopnięcie w klatkę i na kilka sekund zrobiło mu się czarno przed oczami.

Ojej, pomyślał, kiedy trochę doszedł do siebie, mocne jak cholera, trzeba trochę potrenować.

Smakowało nie najgorzej, musiał tylko uważać, żeby się za mocno nie zaciągać. W całym swoim życiu palił tylko przez jakieś pół roku, na początku związku z Lisen, a i wtedy nigdy fajkę, tylko okazjnie papierosy z filtrem, i miał świadomość, że palenie fajki to zajęcie całkiem innej rangi.

Po wypaleniu siedział jeszcze przez chwilę i czuł, jak niewielkie zawroty głowy ustępują... Stanął na lekko niestabilnych nogach i wyruszył w drogę powrotną do Lograny.

Nie zdążył ująć więcej niż sto metrów, w dół niecki porośniętej wiązówką i woskownicą, kiedy dostrzegł jakiś ruch między drzewami. Niewielki, coś szybko pojawiło się i zniknęło, zapewne nie na dłużej niż ułamek sekundy; mimo to mógłby przysiąc, że to nie było zwierzę.

To był człowiek. Przypomniało mu się, że czytał gdzieś – albo ktoś mu o tym opowiadał, najprawdopodobniej Tapanen, bo ten zawsze wypowiadał się na temat świata i rzeczy, których właściwie nie pojmował – że tak właśnie funkcjonują nasze zmysły.

Po pierwsze, od razu rejestrujemy sam ruch, nawet jeśli dookoła jest mnóstwo przedmiotów i nieruchomych bodźców. Dlatego jeśli występuje się w charakterze zwierzyny, lepiej leżeć bez ruchu. Myśliwy dostrzeże ruch głowy lub ogona

z odległości stu metrów, ale może stać całkiem blisko nieruchomej ofiary, w najmniejszym stopniu tego nie przeczuwając.

Po drugie, od razu odróżniamy zwierzę od człowieka. Chociaż zastanawiał się, na ile to właściwie było prawdziwe, wzięwszy pod uwagę, ilu ludzi każdego roku przez przypadek ginie podczas polowań na łosie. Może to tylko wymysł.

Tak charakterystyczna półprawda, która wgryza się w świadomość hołoty, pomyślał Valdemar. Na przykład Ola-viego Tapanena.

Zatrzymał się. Stał w miejscu i snując te rozważania, czekał na następny ruch, nic takiego jednak nie nastąpiło. Tylko trzepot ptasich skrzydeł. We wszystkich kierunkach bezruch i bezkresny, tajemniczy las.

Mimo to wiedział. Wracając do Lograny, był pewny, że w jego pobliżu znajdował się człowiek, który przez pomyłkę ujawnił swoją obecność i absolutnie nie chciał być zdema-skowany.

Pewne rzeczy się po prostu wie, pomyślał Ante Valdemar Roos, nie rozumiejąc, skąd.

Reszta dnia minęła bez żadnych incydentów. Na lunch zjadł kotleta wieprzowego z dużą ilością cebuli i trzema gotowanymi ziemniakami. Siedząc na krześle pod ścianą przybudówki, ostrożnie palił fajkę, rozwiązywał krzyżówki, a potem uciął sobie czterdziestopięciominutową drzemkę.

Miał jakieś przeczucie. Nie tak silne jak poprzedniego dnia, ale dotyczyło tego samego.

Przeczuwał czyjaś obecność.

Nie poszła sobie, pomyślał. To była ona, tam niedaleko Rödmosse.

Oczekiwanie i rozczarowanie, sąsiedzi-bliźnięta zamieszku-jący jego doskonałą się duszę, pukali do swoich drzwi i żyli w zgodzie.

Zanim wszedł do samochodu, żeby wrócić do Kymlinge, wyrwał kartkę z notatnika i napisał krótką wiadomość.

Zostawił ją na stole i kładąc klucz pod okapem, poczuł kołatanie serca.

14

Policzyła do dwustu, dokładnie tak jak wczoraj. Dzisiaj też była piąta; zastanawiała się, czy to jego stały zwyczaj. Pojawiał się około wpół do dziesiątej rano, zostawał cały dzień i wyjeżdżał o piątej.

Dlaczego? Czemu nie zostawał na noc?

Zaczekała z wniesieniem plecaka i gitary. Najpierw wzięła klucz z tego co zwykle miejsca nad drzwiami i weszła, żeby sprawdzić, czy coś się nie zmieniło. Czy przynajmniej przeczytał jej wiadomość i jakoś na nią zareagował. A może ją tylko wyrzucił.

Tam, w lesie, prawie ją zobaczył – wiedziała to. Przed południem trochę bez celu włóczyła się po okolicy, głównie po to, by się nie wychłodzić. Kilka razy siadała na słonecznych polanach i czytała, ale nie dłużej niż dziesięć minut lub kwadrans. Była lepiej ubrana niż poprzedniego dnia, dzisiaj jednak było chłodniej. Idąc, dokładnie zapamiętywała różne szczegóły, żeby nie zabłądzić. Duży głaz eratyczny. Mrowisko. Drogę, oczywiście, wzniesienie w kierunku trzech wysokich sosen, mokradło z zaroślami i porośnięty chaszczami las tam, w dole – i nagle go zobaczyła, idącego niemal prosto na nią. Był dość daleko, więc od razu schowała się za kurtyną młodych świerków. Przeszedł obok niej w odległości dziesięciu, piętnastu metrów; na wszelki wypadek leżała w mchu z zamkniętymi oczami jeszcze długo po jego zniknięciu.

Jak zamknę oczy, stanę się niewidzialna – to stara prawda, z której nie należy się śmiać.

Na stole leżała kartka. Wstrzymała oddech, wzięła ją i przeczytała:

Cześć Anno!

Mam na imię Valdemar. Zostań do jutra, to porozmawiamy. Przyjadę jak zwykle o wpół do dziesiątej.

Ciepło pozdrawiam

V.

Valdemar? – pomyślała. Dziwne imię, nigdy nie spotkała nikogo, kto by się tak nazywał. O nikim takim też nie słyszała.

Wyszła, wzięła plecak i gitarę. Rozpaliła w piecu; teraz poszło lepiej, za pierwszym razem zużyła pół paczki zapalek, nim uzyskała efekt. Przyniósł więcej drewna, ułożył stertę pod oknem, jakby chciał się upewnić, że w nocy będzie jej ciepło i przyjemnie.

Zaparzyła kawę, a na większej fajerce postawiła duży garnek z wodą; to był nowy garnek, musiał go dzisiaj przynieść. Pod zlewem znalazła plastikową miskę oraz opakowanie proszku do prania i przez pół godziny prała i płukała brudne ubrania. Majtki, skarpetki i koszulki. Szukała sznurka, żeby powiesić czyste pranie, ale nie było żadnego; zresztą i tak by nie wyszło przez noc na zewnątrz; lepiej powiesić w pokoju, na oparciach krzeseł blisko ognia.

W lodówce leżał samotny kotlet wieprzowy, ale nie lubiła kotletów. Zamiast tego przygotowała zupkę z torebki i dwie kanapki z pasztetem i ogórkiem.

Cztery dni, stwierdziła, siedząc przy kuchennym stole i przeżuując kanapki. Jestem tu tylko cztery dni, a mam wrażenie, jakbym naprawdę tu mieszkała. Przynajmniej czasami.

Przynajmniej teraz.

Dziwne, ale może tak właśnie było – że w niektórych miejscach człowiek czuje się jak w domu, a w innych nigdy

nie może się poczuć dobrze, niezależnie od tego, ile by tam spędził czasu.

Cóż, jestem przecież pieprzonym odludkiem, pomyślała później. Sonja z Elvafors miała całkowitą rację. Tacy jak ja nie pasują do innych ludzi i to jest mój duży problem.

Prawda, że miała rację? Od dwóch dni przebywa w lesie, siedem, osiem godzin dziennie, i w żaden sposób jej to nie przeszkadza. Jeśli tylko ma na sobie wystarczająco dużo ubrań i coś do jedzenia, to podoba jej się spacerowanie między drzewami, porośniętymi mchem kamieniami, kępami traw i żurawiny, bez żadnych planów, tylko to. Czuła się bezpieczna. Spokojna i zadowolona.

Co było tym dziwniejsze, że urodziła się i dorastała w mieście i nigdy nie spędzała dużo czasu na wsi. Oczywiście wakacje w domu Julka, w Polsce, i u babci. Kilka wycieczek ze szkoły, to wszystko.

Ależ nie, oprócz tego kilka nocy pod namiotem z Jossan i Emily. Latem kilka lat temu pojechały stopem na południe; pomysł był taki, żeby dojechać do Danii, ale zamiast tego wylądowały nad jeziorem, w lesie w Smalandii.

Wtedy było całkiem inaczej, w porównaniu z tym, co jest tu i teraz, pomyślała. Miała wrażenie, jakby to było sto lat temu, i nie mogła się do tej myśli nie uśmiechnąć. Cały czas piły piwo i paliły hasz, a Jossan tak się bała ciemności, że nie mogły spać, musiały ją obejmować i ciągle z nią rozmawiać.

Ciekawa była, jak się ułożyło Jossan. Zaszła w ciążę i urodziła dziecko, zanim skończyła dziewiętnaście lat. Przeprowadziła się do Sztokholmu z dzieckiem i jego ojcem. Do Hallonbergen; ojciec dziecka pochodził z Erytrei i miał w Hallonbergen rodzinę. Być może dzięki dziecku Jossan stanęła na nogi, ale inny scenariusz był równie prawdopodobny.

Tak czy owak, nie pasowałyby tutaj. Samotne życie w małym domku w lesie, nie, większość nie przyjąłaby

takiej propozycji. W każdym razie nie kobiety poniżej dwudziestego pierwszego roku życia.

Chociaż ja tu przecież nie mieszkam, pomyślała później. To tylko na pewien czas. Gdybym tylko miała jakiś cel, nie zostałabym w takim miejscu.

Wyszła i zapaliła ostatniego papierosa. Kiedy go zgasiła, nagle dopadło ją silne uczucie opuszczenia. Zbierało jej się na płacz, ale się opanowała.

Tak to jest, stwierdziła, z tymi potrzebami ciała i duszy. Ruszę się stąd tylko dlatego, że muszę kupić papierosy.

Pięć minut później znalazła jego fajkę i tytoń tam, gdzie je zostawił, na półce nad łóżkiem.

W nocy śnił jej się Marek, młodszy brat. Właściwie było to bardziej wspomnienie niż sen, ale we śnie skończyło się znacznie gorzej niż w rzeczywistości.

Marek leżał w szpitalu. Miał tylko cztery latka, Anna szesnaście. Przez jakiś czas męczyły go dziwne bóle brzucha, nie codziennie, ale wracały z nierównymi przerwami. Nie było pewne, czy to prawdziwe bóle, czy tylko symulował, i to chyba było najgorsze, jak uważała Anna.

Dlaczego czteroletni chłopiec miałby udawać, że go boli brzuch?

Zawsze łączyło się to z tym, że był smutny. Matka Anny musiała go kilka razy odebrać z przedszkola, Anna zresztą też, aż w końcu chłopiec trafił do szpitala na porządne badania. Anna nie wiedziała, dlaczego Marek musiał spędzić tam noc, ale tak właśnie było. Została z nim i spała na drugim łóżku w kredowobiałym pokoju na samej górze, na dziesiątym piętrze. Matka nie mogła, po prostu; Anna nie pamiętała dlaczego.

Tak się bał, jej mały braciszek, aż w końcu skuliła się na jego łóżku; nie wystarczyło, że była pół metra od niego i trzymała go za rękę.

Zadawał takie dziwne pytania.

Dlaczego jestem taki głupi i zły?
Oddacie mnie, kiedy będę trochę większy?
Dlaczego tata mówi takie okropne rzeczy?
Nigdy nie będę białym aniołkiem, prawda?

Czy to normalne, że czteroletni chłopiec zadaje takie pytania? Nie wiedziała, ale trudno jej było w to uwierzyć. I jakie okropne rzeczy mówił jego ojciec, który nie był ojcem Anny – cóż, tego Marek nie chciał powiedzieć.

– Nie mów o tym mamie – poprosił. Raz czy dwa.

Robiła co mogła, żeby go pocieszyć i uspokoić. Tuż przed zaśnięciem zapytał, czy w nocy umrze i czy to dlatego tu są, a ona go zapewniła, że rano się obudzi i będzie zdrowy i zadowolony jak żreback.

– Żreback? – zapytał Marek.

– Pełen energii i szczęśliwy jak mały konik – obiecała.

Zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Naprawdę chciałbym być małym konikiem – wyjaśnił potem poważnym głosem. – Konie nie mają rąk, którymi mogłyby robić okropne rzeczy.

Tak było. Długo leżała bardzo blisko niego, nie mogąc zasnąć; wsłuchiwała się w jego świszczący oddech i zastanawiała się nad pytaniami, które zadał. Rano przyszedł lekarz i cała chmara pielęgniarek i powiedzieli, że Markowi nic nie jest i że można go zabrać do domu. Nigdy nie powiedziała matce o tej rozmowie na szpitalnym łóżku, a Marek też do tego nie wracał. Jego bóle brzucha powróciły potem raz czy dwa w najbliższym czasie, a później całkiem ustały.

We śnie było inaczej. Kiedy rano obudziła na w szpitalnym łóżku, Marka nie było. Próbowwała się dowiedzieć – od wszystkich tych ubranych na biało ludzi – gdzie się podział jej braciszek, ale nikt nie potrafił udzielić jej sensownej odpowiedzi. Biegała w kółko po wielkim szpitalu i pytała, większość osób jednak nawet nie miała czasu, żeby jej wysłuchać. Przemierzała długie korytarze i ciemne podziemne przejścia, lecz nigdzie nie było czteroletniego chłopca, którego z bólami

brzucha przyjęto poprzedniego dnia. I nikt nic nie wiedział. W końcu znalazła go w wielkim pomieszczeniu, głęboko w piwnicy albo raczej w jakimś magazynie wypełnionym małymi, białymi trumnami. W każdej z nich leżało martwe dziecko. Było tam naprawdę nieskończenie dużo trumien; stały ułożone wzdłuż ścian długimi rzędami i dopiero kiedy otworzyła wieko ostatniej, natknęła się na swojego braciszka.

Nie dość, że był martwy, to jeszcze miał wokół szyi stryczek, a na piersiach leżał jego ukochany miś z odciętą głową.

Obudził ją jej własny płacz. Kiedy zorientowała się, że to tylko sen, poczuła ulgę, ale łzy płynęły jeszcze przez dłuższą chwilę.

Dlaczego mam takie sny? – pomyślała. Jak się Markowi ułoży w życiu i dlaczego prawie zawsze trzeba się mieć na baczności?

Spojrzała na zegarek. Była za dwadzieścia ósma.

Czas wstawać. Zjeść śniadanie i zdecydować, czy odchodzi, czy zostaje.

Kiedy wyszła, żeby zrobić siku przy ziemiance, zauważyła, że pada.

15

Wspaniale, pomyślał Ante Valdemar Roos. W taką pogodę nie wyruszy w drogę.

Ale ledwie Wilma zostawiła go samego przy śniadaniu, przestało padać i dziesięć minut później już świeciło słońce. Zrozumiał, że to ewidentny dowód na ulotność wszystkiego; nic nie było takie, jak się wydawało, zmieniało się z minuty na minutę. Kiedy siedział w przedpokoju i zawiązywał buty, Signe wystawiła głowę ze swojego pokoju. Wyglądała, jakby się obudziła przed dziesięcioma sekundami.

– Mogę z tobą jechać?

– Dokąd? – zapytał Valdemar.

– Tylko do Billundsberg – odpowiedziała Signe. – Mam rozmowę w sprawie pracy w Miksie, przejeżdżasz chyba tamtędy?

– Nie – oznajmił Valdemar. – To znaczy... nie dzisiaj. Najpierw muszę załatwić kilka spraw... na mieście.

– Ale czemu? – chciała wiedzieć Signe.

– Tak się złożyło – odparł Valdemar.

– Psiakrew – rzuciła Signe. – Jestem cholernie spóźniona.

– Może w takim razie powinnaś wstawać trochę wcześniej – powiedział Valdemar. – I kłaść się przed północą.

Ale wtedy zamknęła już drzwi.

Zirytowało go to małe kłamstewko.

W przyszłości muszę się bardziej koncentrować, pomyślał. Nie lekceważyć szczegółów. One też mają uszy i mózgi, te małe istoty, nie można o tym zapominać.

Przed samym Rimmersdal doszło do wypadku. Nie wyglądał na śmiertelny, ale czerwony samochód dachował w rowie, a na miejscu były dwa radiowozy. Kiedy się zastanowił, przypomniał sobie, że kilka minut wcześniej, mniej więcej na wysokości kościoła w Åkerby, mijał karetkę.

Przejechanie tamtędy zajęło dobrą chwilę, a jakieś kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył w rowie coś jeszcze. Najpierw nie wiedział, co to takiego, ale przejeżdżając obok, stwierdził, że to łoś. Duży łoś leżący na boku; poruszał łbem do przodu i do tyłu, i wydawało się, że ciało paruje; jedna przednia noga wystawała pod dziwnym kątem.

A więc tak do tego doszło, pomyślał Valdemar. Czerwony samochód zderzył się z łośmi; najprawdopodobniej ciężko ranną zwierzę pobiegło potem jeszcze kawałek i upadło tutaj, w rowie. Czytał kiedyś, że tak się może zdarzyć.

Deliberował ze sobą przez kilka sekund, potem z kieszeni na piersi wyjął komórkę i wybrał 112. Pierwszy raz.

Dwadzieścia lat temu, pewnego letniego wieczoru, kiedy razem z Espenem Lundem popijał piwo na jego balkonie i zobaczył, że w budynku obok się pali, dzwonił pod 90 000.

Wtedy straż była już w drodze; o zdychającym dzisiaj losiu z pewnością nie dostali jeszcze zgłoszenia.

– Pańskie nazwisko? – poprosiła kobieta z policyjnej centrali, z którą go połączono.

– Wolałbym pozostać anonimowy – wyjaśnił Ante Valdemar Roos.

– Muszę mieć pańskie nazwisko – powiedziała kobieta.

– Dlaczego? – zdziwił się Valdemar. – Chcę tylko, żebyś niepotrzebnie nie cierpiał. Chyba nie ma znaczenia, jak się nazywam.

– Mogłoby się tak wydawać – powiedziała kobieta – ale mamy specjalne procedury.

Valdemar westchnął głęboko.

– Z całym szacunkiem, mam w dupie wasze procedury – odparł. – Jestem tylko uczciwym podatnikiem, który spełnia swój obywatelski obowiązek i zgłasza, że niedaleko miejsca wypadku, w okolicach Rimmersdal, leży ranne zwierzę. Policja już tam przecież jest, chodzi tylko o to, żeby pani do nich zadzwoniła i ich powiadomiła. Nie mam zamiaru podawać mojego nazwiska.

W słuchawce zrobiło się cicho na kilka sekund; sądził, że ją odłożyła.

– Valdemar Roos? – zapytała. – Zgadza się, prawda? W każdym razie, jeśli jest pan właścicielem komórki, z której pan dzwoni.

Zanim zdążył odpowiedzieć, podziękowała mu za rozmowę i rozłączyła się.

To było niepotrzebne, pomyślał. Niepotrzebnie zadzierałem nosa. Teraz policja zna moje nazwisko.

Chociaż co w tym, do cholery, złego? – zastanowił się później. To chyba nie ma żadnego znaczenia, że powiadomiłem o rannym zwierzęciu w Rimmersdal, skoro od ponad

dwóch tygodni moja noga nie stanęła we Wrigmans. Stałam po kruchym lodzie, ot co.

Podczas tej krótkiej rozmowy zdążył minąć ICA i większą część miasteczka; miał zamiar kupić trochę owoców i nową gazetę z krzyżówkami, ale skoro przejechał zjazd, zdecydował, że może z tym poczekać do jutra.

Rannego łosia miał wyraźnie przed oczami aż do chwili, kiedy skręcił w Rödmossevägen. Para buchająca z wielkiego cielska i łeb, który kręcił się bezsensownie z jednej strony na drugą; jakby umierające zwierzę próbowało mu coś powiedzieć. Poinformować go o tym, że...

No właśnie, o czym? – pomyślał.

O odcieniach życia?

O kruchości życia? O drodze, którą wszyscy przebędziemy?

Znowu te dziwne myśli, stwierdził i je odsunął. I do tego jałowe. Jeśli została, to została, nie mogę zrobić nic, co mogłoby wpłynąć na rozwój wypadków.

Mogę tylko mieć nadzieję, dodał w myślach, kiedy w polu widzenia pojawił się dom.

Ze swojego stałego miejsca za ziemianką, na skraju lasu, widziała, jak nadjeżdża. Zdecydowała, że nie chce być w domu, kiedy przyjedzie; to była późna decyzja, w wielkim pośpiechu zgarniała swoje rzeczy, także nie do końca suche pranie, i jak leciało upychała je w plecaku. Gitarę włożyła do pokrowca – grała na niej trochę poprzedniego wieczoru – i wyniosła wszystko do przybudówki. Postawiła zaraz przy drzwiach, wystarczy, że je otworzy i zaraz zrozumie, że ciągle tu jest.

Jeśli mimo wszystko na to nie wpadł. Była niezdecydowana. Czy powinna spędzić w lesie jeszcze jeden dzień? Chyba nie i nie miała ochoty robić kanapek. Ale to musi być jego decyzja; kiedy ukryła swoje rzeczy, wróciła, pomyślała pół minuty i napisała nową wiadomość.

Zostawiła ją jak zwykle na stole.

Rozmawiamy ze sobą w dziwny sposób, pomyślała i miała wrażenie, jakby robili to od dawna.

Zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu co w poniedziałek i we wtorek. Pod jabłonią, zaledwie kilka metrów od drogi. Zgasił silnik, wysiadł i trochę się przeciągnął. Dzisiaj nic ze sobą nie miał, żadnych siatek, nawet brązowej torby. Zanim wszedł do domku, stanął i rozejrzał się dookoła. Trochę niepewnie. Wyglądało, jakby próbował coś postanowić.

Próbuje zgadnąć, czy ciągle tu jestem, pomyślała. Nic dziwnego, rzecz jasna. Kimkolwiek jest, musi uważać, że to jest totalnie pokręcone.

Przypomina Reinholda – przyszło jej nagle do głowy, a ta myśl ucieszyła ją i zasmuciła zarazem. Reinhold był nauczycielem, którego mieli przez jeden semestr w piątej klasie; ich pani była na urlopie macierzyńskim, a Reinhold pojawił się w styczniu, po przerwie bożonarodzeniowej.

Był taki miły. Wszyscy go lubili, kilka dziewczyn, może ona też, trochę się w nim podkochiwało. A mimo to byli dla niego tacy wredni. Oczywiście głównie chłopaki; dziewczyny, jak zwykle, po prostu tam były i przyzwały na to wszystko. Po cichu czerpały z tego przyjemność, jakby nie wystarczyło być miłym. Reinhold robił dla nich wszystko; zapraszał całą klasę do domu na tort, był z nimi w kinie, a oni tak mu dziękowali, powoli i metodycznie go łamiąc.

To było po prostu paskudne, pomyślała Anna. A kiedy Reinhold poszedł na zwolnienie trzy tygodnie przed wakacjami, było za późno, żeby coś z tym zrobić.

A teraz inny Reinhold, Valdemar, stał pod swoim małym domkiem w lesie i czekał na spotkanie z nią. Przypuszczał nie wiele lat starszy od tamtego Reinholda, może dwa razy starszy; było jednak coś w jego sylwetce i w sposobie poruszania się, co zdradzało, że nie był człowiekiem, który robi dookoła siebie dużo szumu.

Ale psycholog ze mnie, stwierdziła i zachichotała. Nie muszę nawet witać się z ludźmi, żeby stwierdzić, jaki mają charakter.

W tym momencie wyjął klucz. Wsadził go do zamka, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Poczekamy, zobaczymy, pomyślała i poczuła, że zaczyna mieć mokre kolana.

Było czysto i schludnie. Jakby opuściła Logranę, posprzątała i podziękowała.

Wtedy zobaczył na stole wiadomość.

Nie jesteś na mnie zły?

Nie mam odwagi się z Tobą spotkać, ale jeśli wyjdiesz na podwórko i mnie zawołasz, to może się odważyć.

Pozdrowienia

Anna

Przeczytał ją trzy razy i zauważył, że się uśmiecha. Poszedł do kuchni i nastawił wodę. Zaczekał, aż się zagotuje, wyłączył palnik, zestawił garnek.

Wyszedł na podwórko. Znowu się rozejrzał, ale nie zauważył nic szczególnego. Nagle poczuł się śmiesznie; nie wiedział nawet, w którą stronę powinien się odwrócić. Przypuszczał, że jest gdzieś w lesie, prawdopodobnie całkiem blisko domu, w przeciwnym razie nie mogłaby go usłyszeć.

Gdzie powinien stanąć? W którym kierunku patrzeć? Włożył ręce do kieszeni i próbował wyglądać na wyluzowanego. Zupełnie jakby coś takiego przytrafiło mu się codziennie. Jakby ta sytuacja wcale nie była dziwna.

Odchrząknął kilka razy, spojrzął na samochód, a potem głośno powiedział:

– Zapraszam, Anno. Właśnie zaparzyłem kawę.

Nic się nie stało. Dla pewności zmienił pozycję, podszedł do ziemianki i krzyknął jeszcze raz, trochę głośniej:

– Cześć, Anno! Zapraszam, zaparzyłem kawę!
Stał nieruchomo i czekał przez dziesięć sekund, potem wzruszył ramionami i wrócił do domu.

16

– Cześć.

– Cześć.

Siedział przy stole kuchennym, kiedy stanęła w drzwiach.

– To ja jestem Anna.

– Valdemar.

Wstał, podali sobie ręce. Ruchem głowy wskazał jej krzesło i usiedli. Na stole stały dwie filiżanki; swoją zdążył już napęlnić. Na talerzu leżał piernik i kilka kardamonowych sucharków.

– Kawy?

– Tak, poproszę.

Przechylił dzbanek i nalał kawy. Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu, właściwie na siebie nie patrząc.

– Przepraszam – powiedziała. – Przykro mi, że tutaj wtargnęłam.

Poprawił okulary i spojrzał na nią.

– Nic się nie stało.

– Nie jesteś na mnie wściekły?

Potrząsnął głową.

– Nie.

– Dlaczego?

– Może miałaś swoje powody?

Myślała przez chwilę.

– Tak – powiedziała. – To prawda. Mam swoje powody.

Siedział w milczeniu, podczas gdy ona wsypywała cukier, dolewała mleka do kawy i mieszała.

- Ile właściwie masz lat? – zapytał.
- Dwadzieścia jeden.
- Dwadzieścia jeden?
- Tak, skończyłam jakiś miesiąc temu.
- Dałbym ci osiemnaście, góra dziewiętnaście.
- Jestem dość dziecinna, może to widać.

Przyleciała mucha i usiadła na brzegu jego filiżanki, odgonił ją. Zatoczyła koło i usiadła na jej ręce; obserwował ją, a potem odchrząknął.

- Mam córkę w twoim wieku.
- Ach tak?
- To nie jest moja prawdziwa córka. Jestem tylko jej ojczymem.
- Rozumiem.
- Tak to właśnie jest.

Wziął sucharek, zanurzył go szybko w swojej kawie i ugryzł. Ona wybrała piernik, który żuła bez wcześniejszego moczenia w kawie. Minęło pół minuty.

- Może chciałbyś wiedzieć, dlaczego tu przyszedłam?
- Tak, chętnie posłucham.
- Uciekam.

Teraz pochylił się do przodu i zerknął na nią zza okularów.

Wyglądał jak wujek, który ma opowiedzieć bajkę w telewizji, pomyślała. Tylko zapomnieli go ucharakteryzować.

- Uciekasz?
- Tak. W pewnym sensie. Byłam w jednej placówce, ale nie mogłam tam zostać.

– Ale nie uciekasz z więzienia? – zapytał i zaśmiał się trochę nerwowo.

- Nie – odpowiedziała. – Nie jestem przestępcą.
 - To dobrze – odparł. – Cieszę się, że nie jesteś przestępcą.
- Uśmiechnęła się ostrożnie.

– A ja się cieszę, że nie jesteś na mnie wściekły. Po prostu nie miałam dokąd pójść, dlatego tu wtargnęłam.

– Kiedy?
– W sobotę. Przed południem. Właściwie chciałam się tylko przespać kilka godzin, byłam wykończona.
– I zostałaś?
– Tak. Nie mogłam...
– Tak?
– Nie mogłam się zmusić, żeby iść dalej.
Zamyślił się.
– Dokąd? Dokąd chcesz iść?
– Nie wiem.
– Nie wiesz?
– Nie.
– Nie masz domu? Mam na myśli...?
Pokręciła głową.
– Chwilowo nie. Miałam mieszkanie, zanim trafiłam do tej placówki, ale już nie mam.
– A twoi rodzice? Mama? Tata?
Znowu pokręciła głową. Przez chwilę mieszał łyżeczką w kawie. Skupił wzrok na filiżance.
– Ta placówka. Jakiego była rodzaju?
– Dla narkomanów. Jestem narkomanką.
Spojrzał na nią zdziwiony.
– Niemożliwe. Przecież masz dopiero... przecież jesteś taka młoda.
– Tak, nie jestem specjalnie stara. – Wypiła łyk kawy i założyła kosmyk włosów za ucho. – Wcześniej zaczęłam, było jak było.
– Ale co zaczęłaś?
– Piwo i hasz.
– Piwo i hasz. – To nie było pytanie, raczej stwierdzenie.
– Ach tak, naprawdę?
– Tak. Można powiedzieć, że tym się narkotyzowałam przez cały czas. Przez ostatnie lata nie miałam kontroli nad własnym życiem.

Oparł się na krześle i obserwował ją, lekko mrużąc oczy. Znowu zza oprawek okularów.

– Wiesz co, nie dociera do mnie to, co mówisz.

Obróciła głowę i wyrzała przez okno. Nadleciał ptak i usiadł na blaszanym parapecie. Nagle nie wiedziała, co powiedzieć.

– Przykro mi...

– Niepotrzebnie. Nie rozumiem wielu rzeczy. Ale nie wydaje mi się, żebyś była złym człowiekiem.

– Dziękuję. Jaki... a jaki ty jesteś?

Zaśmiał się.

– Ja? Jestem tylko starym ramolem. Nudny jak flaki z olejem, nikogo nie potrafię rozweselić.

– Ale wydajesz się miły.

– Miły?

– Tak.

– Nie jestem miły. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przecież pozwoliłeś mi się tu zatrzymać. Ktoś inny by mnie wyrzucił albo zadzwonił na policję.

– Zadzwoniłem na policję.

Ucichła i spojrzała na niego zaskoczona. Znowu lekko się uśmiechnął, ale zachował powagę.

– Ale nie w tej sprawie. Dzwoniłem rano na policję, bo ranny łoś leżał na poboczu.

– Łoś?

– Tak. Ktoś go potrącił. To nie miało z tobą nic wspólnego, tylko żartowałem.

– Rozumiem. Był ciężko ranny?

– Tak sądzę. Wyglądało to okropnie.

– Co z nim zrobią?

– Z łośmiem?

– Tak.

– Nie wiem. Myślę, że będą go musieli uśpić. O ile już tego nie zrobili.

– Szkoda.

– Tak, też mi go szkoda. – Podrapał się po karku i się zastanowił. – Ruszał głową i wyglądał na zdezorientowanego. Jakby nie pojmował, co się stało... I pewnie tak było. Łosie powinny trzymać się od samochodów z daleka.

– Słusznie.

– Łosie i samochody nie powinny egzystować na tej samej planecie.

– Masz rację. Nigdy o tym nie myślałam.

Wypili po łyku kawy. Potem wstał i poszedł do pokoju. Wrócił z fajką i tytoniem. Na chwilę dotknęła dłonią ust.

– To też pożyczyłam.

– To? Tytoń i fajkę?

– Tak. Przepraszam, ale tak mi się chciało zapalić, a skończyły mi się papierosy.

– Nic nie szkodzi. W takim razie masz szczęście, że wczoraj zacząłem palić.

– Co? Zacząłeś palić wczoraj?

– Tak.

– Dlaczego? Ja zaczęłam, kiedy miałam czternaście lat. Musisz mieć... no tak, w każdym razie musisz być starszy.

Zaśmiał się.

– Mam pięćdziesiąt dziewięć lat. Ale chyba nigdy nie jest za późno na coś nowego?

Ona też się zaśmiała.

– Wiesz co, lubię z tobą rozmawiać. Wydajesz się taki... tak, taki sympatyczny.

– Czy ja wiem, chyba nie jestem taki najgorszy.

Sięgnął po fajkę i tytoń.

– Chcesz, żebym ją dla ciebie przypaliła?

– Czemu nie. Nie mam jeszcze wprawy.

Podał jej fajkę. Napełniła ją i palcem wskazującym ubiła tytoń. Obserwował jej poczynania i kiwał głową, jakby właśnie się czegoś uczył. Zapaliła, wzięła kilka machów i oddała mu fajkę.

– Fajka pokoju – powiedziała. – Chociaż może powinniśmy wyjść na zewnątrz, żeby nie nakopcić w środku?

Wyszli na podwórko. Stali i przez chwilę palili razem przy pompie. Podawali sobie fajkę. Słońce zaszło, a ciemne chmury zapowiadały burzę. W oddali, przy ziemiance, podskakiwało kilka wron.

– Masz ładny dom – powiedziała. – Przyjeżdżasz tu codziennie?

Kiwnął głową.

– Mniej więcej.

– Ale nigdy nie nocujesz?

– Nie.

Myślała przez chwilę.

– Dlaczego? Zresztą to nie moja sprawa, ale...

– Mam go od niedawna – wyjaśnił. – Jakies trzy tygodnie. Najczęściej przyjeżdżam tu w ciągu dnia.

– Aha.

– Tak to jest.

– Czym... masz jakąś pracę, prawda?

Zanim odpowiedział, chwilę się zastanowił.

– Nie, rzuciłem pracę.

Zaciągnęła się trochę za mocno i zaczęła kasłać.

– O kurczę, mocny ten tytoń.

– Sądziłem, że jesteś przyzwyczajona?

– Tylko do papierosów. I haszysz, oczywiście, ale już z tym skończyłam.

– To dlatego byłaś w tej placówce?

– Tak. Ale to, że uciekłam, nie oznacza, że mam zamiar znowu zacząć. Uciekłam dlatego, że... że nie mogłam tam dłużej zostać.

Machnął kilka razy pompą, stulił dłoń na kształt miseczki i wypił trochę wody.

– A twoi rodzice... wiedzą, gdzie jesteś?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nikt nie wie.

Wytarł usta i spojrzał na nią trochę zbity z tropu.

– Nikt? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie, uciekłam w sobotę. Od tej pory jestem tutaj, i nie mam komórki.

– Myślisz, że cię szukają?

Pomyślała.

– Nie wiem. Nie, nie sędzę.

Włożył dłonie do kieszeni spodni i popatrzył w niebo.

– Zaraz znowu zaczną padać. Dolewka kawy?

Weszli do kuchni i usiedli przy stole. Nalał kawy z dzbanka.

– Mogę ci coś powiedzieć? – zapytał.

– Tak?

– Nikt nie wie też, gdzie ja jestem.

– Żartujesz?

– Nie. To prawda.

Przygryzła opuszek wskazującego palca i spojrzała na niego z nagłym niepokojem.

– Nic się nie dzieje – powiedział. – Może to zabrzmiało dziwnie, ale Lograna to jakby moja tajemnica.

– Lograna?

Wskazał ręką.

– To miejsce tak się nazywa. Kupiłem je przed trzema tygodniami i nikomu o tym nie powiedziałem.

– Trzy tygodnie temu?

– Tak.

– Ale chyba jesteś żonaty?

– Oczywiście. Mam żonę i dwoje dzieci. I syna z poprzedniego związku... niedługo skończy czterdzieści lat, ale nie kontaktujemy się zbyt często.

– I twoja żona nie wie, że masz ten dom?

– Nie.

– Nie... nie rozumiem.

Oparł się i skrzyżował dłonie na brzuchu.

– No tak, to się może wydawać trochę dziwne, ale tak to w każdym razie wygląda. Tak, tak to faktycznie wygląda – powtórzył po krótkiej chwili.

Zmarszczyła czoło i zamyśliła się. Żadne z nich nic nie mówiło. Minęło pół minuty.

– Dlaczego nie chcesz o tym komuś powiedzieć? – zapytała w końcu. – Chodzi mi o to, może sama bym tak zrobiła, ale zastanawia mnie... nie, to nie moja sprawa.

Wydawało się, że namyśla się nad odpowiedzią. Mucha wróciła i usadowiła się na środku stołu; przez chwilę ją obserwowali, nie patrząc sobie w oczy, tak jakby stanęli na rozdrożu i byli zmuszeni podjąć decyzję, w którą stronę iść.

– Wiesz co – powiedział, odgoniwszy muchę. – Fajnie, że tu dotarłaś i trochę oswoiłaś dla mnie to miejsce. Naprawdę fajnie.

Poczuła, że jest bliska płaczu.

– Dziękuję. Ale to przecież niedorzeczne. Wzięłam twoje jedzenie. Zapłacę ci, tylko...

Potrząsnął głową.

– Nie ma o czym mówić. Byłaś w potrzebie i przecież nie wyrządziłaś nikomu krzywdy.

– Dziękuję.

– Co zrobiłaś ze swoimi rzeczami?

– Postawiłam je w przybudówce.

– Dlaczego?

– Pomyślałam... sama nie wiem.

Znowu siedzieli w milczeniu i nagle usłyszeli, jak lunął deszcz. Na dach, na parapety, na liście jabłoni – trzy różne głosy, wszystkie pochodziły z nieba i trudno było je zrozumieć.

Wstał.

– Napalimy w kominku – powiedział. – Co ty na to?

– Tak. Dobry pomysł.

Padało przez resztę popołudnia. Ciężkie nawałnice przeplatały lżejszymi, ciągnącymi się ścianami deszczu, ale ani na chwilę nie przestało zupełnie padać. Przyniosła swój plecak i gitarę. Wilgotne pranie ponownie rozwiesiła na oparciach krzeseł, najpierw zapytawszy, czy może; nie miał nic przeciwko temu.

Potem leżał na łóżku i rozwiązywał krzyżówki, a ona siedziała przy stole i czytała. Rozmawiali ze sobą, ale niezbyt dużo. Pojedyncze repliki z długimi przerwami i chwilami milczenia. Pomyślała, że ma wrażenie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

– Skąd pochodzisz?

– Z Örebro. Moja matka jest z Polski.

– Polska? Nigdy tam nie byłem.

– Urodziłam się w Szwecji, ale mówię też po polsku.

– Mhm...

Chwilę później:

– Wiele osób wpada dzisiaj w narkotyki.

– Tak.

– Trudna sprawa.

– Tak.

– Nie ma się z czego śmiać, prawda? Sześć liter, kończy się na k. Jak myślisz?

– Może smutek?

– Masz rację.

– Albo borsuk.

Luźne pytania, luźne odpowiedzi. Oprócz tego całkiem równo rozdzielone; nie tylko on był jej ciekawy.

– Czym się zajmowałeś, kiedy pracowałeś?

– Finansami. Zajmowałem się finansami małego przedsiębiorstwa pod Kymlinge.

– Miła praca?

– Nie.

– Dlatego ją rzuciłeś?

– Tak. Czy twoja mama przypadkiem się o ciebie nie martwi?

Powiedziała, że mama jest chwilowo w Warszawie, żeby opiekować się swoją chorą matką.

– Twoją babcią?

– Tak.

– Więc raczej mało prawdopodobne, by wiedziała, że uciekłeś?

– Mało.

– A twój tata, spotykasz go czasami?

– Prawie nigdy.

– Jest jak jest.

– Tak.

O wpół do pierwszej zjedli lunch. Zupę z proszku, kanapkę i po marchewce.

– Nigdy specjalnie nie przepadałem za gotowaniem – przyznał. – Tak się złożyło.

– Ja też nie – powiedziała. – Obawiam się, że jem za dużo kanapek.

– To tak jak ja – przyznał. – Ale to jeszcze nie jest najgorsze.

– Nie – powiedziała. – Kanapki nie są najgorsze.

Pozmywała, a on wrócił na łóżko i dalej rozwiązywał krzyżówki; kiedy przyszła z kuchni, zobaczyła, że zasnął. Jak tylko znowu usiadła przy stole, dopadły ją nagłe rozterki.

Co ja robię? – pomyślała. Siedzę w pokoju, w domku w środku lasu. W tym samym pokoju leży mężczyzna, który jest starszy od mojego ojca. Ma na imię Valdemar i dzisiaj spotkałam go po raz pierwszy. Trochę chrapie.

Wzięła notatnik i zapisała. Dokładnie spisała swoje myśli, zdanie po zdaniu. „Siedzę w pokoju...”. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to robi; może pomyślała, że wkrótce powstanie z tego tekst piosenki, a może z innych powodów. Po

chwili przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej wujek Julek.

Życie to stawianie pytań; to musiało być Boże Narodzenie, bo zebrała się cała rodzina. Pierogi, bigos, łamanie się opłatkiem i cała ta szopka, a on odszedł z nią na bok, tak jak lubił, kiedy zmęczyli go inni dorośli i ich polityczna gadanina.

Pytań jest dużo, ale tylko trzy są naprawdę ważne.

Gdzie byłeś?

Gdzie jesteś?

Dokąd zmierzasz?

– Jeśli potrafisz na nie odpowiedzieć, to masz życie w swoich rękach, Anno – powiedział.

Zaśmiał się swoim rubasznym śmiechem i popukał wskazującym palcem w jej czoło, tak żeby jej to utkwilo.

I wcale nie chodziło o lokalizację – zrozumiała to. Chodziło też o to, żeby sobie odpowiedzieć, dlaczego. Głównie o to.

Dlaczego ćpałeś Anno?

Dlaczego siedzisz teraz w tym domu?

Dlaczego pójdziesz tam, dokąd zdecydujesz, że pójdziesz?

Na dwa pierwsze nie potrafię odpowiedzieć, pomyślała. Na trzecie tym bardziej. Może jestem w drodze donikąd? Wtedy pozostanie tutaj jakiś czas ma sens, prawda?

Jeśli nie wie się, dokąd iść, najlepiej się nie ruszać. To było dość oczywiste.

Przez kilka chwil obserwowała Valdemara leżącego w rogu łóżka. Zdjął buty i zobaczyła, że w jednej skarpecie ma dziurę. Dłonie splótł na brzuchu, a jego lekkie chrapnięcia w jakiś sposób dawały poczucie bezpieczeństwa. Pasowały do łagodnych uderzeń deszczu o parapet i rynny; zastanawiała się, czy teraz, kiedy w końcu się spotkali, oczekiwał, że sobie pójdzie. Nie wiedziała, a on też nic na ten temat nie powiedział. Zapyta go o to, kiedy się obudzi,

zdecydowała; może poprosi o możliwość zostania tu jeszcze jedną noc, jeśli ciągle będzie padać. Albo może mógłby ją zawieźć do Kymlinge, a stamtąd wzięłaby stopa.

Göteborg? Mglisty plan, który pojawił się w sobotę rano. Dzisiaj, pięć dni później, wcale nie wydawał się szczególnie pociągający. Co miała do roboty w Göteborgu?

Żebym chociaż miała ochotę stąd uciec, pomyślała. Żebym chociaż trochę tego chciała.

Jedyne, na co właściwie miała ochotę – jeśli miałaby być szczerza – to zwinąć się w kłębek pod kocem i przespać, ona również.

Ale były przecież zajęte – zarówno łóżko, jak i koc.

Tak, poproszę, żebym mogła tu zostać do jutra, zdecydowała raz jeszcze. W każdym razie zapytam, najwyżej odmówi.

Zapytam też, czy ma ochotę zapalić ze mną fajkę pokoju.

Obudził się, nie do końca będąc tego świadomym. Śniło mu się, że siedział za swoim biurkiem we Wrigmans, i kiedy otworzył oczy, nie mógł zidentyfikować pokoju, w którym się znajdował. Przy stole siedziała dziewczyna i czytała; była drobna i delikatna, miała gęste, kasztanowe włosy, kąsała knykieć i wyglądała na bardzo skoncentrowaną.

Gdzie ja jestem? – pomyślał Valdemar. Co się stało? Umarłem, a może leżę w szpitalu?

A może ciągle śnię?

Nie upłynęło więcej niż dziesięć sekund – chociaż wydawało się, że dłużej – a już panował nad sytuacją. Leżał nieruchomo i przyglądał się jej przez chwilę.

Była w wieku Signe. Dziwne, wydawały się tak różne, że można było uwierzyć, iż pochodzą z dwóch różnych planet. Od czego to mogło zależeć? Ta dziewczyna wydawała mu się dużo starsza. Starsza, niż naprawdę była. Równocześnie wystarczyło tylko na nią spojrzeć, by stwierdzić, że wygląda młodziej.

Jest w niej jakiś szczególny rodzaj doświadczenia, pomyślał. Oczywiście, przecież trochę już w życiu przeszła.

Oprócz tego czytała i pisała. Signe nigdy; Wilma była w tym trochę lepsza, przynajmniej przebrnęła przez *Harry'ego Pottera*.

Nie wiem, co mam jej powiedzieć, pomyślał nagle. Ciekawe, czy zamierza sobie dzisiaj pójść. Jeśli tak, to chętnie jej wyjaśnię, że może zostać kilka dni.

Źle to zrozumie? Może sądzi, że czegoś od niej chcę, skoro pozwalam jej tu przez jakiś czas mieszkać... Tak, a czego... czego ja właściwie chcę?

Ta myśl go zasmuciła.

Ale tak po prostu zniknąć z tamtego ośrodka, nie mając żadnych planów? Dlaczego to zrobiła? Czy naprawdę jej nie szukali? A może popełnia przestępstwo, przygarniając ją.

– Anno – powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Obudziłeś się?

– Tak.

– Dobrze się spało?

– Ależ tak. Pewnie chrapałem?

– Tylko trochę.

– Anno, mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Dlaczego uciekłaś z tamtego ośrodka?

Zawahała się na chwilę i zaczęła ssać długopis, który trzymała w ręku.

– Nie wyzdrowiałabym tam.

– Ach tak?

– Nie.

– Dlaczego?

– Tam nie można być sobą. Wszyscy mieli być tacy sami, a kierowniczką mnie nie lubiła.

– Anno, ale nie popełniłaś chyba żadnego przestępstwa? Pokręciła głową.

– Żadnego oprócz tego, że brałam narkotyki. I trochę dilo-
lowałam, ale już z tym skończyłam. Nie szuka mnie policja,
jeśli o to ci chodzi.

Usiadł na brzegu łóżka. Założył okulary, które wcześniej
odłożył na parapet.

– To dobrze – oznajmił. – Przepraszam, że zapytałem.

– Dziękuję, że przepraszasz – powiedziała.

Przeciągnął się, ziewnął i wyprostował plecy.

– Trochę to dziwne – stwierdził.

– Że siedzimy tutaj, ty i ja?

– Tak. Nie uważasz?

– Tak, rzeczywiście.

– Co możemy mieć sobie do powiedzenia, my dwoje?

– Nie wiem – odparła. – Masz jakieś hobby?

Zamyślił się.

– Oglądam sport w telewizji – odpowiedział. – Ale poza
tym chyba nie. A ty co lubisz?

Przeczesała włosy palcami i zamyśliła się.

– Czytać.

Skinął głową.

– Też lubię czytać.

– Grać na gitarze – powiedziała. – Śpiewać.

– Mogłabyś mi coś zagrać?

– Chcesz?

– Jasne, że chcę.

– Nie jestem specjalnie dobra.

– Nie musisz. Sama piszesz teksty?

– Próbuję. Ale znam też kilka prawdziwych.

– Prawdziwych?

– Nienapisanych przeze mnie.

Wstał i dołożył do ognia kilka polan.

– Jak zaśpiewasz, to potem wypijemy popołudniową
kawę?

– I wypalimy fajkę pokoju?

– To też.

Wzięła gitarę i zaczęła ją stroić.

– Najpierw zagram chyba coś prawdziwego. Mówiłeś, że ile masz lat?

– A jakie to ma znaczenie?

Zaśmiała się.

– Pomyślałam po prostu, że może rozpoznasz ten kawałek. To lata sześćdziesiąte. *As Tears Go By*.

– *As Tears Go By*? Tak, pamiętam. Czy to nie jest stary kawałek Stonesów?

– Chyba tak. Okej, spróbuję.

I zaśpiewała. Natychmiast uzmysłowił sobie, że zna tekst, w każdym razie początek.

*It is the evening of the day
I sit and watch the children play
Smiling faces I can see
But not for me
I sit and watch as tears go by.*

Miała ładny głos. Chropowaty i głęboki – głębszy, kiedy śpiewała, niż kiedy mówiła. Jeśli tylko by ją słyszał i nie miał jej przez oczami, zgadywałby, że głos należy do kobiety co najmniej dwa razy starszej od tej, która teraz przed nim siedziała i ze skoncentrowaną miną zmieniała chwytę na gryfie gitary – i nim się spostrzegł, z jego oczu trysnęły łzy. Zobaczyła to, ale nie przestała śpiewać. Tylko się do niego uśmiechała, a on pomyślał, że jakby umarł właśnie teraz, w tym momencie, to nie byłoby to takie straszne.

Tak, dokładnie ta myśl zaświtała w głowie Ante Valdemara Roosa i nie zrobił nic, żeby ją wyprzeć. Wyśmiać ją albo wytrzeć nadgorliwą chusteczką rozsądka.

Kiedy skończyła, przez chwilę siedzieli oboje w milczeniu i patrzyli w ogień.

– Dziękuję, Anno – powiedział później. – To najpiękniejszy kawałek, jaki słyszałem od bardzo, bardzo dawna.

– Pasuje do mojego głosu – stwierdziła. – Mam alt, nawet niski alt.

Skinął głową.

– Kawa?

– I fajka pokoju?

– I fajka pokoju.

Kiedy w drodze do domu mijął Rimmersdal, zobaczył, że wywieźli łośia. Istniało oczywiście niewielkie prawdopodobieństwo, że doszedł do siebie i opuścił rów o własnych siłach, ale trudno mu było w to uwierzyć.

To był dziwny dzień. Kiedy zaparkował na swoim stałym miejscu przed piekarnią Lilje, zrozumiał, że trudno mu będzie spotkać się z Alice i dziewczynkami. Czuł, jakby teraz nie do końca należały do jego świata – albo raczej on nie należał do ich świata – i miał nadzieję, że mieszkanie będzie puste. Wtedy zamknie się w łazience, zgasi światło, zanurzy się w ciepłej wodzie i przemyśli swoje życie. Wydawało się, że jest to jedyna, względnie sensowna czynność, jakiej mógłby się oddać w ciągu najbliższych godzin.

Ale mieszkanie nie było puste. W kuchni siedziały Alice, Signe i nieznajomy, młody mężczyzna z długimi, ciemnymi włosami, w żółtej rozchełstanej koszuli.

– Valdemar, to jest Birger – powiedziała Alice. – Narzeczony Signe.

Według Valdemara Birger Butt – bo tak się chyba nazywał – nie wyglądał na narzeczonego.

Bardziej na kogoś, kto próbuje zachować twarz po zajęciu ostatniego miejsca na Konkursie Piosenki Eurowizji, pomyślał Valdemar. Czy jak to się teraz nazywa.

Signe położyła rękę wysoko na jego udzie, przypuszczalnie by zrozumiał, że nie musi wstawać, kiedy Valdemar podał mu rękę. Jego spodnie były równie czerwone, jak żółta była jego koszula.

– Miło mi – powiedział Valdemar.

- Siema – odparł Birger Butt.
- Birger zostaje na obiedzie – poinformowała Alice.
Może zająć moje miejsce, pomyślał Valdemar.
- Rozumiem – powiedział Valdemar. – A więc jesteście zaręczeni?
 - Valdemar – rzuciła Alice.
 - Chodź Birger, pójdziemy do mojego pokoju – oznajmiła Signe.
- Wyszli z kuchni.
 - Idiota – powiedziała Alice do Valdemara.
 - Sądziłem, że narzeczony oznacza, iż były zaręczyny – stwierdził Valdemar.
 - Nie rozumiem cię – rzekła Alice. – Czy on nie jest miłutki?
 - Nie – rzucił Valdemar. – Ale może pasuje do Signe.
 - Co to miało znaczyć? – zapytała Alice.
 - To miało znaczyć, że może do siebie pasują – uściślił Valdemar.
 - Porozmawiamy o tym później – powiedziała Alice. – Teraz musisz mi pomóc przy obiedzie. Chcę, żebyśmy zrobili dobre wrażenie, jego ojciec jest właścicielem dobrze prosperującej firmy.
 - Wspaniale – oznajmił Valdemar. – Czym się zajmują?
 - Chyba zaopatrują punkty z fast foodem – odparła Alice – w majonez ogórkowy, sałatkę krewetkową i tym podobne. W całym kraju.
 - Interesujące – powiedział Valdemar.
 - Tak, fajnie, że w końcu kogoś znalazła, prawda?
 - Najwyższy czas – stwierdził Valdemar.

Czwartek był dość podobny do środy. Kiedy o wpół do ósmej rano poszła się wysikać, na moment przestało padać, ale trawa była mokra, a krótką chwilę później znowu się rozpadało.

I tak przez cały dzień, mniej lub bardziej. Valdemar dotarł o zwykłej porze; pomogła mu wyładować z samochodu siatki i poszli z nimi do kuchni. Zrobił porządne zakupy: oprócz trzech toreb z jedzeniem z ICA przywiózł także piłę, siekierę, worek ściółki torfowej do wychodka, parę kaloszy, grube skarpety i kilka innych rzeczy.

Na przykład dużą puszkę białej farby malarskiej. Pędzle, wałki i korytka malarskie.

– Pomyślałem, że pomaluję w środku – wyjaśnił. – Żeby nie było tak norowato.

– Pozwól mi to zrobić – zaproponowała natychmiast. – W... w podziękowaniu za gościnę.

– Nie musisz przecież... – próbował, ale mu przerwała.

– Czemu nie? Jestem w tym dobra. Malowałam w domu u matki i w mieszkaniu, które zajmowałam.

– Hmm... – zamruczał i przyjrzał się jej zza oprawek okularów.

– Poza tym uważam, że to dobry pomysł – oznajmiła. – Białą kolor odświeży to wnętrze.

– Taa... – powiedział. – Sam nie wiem...

– Daj spokój, chcę coś dla ciebie zrobić, proszę...

Wzruszył ramionami.

– Nie przepadam aż tak bardzo za malowaniem, żebyś koniecznie musiał to zrobić sam. Powinnaś się z tym uporać w weekend.

– Nie przyjedziesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Mam inne plany.
– Rozumiem.
– To i owo. Jak już wspomniałem.
– Aha. Dobrze, mogę malować w sobotę i niedzielę. Jeśli pozwolisz mi tak długo zostać, rzecz jasna?

– W takim razie pozwalam.

Mówiąc to, uśmiechnął się, a ona pomyślała, że szkoda, że nie jest jej tatą. To była myśl, która pojawiła się bez ostrzeżenia i sprawiła, iż ona też się lekko zaśmiała.

Potem pochowali zakupy w lodówce i w szafkach, a następnie wypili przedpołudniową kawę.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Proszę.

– Myślałam o tym wczoraj wieczorem, po twoim odjeździe. Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

– Zawsze ma się takie prawo.

– To znaczy?

– Odpowiadać tylko wtedy, kiedy się chce.

Zamyśliła się nad tym.

– Pewnie masz rację. Zastanawiałam się, przyjeżdżasz tutaj do Lograny codziennie?

– Tak, chyba tak. To znaczy w tygodniu.

– I twoja żona o tym nie wie?

– Nie.

– A tak w ogóle, to jak ona ma na imię?

– Alice. Ma na imię Alice.

– A Alice myśli, że dokąd codziennie jeździsz?

Splótł dłonie, łokcie oparł o stół, a podbródek na kostkach. Wydawał się szukać właściwych słów. Minęło kilka sekund, a potem westchnął z rezygnacją.

– Do pracy, oczywiście.

– Do pracy?

– Tak.

– Ale przecież rzuciłeś pracę?

– Ale jej o tym nie powiedziałem.
Obserwowała go zmieszana.

– Nie bardzo rozumiem.

– No tak – odparł i odchylił się do tyłu. – Jasne, że nie rozumiesz. Ale nie zakładałem też, że cię spotkam i będą ci musiał wszystko tłumaczyć.

– Oczywiście, że nie.
Zdjął okulary i znowu westchnął.

– Życie nie zawsze jest tak cholernie zabawne, chyba to wiesz?

– Tak – przyznała. – Jasne, że wiem.

– Czasami trudno wytrzymać.

– Mhm?

– Wyszło, jak wyszło. Nie wytrzymałem, rzuciłem pracę i kupiłem to.

– Dlaczego nie wytrzymałeś?

Znowu się zamyślił. Dla odmiany splótł dłonie za karkiem i spojrzał na sufit.

– Nie wiem. Tak wyszło.

– Tak wyszło?

– Tak. Nie sięgnąłem dna, jeśli o to chodzi.

– Mhm...

– Właściwie to też mam w dupie – kontynuował. – Kiedy ma się tyle lat co ja, trzeba pewne rzeczy zaakceptować bez ich rozgrzebywania. Na przykład to, że jest się tym, kim się jest.

Ze zdziwieniem podniosła brew. Potem się zaśmiała.

– Wiesz co, Valdemar, cieszę się, że cię spotkałam. Bardzo się cieszę, jesteś taki...

– Tak?

– Orzeźwiający, tak sądzę.

– Orzeźwiający?

– Tak.

– Zwariowałaś, Anno. – Ale uśmiechnął się, on także. – Żal mi ciebie, skoro tak uważasz. Jestem mniej więcej tak

orzeźwiający jak wysypisko śmieci. Położę się i porozwiążę przez chwilę krzyżówki. Jest zbyt mokro, żeby waleśać się dzisiaj po lesie, jak sądzisz?

Wyrzała przez okno.

– Tak – powiedziała. – Masz rację. Chciałam cię o coś poprosić... Mam nadzieję, że nie będziesz zły.

– Zły? Dlaczego miałbym być zły? O co chodzi?

– Masz komórkę, prawda?

Valdemar poklepał ręką po kieszeni na piersi.

– Tak, leży tu i sobie śpi, dzisiaj także.

– Czy mogłabym ją pożyczyć i zadzwonić do matki. Puszczę tylko sygnał, a ona oddzwoni. To cię nie będzie prawie nic kosztować.

Valdemar skinął głową i podał jej komórkę.

– Usiądź tu w kuchni i porozmawiaj. Rozprostuję trochę kości.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Ania, stało się coś?

– Czy możesz oddzwonić do mnie pod ten numer?

Wyłączyła się i czekała. Minęło prawie pięć minut, zanim usłyszała sygnał.

Czemu? – zdążyła pomyśleć Anna. Dlaczego nigdy nie może oddzwonić od razu? Zawsze jest coś ważniejszego.

– Ania, stało się coś?

Ten sam początek. Słowo w słowo.

– Tak – powiedziała Anna. – Stało się.

– Ciągle jestem u mamy w Warszawie, wiesz przecież.

Rozmowy są drogie.

– Wiem. Chciałam tylko powiedzieć, że nie jestem już w Elvafors.

– Jak to? Boże drogi, Anno, dlaczego?

– To nie dzwonili do ciebie i ci nie mówili?

– Nie. Ale czemu...?

– Uciekłam stamtąd. To było okropne miejsce, ale nie martw się o mnie. U mnie wszystko dobrze.

– Gdzie teraz jesteś w takim razie?

Musiała przypomnieć sobie nazwę.

– Jestem w miejscu, które nazywa się Lograna.

– Lograna? Co to takiego?

– To dom w środku lasu. Pomieszka tu jakiś czas, potem zobaczymy. Jak długo będziesz w Polsce?

Matka westchnęła, a Anna usłyszała, jak ktoś włącza telewizor. Matka poprosiła kogoś o imieniu Mariusz o ściszenie dźwięku.

– Anno, nie wiem, jak długo będę tu musiała zostać. Z mamą jest dość kiepsko. Leży w szpitalu, nie wiadomo, czy tym razem z tego wyjdzie.

Anna poczuła pieczenie w gardle i w oczach.

– A Marek?

– Jest u Ewy i Tomka. Ma się dobrze. Chociaż może tu przyjedzie, nie wiem.

– Aha.

– Ale ta... Lograna? Gdzie ona jest? U kogo mieszkasz?

– Wszystko w porządku – powiedziała Anna. – Nie martw się. Zadzwoiłam tylko, żeby ci powiedzieć, że nie jestem już w Elvafors.

– Anna, chyba nie... nie zaczęłaś chyba...?

– Nie – odpowiedziała Anna. – Nie zaczęłam. Pa, mamo.

– Pa – powiedziała matka. – Uważaj na siebie, Anno.

Szybko zakończyła rozmowę, zanim zdążyła się rozplakać.

Niech to szlag, pomyślała. Dlaczego musi tak być?

O piątej jak zwykle pojechał do domu; obiecał przywieźć następnego dnia papier ścierny i rolkę taśmy maskującej.

Nie rozmawiali zbyt dużo po południu, prawie cały czas padało i porządnie palili. Czytali i rozwiązywali krzyżówki, a ona zaśpiewała mu piosenkę. Inny kawałek z lat sześćdziesiątych, który też rozpoznał. *Are You Going to Scarborough Fair.*

– Anno, śpiewasz tak pięknie, że wydaje mi się, jakbym był w niebie – powiedział.

– Może niebo tak właśnie wygląda – odpowiedziała i zaśmiała się.

– Czemu nie? – zgodził się. Rozejrzał się po surowym pokoju i też się zaśmiał. – Anna i Valdemar w niebie zwanym Lograną.

Trochę posmutniała, kiedy pojechał.

Niebo? – pomyślała. Tak, może mają rację. Może to takie proste.

– Nigdy nie będzie lepiej – powiedział, jeszcze zanim wsiadł do samochodu i odjechał. – Ale jesteś za młoda, żeby to wiedzieć.

Nie rozumiała, co miał na myśli; a może rozumiała. Była to jednak ponura prawda, której nie chciała przyjąć do wiadomości.

Dokładnie tak, jak to podkreślił – była za młoda. Pomyślała, że powinna być zadowolona. Miała tu zostać jeszcze co najmniej trzy dni. Pomalować ściany i trochę pomóc; lubiła malować i skoro chciała tu dalej mieszkać, to on prawdopodobnie jej nie odmówi. Jeszcze kilka dni w każdym razie. Jakiś tydzień. Co w tym złego? Skąd się wziął ten nagły smutek?

To nie przez Logranę była przygnębiona i pozbawiona energii – nawet jeśli euforia pierwszych dni nie mogła być wieczna. Euforia – lubiła to słowo. Bo jeśli istniało takie słowo, to musiało także istnieć uczucie. Przypomniał jej się wiersz Gunnara Ekelöfa, który czytali w liceum; szkoda, że na lekcjach szwedzkiego nie można było zajmować się tylko poezją, wtedy nie czułaby się tam aż tak źle.

Teraz chodziło o inne uczucie. Pewien rodzaj przygnębienia i rozumiała, że to rozmowa z matką ciągle w niej siedzi i sprawia, że jest smutna. Głównie to; kiedy odechciewało jej się żyć, matka zawsze była najważniejszą nicią, jaka ją z tym życiem łączyła, i kiedy dotarło do niej, jak jest cienka

i nieuchwytna, cóż, wtedy ciemność i otchłań zbliżyły się niebezpiecznie.

Young girl, try to be brave girl – próbowała dodać sobie otuchy. Siedziała przez chwilę z notatnikiem i długopisem, pisała i skreślała jedną żalną linijkę tekstu po drugiej. Nie szło jej; słowa na papierze, kiedy tylko rzuciła na nie okiem, wyglądały tak banalnie i bezsensownie, że po dwudziestu minutach się poddała. Wyszła i stanęła pod daszkiem wystającym nad drzwiami; wypaliła cały tytoń, którym nabiła fajkę, aż zakręciło jej się w głowie i poczuła lekkie mdłości. Uporczywy deszcz otaczał ją jak cienki, ale wrogi mur i zrozumiała, że jeśli tylko miałyby dostęp do narkotyków, czegoś mocniejszego niż tytoń, wzięłyby bez sekundy wahania.

Tak to jest, pomyślała, kiedy rozpałała nowy ogień i skuliła się pod kocem. Nie wystarczy być silną dziewięćdziesiąt razy, setny raz też trzeba sobie poradzić.

Zasnęła, mimo że była dopiero siódma, a kiedy się obudziła dwie godziny później, w pokoju było ciemno, a ogień zgasł. Poczuła, że zmarzła; nie zapalając światła, naciągnęła na siebie grubszy sweter, który wisiał na oparciu krzesła, a gdy później wyjrzała przez okno, zobaczyła, że na drodze stoi jakiś mężczyzna i obserwuje dom.

19

Valdemar obudził się z wyraźnym niepokojem w piersiach.

Czuł, jakby brakowało mu tchu; zacisnął dłonie i zanim odwrócił głowę, żeby sprawdzić, która godzina, wziął kilka głębokich wdechów z otwartymi ustami. Wpół do piątej. Zastanawiał się, czy coś mu się śniło i stąd ten niepokój.

Trudno powiedzieć, nie przypominał mu się żaden sen. Uszczypnął się w skrzydełko nosa i stwierdził, że naprawdę

się obudził. Potem leżał i myślał przez kilka minut, a kiedy doszedł do wniosku, że sen nie ma zamiaru powrócić, wstał i poszedł do łazienki.

Kwadrans później kompletnie ubrany jadł śniadanie i czuł się gotowy do ucieczki. Mocne słowa, ale kiedy się zastanowił, dotarło do niego, że tak właśnie jest.

Gotowy do ucieczki? Boże drogi.

Tak to właśnie wyglądało – z każdym mijającym dniem ostatnich tygodni – odkąd wygrał w Lotto i stał się właścicielem Lograny – coraz trudniej było mu znosić towarzystwo Alice i córek.

To jest jak nasilający się świąd, pomyślał; bez wątpienia towarzyszy mu silne i uzasadnione poczucie wstydu, ale to, że musiałby teraz spędzić poranek ze swoimi bliskimi, nagle wydało mu się nie do zniesienia.

Pomyślał o tym, co kiedyś powiedział jego ojciec: „To nie tygodnie i lata są trudne, mój chłopcze, trudne są minuty i godziny”.

Niepokój, z którym się obudził, ciągle wisiał w powietrzu. W jakiś dziwny sposób wydawał się mieszać z innymi wspomnieniami o ojcu. Późnymi obrazami, głównie z tego ostatniego okresu, kiedy Eugen Roos był tak przygnębiony, że nie odzywał się już ani słowem. Valdemar bardzo dobrze pamiętał te miesiące. Jak ojciec prawie całe dnie siedział przed kuchennym oknem, gapił się na smętne budynki fabryczne po drugiej stronie torów kolejowych i wydawało się, że nie obchodzi go nic, co się dookoła niego dzieje.

Że żona i syn próbowali z nim rozmawiać.

Że mieli gości.

Że brzozy zwiastowały nadejście wiosny.

Jakby siedział i topił się w swoim wewnętrznym mroku.

A teraz jego syn siedział i wyglądał przez inne kuchenne okno. Czterdzieści siedem lat później. Nie było torów kolejowych i budynków fabrycznych; zamiast tego dach z czerwonej dachówki i kilka ściętych lip – zastanawiał się, czy

naprawdę musi czekać dwie męczące godziny, zanim wyruszy do miejsca, gdzie teraz działo się wszystko, co miało w jego życiu jakiegokolwiek znaczenie.

Kiedy zrobiło się dwadzieścia po siódmej i istniało ryzyko, że Alice zacznie wstawać i o sobie przypomni, podjął decyzję. Przyniósł z pracowni kartkę papieru, szybko napisał wiadomość, że ma w pracy dużo do zrobienia i dlatego wyjechał trochę wcześniej.

Jak zawsze podpisał się swoim „V” i pospieszył do przedpokoju. Odnotował, że stoją tam jasnoniebieskie sandały Birgera Butta, założył kurtkę i wyszedł z domu.

Właśnie otworzono piekarnię Lilje. Zapach świeżo pieczonego chleba wydobywał się przez otwarte na oścież drzwi jak niezidentyfikowana obietnica i niepokój Ante Valdemara Roosa prysnął w ciągu jednej sekundy.

Świeże bułeczki na śniadanie w Logranie, pomyślał i wszedł do piekarni.

Kupił nie tylko bułeczki, ale także razowy chleb i paczkę małych sucharków. Stwierdził, że z całą pewnością poznał kobietę stojącą za ladą; było w niej coś znajomego i wyjeżdżając z miasta prawie pustymi ulicami – naprawdę była różnica między pięć po siódmej a kwadrans po ósmej – zastanawiał się nad tym, gdzie ją wcześniej spotkał. Dość długo nie był w piekarni Lilje, ale był pewien, że widział ją gdzie indziej.

Na środku Rockstarondellen wpadł na to, że to była żona Nilssona; matka sześciorga dzieci należąca do któregoś z tak zwanych wolnych Kościołów. Raz, kilka lat temu, przyszła w odwiedziny do Wrigmans i było coś w jej rudych włosach i płonąącym spojrzeniu, co zapadało w pamięć.

Zwłaszcza w tym drugim; to były oczy, jakie mogła mieć tylko kobieta, która widziała Chrystusa. Zresztą, kiedy się nad tym głębiej zastanowić, w spojrzeniu Nilssona też było coś szczególnego; prawdopodobnie dotyczyło to nie tylko

wierzących kobiet, ale także mężczyzn. Ten pozytywny wymiar.

On sam nie wierzył w Boga. W każdym razie nie w tego Ojca Niebieskiego z białą brodą.

Może istnieje coś innego, myślał. Coś większego, czego nie możemy pojąć, i o to w tym chodzi.

Przez kilka miesięcy po tym, jak jego ojciec odebrał sobie życie, splatał czasami dłonie i wysyłał niepewną modlitwę, pamiętał to – ale nigdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi i dał temu spokój. Życie to jedno, a to, co ewentualnie po nim nastąpi, to już zupełnie inna kwestia.

Dlaczego mam myśleć o czymś, czego nie mogę sobie wyobrazić? – zadawał sobie czasem pytanie. Kiedy tak trudno mi pojąć to, co mnie otacza.

Tak czy siak, to nie był ranek na pseudoteologiczne rozmyślania; dało się to wyraźnie zauważyć, kiedy wyjechał na drogę numer 172 i we wstecznym lusterku zobaczył przebłyskującą między drzewami ciemną wodę Kymmen i słonce zaczynające przebijać się przez chmury.

Raczej na wypicie kawy i zjedzeniu świeżych bułeczek. Razem z młodym gościem, tam w Logranie. Dwa krzesła i taboret przy ścianie przybudówki, fajka i dolewka kawy – czasami życie jest tak proste, że prawie śmieszne.

Skąd wziął się ten niepokój, z którym obudził się przed paroma godzinami, i gdzie się podział? Cóż, nie ma co się nad tym zastanawiać.

Zaparkował przy jabłoni i wysiadł z samochodu. Żadnego życia z wyjątkiem kilku późnych trzmieli brzęczących w rezedzie przy kamiennej podmurówce. Może spała, nie było jeszcze ósmej. Młodzi ludzie rano długo śpią – wiedział to: Wilma i Signe były pod tym względem mistrzyniami świata – a poza tym nie spodziewała się go wcześniej niż o wpół do dziewiątej.

Nacisnął klamkę. Zamknięte.

Poszukał klucza, ale nie leżał na swoim miejscu.

Oczywiście, pomyślał. Na noc, rzecz jasna, zamyka się na klucz od środka, też bym tak zrobił.

Kilka razy lekko zapukał, ale nie było reakcji. Dobijał się też pięścią, zanim nie poszedł do jednego z okien w pokoju i nie stuknął w nie kilka razy haczykiem okiennym. Dziwne, że był umieszczony na zewnątrz, wcześniej o tym nie pomyślał.

Minęło pięć sekund, potem otworzyła okno i wystawiła głowę.

– Przepraszam, nie chciałam cię trzymać na zewnątrz. Tak trudno mi było wczoraj zasnąć.

– Nic nie szkodzi – powiedział Valdemar. – Jest dopiero ósma, przyjechałem dzisiaj trochę wcześniej.

– Dopiero ósma? Zaczekaj, już idę otworzyć.

– Ładny poranek – stwierdził, położywszy na stole torbę z pieczywem. – Kupiłem nam kilka świeżych bułeczek. Dlaczego miałaś problemy z zaśnięciem?

Przygryzła wargę i zawahała się.

– Trochę się bałam – przyznała.

– Bałaś się? Czego?

– Właśnie kiedy miałam się położyć, odkryłam, że jakiś mężczyzna stoi i patrzy na dom.

– Co? – zapytał Valdemar.

Skinęła głową z powagą.

– Co ty, u licha, mówisz? – chciał wiedzieć Valdemar.

– No tak, stał tam na drodze i gapił się na wprost. Choć lernie spanikowałam.

– I co się stało?

Wzruszyła ramionami.

– Nic. Nie włączyłam światła, nie wiem, czy mnie widział. Schowałam się i kiedy wyrzalam chwilę później, już go nie było.

Valdemar myślał przez chwilę.

– To chyba nie było takie niebezpieczne. Może to tylko rolnik z Rödmosse, który był na spacerze. Albo grzybiarz.

– Wiem, też tak pomyślałam. Chociaż dochodziła dziewiąta i było dość ciemno. No tak, w każdym razie trochę się wystraszyłam, dlatego nie mogłam zasnąć.

Valdemar zaśmiał się i poklepał ją po ramieniu.

– Wiesz, co zrobię? Kupię broń, prawdziwą śrutówkę, tak żebyś mogła się obronić, jak przyjdą nieproszeni goście.

Anna się zaśmiała, ona także.

– Okej – powiedziała. – A zresztą, czy nie miałeś przywieźć dzisiaj papieru ściernego i innych takich?

Valdemar odchrząknął.

– No niby tak, ale zrobimy inaczej – oznajmił. – Najpierw zjemy śniadanie i zapalimy fajkę, a potem pojedziemy razem do miasta na zakupy.

Nie mogła ukryć swojego zadowolenia. Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go uściśniła.

Jak dziesięciolatka w Wigilię, zdążył pomyśleć. Dokąd to właściwie zmierza?

Ale nie było czasu, żeby rozważać tę kwestię.

– Dziękuję, Valdemar – powiedziała. – Wiesz co, miałam naprawdę wielkie szczęście, że cię spotkałam. Po prostu aż trudno w to uwierzyć.

Poczuł, że się czerwieni – sądził, że przestał to robić przed czterdziestoma laty – i trochę zażenowany podrapał się po karku.

– E tam, gadanie – rzucił. – Robimy kawę.

– Co powiesz na lunch, skoro już jesteśmy w mieście?

Było wpół do dwunastej. Kupili nie tylko papier ścierny i taśmę maskującą, ale również trochę innych rzeczy, które według Valdemara mogły być potrzebne: dwie ścierki do podłogi, czerwono-białe obrusy, łapki do garnków, drewnianą miskę, kilka świeczników, wycieraczkę, haki do zamocowania na ścianie, dwa składane krzesła ogrodowe i pasujący do

nich stół. Samochód pękał w szwach. Anna nie była w żadnym mieście od półtora miesiąca, prawie tak samo długo nie robiła zakupów – z wyjątkiem papierosów i czekolady, kiedy z dziewczynami z Elvafors jechała do Dalby – i po dwóch godzinach uganiania się między różnymi sklepami a Norra Torg w Kymlinge, gdzie zaparkowali, była podekscytowana i oszołomiona.

Prawie szczęśliwa.

Jestem jak dziecko w wesołym miasteczku, pomyślała i jak bumerang powróciła tamta myśl, że powinien być jej tata.

– Lunch? – zapytała. – Ale chyba nie możemy...?

– Jasne, że możemy – oznajmił. – Idziemy do restauracji Ljungmans na smażonego śledzia z ziemniakami. Chyba lubisz śledzia?

– Nie wiem – odpowiedziała Anna. – Nie sądzę, że bym go kiedykolwiek jadła.

Valdemar wytrzeszczył na nią oczy.

– Masz dwadzieścia jeden lat i nigdy nie jadłaś smażonego śledzia? Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że mnie spotkałaś.

– A myślisz, że co innego robię – powiedziała. Wsunęła mu rękę pod ramię i poszli na skos, przez rynek, do Ljungmans.

– Dobre?

– Pyszne.

– Sama widzisz. Tylko musi być do tego sos żurawinowy. Najlepiej z surowej żurawiny.

– Nie sądziłam, że przykładasz taką wagę do jedzenia.

– Czasami – powiedział Valdemar. – W kwestii śledzia i piure ziemniaczanego jestem bardzo wybredny.

Anna wypita swoją colę i rozejrzała się po wypełnionym lokalu.

– Jak myślisz, co sobie myślą?

– O czym? – zapytał Valdemar.

– O nas – odparła Anna. – Że jesteś ojcem, który wyszedł z córką na lunch? Albo...?

Valdemar pomyślał.

– Czemu nie? Ale równie dobrze moglibyśmy być kolegami z pracy.

– Tak, chociaż ty już przecież nie pracujesz. Ale oni nie mogą tego wiedzieć. Jest... jest tu ktoś, kogo znasz?

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział Valdemar i z niewielkim zakłopotaniem rozejrzał się dookoła.

– Nie sądzę. Nie mam wielu znajomych, jestem samotnikiem, już mówiłem.

– Uważam, że ani trochę nie jesteś samotnikiem – oznajmiła Anna, kładąc dłoń na jego ramieniu i szeroko się do niego uśmiechając.

Podoba mi się to, że ma odwagę tak otwarcie się do mnie uśmiechać, pomyślał Valdemar. Naprawdę.

– Tylko dlatego że mam takie urocze towarzystwo – powiedział. – Ale może powinniśmy się już zebrać do Lograny, co ty na to? Żebym przynajmniej zdążył uciąć sobie moją popołudniową drzemkę.

– Jasne – odparła Anna. – Potem zacznę malować, jak już sobie pojedziesz. Trochę szkoda, że...

– Tak?

– Że nie przyjedziesz przed poniedziałkiem i nie zerkniesz, jak mi idzie.

– Zobaczymy – oznajmił Valdemar. – Jak się uda, to może wpadnę w niedzielę.

– Mam nadzieję.

Wstali od stolika i skierowali się do wyjścia; w drzwiach wpadli na parę, która właśnie wchodziła, mężczyznę i kobietę około pięćdziesiątki.

– Cześć, Valdemar – powiedziała ze zdziwieniem kobieta.

– Cześć – odpowiedział Valdemar.

– Wszystko w porządku?

– Ależ tak – rzucił Valdemar i przecisnął się obok, holując przed sobą Annę.

Wyszli na rynek.

– Kto to był? – zapytała.

– Mężczyzny nie znam – powiedział Valdemar. – Ale obawiam się, że kobieta była jedną z najlepszych przyjaciółek mojej żony.

– O kurcze! – odparła Anna. – Sądzisz... mam na myśli...

– Olewamy to na razie – zdecydował Valdemar. – Później będziemy się tym martwić. Teraz porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

Wyjechał z Lograny zaraz po piątej i nagle dopadło ją uczucie opuszczenia. Przykleiło się jak mokry koc.

Jestem żałosna, pomyślała. Znam go dopiero od trzech dni, a już lgnę do niego jak szczeniak do swojej matki. Jak mogłam kiedykolwiek przypuszczać, że sama poradzę sobie w świecie? *Young girl, dumb girl.*

Usiadła na jednym z tych nowych krzeseł na podwórku i zapaliła fajkę. Słońce nie zaszło jeszcze za szpalerem drzew, było ciepło i przyjemne. Chciałabym tu mieszkać naprawdę. I żeby Valdemar, mój przyszywany tata, też tu mieszkał. I żeby... żebyśmy miały pracę, do której jeździłabym codziennie rowerem albo skuterem i żebyśmy ani trochę nie musiały martwić się przyszłością.

Wiedziała, że to dziecinne myśli i że właśnie dziecinność idzie w parze z narkotykami.

Trudno było dorosnąć. Wszyscy jej uzależnieni znajomi byli podobni: chcieli zatrzymać się na etapie dzieciństwa, może dlatego, że nie dane im było go przeżyć, kiedy byli mali.

Tak, przypuszczalnie właśnie dlatego. Z jakiegoś powodu zostali pozbawieni wszystkiego, co było tak ważne w pierwszych latach życia – zabaw, śmiechu, wolności, bez troski – i chcieli to sobie teraz zrekompensować, pakując w siebie jeden narkotyk za drugim.

Kurwa, jakie to tragiczne, pomyślała Anna, i w stu procentach skazane na niepowodzenie.

W każdym razie taką teorię lubili prezentować wszyscy eksperci, pomyślała po chwili. Zazwyczaj się z nimi nie zgadzała, ale w tym wypadku musiała im przyznać rację. Jeśli istniał jakiś wspólny mianownik dla wszystkich *loserów* na świecie, to było to chyba skradzione dzieciństwo.

Odłożyła fajkę i splotła dłonie.

Kochany, dobry Boże – modliła się. – Czy mógłbyś mieć mnie na oku? Naprawdę nie chcę się znowu stoczyć, chcę godnie żyć. Szczegóły nie są takie ważne, ale sądzę, że będę potrzebować dużo poczucia bezpieczeństwa, przynajmniej w najbliższym czasie. Dziękuję, że postawiłeś na mojej drodze Valdemara. Niech zostanie w moim życiu jak najdłużej. Wydaje mi się, że ja też jestem dla niego małym wsparciem. Z góry dziękuję, ciepłe pozdrowienia od Anny. Amen.

Siedziała na krześle jeszcze przez chwilę, aż do momentu, kiedy słońce zaszło za lasem na lewo i zaczął się wkradać wieczorny chłód. Wtedy weszła do domu, żeby zabrać się za malowanie.

20

– Faringowie przychodzą do nas dzisiaj wieczorem. To chyba dobrze?

– Co?

– Nie będziesz musiał iść do jego gabinetu w poniedziałek.

Była sobota rano. Valdemar leżał w łóżku z gazetą, okruciami chleba i kawą. Alice wyszła właśnie spod prysznicza.

– Wiem, mieliśmy pojechać i spotkać się z Matsem i Rigmor – kontynuowała. – Ale mają jakiś problem z psami, więc zadzwoniłam do Faringerów.

- Zadzwońska, biorąc prysznic?
- Nie, zrobiłam to wczoraj wieczorem.
- Nic nie powiedziałaś.
- To prawda.

Valdemar czekał na jakieś wyjaśnienie, ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego Alice weszła na wagę i z zatroskaną miną przyglądała się wynikowi.

- Pieprzona waga - wymamrotała półgębkiem.

Potem zeszła i powtórzyła procedurę. Z tego, co mógł ocenić, tym razem wynik był równie druzgocący.

- Ach tak - powiedział. - W takim razie poświęcimy sześć godzin na zakupy i gotowanie?

- Nie - odparła Alice. - Ustaliliśmy, że będą tylko małe i pieczywo czosnkowe. Ja i Ingegerda wszystkim się zajmujemy, a ty porozmawiasz z Gordonem. Zapytałam go i się zgodził.

Valdemar dopił swoją kawę i zamknął oczy.

- Rozumiem - powiedział. - Więc podczas gdy ty i pani Faringer będziecie przygotowywać mule i degustować wino w kuchni, pan Faringer i ja będziemy siedzieć w pracowni i zgłębiać moją depresję.

- Dokładnie - odparła Alice. - Coś w tym złego?

Valdemar pomyślał.

- Nic, kochana Alice. To przecież fantastyczny pomysł. Jak na to wpadłaś?

- Co?

- Mam nadzieję, że Wilma, Signe i Birger Butt też będą - kontynuował Valdemar. - Może Gordon mógłby także zbadać Birgera, skoro już tu będzie. Sądzę, że to by mu się przydało. Chociaż może on nie ma żadnej psychiki?

Alice podparła się w miejscu, które kiedyś było talią, i prześwidrowała go wzrokiem.

- Valdemar, znowu jesteś niesprawiedliwy! Oczywiście, że ma. Ale żadnego z nich nie będzie w domu. Wilma i Signe

jadą do Sztokholmu, żeby pójść ze swoim ojcem do Wallmans Salonger*, mówiłam ci o tym z dziesięć razy.

– Ach tak? To dzisiaj? – zdziwił się Valdemar.

– Tak – powiedziała Alice. – Dzisiaj.

– Myślałem, że chodzi o przyszły weekend.

– To jeden z objawów depresji – oznajmiła Alice. – Problemy z pamięcią i koncentracją.

– Rzeczywiście jestem ostatnio trochę rozkojarzony – przyznał Valdemar i poszedł do łazienki.

– Jak się masz? – chciał wiedzieć Gordon Faringer dziesięć godzin później. – Wiesz, nie traktuj tego jak oficjalnej konsultacji, ale możemy chyba trochę porozmawiać. Alice tak bardzo na tym zależy.

– Przynajmniej ominęło nas czyszczenie małży – powiedział Valdemar.

– Właśnie – odparł Faringer. – I obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Jeśli chciałbyś coś z siebie wyrzucić, nie krępuj się.

– Obawiam się, że nie mam za wiele do wyrzucenia – oznajmił Valdemar. – To Alice twierdzi, że mam depresję, nie ja.

– Tak myślałem – powiedział Faringer. – Lekką depresję łatwiej zauważyć u kogoś niż u siebie. Ale potrafi też dać w kość samym chorym.

– Zdaję sobie z tego sprawę – oznajmił Valdemar.

– Nie bądź cyniczny – powiedział Gordon Faringer, puścił oko i podniósł kieliszek. – A tak w ogóle, to na zdrowie!

– Na zdrowie! – odparł Valdemar.

Pili przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Chcesz, żebym zadał ci kilka pytań? – zapytał potem Faringer.

* Salony Wallmana w Sztokholmie, gdzie odbywają się tzw. seanse *dinnershow*, czyli kolacja połączona ze spektaklem muzycznym (przyp. tłum.).

– Tak, proszę – odpowiedział Valdemar.

– Wiesz, że w psychiatrii nie chodzi o jakąś dokładną wiedzę, jak z tymi twoimi liczbami. Ale mimo wszystko chodzi o zauważalne zjawisko.

– Oczywiście – rzekł Valdemar. – Nie musisz się tłumaczyć.

– Dzięki – odparł Faringer. – W takim razie zacznijmy od nastroju. Jesteś przygnębiony?

Valdemar się zamyślił.

– Czasami – przyznał. – Ale mam tak od czterdziestu lat.

– Nie jest ostatnio gorzej?

– Nie zwróciłem na to uwagi.

– Jak sypiasz?

– Jestem dość zmęczony.

– Ale jak śpisz, to śpisz?

– Tak.

– Czy w ostatnim czasie coś się w tej kwestii zmieniło?

– Nie sądzę. Chociaż wiek robi swoje.

– Wiem coś o tym – przyznał Gordon Faringer, wyrывая włos z nosa. – A co z koncentracją w takim razie? W porządku? W pracy wszystko dobrze?

Valdemar popijał wino małymi łydkami.

– Taa... – powiedział. – W dużej mierze wszystko po starciu. Nigdy nie miałem chyba jakiejś superkoncentracji. Alice twierdzi, że jestem roztargniony, i przypuszczalnie ma rację.

– Mhm? – mruknął Faringer. – Ale ciągle cieszą cię różne rzeczy?

– Czy ja wiem – odpowiedział Valdemar. – Diabli wiedzą, a ciebie?

– Dzięki, że pytasz – powiedział Faringer. – No wiesz, mam swoją łódź i morze. I wnuki, to faktycznie trochę mi daje. Ale pozwól, że cię trochę przycisnę. A jak tam z radością życia?

– Radością życia?

– Tak. To jasne, że czasem jest cholernie ciężko, ale czy ciągle czujesz, że niektóre rzeczy są całkiem fajne?

Valdemar zdjął okulary i zaczął je czyścić rąbkim koszuli.

– Słuchaj, Gordon – powiedział – jeśli naprawdę mam depresję, to co w tej sytuacji można zrobić? Nie mam ochoty faszerować się prochami. Tabletkami szczęścia i innym takim gównem.

Gordon skinął głową i wyglądał profesjonalnie poważnie.

– Doskonale cię rozumiem. Ale można sobie odrobinę podnieść nastrój, a to naprawdę dużo daje. Odzyskuje się radość i sens życia, więcej osób, niż sądzisz, zażywa niewielkie dawki. Radość życia jest cholernie ważna, każdy to rozumie. Życie z nastawieniem, że wszystko jest do dupy, potrafi złamać, po prostu. Często myślisz o śmierci?

– Czasami – przyznał Valdemar. – Ale z tym jest podobnie, zawsze tak miałem.

– Twój ojciec odebrał sobie życie, mam rację?

– Tak – odparł Valdemar. – Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

Faringer siedział w milczeniu i przez kilka sekund obserwował swoje paznokcie.

– Dlaczego to powiedziałeś?

– Co?

– Powiedziałeś: „Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś”. O śmierci twojego ojca.

– Przepraszam – odparł Valdemar. – Tak mi się wyrwało.

– Hmm... – mruknął Faringer. – Ale w każdym razie nie myślisz o tym, żeby zrobić to samo?

– Bynajmniej – rzekł Valdemar. – Nie zrobiłem tego do tej pory, więc chyba już nie zrobię.

– Tak to widzisz?

– Właściwie nie wiem, jak to widzę. Życie to cholernie twardy orzech do zgryzienia... taak... raczej chyba to jest problem. A im człowiek jest starszy, tym trudniej się oszukiwać.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Faringer. – Czy naprawdę ostatnio nie wydarzyło się nic, co mogłoby sprawić, że jest ci trudniej?

– Nie – powiedział Valdemar.

– Jesteś całkowicie pewien? – zapytał Faringer.

– Nie wiem, co by to mogło być. Nie powinniśmy zobaczyć, jak idzie w kuchni?

– Chętnie. W każdym razie dobrze, że masz apetyt, to dobry znak. Ale wiesz co, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spotkać się z tobą jeszcze raz, bardziej formalnie i na poważnie. Jak stoisz z czasem w przyszłym tygodniu?

– Przyszły tydzień mam zavalony.

– Następny?

– Okej – odparł Valdemar. – Jeśli uważasz, że to ma jakiś sens.

– Jasne – powiedział Gordon Faringer. – Twoje zdrowie, chodźmy do naszych kobiet i zjedzmy po małżu.

Z pracami malarskimi uporała się w sobotę późnym wieczorem.

A przynajmniej tak jej się wydawało, bo brak dziennego światła utrudniał ocenę. Sprawdzi jutro; farby było dość, jeśli będzie trzeba zrobić jakieś poprawki.

Chociaż wiedziała, że nie musi być taka dokładna, tak powiedział, no i miała do dyspozycji najtańszą farbę kryjącą.

Nie musi być na tip-top – tak podsumował Valdemar; lubiła słowo tip-top. Brzmiało tak starodawnie i w pewien sposób krzepiąco, zwłaszcza że nie musiało takie być.

Jak z życiem – pomyślała – też nie musiało być na tip-top, ale powinno mieć pewną klasę, mimo wszystko. Mniej więcej jak te ściany, czyste i ładne, ale nieprzesadnie lśniące i piękne.

Poza tym podobała jej się ta praca. Przyklejanie taśmy, pociąganie pędzlem w rogach i kątach, a potem wałkiem, z góry na dół długimi, posuwistymi ruchami; cały czas było

widać efekt, robiło się coraz ładniej, centymetr po centymetrze, metr po metrze.

Niewiele jest chyba prac tak szybko nagradzanych za to, co się zrobiło, jak malowanie, pomyślała. Pracując, można też było porozmyślać trochę o życiu; żadnych głębokich refleksji, połowa koncentracji na tym, co robiła, a połowa na tym, co zaświtało jej w głowie. To był dobry podział. Oprócz tego istniał związek między zamalowywaniem całego starego brudu a początkiem czegoś nowego. Patrzeniem w przyszłość.

W sobotni wieczór zakończyła prace. Kuchnia i pokój były gotowe. Koniec na dzisiaj. Założyła ciepły sweter i kurtkę, wyszła na zewnątrz i usiadła w ciemności na jednym z nowych krzeseł stojących na podwórku. Zapaliła fajkę i pomyślała, że brakuje tam lampy albo jakiegoś zewnętrznego oświetlenia, może pogada z nim o tym w poniedziałek. Zaproponuje, żeby powiesili lampę, po prostu.

Albo jutro. Miała nadzieję, że będzie tak, jak powiedział – że znajdzie czas i zajrzy w niedzielę.

Zatrzęsa się pomimo ubrań; wyraźnie dawało się zauważyć, że nadchodzi jesień. Wieczorem, tak jak teraz, było tylko kilka stopni powyżej zera, a ciemność wydawała się jakaś gęstsza. Jakby ścisnął ją chłód, sprawiając, że trudniej było się przez nią przebić.

Kiedy nie ma światła, ważniejsze jest umieć słuchać, niż widzieć, pomyślała. Nocą rządzą dźwięki, nie obrazy; próbowała wyostrzyć słuch, ale nie słyszała nic poza tym, co zwykle: głuchym szumem lasu. Była ciekawa, jakie w nim żyją zwierzęta. Łoś i lis, to na pewno. Także borsuk i cała masa mniejszych gatunków: myszy, nornice i takie tam. No i ptaki oczywiście; nie znała się zbytnio na zwierzętach, wyjątkiem były węże, ponieważ przez półtora semestru chodziła do szkoły Montessori, gdzie z jakiegoś powodu prawie cały czas zajmowali się węzami. Choć w Szwecji nie było ich zbyt wiele. Żmija zygzakowata, zaskroniec zwyczajny

i padalec zwyczajny, jeśli dobrze pamiętała. Padalec był oczywiście jaszczurką, ściślej mówiąc.

Wilk? – pomyślała nagle. A jeśli w lesie jest wilk? Może koło ziemianki stoi duża bestia i gapi się na mnie swoimi żółtymi oczami, a z pyska toczy ślinę.

Chociaż nie wystraszyła się; nawet jeśli tak właśnie było. Wilki nie atakują ludzi, wiedziała o tym. Zresztą nie robią tego również w zasadzie żadne zwierzęta, tak przynajmniej twierdził jej nauczyciel biologii w gimnazjum.

To człowiek jest największym wrogiem drugiego człowieka – powiedział swoim charakterystycznym, smutnym głosem. Był świeżo po rozwodzie i przeprowadził się z jakiegoś innego miasta. Zrozumiała, że jego żona jest jednym z takich wrogów. – To jedyny taki gatunek na ziemi – dodał jeszcze smutniejszym tonem.

Svante Mossberg*, od razu przypomniała sobie jego nazwisko. Oczywiście chłopcy nazywali go Omszały Svante.

Oddaliła się kilka metrów w kierunku krzaków porzeczek, spuściła spodnie, przykucnęła i zrobiła siku.

Człowiek człowiekowi wilkiem? Bez wątpienia. Dlaczego potrafimy być dla siebie tacy wredni i wyrządzamy sobie krzywdy? Zastanowiła się nad tym i nagle przypomniała sobie film o pingwinach, który widziała kilka lat temu. O pingwinach cesarskich, tych śmiesznych zwierzętach żyjących w najbardziej surowych warunkach na Antarktydzie. Pilnują swoich jaj, raz samiec, raz samica, wędrują po lodzie tam i z powrotem, żeby zdobyć pożywienie i przeżyć, są od siebie całkowicie uzależnione. Nawet jeśli prawie nigdy się nie spotykają.

Wciągnęła spodnie i weszła do środka. Zamknęła drzwi na klucz i pomyślała, że właśnie tym dla niej jest. Valdemar, jej pingwin.

* Mossberg (szw.) – nazwisko składające się z dwóch członów: *moss* – (pol.) mech i *berg* – (pol.) góra (przyp. tłum.).

I to pingwin cesarski.

Umyła się, wyszorowała zęby i wślizgnęła się do łóżka.

Muszę pamiętać, żeby mu o tym powiedzieć, pomyślała.

Valdemar the Penguin. Może spróbuję napisać o nim piosenkę? Czemu nie?

Zasnęła z łaskoczącym uczuciem oczekiwania w brzuchu.

Obudziła się kilka godzin później z całkiem innym uczuciem. Leżała bez ruchu z rękami wetkniętymi między kolana i próbowała pojąć, o co chodzi. Co ją obudziło? Coś na zewnątrz czy coś wewnątrz; dźwięk z domu czy z lasu, a może coś, o czym śniła? Dookoła było zupełnie ciemno, żadnej zapowiedzi świtu; zrozumiała, że nie może być później niż trzecia albo czwarta, ale bez sensu położyła swój zegarek na stole i w zwartej czerni nie mogła go zlokalizować; mrużenie oczu nie pomagało. Wszystko jedno, czy były otwarte, czy zamknięte. Ciemność, tylko ciemność.

Drżała z niepokoju.

Może bez powodu? – pomyślała. Może można się bać i być smutnym bez przyczyny? Tak jakby o tej porze dnia było to całkiem naturalne.

Czy to może być takie proste? Że kiedy nie jest się przygotowanym na cios, kiedy nie jest się gotowym do walki, przychodzi to, co nieprzyjemne i straszne i wciska się pod pancerz. Zupełnie bezimiennie. Może tak się czują małe zwierzęta, kiedy leżą w swoich lichych, leśnych norkach, a drapieżne ptaki z ostrymi dziobami i pazurami krążą po niebie w ich poszukiwaniu.

Wiecznie tykający zegar strachu. Niezidentyfikowany niepokój. Kruchość życia; w każdej chwili mogło się skończyć – śmierć przychodzi i puka do drzwi, kiedy się tego człowiek najmniej spodziewa.

Kurwa, pomyślała. Dlaczego leżę i zawracam sobie czymś takim głowę? Nie będzie mi lepiej od myślenia, że

jestem małym zwierzątkiem, które leży, trzęsie się i czeka na jastrzębia. Co się ze mną dzieje? Co mnie obudziło?

Nie czuła się tak wcześniej żadnej innej nocy w Logranie. Nawet wówczas, gdy tamten mężczyzna stał i gapił się na dom; wtedy wiedziała, co ją przestraszyło, teraz nie miało to formy i było niewytłumaczalne. Nigdy nie bała się ciemności.

To chyba samotność, pomyślała. Prędzej czy później doprowadza do szaleństwa; tak jej kiedyś powiedziała matka i nie mogła sobie przypomnieć, czy było to skierowane właśnie do niej, czy powiedziane bardziej ogólnie. Do życia potrzebujemy obecności innych ludzi, wyjaśniła wtedy, w każdym razie na dłuższą metę nie można sobie poradzić samemu.

Czyli dokładnie jak pingwiny, pomyślała Anna. Samotny pingwin to martwy pingwin. I czy to właśnie nie przed tym próbowała ją ostrzec Sonja z Elvafors? Że nie może się zamykać w sobie, że przebywanie z innymi jest drogą do wyleczenia?

Z tymi, którzy jechali na tym samym wózku. Trzeba było zerwać więzy ze starym towarzystwem. W pewien sposób było to konieczne, i rozumiała to, ale skłaniało też do ucieczki w samotność. Dotyczyło to głównie tych, którzy w samotności dobrze się czuli.

Chociaż oczywiście człowiek człowiekowi nierówny.

Jedyne, czego naprawdę należy się bać, to niektórzy ludzie, pomyślała. Jedyne, bez czego absolutnie nie można się obejść, to... niektórzy ludzie.

Dochodzę do sensacyjnych wniosków, stwierdziła. Są ludzie pokroju Valdemara i ludzie pokroju Steffa. Ale nowość.

Westchnęła i wstała. Nie zapalając światła, odszukała sweter i kurtkę. Fajkę, tytoń i zapalki; potem wskoczyła w kozaki Valdemara i wyszła w czarną jak węgiel jesienną noc.

Sklep ICA w Rimmersdal był czynny w niedzielę, dokładnie tak jak myślał. Wprawdzie tylko kilka godzin; zamykali o czwartej, ale było za osiem, kiedy zaparkował na żwirowym podjeździe, więc nie będą musieli zostawać dłużej z jego powodu. Dzisiaj kupi tylko kilka drobnych rzeczy.

Yolanda nie będzie musiała zostawać dłużej. To śmieszne; nie był u niej od wielu dni i stwierdził, że równie długo nie poświęcił jej ani jednej myśli.

Jest jak jest, pomyślał. Życie wypełnia się treścią, kiedy się za nie zabrac.

Nigdy nie będzie lepiej. Nie powiedział Alice, że nie będzie go przez kilka godzin, to nie było konieczne. Nadarzyła się okazja; Alice miała po południu babski wieczór z „arcynimfami”, a Wilma i Signe jeszcze nie wróciły z odwiedzin u swojego ojca i wypadu do Wallmans Salonger.

Trochę słodkiego pieczywa, owoców, litr mleka do kawy i gazeta – to wszystko, ale kiedy podszedł do kasy, zobaczył, że siedzi tam inna kasjerka. Trochę blada, młoda kobieta, pewnie nie dużo starsza od Anny albo Signe.

Oczywiście, pomyślał, oczywiście Yolanda też musi mieć czasem wolne, ona także.

Jak wszyscy.

Zapłacił, spakował zakupy do plastikowej torby i wyszedł ze sklepu. Właśnie kiedy wszedł do samochodu i zamykał drzwi, jego komórka wydała charakterystyczny dźwięk. Dostał SMS-a; nieczęsto odbierał SMS-y, a jeszcze rzadziej je wysyłał.

Chociaż przypuszczał, że ciągle jeszcze pamięta, jak to się robi. Wsadził klucz do stacyjki, ale nie ruszył, tylko wyjął komórkę z kieszeni na piersi i przeczytał wiadomość.

Dlaczego się przede mną ukrywasz? Należysz do mnie, nie-
długo do ciebie przyjadę. S.

Gapił się na tekst i niczego nie pojmował. Kim jest S.? Przed kim miałby się ukrywać?

„Należysz do mnie”? To brzmiało jak... jak wyznanie mi-
łosne. Jakaś kobieta ma zamiar do niego przyjechać?

Boże drogi, pomyślał Ante Valdemar Roos, to chyba mimo wszystko niemożliwe, żeby...?

Nie, zdecydował. Absolutnie nie. Owszem, można być panem własnego losu, ale istniały granice tego, co się mogło przydarzyć. Ciągłe znajdował się w tak zwanej rzeczywistości; to, że jakaś kobieta o imieniu zaczynającym się na S mogłaby być w nim potajemnie zakochana... wzdychać do niego przez dłuższy czas, a teraz mieć zamiar przyjechać do niego w ten czy inny sposób... nie, to było po prostu niemożliwe.

Dotyczyło to również innych kobiet, których imiona zaczynały się na inną literę.

Trzeba być realistą, pomyślał Ante Valdemar Roos, i zdawać sobie sprawę z możliwości, ale również z ograniczeń. Sztuka polega na tym, by wypośredkować.

Zatem błędny adresat. Po prostu. Nadawca wybrał zły numer; jemu też się to często zdarzało, w dużej mierze dlatego, że jego opuszki palców naciskały na trzy lub cztery klawisze jednocześnie.

Zablokował komórkę, ruszył i wyjechał z parkingu. Poczł lekki szum w skroniach: może podczas wczorajszego wieczoru z Faringerami wypił o kilka kieliszków za dużo, ale przynajmniej w dobrym towarzystwie. Nie poszli do domu przed pierwszą i chociaż podano tylko małże, a na deser lody z owocami, to dopiero kwadrans po drugiej uporali się z Alice ze zmywaniem i położyli się do łóżka.

Całe to przekłete szkło, pomyślał Valdemar. Dlaczego ludzie nie mogą przez cały czas pić z tego samego kieliszka i przepłukiwać go w razie potrzeby?

Przed południem wlał w siebie co najmniej litr wody, więc prawdopodobnie szum w skroniach ucichnie, jak tylko wyjdzie na świeże powietrze w Logranie.

Pomyśleć, że mógłbym tam przenocować, nagle przeszło mu przez głowę. Po prostu nie wracać dzisiaj wieczorem. Jakoś byśmy się zmieścili w jednym łóżku, dziewczyna i ja.

Popatrzył na siebie we wstecznym lusterku i przypomniał sobie swoje refleksje na temat granicy. Między możliwościami a ograniczeniami.

Kawa i fajka muszą wystarczyć, zdecydował.

I inspekcja prac malarskich, oczywiście.

– Coś takiego, już gotowe!

– Tak, też tak myślę.

– Ale różnica! Powinnaś...?

– Co?

– Powinnaś zostać projektantem wewnątrz albo kimś takim.

Zaśmiała się.

– Projektantem wewnątrz? Valdemar, ja tylko pomalowałam ściany. Potrzeba chyba trochę więcej, żeby móc się określić mianem projektanta.

– Może i tak – skinął Valdemar. – W każdym razie zrobiło się cholernie ładnie. A o jakim zawodzie właściwie myślałaś? Nawet jeśli trochę pobłądziłaś, to musisz mieć chyba jakieś plany?

Anna wsunęła ręce do kieszeni džinsów i zamyśliła się.

– Czy ja wiem – odparła. – Może powinnam się pouczyć. Najpierw skończyć liceum, przynajmniej. Trochę trudno mi się zdecydować.

– To nie jest takie proste – powiedział Valdemar. – Za moich czasów było łatwiej.

– Ach tak? – chciała wiedzieć Anna. – Jak to?

Westchnął.

– Zawsze jakoś się lądowało. Czego by człowiek nie robił. Ja przez przypadek uczyłem się ekonomii, ale w ogóle mnie to nie interesowało. Dobrze mieć pieniądze, ale siedzieć i liczyć je całymi dniami, nie, dziękuję.

– Więc co chciałbyś robić zamiast tego?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jestem tylko dość zwyczajnym, coraz bardziej zgorzkniałym facetem.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedział. Po chwili przywołała go do porządku.

– Valdemar, co właściwie chcesz powiedzieć?

Znowu westchnął.

– Chyba zauważyłaś. Mam trudności z nawiązywaniem kontaktów, z samym życiem, można by rzec. Tak, to chyba jest najważniejsza kwestia, właściwie...

– Jaka?

– Jaki, do cholery, sens ma moje życie?

Usiadła przy kuchennym stole, on zrobił to samo. Obserwowała go lekko rozbieganymi oczami; wyglądało to trochę niespokojnie. Zastanawiał się, dlaczego, u licha, powiedział jej to, co powiedział. Była młodsza od jego syna o co najmniej piętnaście lat.

– Valdemar, jesteś nieszczęśliwy?

– Ależ nie.

– Na pewno?

– Taa... są chyba tacy, którzy mają się lepiej. Mam nadzieję, w każdym razie. Bo jeśli nie, to niech to jasny szlag!

– To co chciałbyś robić?

– Robić?

– Tak.

Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu. Rozglądał się po nowo pomalowanych ścianach, drapał się po karku, aż w końcu uśmiechnął się ostrożnie.

– Naprawdę ładnie, Anno.

– Aha – odparła. – Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Ehm – odchrząknął. – Może to właśnie jest problem – zaczął i wyjrzał przez okno. – Jeśli naprawdę się za czymś tęskni, to chyba nie powinno być trudno po prostu coś z tym zrobić. Kiedy się nie wie, kiedy człowiek czuje się źle i nie ma pojęcia, dokąd właściwie pójść... cóż, wtedy jest trochę gorzej.

– Ale przecież masz to – Anna rozpostarła ręce. – Przecież kupiłeś ten dom. Czy to nie on był twoją tęsknotą?

Valdemar odchylił się na krześle.

– Tak – powiedział. – Jasne, że tak, do cholery! Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia, jak to mówią.

– Teraz nie rozumiem.

Znowu się zamyślił.

– Nie chcę stąd odjeżdżać, Anno. Na tym polega problem. Nie wystarczy mi bycie tutaj tylko w tygodniu.

Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu.

– Jak ci się układają relacje z rodziną?

– Kiepsko – odparł Valdemar i potrząsnął głową. – Ale chyba już się tego domyśliłaś. Dziewczynki doprowadzają mnie do szewskiej pasji. Alice ma mnie dość i naprawdę mogą to zrozumieć, ale...

– Ale?

Zaśmiał się.

– Anusiu, naprawdę nie pojmuję, dlaczego ci się użalam. Jestem od ciebie prawie czterdzieści lat starszy, ale sama chciałaś. Po prostu... wyciągasz to ze mnie.

Uśmiechnęła się.

– Tak, zazwyczaj tak bywa, że inni przychodzą do mnie ze swoimi problemami. Nie odwrotnie, chociaż może szkoda.

– Ach tak?

– Zawsze umiałam słuchać.

– Naprawdę? – zapytał Valdemar. – Cóż, chodzi o to, żeby nie zgubić instrukcji obsługi życia, jak to mawiał mój stryj. A tak w ogóle, to wiesz, co mi się przydarzyło w drodze tutaj? Wyjął komórkę i prześwidrował ją wzrokiem.

– Co o tym powiesz?

Minęła chwila, zanim udało mu się znaleźć wiadomość, ale kiedy już ją odszukał, podał jej komórkę. Wzięła ją i zaczęła czytać. Najpierw z pełną nadziei ciekawością na twarzy, ale potem coś się stało.

Uśmiech zniknął, dotknęła dłonią ust i popatrzyła na niego.

– Co ci jest? – zapytał Valdemar.

Potrząsnęła głową i znowu popatrzyła na wyświetlacz.

– To...

– Tak?

– To chyba nie do ciebie, Valdemar. Myślę, że...

– Nie do mnie?

– Nie, tylko nie rozumiem jak...?

Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Nie pojmuję, skąd on wziął...? Moment, przecież musiał się wyświetlić numer nadawcy?

Dorwała komórkę i wpatrując się w wyświetlacz, kliknęła kilka razy.

– No jasne! Kurwa, to on. Jak, do cholery...?

Zamilkła i zastygła z na wpół otwartą buzią i wyrazem po części konsternacji, po części koncentracji w oczach. Małe źrenice próbowały kojarzyć fakty. Obserwował ją i zauważył, że sam wstrzymał oddech.

– A więc to tak – powiedziała w końcu.

– Czy mogłabyś mi wyjaśnić, co tu się, do cholery, dzieje? – zapytał Valdemar.

– Zaraz – powiedziała Anna. – Zaraz, obiecuję. Czy mogę najpierw zadzwonić do mojej matki?

– Tak... jasne.

Zacząła wystukiwać numer, Valdemar wstał.

– Zaczekam w pokoju.

Skinęła głową i przyłożyła komórkę do ucha.

– Kurwa. Nie ma zasięgu!

Valdemar odwrócił się w drzwiach.

– Nie, no właśnie trochę z tym tutaj kiepsko. Nie rozumiem, jak ci się udało poprzednim razem.

Przygryzła wargę i nagle zauważył, że jest bliska płaczu – z jakiegoś powodu, o którym nie miał pojęcia, a który, miał nadzieję, niedługo zostanie mu wyjawiony. Najbardziej ze wszystkiego chciałby ją przytulić, objąć na chwilę – to był jego pierwszy odruch, ale wiedział, że nie ma takiej możliwości.

Znowu ta granica.

– Spróbuj pójść kawałek pod górę – doradził. – Wiesz, drogą, kilkaset metrów z powrotem, a potem w prawo przy stosach drzewa... Dzwoniłem stamtąd kilka razy.

Ponownie skinęła głową.

– Puszczę tylko sygnał, żeby mogła oddzwonić.

– To nie jest konieczne – powiedział Valdemar i zniknął za drzwiami.

Minęła prawie godzina, zanim wróciła. W tym czasie leżał wyciągnięty na łóżku, przyglądał się ścianom i próbował cieszyć się tym, że są świeżo pomalowane. Z dość marnym skutkiem, ale nie chodziło o farbę czy wykonanie. Oczywiście, że nie.

Co się stało? – pomyślał. Co, u diabła, oznaczała ta wiadomość?

Powiedziała, że to do niej. To Anna ukryła się przed kimś o imieniu S i to ona miała oczekiwać wizyty. Od razu to zrozumiała.

Nie była zachwycona. Przeciwnie, jej reakcja nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości. SMS ją wystraszył, to pewne. Ten S nie był kimś, kogo chciałyby spotkać.

Dobre dni to przeszłość, pomyślał Valdemar Roos i zastanowił się, dlaczego właśnie to sformułowanie przyszło mu do głowy. Dobre dni to przeszłość.

Przecież nie minął jeszcze nawet tydzień.

Typowe. Nie można oczekiwać zbyt wiele.

– Ma na imię Steffo – oznajmiła, kiedy weszła do pokoju.

Usiadł na brzegu łóżka.

– Steffo?

– Tak. Był moim chłopakiem.

– Rozumiem.

– Dostał numer od mojej szurniętej matki.

– Numer mojej komórki? Jak to?

Opadła za stołem i oparła głowę na rękach.

– Przecież poprzednim razem dzwoniłam do niej z twojej komórki. Potem on do niej zadzwonił i zapytał, jak może mnie znaleźć. A moja szurnięta matka dała mu numer.

– A ty nie chcesz...?

– Nigdy w życiu – powiedziała Anna. – On ma nierówno pod sufitem. Cholernie się go boję. Sądzi, że... nie.

– Mów dalej.

– Sądzi, że należę do niego tylko dlatego, że byliśmy ze sobą kilka miesięcy.

– Ale zerwałaś z nim?

Westchnęła i przygryzła wargę.

– Można tak powiedzieć – wyznała. – Tak, jasne, że tak. Kiedy pojechałam do tego ośrodka, zerwałam z nim wszelkie kontakty, musiał zrozumieć, że to koniec. Chociaż...

– Chociaż co?

– Jest taki nieobliczalny. Zrobiłam wiele głupot w swoim życiu, a największą jest to, że byłam ze Steffem.

Założyła dłonie za kolana i przez chwilę myślał, że się modli.

– Powiedz mu to.

– Co takiego?

– Wyjaśnij, że nie chcesz mieć z nim więcej do czynienia.

Pokręciła głową.

– Nie rozumiesz – powiedziała.

– Ach tak? – zdziwił się Valdemar.

– Steffo myśli, że można posiadać ludzi tak, jak posiada się rzeczy. I napisał, że ma zamiar tu przyjechać.

Valdemar się zaśmiał.

– Tu? Ale jak, do cholery, znajdzie tu drogę?

Anna spojrzała na niego, kąsając kłykiec i zawahała się.

– Nie wiem, czy naprawdę umiałby tu trafić – odparła – ale moja matka powiedziała mu, jak się nazywa.

– Co takiego?

– To miejsce. Lograna. Powiedziałam jej, że jestem w miejscu, które nazywa się Lograna. Nie wiem, czemu to zrobiłam. Może dlatego, że pytała, a ja chciałam ją trochę uspokoić, tak przypuszczam. Była cała w nerwach, kiedy jej oznajmiłam, że uciekłam. Tak czy inaczej, Steffo wie, że jestem w miejscu, które nazywa się Lograna.

Valdemar pomyślał przez chwilę.

– No cóż – powiedział. – Ale Lograny nie ma chyba na żadnej mapie?

– Nie jestem tego taka pewna – odparła Anna. – Nie próbowałaś jej wygooglować?

– Nie – odrzekł Valdemar.

– Może pojawia się w wynikach wyszukiwania – zastanowiła się głośno Anna. – A wtedy tu trafi. Valdemar, muszę stąd wyjechać.

– Zaczekaj – powiedział Valdemar. – Zrobimy kawę i to obgadamy.

– A co tu jest do obgadywania?

– To i owo. Nie możesz ciągle uciekać przed tym Steffem, chyba to rozumiesz? – przerwał i zamyślił się. – Chodzi mi o to... co to za życie? Musi przecież do niego dotrzeć, że nie chcesz mieć z nim więcej do czynienia.

– Chciałabym, żeby to było takie proste – powiedziała Anna. – Żeby wystarczyło tylko mu to powiedzieć.

– Próbowałaś?

• Wzruszyła ramionami.

– W sumie nie. Uważasz, że powinniśmy mu odpowiedzieć?

Valdemar poczuł, jak coś w nim topnieje, i wiedział dlaczego. Użyła liczby mnogiej. Czy powinniśmy mu odpowiedzieć?

– Zrobimy kawę i pogadamy – powtórzył. – W każdym razie nie sądzę, żeby tu trafił. To miejsce ukrywało się przed światem przez wiele lat. I w żadnym razie nie pozwolę, żebyś uciekła stąd spanikowana.

Anna skinęła głową i poszli do kuchni.

– Dziękuję, że jesteś – powiedziała.

Kiedy to mówiła, jej oczy błyszczały. Popatrzył na zegarek. Było już wpół do szóstej; zastanawiał się, ile może trwać babski wieczór.

22

Nie odpowiedzieli na SMS-a.

Ale jeśli mnie poprosi, żebym został, zrobię to, pomyślał kilka razy, kiedy pili razem kawę, gawędzili i palili fajkę. Mam w dupie, co się stanie. Muszę się zachować jak przyzwoity człowiek. Nie mogę przecież zostawić przestraszonej dziewczyny w środku lasu.

Jeśli mnie poprosi.

Wyraźnie poprosi.

Ale tego nie zrobiła. Może była bliska, trudno mu to było ocenić. Kilka razy widział pytanie w jej spojrzeniu, ale nigdy nie zostało ono sformułowane. W każdym razie wymógł na niej obietnicę, że zostanie jeszcze kilka dni. Trudno ją było przekonać, w końcu jednak na to przystała i kiedy siedział w samochodzie i machał jej na pożegnanie, tknęło go, że zrobiła to tylko po to, by uciąć dyskusję na ten temat. Może już jej nie będzie, kiedy przyjedzie tu jutro rano?

To była myśl, którą niełatwo było znieść. Poczul to całym nagle. Nieznośnie.

Co, do cholery, się ze mną dzieje? – pomyślał Ante Valdemar Roos, skręcając w Rödmossevägen. Co się stało z moim starym życiem?

Wyobraził sobie kolejne przedpołudnie. Jak wyjmuje klucz z kryjówki, otwiera drzwi, wchodzi do świeżo pomalowanego i całkiem pustego domu. Na stole leży kartka:

Zdecydowałam się wyruszyć w drogę, mimo wszystko.
Dziękuję Valdemar, powodzenia z Lograną i wszystkim innym.
Uściski. Anna.

Psiakrew – zaklął w duchu. – Tak nie może być. Życie nie może być takie parszywe. Nie moje życie.

I te pomalowane ściany, które już zawsze będą ją przypominać, i te dziwne dni, które razem spędzili.

Tydzień – to w ubiegły poniedziałek odkrył, że w domu ktoś mieszka, ale dopiero w środę ona odważyła się ujawnić. Cztery dni, a dzisiaj wydaje się, że już ich więcej nie będzie.

Grała na gitarze i śpiewała dla niego. Czegoś takiego nikt dla niego nie zrobił, zwłaszcza żadna inna kobieta. Płakał, a ona mu na to pozwoliła, nie zadając żadnych pytań.

As Tears Go By.

Pokiwał głową i zacisnął zęby, aż zaboląła szczęka. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale zacisnął też mocniej dłonie na kierownicy, zobaczył bielejące powoli kostki – i wtedy znowu pojawił się ojciec.

Ta wędrownka po lesie. Wysokie, strzeliste sosny. Kamienie i kępy traw z żurawiną. To jest miejsce łosia.

Nigdy nie będzie lepiej. Rozpadam się, pomyślał Ante Valdemar Roos. Jestem blisko załamania nerwowego.

Po jego odjeździe stała w oknie dobrą chwilę. Próbowwała uspokoić wirujące myśli, znaleźć punkt ciężkości. Ale myśli nie miały ochoty się wyciszyć, a wszystko wirowało i tańczyło jak drobinki kurzu w słońcu. Dopiero kiedy znowu usiadła

przy stole i sięgnęła po kolejną filiżankę kawy, pojawiły się jakieś konkrety Niewiele, ale dały się ubrać w słowa.

Pierwsze było pytanie: Co mam zrobić?

Drugi był apel: Zdecyduj się, Anno Gambowska!

Trzeci, stary kawałek: *Should I Stay or Should I Go?*

Nie pamiętała nazwy zespołu, ale to nie miało znaczenia. Niezależnie od tego, przez jakie męczarnie by się nie przechodziło, jakich głupot nie narobiło, zawsze znajdzie się jakiś banalny rockowy kawałek, który będzie pasował do okoliczności.

Chociaż to może nie takie dziwne. Zawsze chodzi o życie i śmierć, o miłość na zakręcie, i kiedy rzeczywistość naprawdę staje w płomieniach, to w muzyce też robi się poważnie. Równie poważnie i równie banalnie.

Should I Stay or Should I Go?

I dokąd, jeśli już? Jeśli wybierze to drugie.

To samo pytanie co zawsze. Tylko teraz było o wiele gorzej, jeśli Steffo naprawdę był w drodze.

Wszystko, pomyślała, zniósę wszystko, tylko nie spotkanie z nim, nie teraz.

Tego była pewna.

Najgorsze było to, że z łatwością mogła sobie wyobrazić, że on będzie jej szukał. Taki był. Sprawi mu to perwersyjną przyjemność. Wejść do Internetu, wyszukać Logranę, znaleźć mapę, spakować do plecaka trochę piwa i haszu, wsiąść na skuter i w drogę.

Stay or Go?

Jak daleko może być z Örebro do Lograny? Dwieście, może trzysta kilometrów? Tak czy owak, niezbyt daleko dla Steffa, jeśli będzie chciał to zrobić.

Jeśli Steffo tu przyjedzie, to będzie mój koniec, pomyślała. Po prostu. Poddam się.

Wyszła na podwórko i zapaliła fajkę. Zaczęło już zmierzać, niebo zasnuły ciemne chmury, co oczywiście potęgowało

ciemność. Zaciągnęła się kilka razy i przypomniała sobie, o czym opowiadała Marja-Liisa.

To też potęgowało ciemność.

A zatem *Go*, pomyślała. Nie mam odwagi zostać na jeszcze jedną noc.

Jeśli Valdemar naprawdę chciał, żeby została, to dlaczego ją zostawił? Musiał rozumieć, że się boi. Nie chciała tego przyznać przed samą sobą, ale w końcu to sobie uzmysłowiła.

Tak naprawdę nie chciał, żeby została.

Dlaczego miałby chcieć? Co sobie wyobrażała? Pomalowała ściany, nie była darmozjadem. Spłaciła swój dług wdzięczności, byli kwita.

Więc *Go*.

Przełknęła gulę w gardle i weszła do domu.

Chwilę później, kiedy stała w pokoju i pakowała plecak, spojrzała w okno i zauważyła dwie rzeczy.

Po pierwsze, zaczęło padać.

Po drugie, kawałek dalej, na drodze, stał zaparkowany skuter. Nie słyszała go.

Musiał go wtoczyć, pomyślała. To do niego podobne, to także.

23

Właśnie minął Rimmersdal, kiedy zadzwoniła komórka.

Zobaczył, że to Alice i już po wszystkim nie wiedział, czemu właściwie odebrał.

– Gdzie jesteś?

– Na przejażdżce.

– Na przejażdżce?

– Tak.

– Nigdy tego wcześniej nie robiłeś?
– Alice, kochanie, jeżdżę samochodem codziennie.
– Tak, ale dzisiaj jest niedziela. Valdemar, musimy porozmawiać.

– Ach tak? Jak się udało spotkanie z nimfami?
– Było interesująco. Mówiąc ogólnie.
– Aha?
– Gdzie jesteś? Jesteś w samochodzie sam?
– Co powiedziałaś?
– Jesteś sam?
– Oczywiście, że jestem sam. Będę w domu za kwadrans. Pojechałem tylko na przejażdżkę... w okolice Kymmen.

O czym chcesz porozmawiać?

– Co robiłeś w piątek?
– W piątek?
– Tak.
– Nic specjalnego. Tak sądzę.
– Nie byłeś przypadkiem w mieście?
– W ciągu dnia?
– Tak, w ciągu dnia.
– Nie, dlaczego miałbym być?
– Nie byłeś na lunchu w Ljungmans?
– W Ljungmans? Nie, naturalnie, że nie.
– Dziwne. Bo Karin Wissman cię tam widziała. Valdemar, czy możesz mi to wyjaśnić?

Valdemar zastanowił się przez krótką chwilę.

– Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz, Alice.
– Nie rozumiesz? Karin mówi, że była z tobą młoda dziewczyna. Baaardzo młoda dziewczyna.

– Co?
– Przecież słyszałeś.
– To niedorzeczne, Alice. Naprawdę nie rozumiem, jak ona mogła...

– Widziała was z odległości jednego metra. Przywitała się z nią. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Odsunął komórkę od ucha i przyjrzał się jej z niesmakiem. Potem z całej siły nacisnął „odrzucić”, wrzucił telefon do schowka i zjechał na pobocze.

Wyłączył silnik i oparł głowę o zagłówek.

A więc tak, pomyślał i zdjął okulary. Pora zdecydować.

Pierwsze, ciężkie krople deszczu wylądowały na masce samochodu.

II

Inspektor Barbarotti siedział przy pokerowym stole.

Nisko wisząca lampa rzucała żółtawe światło na zielony filc. Duża pula – zarówno monety, jak i żetony oraz banknoty – królowała na środku stołu, a kłęby cygarowego i papierosowego dymu powoli unosiły się pod sufit, nad kloszem lampy zamieniając się w ciężką chmurę. Z niewidocznych głośników sączyła się cicha muzyka: łagodny, kobiecy, jazujący głos. Bardzo powoli odkrywał piątą kartę – asa, który dał mu fula.

Graczy było trzech. Oprócz Barbarottiego dwóch innych jegomości, których twarze nie widział zbyt dobrze, ponieważ ten przekłety klosz wisiał tak nisko, był jednak pewien, że to godni, by nie powiedzieć zbyt mocni, przeciwnicy.

Z drugiej strony miał fula na asach. Obmacał 'kieszenie marynarki w poszukiwaniu kolejnych pieniędzy, które mógłby wnieść do puli, ale odkrył, że jedyne, co mu pozostało, to kilka starych i bezwartościowych polskich złotych oraz znaczek pocztowy o wysoce wątpliwej wartości. Zauważył również, że przeciwnicy zdają sobie sprawę z jego kłopotliwego położenia i zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, jeden z nich pochylił twarz w taki sposób, by oświetlała ją lampa, i uśmiechnął się szyderczo, nie wyjmując papierosa z ust.

– Może pan postawić swoją duszę, monsieur Barbarotti – powiedział z wystudiowaną powolnością.

Drugi jegomość nigdy nie wystawił swojej twarzy na widok publiczny, zadowolił się krótkim „dokładnie” i Gunnar Barbarotti nagle zrozumiał, kim byli pozostali gracze. To Diabeł i Bóg, innymi słowy, nie byle jacy gracze, i w tej samej chwili, kiedy to pojął, nie siedział już na swoim krześle,

tylko leżał pod lampą i wymachiwał nogami pośród monet, żetonów i banknotów niczym żałośnie nędzny liliput, ubrany jedynie w swoją dumę, zegarek i gacie, bez najmniejszej możliwości wpływu na rozwój wypadków.

– No właśnie, drogi przyjacielu – wymamrotał ubawiony Bóg. – Jesteś tylko pionkiem w grze, zapomniałeś o tym?

– Nie gadaj z pułą, drogi bracie – upomniał go Diabeł. – Czy ten mały tchórz to wszystko, co chcesz postawić? To nie wróży tej partyjce zbyt dobrze.

– Jest jaki jest – trochę melancholijnym tonem skomentował Bóg. – Zło w pakiecie z dobrem.

– Muszę przyznać, że czasami trafiasz w sedno – zarechotał Diabeł.

Gunnar Barbarotti próbował stanąć na nogi, ale pośliznął się na niedbale leżącej pięciokoronówce, runął na tyłek i... obudził się.

Białe ściany, biały sufit. Ostre światło, zapach jakiegoś środka dezynfekującego i metaliczny posmak na języku. Leżał na plecach i było mu niedobrze; jedna noga ciążyła jak ołów, w oddali słychać było głosy i znikające kroki na korytarzu.

Leżę w szpitalu – było jego pierwszą myślą, odkąd opuścili go Bóg i Diabeł. Właśnie się obudziłem, coś się stało, ale mojej głowie nic nie jest. Tylko coś nie tak z nogą.

Zadowolony z tych wniosków ponownie zasnął, żeby obudzić się w innej czasoprzestrzeni, przypuszczalnie tylko kilka minut lub sekund później, ponieważ bez trudu mógł kontynuować myśl tam, gdzie ją porzucił.

Noga. Była w gipsie. Lewa noga, cała stopa i łydka aż do kolana. Ale mógł ruszać rękami, zacisnąć dłonie w pięść i poruszyć palcami zagipsowanej stopy.

A więc, pomyślał Gunnar Barbarotti i zamknął oczy, a więc złamałem lewą nogę. To się zdarza najlepszym. Wszystko inne jest w porządku. Byłem operowany i dostałem narkozę, bo to był skomplikowany zabieg.

Potem znowu zasnął.

Kiedy obudził się po raz trzeci, pamiętał całą historię. Przypomniawszy sobie także senną partię pokera i wszystko zaczęło się układać w pewną całość.

Że spadł z dachu, a Bóg i Diabeł grali w pokera o jego duszę.

Brednie, pomyślał rozdrażniony. Mimo wszystko nie mogłem być aż tak blisko śmierci, a Bóg bez wątplenia by mnie ostrzegł, gdyby niebezpieczeństwo było o krok.

Bo Bóg był aktualnie trzynaście punktów nad kreską... Barbarottiego zaskoczyło, że tak wyraźnie pamięta dokładną punktację... i miał pełne podstawy do tego, by pozostać z inspektorem w dobrych stosunkach. Tak to wyglądało.

Uświadomił sobie, że z logicznego punktu widzenia można to było zakwestionować, ale ostry, metaliczny posmak w ustach bez wątplenia trochę go dekoncentrował. Chociaż o żadnej narkozie nie było raczej mowy. Nagle zdał sobie sprawę, że pamięta całą operację, jeden bolesny szczegół za drugim; może po wszystkim dostał coś lekko uspokajającego, tak, pewnie tak było. Gdyby sam mógł zdecydować, chciałby przespać całą operację, ale takich decyzji nie podejmuje pacjent, tylko zatrudniony ortopeda. Co przypuszczalnie miało swoje uzasadnienie.

To, że spadł z dachu, było w każdym razie bezsporne. Lewą nogą wylądował w taczce, którą jakiś idiota – przypuszczalnie on sam – postawił na dole, na miękkim trawniku; ból był tak pioruński, że aż zemdlął.

Marianne przybyła z odsieczą wraz z depczącą jej po piętach Plagą narodową, szwagrem Rogerem, wkrótce nadciągnął również sąsiad o nazwisku Petérzen, emerytowany pilot i działacz AIK*, a na końcu przyjechała karetka, której personel zabrał się za nastawianie kostki; wtedy zemdlął po raz drugi, ponieważ ból był nie do zniesienia.

* Allmänna Idrottsklubben – Powszechny Klub Sportowy (przyp. tłum.).

Potem środki przeciwbólowe i jazda do szpitala, a tam tłum pielęgniarek i lekarzy, którzy łamali i składali, diagnozowali i konferowali, aż w końcu dopilnowali, by nie zemdlał po raz trzeci, bo byłoby szkoda, żeby przeczył coś tak interesującego jak własna operacja.

Teraz było już po wszystkim. Teraz wyzdrowieje. Teraz będzie leżał w łóżku i pozwoli się sobą opiekować przez dni i tygodnie, nigdy nie... w każdym razie nigdy nie wejdzie na dach, żeby przybijać łaty i nie będzie próbował przekonywać szwagra Rogera, że jest złotą rączką. Ani Marianne, ani swoich dzieci, ani nikogo innego.

Trzeba być świadomym swoich możliwości, ale przede wszystkim ograniczeń, pomyślał Gunnar Barbarotti. Wprawdzie był inspektorem i posiadał nieużywany od studenckich czasów w Lund tytuł magistra prawa, ale od urodzenia miał dwie lewe ręce i niewielki lęk wysokości.

I mimo iż prawie zemdlał z bólu, nie umknęło jego uwadze to, co jeden z sanitariuszy karetki powiedział do drugiego.

– Ma pięćset metrów kwadratowych miękkiego trawnika, a na lądowisko wybrał sobie taczkę. Bystry chłop.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła pielęgniarka.

– A więc się obudziliśmy?

Sądził, że w taki sposób mówiono tylko w starych filmach i książkach, ale najwyraźniej się mylił.

Próbował zgodzić się z tym, co powiedziała, ale jego metaliczne usta odmówiły posłuszeństwa. Wydobył się syk, a po nim nastąpił atak kaszlu.

– Proszę się trochę napić – poradziła, podając kubek ze słomką.

Tak zrobił. Spojrzał wymownie na gips, a potem w jej niebieskie oczy.

– Ach tak – oznajmiła. – Poszło dobrze. Doktor Parvus niedługo przyjdzie i z panem porozmawia. Nie boli?

Kiwnął głową.

– Gdyby coś, proszę dzwonić. Doktor Parvus niebawem przyjdzie.

Przestudiowała kartę choroby wiszącą w nogach łóżka, potem skinęła głową w jego kierunku, dodając mu tym otuchy, i opuściła salę.

Zanim znowu się zdrzemnął, leżał bez ruchu, wyglądając przez duże okno i obserwując żółty dźwig, który statecznie i zgodnie z prawem grawitacji poruszał się w kierunku jasnoniebieskiego jesiennego nieba.

Ładnie to wygląda, pomyślał Gunnar Barbarotti, na swój sposób majestatycznie. I pięknie. W kolejnym życiu chce być takim dźwigiem, postanowił, wtedy będzie mnie otaczał wianuszek kobiet.

Obserwując to piękne i dostojne zjawisko, rozmyślał też trochę o swoim położeniu; nawet jeśli upadek z dachu nie był żadnym doświadczeniem śmierci, to w jakiś sposób wydawało się to całkiem naturalne.

O własnym, osobistym położeniu, to znaczy jego miejscu w tym skoordynowanym systemie zwanym życiem w roku jego czterdziestych dziewiątych urodzin; abstrahując od tego, co chciałoby się dodać na temat przyczyn, konsekwencji i rozwoju zdarzeń, trzeba przyznać, że trochę się ostatnio działo.

W ostatnim roku, dajmy na to. Ubiegłej jesieni o tej porze – we wrześniu albo jakoś pod koniec sierpnia, jeśli chciałoby się być drobiazgowym – mieszkał sam w swoim trzypokojowym mieszkaniu przy Baldersgatan. Tak było. Pamiętał, że wieczorami przesiadywał na balkonie, obserwując stada kawek krążące nad stromym dachem Szkoły Katedralnej, snuł rozmyślenia na temat dziwnych wydarzeń w Finistère we Francji i zastanawiał się, jak potoczy się jego życie. Czy swoich ostatnich dziesięć lub dwadzieścia lat spędzi w taki sam, samotny, coraz bardziej przygnębiający i dołujący sposób, czy też, jeśli Marianne powie „tak”, wyjdzie na spotkanie nowej wiośni.

Cóż, takie mniej więcej były opcje, pomyślał Barbarotti i na sekundę odwrócił wzrok od wspaniałego dźwigu, żeby zamiast tego spojrzeć na swój gigantyczny i, było nie było, również nieco imponujący, gipsowy kłoc w miejscu łydki. W środku śwędziało, ale przypuszczał, że po prostu trzeba zacisnąć zęby i się do tego przyzwyczaić. Trudno było uwierzyć w to, że tak duży i okazały kawał gipsu zostanie rozłupany tylko dlatego, żeby pan inspektor mógł się podrapać.

Powrócił do dźwigu i życia. Baldersgatan wydawała się nieskończenie odległa; jak coś, co zostawił za sobą dawno, dawno temu – w życiu, które właściwie było tylko poczekalnią. Przerwą na oddech po rozwodzie z Heleną. Jakby czekaniem na coś nowego, coś na serio.

Mieszkał tam pięć lat razem z ukochaną córką Sarą, która niezaprzeczalnie była jego światłem w tunelu; potem... tak, potem faktycznie pojawiło się nowe życie. Czary-mary – spoglądając wstecz, można było odnieść takie wrażenie. Teraz mieszkał w trzystupięćdziesięciometrowym drewnianym domu przy plaży, niedaleko cypla Kymmen. Miał sąsiadów na dużą i wygodną odległość, dziko rosnący ogród, kredyt w Swedbanku na półtora miliona i kobietę, którą kochał.

Te metry kwadratowe były naprawdę potrzebne, ponieważ aktualnie mieszkało tam – zrobił krótką przerwę i policzył – dziewięć osób.

Boże drogi, pomyślał. W rok z jednoosobowego zrobiło się dziewięcioosobowe gospodarstwo. Cóż za przeskok. Gapił się na dźwig i zauważył, że się uśmiecha. Głęboko w środku cicho wibrowało spełnienie, nie dało się go stłumić i chodziło o... tak, właściwie chodziło tylko o niego i Marianne. Koniec końców.

Potem jeszcze o kilka innych osób, a ponieważ inspektor Barbarotti lubił robić listy – było tak od wczesnego pacholeństwa (a co teraz było?) – wobec tego teraz też sporządził w głowie listę.

Listę mieszkańców Willi Pickford, jak swoje dzieło ochrzcił pierwszy właściciel, stary fabrykant Hugger. Był jednym z pierwszych fanów filmu i kiedy stawiał dom w połowie lat trzydziestych, nazwał go na cześć swojej ulubionej aktorki.

A zatem Gunnar i Marianne. To oni zdecydowali się połączyć swoje losy i żyli teraz razem jako mąż i żona – nawet jeśli ona postanowiła pozostać przy swoim panieńskim nazwisku, Grimberg. Nigdy jej za to nie zganił; jeśli kiedyś w przyszłości będzie je chciała zmienić na Barbarotti, to na pewno da się to załatwić. Kto poza tym?

No tak, jego własne dzieci, oczywiście: Sara – 20, Lars i Martin – 14 i 12.

Dzieci Marianne: Johan – 16, Jenny – 14.

Chłopak Sary, Jorge – 20; oboje niedługo się wyprowadzą, ponieważ mają własne mieszkanie, zniszczoną i tanią kawalerkę przy Kavaljersgatan w Väster, którą właśnie remontują – prace trwają już trzeci miesiąc, ale według wszystkich rozsądnych znawców wszystko powinno być gotowe przed Bożym Narodzeniem. Problemem było to, że oboje studiowali, pracowali i mieli mnóstwo innych spraw, no i najwidoczniej całkiem dobrze czuli się w Willi Pickford.

Znali się od półtora roku i tata Barbarotti uważał, że mogą trochę poczekać ze wspólnym zamieszkaniem, ale w tym wypadku – tak jak i w wielu innych kwestiach – nie miał głosu.

Tak czy inaczej, tymczasem mieszkali w Pickford, a ponieważ w domu było co najmniej dziesięć pokoi, nie był to żaden problem.

* Tym, kto oznaczał problemy, był dziewiąty i ostatni członek dużej rodziny: szwagier Roger. Plaga narodowa.

Roger Grimberg był bratem Marianne, dziesięć lat od niej starszym, i oczywiście nie miał zostać z nimi na zawsze, on także nie.

Zręczny jak MacGyver: jeśli dało mu się jajko, dwa ołówki i gumkę, potrafił w osiem minut zbudować helikopter.

Z praktycznych względów dobrze było mieć go w domu w trakcie remontu, niezaprzeczalnie. A prace remontowe trwały, odkąd się wprowadzili, czyli od pierwszego listopada; będzie dziesięć i pół miesiąca. Przez ostatnie pięć szwagier Roger cały czas był z nimi, bo równie długo nie miał pracy.

Zwykle – jeśli nie przybijał gwoździ, nie piłował, nie młócił, nie wymieniał ram okiennych lub nie kładł podłóg albo instalacji lub nie instalował pieców w Willi Pickford – mieszkał w Lycksele i pracował jako parkingowy.

Nie potrzeba chyba parkingowych w Lycksele – uważał Barbarotti. – Nic dziwnego, że jest bezrobotny.

Problem z Rogerem Grimbergiem, abstrahując od tego, że był tak cholernie zręczny, że Barbarotti czasami dostawał od tego wysypki, polegał na tym, że trochę nadużywał alkoholu i lubił komentować sytuację na świecie.

Alkohol miał co prawda pod kontrolą – w dni powszednie i w weekendy nie przekraczał sześciu piw na dobę – trudniej było znieść jego analizę światowej sytuacji.

Na przykład wówczas, gdy pełzało się z nim po gorącym dachu i przybijało coś o nazwie łata.

Czy dlatego spadłem? – pomyślał Barbarotti. Dlatego że szwagier Roger wygadywał jakieś bzdury?

Wprawdzie nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co poprzedziło upadek na taczkę, ale pamiętał, że Roger długo perorował na temat szwedzkich przedsiębiorstw, które przenoszą swoją produkcję za granicę – do Europy Wschodniej i południowo-wschodniej Azji – kiedy stali jeszcze na dole i napelniali gwoździami pasy na narzędzia. Przypuszczalnie nazywało się to jakoś inaczej, ale Gunnar Barbarotti lubił niektóre rzeczy nazywać po swojemu. To była kwestia integralności i prawa obrony własnego światopoglądu, a jeśli oprócz tego udało się nieco rozdrażnić Plagę narodową, to był to po prostu niewielki bonus. Gdyby zdołał rozdrażnić go na tyle, żeby ten zdecydował się wyprowadzić do

swojego dwupokojowego mieszkania w Lycksele zaraz po położeniu dachu, byłby to megabonus.

Marianne przeczuwała to dopiero od kilku dni – że jej brat tęskni za domem.

Byłoby idealnie, pomyślał Barbarotti, poprawiając poduszki, gdyby ten osioł sam poprzybijał łąty na dachu w tym czasie, kiedy ja będę leżał w szpitalu i dochodził do siebie. A potem niech spada na północ do swoich parkometrów i nie wraca.

Z tą optymistyczną myślą i dźwiękiem przed oczami znowu zasnął i ani Bóg, ani Diabeł nie pofatygowali się, żeby mu tym razem przeszkodzić.

Ani grą w pokera, ani niczym innym.

Zamiast tego przyszła jakaś kobieta i minęło kilka sekund, zanim dotarło do niego, że naprawdę się obudził.

Stała z brzegu łóżka i wyglądała na pięćdziesiąt lat. Mocno zbudowana, ale nie gruba, o kolorze włosów przypominającym burgund, który kiepsko komponował się z jej jasnoniebieskimi, trochę rozbieganymi oczami.

Była ubrana na biało, więc zrozumiał, że należy do personelu.

– Przepraszam – powiedziała. – Nazywam się Alice Ekman-Roos. Jestem pielęgniarką tutaj na oddziale. Ale nie zajmowałam się tobą, możesz mnie więc nie pamiętać.

Przeczytał tekst na plakietce przypiętej na jednej z piersi. Zgadzało się, nazywała się Ekman-Roos; prawdą również było to, że jej nie pamiętał. Potrząsnął głową i próbował wyglądać ubolewająco.

– Niestety.

– W liceum chodziliśmy do jednej klasy – powiedziała. – Rok tylko, ale zawsze.

Alice Ekman? – pomyślał. Tak, może. Może był ktoś taki, ale nie z tym kolorem włosów, tego był pewien... prawdopodobnie

w pierwszej klasie, w drugiej zmienił profil. Tak, to mogła być ona.

– Wiem, że jesteś policjantem. Jeśli jesteś zbyt zmęczony, to powiedz. Chciałam cię tylko o coś zapytać.

Widział, że czuje się niezręcznie. Wstydzi się, że tak go zaczepiła. Może przez chwilę stała i czekała, aż się obudzi?

– Alice Ekman? – upewnił się.

– Tak.

– Tak, chyba cię pamiętam. Miałaś koleżankę o imieniu Inger, prawda?

Jej zmartwiona twarz na chwilę się rozjaśniła.

– Zgadza się. Inger Mattsson. Byłyśmy jak papużki nierozłączki.

– O co chodzi? – zapytał. – Właśnie miałem operację, ale pewnie o tym wiesz?

– Tak, wiem – potwierdziła. – Dlatego pomyślałam, prawdę mówiąc, że wykorzystam... to, że leżysz na moim oddziale. Niedługo przeniosą cię na ortopedię.

– A gdzie w takim razie teraz jestem?

– Na bloku pooperacyjnym. Zostaniesz tutaj jeszcze tylko kilka godzin.

– Aha.

Przeczesała włosy i rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku drzwi.

– Chodzi o to... chodzi o to, że mam problem i nie wiem, czy zgłosić to na policję, czy nie. Nie znam też nikogo, kogo mogłabym się poradzić.

Barbarotti spojrział na dźwig i czekał.

– To trochę żenujące i właściwie to nie chciałabym, żeby to wyszło na jaw. Chociaż z drugiej strony...

– Tak?

– Z drugiej strony to może być coś poważnego. Myślałam o tym od dwóch dni, naprawdę nie wiem, jak mam się zachować. I kiedy zobaczyłam tutaj twoje nazwisko... to

pomyślałam... to pomyślałam, że może mogłabym się Ciebie przynajmniej poradzić.

Zrobiła krótką przerwę i odchrząknęła, ewidentnie była zdenerwowana.

– Wybacz, że się w ten sposób narzucam, normalnie bym tego oczywiście nie zrobiła, ale... cóż, jestem odrobinę zdesperowana, po prostu.

– Zdesperowana?

– Tak.

Gunnar Barbarotti złapał się materaca, próbując się trochę podciągnąć.

– Co się takiego wydarzyło? – zapytał.

Zanim odpowiedziała, przez chwilę przyglądała się jego zagipsowanej nodze. Przygryzła dolną wargę... i podrapała wewnętrzną stronę kciuków.

– Chodzi o mojego męża – oznajmiła. – Wygląda na to, że zniknął.

25

– Dlaczego nie chcesz tego zgłosić? – zapytał cztery godziny później.

Inna sala szpitalna i żadnego żółtego dźwigu. Zielony parawan na wysokości dwóch trzecich łóżka, chwalebna próba stworzenia choćby iluzji intymności.

Ale jedynie iluzji. W tym samym pokoju leżało dwóch innych pacjentów, z gipsem w różnych miejscach, przypuszczalnie w zasięgu słuchu, jeśli nie ściszyło się głosu. Jeden z nich, osiemdziesięcioletni pan, głośno rozmawiał z żoną przez telefon, nie pozostawiając co do tego żadnych wątpliwości.

Odwiedziła go Marianne. Także Sara i Jorgen. Zajrzało kilku lekarzy i kilka pielęgniarek, wyjaśniając, że wszystko

poszło dobrze i że jego stan jest dobry. Jutro albo pojutrze miał zostać wypisany. Musi się liczyć z tym, że przez cztery do sześciu tygodni noga będzie w gipsie. Przepuszczalnie raz czy dwa będzie go trzeba założyć od nowa.

Znowu przyszła Alice Ekman-Roos, pomimo że to już nie był jej oddział. Było wpół do ósmej wieczorem, niebo za oknem nabierało głębi, robiło się fioletowe.

Wzięła głęboki wdech i przyglądała mu się z powagą.

– Dlatego że to wszystko to może tylko banalna i żenująca historia.

Przez kilka sekund powstrzymał się z komentarzami.

– Policja jest przyzwyczajona do banalnych i żenujących historii.

Westchnęła, odwróciła wzrok i zapatrzyła się w okno.

– Wiem – odparła. – Nie chcę tylko, żeby to wyszło, jeśli tak właśnie jest... ale to może być też coś poważnego. Jak już mówiłam.

– Poważnego?

– Tak, coś mogło mu się przecież naprawdę stać. Mogło mu się przydarzyć coś okropnego.

– Nie do końca rozumiem, czego ode mnie oczekujesz – oznajmił Barbarotti. – Jak sama widzisz, jestem odrobinę niedysponowany.

Pokazał na gips, próbując przybrać ironiczny wyraz twarzy.

– Oczywiście. Jeśli zechcesz, zaraz sobie pójde. Właściwie chciałam cię tylko poprosić o radę. Ponieważ kiedyś, mimo wszystko, chodziliśmy do tej samej klasy, no i jesteś policjantem.

Gunnar Barbarotti skinął głową. Tyle zdążyła powiedzieć tam, na oddziale kooperacyjnym, zanim im przerwano.

Nic więcej. Tylko tyle, że zaginiony mąż miał na imię Valdemar i że nie widziała go od niedzieli. Dzisiaj był wtorek. Wypił łyk wody z kubka stojącego na nocnym stoliku i zdecydował się.

– Okej – rzucił. – Chętnie posłucham. Nie mam przecież nic innego do roboty.

– Dziękuję – powiedziała i przysunęła krzesło trochę bliżej. – Bardzo dziękuję. Tak, pamiętam, że wydawałeś się miły... mam na myśli wtedy, kiedy chodziliśmy do liceum. Nawet jeśli nigdy nie poznaliśmy się bliżej.

– Niedziela – powiedział Barbarotti, żeby uniknąć dalszej rozmowy na temat szkoły. – Twierdzisz, że twojego męża nie ma od niedzieli?

Odchrząknęła i spłotła dłonie.

– Właśnie. Rozmawiałam z nim przez telefon o szóstej. Od tamtej pory się nie odezwał.

– Przez telefon? Czyli nie było go w domu? Mieszkacie tutaj, w Kymlinge?

Skinęła głową.

– Na Fanjunkargatan. Mieszkamy tam, odkąd się pobraliśmy przed... przed dziesięcioma laty, mniej więcej. Każde z nas ma za sobą nieudane małżeństwo. Tak to dzisiaj bywa.

– Jestem w tej samej sytuacji – wyznał Barbarotti.

– Ach tak? Tak, nic takiego nigdy wcześniej się nie wydarzyło. Valdemar to dość spokojny i... no cóż, wielu powiedziałoby, że nudny... człowiek. Nieco powściągliwy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Naprawdę nie jest facetem, po którym można by się spodziewać zniknięcia. To kompletnie do niego niepodobne, a poza tym jest ode mnie dziesięć lat starszy.

Barbarotti trochę nie rozumiał, co różnica wieku mogła mieć wspólnego ze skłonnością do znikania, ale dał temu spokój.

– Zastanawiasz się – powiedział tymczasem – czy mógł to zrobić z własnej woli?

Wzdrygnęła się.

– Skąd wiesz?

Rozłożył ręce.

– Jeśli tego nie podejrzewałaś, to nie rozumiem, skąd to zażenowanie.

Zamyśliła się i widział, że kupuje jego tok rozumowania.

– Naturalnie – odparła. – Oczywiście nie pierwszy raz spotykasz się z czymś takim. Tak, istnieje prawdopodobieństwo, że się ukrywa, bo tego chce, dokładnie tak jak mówisz.

– Próbowalaś dowiedzieć się czegoś na własną rękę? – zapytał Barbarotti. – No powiedzmy, że na własną rękę.

Na jej dużą, gładką twarz wypełził rumieniec.

– Nie – powiedziała.

– Niczego? – zapytał Barbarotti.

– Nie, niczego. Nie uważam, żeby...

– Tak?

– Uważam, że byłoby okropnie żenujące, gdyby mnie po prostu zostawił. Myślałam, że się odezwie...

– Jego miejsce pracy? Chyba ma pracę?

Skinęła, a potem zmieszana potrząsnęła głową.

– Tak, ale nie dzwoniłam tam.

– Czemu? Gdzie pracuje?

– We Wrigmans Elektriska. Nie wiem, czy znasz. Produkcją termosy i trochę innych rzeczy, mają siedzibę w Svartö.

– Wiem, gdzie to jest – oznajmił Barbarotti. – W każdym razie mogę ci poradzić, żebyś tam zadzwoniła, zanim skontaktujesz się z policją.

– Tak – powiedziała i spuściła wzrok. – Oczywiście powinienam była to zrobić. Wiem, że się trochę głupio zachowuję.

Poczuł, że zaczyna darzyć ją sympatią. Jeśli mąż naprawdę zostawił ją tak po prostu bez słowa wyjaśnienia, nie było powodu, żeby traktować ją z góry. I przecież miał czas, jak już powiedział.

– Zatem są specjalne powody, które pozwalają ci sądzić, że sam za tym stoi? – zapytał. – Dobrze rozumiem?

Zanim odpowiedziała, przez krótką chwilę przyglądała się swoim splecionym dłoniom.

– Tak – potwierdziła. – Dokładnie. Valdemar zachowywał się ostatnio trochę dziwnie. Zauważyłyśmy to, zarówno dziewczynki, jak i ja.

– Dziewczynki?

– Mamy dwie córki. Właściwie obie są moje, z poprzedniego małżeństwa, ale mieszkają z nami, mają dwadzieścia i szesnaście lat.

– I... i zauważyłyście, że twój mąż ostatnio nie był taki jak zwykle?

– Tak.

– W jakim sensie?

Próbowała zmarszczyć czoło, ale było na nim za mało skóry, by mogło się udać.

– Sama nie wiem – powiedziała z wahaniem. – Nic konkretnego, ale było to po nim widać. To, co mówił, i takie tam... nie myśli się o tych małych zmianach, kiedy jest się ze sobą tak długo. Sądziłam, że...

– Tak?

– Sama nie wiem, ale wydawało mi się, że może cierpi na depresję. Sam to rozważał, rozmawialiśmy nawet z jednym psychiatrą, to znamy... ale jest jeszcze coś... coś, o czym dowiedziałam się w niedzielę. To może wcale nie ma z tym nic wspólnego, ale mimo to nie mogę przestać się tym martwić.

– Rozumiem – oznajmił Barbarotti. – A o czym dowiedziałas się w niedzielę?

Przełknęła ślinę, a razem ze słońcem, które posyłało przez okno ostatnie promienie, powrócił rumieniec.

– Jedna z moich przyjaciółek poczyniła obserwację.

– Obserwację?

– Nie wiem, jak to nazwać. W każdym razie powiedziała, że widziała Valdemara w towarzystwie... w towarzystwie młodej kobiety.

Aha, pomyślał Barbarotti. Tu go mamy. Tak myślałam.

– Oczywiście, możliwe, że to nic nie znaczy – kontynuowała Alice Ekman-Roos. – Mam na myśli, że to przecież mogła być tylko koleżanka z pracy albo ktokolwiek, ale... cóż, zaprzeczył. Moja przyjaciółka widziała ich na odległość

metra i przywitani się. Valdemar i tamta kobieta wychodzili z restauracji. Dlaczego miałby zaprzeczać, gdyby to było coś niewinnego?

– Słusznie – stwierdził Barbarotti. – Kiedy poczyniła tę... obserwację?

– W piątek. Wychodzili z Ljungmans na Norra Torg. Kojarzysz chyba...?

– Jasne – potwierdził Barbarotti. – Ale jak zareagował twój mąż, kiedy mu o tym powiedziałaś? Zrobiłaś to w niedzielę, tak? Dobrze pamiętam?

– Dokładnie – odparła Alice Ekman-Roos. – Wiem tylko tyle, że zaprzeczył. To ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam.

– Ostatnie?

– Tak.

– Zaczekaj, to była ta rozmowa po południu. Wtedy powiedziałaś mi o tym, a on się wszystkiego wyparł.

Skinęła głową i po raz pierwszy zabłyszczały jej oczy.

– Powiedziała mi o tym przyjaciółka. Wróciłam do domu, ale jego nie było. Zadzwoniłam na jego komórkę i opowiedziałam o tym, czego się właśnie dowiedziałam, a on... on stwierdził, że to nieporozumienie. Że w piątek wcale nie był w Ljungmans. Potem się rozłączył. Albo nam przerwało, nie wiem.

– A w ten piątek, o której to mogło być?

– W porze lunchu. To także dziwne. Co miałby robić w mieście o tej porze?

– Powinien być w pracy, w Svartö?

– Tak.

– Ale może zdarzało się, że czasem był w mieście?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Barbarotti myślał, a słońce zniknęło.

– Gdzie był? – zapytał. – Kiedy dzwoniłaś?

Westchnęła.

– Powiedział, że pojechał na przejażdżkę w okolice Kymmen, ale nie wiem. Nigdy tego nie robił. Powiedział, że za-raz będzie w domu.

– Ale nigdy do domu nie wrócił?

– Nie. Później tego samego wieczoru oczywiście znowu do niego dzwoniłam, ale nie odbierał. Wczoraj i dzisiaj też nie.

– Dzwoniłaś kilka razy?

– Tak.

– Wysyłałaś SMS-y?

– Tak.

– Rozumiem – powiedział Barbarotti. – Cóż, wydaje mi się, że mam jasność sytuacji.

– Tak zwykle mówicie?

– Słucham?

– Na policji. Że macie jasność sytuacji?

Nie odpowiedział. Wyprostowała się, wzięła głęboki wdech i pomyślał, że dowie się czegoś więcej.

Mylił się. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w okno, patrzyła na park i rzekę, nie przejmując się tym, że po policzkach płyną jej łzy. Ktoś pojawił się po drugiej stronie parawanu i wszedł do pokoju z klekoczącym wózkiem. Barbarotti zrozumiał, że ich rozmowa dobiega końca.

– Jeszcze jedno – przypomniał sobie. – Kto wie, że zniknął?

– Tylko ja.

– A córki?

– Powiedziałam im, że jest w delegacji.

– Jeździ w delegacje?

– Nigdy. Ale są tak zajęte sobą, że na pewno niczego nie zauważą. Taki wiek.

Barbarotti skinął głową i zamyślił się na chwilę.

– Okej – powiedział. – Cóż, trochę smutna historia. Rozumiem, że się niepokoisz, ale mimo to uważam, że najlepsze, co możesz zrobić, to zadzwonić do Wrigmans i o niego zapytać.

Wtedy zaskoczyła go jeszcze bardziej, niż jej się to do tej pory udało.

– A ty nie możesz tego zrobić? – zapytała. – Proszę.

Jego odpowiedź była równie zaskakująca.

– Okej, jeśli podasz mi numer, załatwię to jutro rano.

Pół godziny po tym, jak Alice sobie poszła, zadzwoniła Marianne.

– Jak się ma moje kochanie? – chciała wiedzieć.

– Lepiej, niż na to zasługuje – przyznał Gunnar Barbarotti. – Mówią, że przez jakiś czas nie będę musiał pracować.

– Coś chyba możesz zrobić?

– Mam szlaban na prace ręczne – oznajmił Barbarotti.

– Nie boli cię?

– Ani trochę.

– *Lucky you* – powiedziała Marianne. – Wiesz co, jestem taka szczęśliwa, że żyjesz. Jesteś taki niezdarny i tak naprawdę to się mogło skończyć dużo gorzej.

– Dzięki – odparł Barbarotti. – Tak czy inaczej, myślę, że będzie fajnie kochać się z zagipsowaną nogą. Zawsze mnie zastanawiało... jak to się robi.

– Chcesz żebym przyjechała dziś wieczorem? – zapytała Marianne. – Miałam zamiar po prostu przyjechać i ucałować cię na dobranoc.

– Lepiej żebyś na dobranoc ucałowała resztę rodziny – oznajmił Barbarotti. – Mam rację?

– Tak, tak – westchnęła Marianne i prawie słyszał, jak wznosi oczy ku niebu. – Sześcioro dzieci i brat alkoholik, prawie jak w filmie, co? Cóż, chyba lepiej zostanie.

– Sara i Jorgen nie są już dziećmi – zauważył Barbarotti.

– W każdym razie nie przez cały czas.

– Racja. Ale Jenny ma jutro klasówkę z matmy, a Martin potrzebuje pomocy przy akwarium. I mamy dwie tony prania, na pewno nie będę się nudzić.

– Jutro wracam do domu i pozwolę ci się ponudzić – obiecał Barbarotti. – Albo pojutrze. Powiedz szwagrowi Rogerowi, żeby się pośpieszył z tym dachem.

– Prawie skończył. Mówi, że idzie szybciej, kiedy cię nie ma.

– Kurwa – rzucił Barbarotti.

– Może żartował – oznajmiła Marianne.

– Jasne – powiedział Barbarotti. – Dobra, chyba muszę się położyć. Śpij dobrze, piękna nimfo. Śnij o mnie.

– Myślałam, że wybudziłeś się z narkozy – oznajmiła Marianne.

Tylko kilka minut później zadzwoniła inspektor Backman.

– Sprytnie – oznajmiła.

– Co takiego?

– Bierze się dzień wolnego na remont swojej rezydencji, symuluje się złamanie nogi i przez miesiąc nie trzeba pracować.

– Dokładnie – powiedział Barbarotti. – Muszę przyznać, że całkiem niezłe to sobie wymyśliłem.

– Chociaż Asunander mówi, że jak tylko gips zastygnie, dostaniesz papierkową robotę. Miał chyba na myśli jutro.

– Przekaż naszemu eunuchowi, że już za nim tęsknię – oznajmił. – Niestety, nie mogę łamać zaleceń lekarskich.

– Powtórzę mu – obiecała Eva Backman. – Chociaż nie sądzę, żeby był zachwycony lekarzami.

– A on się w ogóle czymś zachwyca? – zapytał Barbarotti. – Na dobrą sprawę. Trochę o tym myślałem.

– Ja też – przyznała inspektor Backman. – Sądzę, że lubi pewną rasę trochę ekscentrycznych i agresywnych psów.

– Racja, miał przecież takiego – powiedział Barbarotti.

– Właśnie, ale zdechł – przypomniała Backman. – Chyba pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam – odpowiedział. – Więc aktualnie nic go nie zachwyca?

– Właśnie to chciałam powiedzieć – stwierdziła. – A na pewno nie leniwi gliniarze spadający z dachu i idący na zwolnienie.

– Dzięki, zrozumiałem – odparł Barbarotti. – Czemu gadamy o Asunanderze?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę wylądowałaś w taczce?

– Tak – przyznał i stwierdził, że o tym też nie ma ochoty rozmawiać. – A co u ciebie? – zapytał.

– Będę musiała z tobą pogadać – oznajmiła Eva Backman. – O sprawie Sigurdssona między innymi. O tych przesłuchaniach Lindmana i pastora, które prowadziłeś.

– Jasne, rozumiem – powiedział Barbarotti. – Jak bardzo ci się spieszy?

– Jak długo będziesz w szpitalu?

– Najprawdopodobniej wypuszczą mnie jutro... albo pojutrze. Ale mogę teraz pogadać, chyba słysząc?

– Nie lubię szpitali – przyznała Backman. – Ale jeśli będę mogła przyjść jutro do ciebie do domu, byłoby super. Wtedy prokurator zapuszkuje tego pieprzonego Sigurdssona w przyszłym tygodniu.

– Dobra – zgodził się Barbarotti i nagle poczuł, że nie ma siły dłużej rozmawiać. Był świeżo po operacji, czyż nie? – Zadzwon jutro – wyjaśnił. – Wtedy zobaczymy, jak sprawa wygląda.

– Nie spadnij z łóżka i nie zrób sobie krzywdy – powiedziała Backman, a potem życzyli sobie dobrej nocy.

Zanim zasnął, leżał przez chwilę i pozwalał myślom błądzić. Właściwie próbował nimi pokierować – od rozmowy ze zdenerwowaną pielęgniarką, która dawała mu narkozę, w kierunku swojego życia i swoich spraw.

Na przykład, co oznaczało kuśtykanie ze złamaną nogą. Drugi raz w życiu coś złamał; za pierwszym razem wjechał rowerem prosto w trzepak i złamał obojczyk. To było czterdzieści lat temu i w kilka tygodni zrosło się bez gipsu.

Gunnar Barbarotti przypuszczał, że jest pewna różnica między tym, jak rany goją się na ośmiolatku, a jak na czterdziestoosmiolatku.

Te refleksje nie zawładnęły jednak jego myślami. Zrobiła to Alice Ekman-Roos – czy chciał tego, czy nie i niezależnie od tego, jak bardzo próbował swymi myślami sterować.

Może dlatego że było mu jej naprawdę szkoda.

Nie ma większych wątpliwości, prawda? – zapytał sam siebie. – Mąż się nią znudził i znalazł sobie inną. To, że zostawił ją bez słowa wyjaśnienia, było oczywiście skurwysyństwem, ale wielu mężczyzn tak robiło. Nie chcieli konfrontacji, w każdym razie niezbyt wcześnie. Valdemar Roos odezwie się pewnie za jakiś dzień lub kilka dni, tymczasem jest zbyt zajęty swoim nowym życiem i nową kobietą.

Skurwiel, pomyślał Gunnar Barbarotti. Tak się nie robi. Trzeba się pilnować... i trzymać się od takich akcji z daleka.

Chociaż gdzieś głęboko w środku – w mrocznej męskiej jaskini – przypuszczał, że gdyby on sam ożenił się z Alice Ekman-Roos, to równie dobrze mógłby postąpić dokładnie tak, jak Valdemar Roos. Zostawić ją bez słowa. Właśnie tak. Hipokryzją byłoby zaprzeczać.

Ale nie był mężem Alice Ekman-Roos, tylko mężem Marianne Grimberg. A to była kolosalna różnica.

Niektórzy skurwiele mają więcej szczęścia niż inni, pomyślał. Życie to niesprawiedliwa loteria. Dzięki, dobry Boże, że postawiłeś ją na mojej drodze.

Po tych skromnych przemyśleniach i analizach zasnął.

26

– Wrigmans, proszę czekać.

Była środa po południu. Wprawdzie obiecał zadzwonić do Wrigmans rano, ale miał inne rzeczy na głowie. Rozmowę

z lekarzem. Porady i wskazówki dotyczące rekonwalescencji. Wypróbowanie kul i wizytę w toalecie, przy czym to ostatnie było bardziej uciążliwe, niż myślał.

Poza tym dwa razy była u niego Marianne; pracowała przecież na oddziale noworodkowym, a przybiegnięcie na ortopedię nie zajmowało więcej niż trzy minuty.

Dowiedział się, że muszą go zatrzymać jeszcze jeden dzień. Zanim wyślą go do domu, chcieli powtórzyć badanie rtg. A może chodziło o coś innego. Z jakiegoś powodu był oporny na wiedzę medyczną.

– Naprawdę wytrzymasz beze mnie jeszcze jedną noc? – zapytał Marianne.

– Jakoś przeżyję – odparła.

Czasami trochę go bolało. Czuł, jakby noga w białym, gipsowym kokonie była i nie była jego. Czasami trochę swędziała i wtedy zdecydowanie należała do niego.

Zrobiło się wpół do trzeciej, zanim postanowił się zabrać za zbiegłego skurwiela.

– Wrigmans Elektriska. Przepraszam, że musiał pan czekać.

– Chciałbym rozmawiać z Valdemarem Roosem.

– Z Valdemarem?

– Tak, z Valdemarem Roosem.

Kobieta po drugiej stronie zaśmiała się. Trochę ochryple i bezczelnie.

– No tak, ale przecież on już tu nie pracuje.

– Nie pracuje? – upewnił się Gunnar Barbarotti.

– Dokładnie – odparła kobieta.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Barbarotti. – Twierdzi pani, że Valdemar Roos już u was nie pracuje?

– Mówię przecież – potwierdziła. – Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Barbarotti – wyjaśnił Gunnar Barbarotti.

– Ale właściwie dzwonię w imieniu dobrego przyjaciela.

Proszę mi powiedzieć, od jak dawna Valdemar u was nie pracuje?

Kobieta zakaszlała i zamyśliła się.

– Taa... od jakiegoś miesiąca, mniej więcej – odrzekła. – Złożył wypowiedzenie ni stąd, ni zowąd. Z dnia na dzień. A Wrigman pozwolił mu odejść.

– Rozumiem – powiedział Barbarotti, będąc równocześnie dość pewnym, że tak właśnie nie było.

– Wie pani może, czy zaczął pracę gdzieś indziej? – zapytał.

– Nie mam bladego pojęcia – oznajmiła. – Pracował tu dwadzieścia lat, a potem się zwolnił. Po prostu.

Gunnar Barbarotti myślał w pośpiechu.

– Wie pani, jak go mogę znaleźć?

– Nie.

– Nie ma pani przypadkiem numeru jego komórki?

– Tak, może gdzieś mam. Proszę chwilę poczekać.

Czekając, słyszał, jak uderza palcami w klawiaturę. Potem dostał numer do Valdemara Roosa i zakończyli rozmowę. Zrozumiał, że Wrigmans Elaktriska nie należy do firm, które wysyłają swoich pracowników na kurs dobrych manier.

Poprawił poduszki pod plecami i przez chwilę obserwował swoją nogę.

Rzucił pracę?

Miesiąc temu?

Jego żona nie wspomniała o tym ani słowem. Dlaczego?

Odruchowo wystukał numer, który dostał od kobiety z Wrigmans. Mimo wszystko mogło przecież być tak, że tylko żonie o tym nie powiedział.

Żadnej odpowiedzi.

Gunnar Barbarotti pokręcił głową i zamiast tego wybrał numer Alice Ekman-Roos.

Dwadzieścia minut później znowu siedziała przy jego łóżku.

– Co ty mówisz, na litość boską? Jak to nie pracuje?

Widział po niej, że płakała. Jej duża, gładka twarz była odrobinę spuchnięta i rozpalona.

Jeśli wczoraj czuła się zażenowana, to dzisiaj było sto razy gorzej, pomyślał Barbarotti, dochodząc do wniosku, że się nie pomylił. Valdemar Roos jest skurwielem. Nie dość że miał inną kobietę, to jeszcze wywiódł swoją żonę w pole w najbardziej jeżący włos na głowie sposób: zwolnił się z pracy, nic a nic jej o tym nie mówiąc.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Jeździł tam co rano, dokładnie tak jak zwykle... i wracał do domu wieczorem.

– Twierdzą, że miesiąc temu zwolnił się z pracy – oznajmił Barbarotti.

– Ale to przecież... to niemożliwe. Jeśli nie jeździł do Wrigmans, to w takim razie dokąd?

– Dojeżdżał własnym samochodem? – zapytał Barbarotti.

– Oczywiście. Od zawsze... jeszcze zanim się spotkalismy. Pracował tam... hmm, sama nie wiem... co najmniej dwadzieścia lat.

– I z nikim się nie zabierał?

Pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał z nim jeździć.

Barbarotti zastanawiał się nad tym przez chwilę, drapiąc się po gipsie.

– I nigdy nie wspomniał, że planuje zrezygnować z pracy?

– Nigdy – odparła Alice, wpatrując się w niego swoimi dużymi, bezradnymi oczami. Jakby spotkało ją coś niesamowitego, budzącego grozę i jakby nie wiedziała, jak ma się zachować. – Nigdy nie wspomniał o tym nawet słowem. Boże, co się mogło stać?

– Nie wiem – przyznał Gunnar Barbarotti. – Czy macie... albo czy on ma... jakichś dobrych przyjaciół, którzy mogliby coś wiedzieć?

Pomyślała, a potem pokręciła głową.

– Jakiegoś znajomego, któremu mógłby się zwierzyć – dodał.

– Nie, nie sądzę – powiedziała po krótkiej przerwie. – Valdemar prawie nie ma przyjaciół. Jest raczej zamknięty w sobie. Chcesz powiedzieć, że on... że on...

– Tak? – ostrożnie zapytał Gunnar Barbarotti, próbując się uśmiechnąć i dodać jej otuchy, co raczej zostało odebrane jako grymas.

Alice Ekman-Roos wzięła głęboki wdech i zebrała się w sobie. Minęło pięć sekund.

– Twierdzisz więc – powiedziała – że każdego ranka, przez cały miesiąc, udawał, że jedzie do pracy? Dlaczego... to znaczy, dlaczego dorosły mężczyzna miałby się tak zachowywać?

To ty jesteś jego żoną, nie ja, pomyślał Gunnar Barbarotti, ostrożnie wyskubując resztki gipsu, które utkwily za paznokciami, i zastanawiając się, co powinien jej odpowiedzieć.

– Może najlepiej byłoby jednak skontaktować się z policją – zaproponował w końcu. – Skoro nie przychodzi ci do głowy nikt, kto mógłby wiedzieć, gdzie on teraz przebywa.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, przyglądając się swoim splecionym dłoniom. Potem głęboko westchnęła i zdecydowanie wyprostowała plecy.

– Nie – powiedziała. – Na pewno jest u tamtej kobiety. To do niej jeździł każdego dnia.

– To jedna z możliwości – zgodził się Barbarotti.

– Wiedziałałam, że coś jest na rzeczy – kontynuowała. – Przez ostatni miesiąc nie był sobą... zauważyłam, że coś jest nie tak. Znalazł sobie inną, a teraz uciekł.

No tak, pomyślał inspektor Barbarotti. To chyba najrozsądniejsze wytłumaczenie tej sytuacji...

Myślał, że wstanie z krzesła i sobie pójdzie – wskazywała na to jej postawa i to, co na końcu powiedziała – ale zamiast tego odrobinę się w sobie zapadła, przeniosła spojrzenie na to, co za oknem, i przygryzła dolną wargę. Siedziała tak przez dłuższą chwilę.

– Ale taka młoda kobieta? – powiedziała w końcu głosem pełnym zwątpienia. – Jaki pożytek mogłaby mieć młoda kobieta z kogoś takiego jak Valdemar?

Barbarotti wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– I dlaczego zwolnił się z pracy? Nie, coś tu nie gra. Musi chodzić o coś więcej.

– Nie wiem, czy jest sens... – próbował wyjaśnić Barbarotti, ale mu przerwała.

– Karin, moja przyjaciółka, która ich widziała, twierdzi, że ta kobieta nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Valdemar ma prawie sześćdziesiąt. Jego syn ma trzydzieści siedem albo trzydzieści osiem.

– Syn? – zainteresował się Barbarotti. – Może on coś wie?

– Nie sądzę – odparła Alice Ekman-Roos. – Nie mają w zasadzie żadnego kontaktu. Mieszka w Maardam.

– Ach tak – powiedział Barbarotti. – No, tak czy inaczej proponuję, żebyś się skontaktowała z policją. W każdym razie jeśli nie odezwie się w ciągu najbliższych dni. Przecież mimo wszystko mogło mu się coś stać, nie zapominajmy o tym.

Pokręciła głową.

– Wątpię – powiedziała i trochę niezdarnie podniosła się z krzesła. – Valdemar nie jest człowiekiem, któremu coś się przydarza. Jest raczej... jak mebel.

– Mebel? – zdziwił się Barbarotti.

– Tak, sofa albo coś w tym stylu. Co wieczór zasypia przez telewizorem i nigdy nie powie ani słowa, jeśli się do niego nie zagadnie.

Stwierdziwszy to, podziękowała za pomoc i sobie poszła.

Świetnie – pomyślał inspektor Barbarotti i zamknął oczy. – W takim razie mamy z głowy Valdemara Roosa. Mężczyznę, który jest meblem.

Okaże się jednak, że nie było to zupełnie słuszne przypuszczenie.

Eva Backman odjechała rowerem ze stojaka przy wejściu na komisariat i pomyślała, że miło będzie wrócić do domu. Niezwykle miło. Przez dwa dni siedziała w swoim pokoju i pracowała, a ostre, jesienne słońce za jej oknem wędrowało od prawej strony do lewej, szydząc z niej i uświadamiając zmarnowany czas.

Nie miała kontaktu z Barbarottim, ponieważ ten idiota zwałił się z dachu, wpadł do taczki i złamał nogę.

Nie tak miało wyglądać moje życie, pomyślała i skręciła w Kvarngatan. Powinam była zostać nadleśniczym, architektem albo fotomodelką.

Albo kimkolwiek innym. Przynajmniej policjantką, która ma na tyle oleju w głowie, żeby teraz, kiedy mieli najładniejszy miesiąc w roku, załatwić sobie pracę poza biurem. Nie były to nowe myśli; może w gruncie rzeczy błędem było nazywać je myślami. Raczej stare klisze, które budziły się do życia i wirowały w głowie, jak tylko wyłączała mózg.

Nie tak miało być, ale jest jak jest – kontynuowały pół-myśli.

Kiedy miała dwadzieścia lat, mogła zrobić ze swoim życiem, co tylko chciała; ładna, ambitna, czytana, długonoga i mądra – dwanaście lat później była mężatką, matką trójki dzieci, policjantką i miała dom w Hadze, części miasta, której w skrytości nienawidziła. Dom był okej.

Shit happens, mogło być przecież gorzej.

Po kolejnych dwunastu latach miała czterdzieści cztery lata, mieszkała w tym samym domu z tą samą rodziną, a przy odrobinie szczęścia miała jeszcze przed sobą połowę życia. Prawie połowę w każdym razie; nie będzie narzekać jak zgorzkniała baba.

Właśnie dzisiaj nie mogła się doczekać powrotu do domu. Mąż Wilhelm, nazywany pieszczotliwie Villem, i trzech grających w unihokeja synów wyruszyli na obóz treningowy w okolicy Jönköping. TUK, Tygrysy Unihokeja

z Kymlinge, zaczynały sezon i aż do niedzielnego wieczoru miała dom tylko dla siebie.

Dzisiaj jest środa, a zatem przez cztery dni nie potknę się o żaden kij do unihokeja.

Mogło być gorzej, jak już powiedziała. Przyspieszyła, zastanawiając się, jakie jest prawdopodobieństwo, że Ville naprawił wannę z hydromasażem, tak jak obiecał.

Była w domu już od dziesięciu minut, kiedy zadzwonił ojciec. Zobaczyła na wyświetlaczu jego numer i po krótkiej, wewnętrznej walce postanowiła odebrać.

– Eva, przeżyłem coś okropnego – zaczął. – Nie uwierzysz.

Nie, pewnie nie, pomyślała posępnie.

– Eva, wydaje mi się, że widziałem morderstwo.

– Tato, daj spokój, jestem pewna, że...

– Wiem, że czasami dziwnie się zachowuję. Z moją głową jest jak jest, starzeję się, Evo. Sama też kiedyś taka będziesz.

Ucichł.

Już stracił wątek? – zastanawiała się. Ale odchrząknął i kontynuował.

– To nie wydarzyło się dzisiaj, tylko przed paroma dniami. Myślałem o tym i przypomniałem sobie, że jesteś policjantką. Głupio zrobiłem, powinienem oczywiście wpaść na to od razu, ale czasami zapominam, już ci to chyba mówiłem. No i oczywiście strasznie się zdenerwowałem, a to nie ułatwia sprawy, po południu jednak trochę się zdrzemnąłem... i kiedy się obudziłem, poczułem pełną jasność umysłu; to wtedy zrozumiałem, że muszę do ciebie zadzwonić.

Spojrzała na zegarek. Była za kwadrans szósta.

Okej, pomyślała, daję mu dziesięć minut, tyle mogę zrobić. Przynajmniej zagłuszę trochę wyrzuty sumienia.

Wyrzuty sumienia, które miała z powodu ojca, pojawiały się i znikaly. Albo raczej z powodu brata, to wobec niego miała dług wdzięczności. Wobec Erika i jego żony Ellen,

dzięki którym Sture Backman mógł prowadzić w miarę godne życie, mimo iż opuszczały go zdolności umysłowe. Mimo że powoli, ale nieubłagalnie odchodził w kierunku całkowitej ciemności.

Przez ostatnie dwa i pół roku mieszkał u nich. Była to jedyna alternatywa dla zinstytucjonalizowanej formy opieki i Eva wiedziała, że nie było im łatwo podjąć decyzję. Erik był od niej pięć lat starszy, nie mieli z Ellen własnych dzieci, ale adoptowali chłopca i dziewczynkę z Wietnamu, którzy teraz mieli dwanaście i dziesięć lat; rodzina mieszkała na wsi. Można powiedzieć, że Erik i Ellen byli półrolnikami, a oprócz tego oboje mieli inną pracę, w każdym razie jakoś się kręciło.

Chyba nawet lepiej niż jakoś, kiedy się nad tym zastanowić. Właśnie kupili dwa nowe konie, a duży samochód typu SUV lśnił imponująco, kiedy go Eva ostatnio widziała. Siedlisko nazywało się Rödmosse, było położone jakieś czterdzieści kilometrów na zachód od Kymlinge, i prawie za każdym razem, kiedy tam była z wizytą, dochodziła do wniosku, że tak właśnie powinno się żyć. Dokładnie tak. W harmonii ze swoją rodziną, z otoczeniem i z sobą samym. Ani Erik, ani Ellen nigdy nie dali jej odczuć, że Sture jest dla nich jakimkolwiek ciężarem.

Może nie jest, myślała Eva.

Dom był wystarczająco duży, żeby mógł z nimi zamieszkać, ciągle radził sobie z higieną osobistą i najczęściej, z tego, co wiedziała, zajmował się sobą. Leżał w swoim pokoju i myślał albo włóczył się po okolicznych lasach dookoła Rödmosse. Dwa razy zdarzyło się, że nie znalazł powrotnej drogi do domu, ale teraz był już wyposażony w mały nadajnik, który pozwalał go zlokalizować, nawet kiedy zabłądził.

Bo myśli Sturego Backmana wędrowały jak chciały. Przeszłość mieszała się z teraźniejszością i tylko częściowo można było z nim sensownie porozmawiać.

Chociaż, kto decyduje o tym, co jest sensowne, a co nie? – pomyślała. To, co jest bezsensowne dla Anderssona i Petterssona, nie musi być oczywiście takie samo dla Lundstöma.

Albo Backmana.

Odchrząknął przesadnie i mówił dalej.

– To było przy tamtej chacie. Nie przy tej pierwszej, tylko tej drugiej. Czasami tamtędy przechodzę. Wybiegli z domu, najpierw ona, potem on. Był wieczór, to było takie nierzeczywiste. Jakby... tak, pomyślałem, że może tak naprawdę siedzę i oglądam jakiś film w telewizji, ale tak nie było. Eva, przysięgam, to nie był film, słyszysz, co mówię?

– Tak, tato – zapewniła. – Słyszę. Co się właściwie stało?

– Eva, tak się bałem. Masz pojęcie, jak się bałem? A krew była taka czerwona... jasnoczerwona, zawsze mi się wydawało, że jest ciemniejsza. Znacznie ciemniejsza, ale może to dlatego, że zawsze widzi się ją w chwili, kiedy zaczyna zastygać. Kiedy jest już trochę stara. Chociaż pamiętam, jak się zacięłaś tym okropnym nożem do porcjowania mięsa, kiedy byłaś mała, pamiętasz? Boże, jak ty krwawiłaś. Z jakiegoś powodu pożyczylimy go od sąsiadów i... tak, wtedy też chyba była dość jasna. Twoja matka zemdląca, tak się przestraszyła; chyba sądziła, że się wykrwawisz, na pewno tak sądziła, tak łatwo...

Zaczął chichotać i rozumiała, że był teraz daleko w przeszłości.

– Co słyhać u Erika i Ellen? – zapytała, próbując sprowadzić go na ziemię. – I u dzieci?

Zignorował to.

– Kiedyś, jak byliśmy w odwiedzinach u Margit i Ollego – kontynuował z nagłym entuzjazmem – jedno z ich dzieci, to chyba był Staffan, zawsze był małym, wcielonym diabłem, a mimo to został potem dyrektorem szkoły, prawda, że to dziwne, jak się może pouklądać? No więc on zszedł do studni, nie wiem, co tam miał do roboty... Może ukrył

się tam, żeby nas wystraszyć, niezły wybryk, co? Chyba się z tym zgodzisz... Eva?

Przeczuwała, że ton jego głosu wynika z tego, że nie do końca pamięta, o kim mówi.

– Tak – odparła. – Pamiętam Staffana.

– Staffana? – zapytał ojciec. – Kim, u diabła, jest Staffan? Chyba nie... to chyba nie jest twój nowy facet? Nie jesteś już żoną tego Viktora?

– Tato – powiedziała Eva Backman. – Lepiej już skończmy tę rozmowę. Miło, że zadzwoniłeś.

– Tak...? – odparł. – Dziękuję, tyle się ciągle dzieje, chyba muszę się na chwilę położyć.

– Dobry pomysł – zgodziła się z nim. – Pozdrów Erika, Ellen i dzieci.

– Jasne – powiedział. – Przecież też tu mieszkają, zaraz to zrobię.

– Pa, tato – rzuciła i zakończyli rozmowę.

Resztę wieczoru miała tylko dla siebie.

Jak zwykle przebiegła pięć kilometrów po parku, wzdłuż rzeki. Odgrzała w mikrofali risotto, które pochłonęła razem z kawałkiem żółtego sera i kieliszkiem czerwonego wina. Wzięła czterdziestopięciominutową kąpiel z hydromasażem. Ville naprawił silnik pomimo jej obaw, że będzie inaczej. Potem wślizgnęła się do łóżka i obejrzała stary film Hitchcocka, który znalazła wśród płyt DVD.

Człowiek, który wiedział za dużo.

Mój ojciec, pomyślała. Był młody, kiedy go kręcili. Może miał połowę tego, co ja teraz?

Dlaczego ludzie starzeją się dużo szybciej niż to, co po sobie zostawiają?

Dobre pytanie, uznała. Czas, który nam ucieka. Może pogada o tym chwilę z Barbarottim. Przy piwie w Älgen, czemu nie?

Niech tylko wróci z tym swoim przeklętym kulasem.

– Sztuka lekarska w tym kraju schodzi na psy – oznajmił szwagier Roger, otwierając piwo.

– Ach tak? – zdziwił się Barbarotti.

– Będziesz utykać na tę nogę przez resztę swojego życia. Nie ma to jak służba zdrowia w Niemczech czy we Francji.

– Tak uważasz? – zapytał Barbarotti.

Szwagier Roger pociągnął za otwarcie puszek i wziął duży łyk. Był piątek przed południem. Barbarotti leżał na sofie w salonie, z nogą uniesioną na kilku poduszkach. Trochę bolało i swędziało. Szwagier Roger siedział w fotelu, w bokserkach i z rozpiętą koszulą; było jasne, że tego dnia nie ma zamiaru majsterkować. Może musiała wyschnąć jakaś zaprawa, tak już się wcześniej zdarzało.

Byli w domu sami. Wszyscy inni poszli do pracy albo do szkoły i nagle dotarło do niego, że całkiem możliwe, iż będzie tu siedział – albo leżał – w towarzystwie tego bezrobotnego parkingowego z Lycksele przez... no tak, kolejne trzy czy cztery godziny.

– W dzisiejszych czasach przyjmują na medycynę jak leci – stwierdził. – Nie mówiąc już o tych wszystkich znochorach szturmujących granice. Polakach, Arabach i Bóg jeszcze wie kim. Nie znają ani słowa po szwedzku i nie odróżniają nerki od kolana, do licha ciężkiego. Chcesz piwo?

– Nie, dzięki – odparł Gunnar Barbarotti.

Dobrze, że nie mam w ręku spluwy, pomyślał. Strzeliłbym do skurwysyna. Przynajmniej w nogę, żeby jako niepełnosprawny mógł skorzystać z transportu do Niemiec i żeby tam był operowany.

– Muszę zadzwonić – powiedział. – Mógłbyś mi podać telefon i zostawić mnie na chwilę samego.

Szwagier Roger wziął kolejnego łyka i podrapał się po brzuchu.

– Właśnie usiadłem – odrzekł. – Słuchaj no, glino, nie jesteś chyba aż tak unieruchomiony, jak udajesz. Słyszałem o jednym facecie, którego zagipsowali z powodu naciągnięcia mięśnia. Lekarz z Iranu, czy jakoś tak.

Barbarotti pozostawił to bez komentarza. Po chwili szwagier Roger podniósł się z fotela, beknął i przyniósł telefon.

– Będę na tarasie – wyjaśnił. – Zawołaj, jak skończysz.

Możesz być pewien, że tego nie zrobisz, pomyślał Gunnar Barbarotti.

Eva Backman odebrała od razu.

– Dzięki za wczoraj – powiedziała.

Wpadła do Pickford na godzinę w czwartkowy wieczór, żeby przedyskutować sprawę Sigurdssona. Wypili też po kieliszku wina: on, Marianne i inspektor Backman. Plaga narodowa wolała telewizję i puszkę piwa. Uzmysłowił sobie, że na świecie jest właściwie tylko dwoje ludzi, którym ślepo ufa: to właśnie te dwie kobiety. Jego żona od roku i jego koleżanka od dwunastu lat.

Zastanowił się także, czy kiedykolwiek odważyłby się oświadczyć Evie Backman. Jeśli nie byłoby tak, jak jest, jeśli ona nie byłaby zajęta swoim Villem i trzema małymi graczami unihokeja, a on nie znalazłby Marianne na tamtej greckiej wyspie.

Stare i zbyt hipotetyczne pytanie od czasu do czasu żeglujące na wskroś jego głowy od prawego do lewego ucha i niewymagające żadnej odpowiedzi.

Miło, że są również takie pytania – stwierdził inspektor Barbarotti.

Alternatywne ścieżki życia, których nie trzeba wydeptywać.

– To ja dziękuję – powiedział. – Słuchaj, jeszcze jedno.

– Aha?

– Zdecydowałem się. W poniedziałek wracam do pracy. Przekaż Asunanderowi.

- Ojej! – rzuciła Eva Backman. – Czemu, u licha?
- Uważam, że to mój obowiązek wsadzić kij w mrowisko
- odparł Gunnar Barbarotti.

Eva Backman na chwilę zaniemówiła.

– Jesteś pewien, że lądując w tej taczce, nie upadłeś na głowę? – zapytała później. – Po co przychodzić do domu wariatów, skoro można leżeć w domu i dłubać w nosie?

– Mam swoje powody – oznajmił Barbarotti.

– Mam nadzieję – powiedziała Eva Backman.

– Ale będę przykuty do biurka, a jeśli noga zacznie za bardzo boleć, pojadę do domu. To również możesz przekazać Asunanderowi.

– Okej – rzuciła Backman. – Zrobisz, jak zechcesz. W sumie w naszej pracy w pierwszej kolejności ruszamy czymś innym.

– Racja – przyznał Barbarotti.

– Muszę kończyć – oznajmiła Backman i rozłączyła się.

– Rozmawiałam z nim.

– Nie o to mi chodziło.

– Gunnar, to mój brat. Nie chcę się za niego wstydzić.

– To Plaga narodowa.

– Wiem, ale musisz zaakceptować, że nie jest doskonały.

– W odróżnieniu od ciebie.

Przyglądała mu się, przypuszczalnie próbując dostrzec jakąś ironię.

– Mówię poważnie – wyjaśnił dla pewności. – Uważam, że jesteś doskonała.

– Jestem jaka jestem – powiedziała lakonicznie. – Boli cię?

– Nie. Nie tak bardzo w każdym razie. Ale bardziej, kiedy nie jestem zajęty czym innym. Potrzebuję rozrywek.

– Rozumiem.

Było pięć minut po północy. W końcu położyli się do łóżka. Noga znowu leżała na podwyższeniu, na poduszkach,

trochę bolało; przypuszczał, że wieczorem za dużo kuśtykał i spłynęło do niej zbyt dużo krwi.

Seks? – pomyślał. Mało prawdopodobne, trzeba odczekać kilka dni. Albo tygodni.

– Przykro mi – powiedział. – Plaga narodowa też jest jaki jest, a ja powinienem nauczyć się go tolerować. Pomógł nam bardziej, niż można by sobie tego życzyć. Może porozmawiamy o czymś innym?

Zgasiła nocną lampkę.

– Dobra. Chciałam tylko powiedzieć, że zostanie jeszcze tydzień. Tak uzgodniliśmy. Jeśli te elementy do pomostu przywieżą w poniedziałek, tak jak obiecali, to będzie potrzebował trzech, czterech dni, a potem pojedzie do domu, w następną sobotę albo niedzielę. Spróbuj z nim wytrzymać, najlepiej bądź też trochę miły.

– Wiem – oznajmił Gunnar Barbarotti. – Wstyd mi. Tak czy inaczej, idę w poniedziałek do pracy.

– Czy to rozsądne? – chciała wiedzieć Marianne. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziesz kuśtykał na złamanej nodze?

– Będę tylko siedział za biurkiem – zapewnił. – Równie dobrze mogę siedzieć tam i grzebać w papierach, co siedzieć w domu i irytować się z powodu twojego biednego brata, prawda?

– No tak, chyba tak – powiedziała Marianne.

Brzmiała trochę smutno. A może po prostu była zmęczona. Prawdopodobnie były powody do jednego i drugiego. Przez chwilę leżeli w milczeniu, potem znowu zapaliła lampkę, wyciągnęła rękę i wysunęła szufladę nocnego stolika.

Wyjęła Biblię, przez chwilę trzymała ją w dłoniach, równocześnie zamykając oczy i biorąc kilka głębokich, spokojnych wdechów. Wetknęła palec i otworzyła książkę mniej więcej w połowie.

Skinął głową.

– Mała wskazówka?

– Tak.

Śledziła tekst, wodząc po nim palcem, potem zatrzymała się na chybił trafił, spojrzała i lekko się uśmiechnęła.

– Czytaj – powiedział Gunnar Barbarotti.

Marianne odchrząknęła i przeczytała:

Głupiec zakłada ręce i zjada swe własne ciało. Lepsza jest garść wypoczynku niż dwie garści bogactw i pogoń za wiatrem*.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się przez kilka sekund.

– Pogoń za wiatrem – powtórzył. – Podoba mi się to sformułowanie. Chociaż nie pojmuję, co ma wspólnego z Plagą narodową?

– Może to nie on potrzebuje wskazówek – odparła Marianne.

– Garść wypoczynku – powiedział Barbarotti. – Tak, czegoś chciał więcej. Dlatego w poniedziałek jadę do pracy, tak sądzę. Co to za fragment?

– Księga Koheleta – odparła. – Żartownisiem to on raczej nie jest, ale zgadzam się z tobą. Ten fragment o pogoni za wiatrem jest niezły. Czy to właśnie robimy?

– Absolutnie nie – odpowiedział Barbarotti. – I będę miły dla twojego brata. Obiecuję. Jeszcze tylko tydzień, tak? Siedem dni?

– Najwyżej dziesięć – zapewniła Marianne.

Potem opowiedział jej o Alice Ekman-Roos i jej zaginionym mężu. Nie wiedział, czemu to zrobił, ale Marianne natychmiast się zainteresowała.

– A więc nie ma go od niedzieli, tak?

– Tak. Chociaż nie wiem, może już wrócił.

* Koh 4,5 (wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia) (przyp. tłum.).

- Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?
- Wczoraj po południu. Przed wyjściem ze szpitala.
- I wtedy w dalszym ciągu nic nie wiedziała?
- Zgadza się.
- I nie skontaktowała się z policją?
- Nie.
- Nie bardzo rozumiem. Przecież mogli go załuc, wszystko mogło się wydarzyć.
- Nie sądzę. Poza tym ona się wstydzi, przecież dość długo robił ją w konia.
- Przynajmniej miesiąc.
- Pomyślała chwilę.
- Wygląda na to, że jest tylko jedno wytłumaczenie – powiedziała później. – Prawda? Że uciekł z tamtą kobietą?
- Tak – odparł Gunnar Barbarotti. – To chyba najbardziej prawdopodobne.
- Marianne leżała przez chwilę w milczeniu.
- A jeśli tak nie jest? – zapytała. – Wtedy niezwłocznie powinna zainteresować się tym policja. W takim przypadku może chodzić o przestępstwo. Popraw mnie, jeśli nie mam racji.
- Na pewno masz rację – zgodził się Barbarotti. – Dobra, sprawdzę to w poniedziałek.
- Obiecay – powiedziała Marianne. – Uważam, że powinieś do niej jutro zadzwonić. Biedna kobieta, pewnie odchodzi od zmysłów.
- Poprawił poduszki pod nogą i zamyślił się.
- Być może – stwierdził. – Ale biorąc pod uwagę to, jak go opisała, można także przypuszczać, że jest zadowolona, że się go pozbyła. Nazwała go meblem.
- Meblem?
- Tak. Ścisłej mówiąc sofą.
- Hmm... – mruknęła Marianne. – Sądzę jednak, że jest to trochę bardziej skomplikowane. Zdradzone kobiety zachowują się specyficznie.

– Rozważamy kwestie, których nie jestem w stanie pojąć – oznajmił Gunnar Barbarotti. – Ale jutro odezwę się do niej i wybadam sytuację.

Minęło pięć sekund. Zgasiła lampkę.

– Wydaje mi się, że Johan zaczął popalać.

– To też sprawdzę – powiedział Barbarotti.

– Dziękuję – odparła Marianne. – Kocham cię. I naprawdę kocham całe to stadko, którym się otaczamy, ale teraz muszę się przespać.

Ziewnęła i przekreśliła się na bok.

– Też cię kocham – wyznał Barbarotti. – I cały ten kram, na swój sposób, dokładnie tak jak mówisz. I czuję, że nie gonimy wiatru.

– Mhm... – mruknęła Marianne.

28

Komisarz Asunander był sceptyczny.

W gruncie rzeczy nie należało to do rzadkości, ale dzisiaj rzucało się w oczy bardziej niż zwykle.

– Facet, który uciekł z kochanką? – zapytał. – I uważasz, że powinniśmy poświęcić temu nasz cenny czas?

– Może nie jest to takie proste, jak na pierwszy rzut oka wygląda – powiedział Barbarotti. – Uważam, że można by się tą sprawą trochę zająć... odrobinę, w każdym razie.

– Żona to zgłosiła?

– Nie.

– Są jakieś inne hipotezy oprócz tej z kochanką?

– Właściwie nie – przyznał Barbarotti i zaczął się trochę wiercić. Gips utrudniał sprawę, więc było to raczej wiercenie wewnętrzne.

– Podejrzewasz przestępstwo?

– Nie można tego wykluczyć – powiedział Barbarotti.

– A czy przypadkiem nie jest tak, że ci się wydaje, że możesz robić, co chcesz, tylko dlatego że przyszedłeś tu z tym złamanym kulasem?

– Nie przyszło mi to do głowy!

Komisarz Asunander parsknął.

Zrobił się wygadany, odkąd doprowadził do porządku sztuczną szczękę, pomyślał Barbarotti. Obrzydliwie wygadany. Kiedyś było lepiej.

– Chodzi o to – dalej perorował komisarz – że mam sprawę, która pasuje jak ulał do bystrego inspektora ze złamanym kulasem.

– Naprawdę? – zaciekawiał się Barbarotti.

– Zrobmy tak: najpierw zajmiesz się moją sprawą, a kiedy będziesz gotowy, dam ci wolną rękę i weźmiesz się za tego uciekiniera. Mówiłeś, że jak się nazywa?

– Roos – odparł Barbarotti. – Ante Valdemar Roos.

– Interesujące nazwisko – przyznał komisarz. – Ale to przypuszczalnie jedyna interesująca rzecz w całej tej historii.

– Jaką sprawę miałeś na myśli? – zapytał Barbarotti i zdusił westchnienie.

– Sprawę graffiti – odparł Asunander i Barbarotti mógłby przysiąc, że w jednym z kącików ust komisarza na ułamek sekundy pojawił się uśmiech. Równocześnie poczuł w nodze rwący ból.

– Graffiti? – zapytał, próbując nie zabrzmieć tak, jakby za chwilę miał się porzygać. – Nie sądzę, żebym...

– Najwyższy czas zakończyć tę szopkę – przerwał mu komisarz, podnosząc podkładkę na biurko i wylawiając spod niej jakiś papier.

– Polujemy na tego skurwiela, albo skurwieli, od prawie dwóch lat, a ponieważ inspektor Sturegård będzie na urlopie macierzyńskim przez co najmniej osiem miesięcy, potrzebuję kogoś, kto to przejmie.

Tym razem Barbarotti nie mógł powstrzymać westchnienia. Dobrze wiedział, jak wygląda sytuacja z tym tak zwanym Królem Grafficiarzy. Względnie z Królami. Względnie z „Tymi przekłętymi małymi glizdami, które powinno się wbić na pał”. Siali w Kymlinge spustoszenie (albo siała, bo raczej nie siała) od co najmniej dwóch i pół roku, ale problem nie został wystarczająco naświetlony, dopóki redaktor naczelny lokalnej gazety, niejaki Lars-Lennart Brahmin, nie przeprowadził się do Olimpu, jednego ze starych budynków z przełomu wieków po wschodniej stronie rzeki. Natychmiast wybrano go na przewodniczącego wspólnoty mieszkaniowej, a właśnie delikatnie śmietankowa elewacja Olimpu należała do ulubionych miejsc Króla Grafficiarzy, gdzie zostawiał on budzące wściekłość tagi.

– Ten pieprzony Brahmin dzwoni do mnie siedem razy w tygodniu – oznajmił Asunander. – Zrezygnowałem z prenumeraty, a na samą myśl o redaktorze dostaję wysypki.

– Rozumiem – powiedział Barbarotti.

– Sądziłem, że Sturegård błyskawicznie się z tym upora, ale widocznie coś poszło nie tak.

– Widocznie – zgodził się Barbarotti.

Nie znał inspektor Malin Sturegård zbyt dobrze, ale wiedział, że tylko ona była odpowiedzialna za powstrzymanie szkód. Wiedział również, że mimo żmudnych i długotrwałych starań nic nie osiągnęła; jeśli się nie mylił, krążyła plotka, że zaszła w ciążę tylko dlatego, by pozbyć się tego gówna. Była po czterdziestce i miała już troje albo czworo dzieci, więc możliwe, że w tych spekulacjach było trochę prawdy.

Podczas gdy te ponure fakty szybko krążyły po głowie inspektora Barbarottiego, komisarz Asunander splótł przed sobą dłonie leżące na biurku i obserwował go z miną, która... tak, sam nie wiedział... Miny komisarza rzadko dawały się rozszyfrować. W każdym razie było jasne, że nie miała wyrażać sympatii do jednego z podwładnych, który, tak się zdarzyło, spadł z dachu i złamał nogę.

Z drugiej strony Gunnar Barbarotti nie spodziewał się sympatii. Odchrząknął niezdarnie, sięgając po kule, i jakoś wstał.

– Naturalnie – powiedział. – Dopilnuję, żeby materiały Sturegård przesłano do mojego pokoju.

– Już wydałem polecenie w tej sprawie – oznajmił Asunander. – Sądzę, że segregatory są już na miejscu. Dopilnuj, żebyśmy uporali się z tą przekłętą sprawą.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecał Barbarotti i chwiejnym krokiem opuścił gabinet komisarza.

– Potem masz wolną rękę i możesz zabrać się za tego Roosa – przypomniał Asunander, w chwili gdy Barbarotti właśnie zamykał drzwi.

Dzięki, szefuniu, pomyślał Barbarotti. Diabli wiedzą, może trzeba było jednak zostać w domu z Plagą narodową?

– Jak poszło? – chciała wiedzieć Eva Backman. – Co to za segregatory?

– Graffiti – powiedział Barbarotti. – Dochodzenie inspektor Sturegård.

– Co robisz w twoim pokoju?

– Potrzebowałem czegoś, na czym mógłbym podeprzeć nogę – odparł Barbarotti.

– Na coś takiego się nie nabiorę – skwitowała Eva Backman i nagle się uśmiechnęła. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Tak – przyznał Barbarotti. – Jeśli się będziesz śmiać, przyłożę ci kulę.

– Sturegård? – zapytała Backman. – Do licha, przecież w ubiegłym tygodniu poszła na macierzyński.

Barbarotti włożył do buzi dwie gumy i zaczął żuć.

– Przejmiesz sprawę i załatwisz kanalię?

– Chciałaś coś? – zapytał Barbarotti.

– Hmm... – mruknęła Eva Backman. – Sądziłam, że zajmiesz się tą zbiegłą kreaturą.

– Asunander był innego zdania – oznajmił Barbarotti.
– Naprawdę? – zdziwiła się Backman, opadając na nowe krzesło ze stali i żółtego plastiku. Założyła nogę na nogę i zrobiła zatroskaną, a zarazem sceptyczną albo diabli wiedzą jaką minę.

– A to tu jest pies pogrzebany – powiedział Barbarotti.
– Gdzie? – spytała Eva Backman. – Chodzi o... jak on się nazywa? Ante Valdemar Roos?

– Dokładnie – przyznał się Barbarotti.
– Wyjaśnij – poprosiła Backman.
– Chętnie. Tylko że nie ma dużo do wyjaśniania. Zniknął ponad tydzień temu. Oczywiście mógł uciec z kochanką, ale nie sądzę, żeby tak było. To się wydaje niedorzeczne.

– Niedorzeczne? – zapytała Backman. – Myślałam, że każdy facet o tym marzy. Żeby móc po prostu zostawić wszystko bez wyjaśnienia. Gderliwą żonę, dzieci i kiepską pracę. Co przemawia za tym, że ten Roos się na to nie zdecydował?

Barbarotti podrapał się po gipsie.

– Energia do działania – powiedział. – Trzeba mieć piorunsko dużo energii, żeby coś takiego przeprowadzić. Jego żona twierdzi, że nie wymyślił nic nowego od 1975 roku.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?
– W sobotę.
– I nie miała żadnych nowych wieści?
– Ani krzty. Ale nie chce niczego zgłosić na policję. I dopóki tego nie zrobi, Asunander uważa, że powinniśmy się wstrzymać.

– Ale ty tak nie uważasz?
– Zgadza się – powiedział Barbarotti, ostrożnie podnosząc nogę i kładąc ją na biurku. – Ja tak nie uważam.
– Potrzebujesz jakiejś pomocy w tej sprawie? – zapytała Backman.

– Nie – odparł Barbarotti.

Backman siedziała przez chwilę w milczeniu.

– Chwilowo mam trochę luzu w grafiku – oznajmiła. – Mogłabym jeszcze raz pojechać do niego do pracy i z nimi pogadać. Może coś przeoczyłeś. Mogłabym też zadzwonić do żony, niewykluczone, że łatwiej jej się będzie rozmawiało z kobietą.

– Otworzyła się przede mną, bo ma do mnie duże zaufanie – podkreślił Barbarotti. – Od licealnych czasów.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Backman. – Ścisiej mówiąc.

– Nic – odparł Barbarotti. – Ale oczywiście zrób wywiad, to się zobaczy. Może obgadamy to później podczas lunchu w Kungsgrillen?

– Okej – zgodziła się Backman. – W takim razie dłużej nie przeszkadzam. Powodzenia z grafficiarzem.

– Dziękuję, pani inspektor – powiedział Barbarotti. – Zamknij porządnie drzwi, dobrze?

Segregatorów dotyczących sprawy grafficiarza było sześć. Trzy żółte, trzy czerwone. Gunnar Barbarotti spojrział na zegarek – było za pięć wpół do dziesiątej.

No dobra, pomyślał. Do lunchu dwie i pół godziny, zobaczymy, co może zdziałać para bystrych oczu i kilka zdolnych szarych komórek.

Za kwadrans dwunasta nie miał na to pytanie zadowalającej odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości, że inspektor Malin Sturegård włożyła dużo wysiłku w telefony w sprawie drwiącego sobie z niej wandala. Pracowała nad sprawą od prawie jedenastu miesięcy, tak wynikało z samych dat na grzbietach segregatorów. W tym czasie zdemaskowano i skazano na zasłużoną karę grzywny kilku innych sprayowych artystów graffiti, ale jeśli chodzi o siejącego największe zgorszenie aktora, to nie udało jej się doprowadzić sprawy do końca.

A może chodziło o dwóch? Te tak zwane tagi były dwa i prawie we wszystkich stwierdzonych przypadkach pojawiały

się razem. Rano odkrywano około dziesięciu pomazanych nieruchomości, zawsze w centrum miasta – i w dziewięciu przypadkach na dziesięć, co najmniej od roku, jednym z nich był wspaniały budynek Olimpu po wschodniej stronie rzeki.

Tagi były też całkowicie rozpoznawalne, co nie zawsze jest oczywiste w przypadku tego typu wandalizmu, jak wyczytał Barbarotti. Według dokładnego zestawienia inspektor Sturegård pojawiły się blisko trzy lata temu, głównie czerwone lub niebieskie – chętnie w obu kolorach na każdej ścianie – chociaż zdarzały się również w kolorach czarnym i ciemnozielonym.

Jeden PIZ.

Drugi ZIP.

Niespotykane, żeby tag miał aż trzy lata. Sprawcy prawie zawsze byli nastolatkami płci męskiej i z niewielu raportów sporządzonych na ten temat wynikało, iż większość z nich dość szybko nudziła się swoją działalnością i znajdowała sobie inne zainteresowanie. Artystyczne lub kryminalne, głównie to ostatnie.

Laikowi złapanie jednego lub kilku grafficiarzy mogłoby się może wydawać relatywnie proste – i jeśli chodziłoby o przestępstwo jakiegoś cięższego kalibru, za które groziłaby surowsza kara, to przypuszczalnie policja poradziłaby sobie z problemem znacznie szybciej. Można było przecież z „dość dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, że na przykład elewacja budynku Olimp w którymś momencie (tzn. nocą) zostanie w nadchodzącym roku zniszczona” (w dwóch różnych miejscach, napisała inspektor Sturegård, na próżno ubiegając się o trochę większe środki), ale zapewnienie policyjnej ochrony, żeby po prostu złapać sprawcę (sprawców) na gorącym uczynku, kiedy ten (ci) zdecyduje się uderzyć... tak, pod względem finansowym było to tak samo nie do pomyślenia w Kymlinge, jak i we wszystkich

innych miastach w tym kraju. I przypuszczalnie we wszystkich innych krajach.

Wprawdzie funkcjonował nadzór zainicjowany przez samego redaktora naczelnego Brahmina, ale inni członkowie wspólnoty mieszkaniowej szybko się zmęczeni. Siedzieć w ukryciu za zasłonką przez dwie lub trzy godziny dwie noce w tygodniu i gapić się na niemrawą rzekę i opustoszałą ulicę, na której od czasu do czasu pojawił się jakiś nienaganny obywatel, nie było zajęciem, które przeciętny właściciel nieruchomości mógłby zaliczyć do szczególnie sensownych.

Więc ZIP i PIZ mogli w świętym spokoju kontynuować swoją irytującą działalność. Z pewnością nie miał (albo nie mieli) bladego pojęcia o tym, że na komisariacie zatrudnia się na pełny etat inspektora, który wykorzystując całe swoje zaangażowanie i wiedzę, próbuje położyć kres jego (ich) działalności.

A nawet jeśli to pojęcie miał (mieli), to na pewno zbyt mało go (ich) to nie martwiło. Prawdopodobnie wręcz przeciwnie, zrywa (zrywają) boki ze śmiechu.

Inspektor Barbarotti westchnął, zamknął segregator numer trzy i postanowił, że zje lunch, zanim zabierze się za numer cztery, pierwszy z żółtych.

Ciekawe, dlaczego zmieniła kolor, pomyślał.

I czy wprowadziłaby jeszcze jeden, gdyby w grę wchodził kolejny segregator? Czy to wtedy zdecydowała się na ciążę? Między trójką a czwórką?

Uświadomił sobie, że to najmniej odpowiednie pytanie, jakie pojawiło się przez całe przedpołudnie. Czas na przerwę, bez wątpienia. Zdjął nogę z biurka i chwycił za kule.

Inspektor Evy Backman nie było w pokoju.

Na recepcji nie wiedzieli, gdzie się podziewa.

Nie siedziała w Kungsgrillen. I nie odbierała komórki. Gunnar Barbarotti ponownie westchnął i zamówił danie dnia: befsztyk z podsmażanymi ziemniakami i sosem

cebulowym, po czym rozsiadł się za jednym ze stołów wychodzących na Riddargatan.

Będę ją widział, jak przyjdzie, pomyślał.

Nie było później niż dziesięć po dwunastej. Nie umówili się na konkretną godzinę, całkiem możliwe, że nie pojawi się przed wpół do pierwszej, jeśli miała coś do załatwienia.

Siedział do za pięć pierwsza. Jeszcze raz zadzwonił na jej komórkę, ale nadal nie odpowiadała, nagrał więc wiadomość, prosząc, żeby się odezwała, i informując, że befsztyk okazał się być smaczną rybą.

Następnie pokuśtykał na skos przez Riddargatan, Fredsgatan oraz przejście kolejowe i już osiem minut później znowu siedział w swoim pokoju z segregatorami Sturegård.

Oraz z dużą filiżanką kawy i babeczką z masą migdałową, którą wygrzebał z paczki w prawej dolnej szufladzie biurka. Pamiętał, że kupił ją jakoś w Wielkim Tygodniu. Był wrzesień.

ZIP i PIZ, pomyślał. Szukam wiatru w polu?

29

W drodze powrotnej ze Svartö do miasta inspektor Eva Backman zastanawiała się nad dwiema rzeczami.

Po pierwsze, jak taka kobieta jak Red Cow mogła w ogóle istnieć.

A po drugie, jak można się tak utożsamiać ze swoim przezwiskiem...

Naprawdę nazywała się Elisabet Rödsko, miała węgierskie albo transylwańskie korzenie – do końca nie wiadomo – i kiedy któraś z bystrych głów we Wrigmans Elektriska wpadła na pomysł, żeby nadać jej nazwisku trochę amerykański sznyt, ugięła się. Nie tylko akceptując przezwisko,

ale także farbując swoje naturalne, mysie włosy na ognistoczerwony kolor.

Dzisiaj, czternaście lat później, ciągle były ognistoczerwone i zwierzyła się Backman, że nawet mąż i dzieci nazywają ją Red Cow.

Czerwona krowa, pomyślała Eva Backman. Krasula. Próba podrasowania jej trochę odrobiną angielskiego i nowym kolorem nie pomogła.

Tak czy inaczej, nazwisko miało znaczenie dla wiarygodności – a to była druga, dużo trudniejsza kwestia, którą za kierownicą, w gęstniejącym popołudniowym ruchu, rozważała inspektor Backman.

A ściślej mówiąc, czy można zaufać jej słowom i jej opinii na temat Valdemara Roosa.

Backman nie miała okazji porozmawiać z kimś innym z Wrigmans, więc byłoby dobrze, żeby się co do tej kwestii zdecydowała. Wstępnie, w każdym razie; można było oczywiście wrócić do tej sprawy później, jeśli okaże się to konieczne.

Chociaż dlaczego miałyby się okazać konieczne? – pomyślała. Dlaczego, do jasnej cholery?

Decyzję o wyjeździe do Svartö podjęła w wielkim pośpiechu, kiedy nie mogła się skontaktować z Alice Ekman-Roos. Może głównie po to, by zaskoczyć Barbarottiego, ale także zaspokoić swoją ciekawość. Szczerze mówiąc.

A w tym Red Cow jej nie pomogła. Raczej wręcz przeciwnie.

– Kochanka? – parsknęła. – Valdemar Roos? Niemożliwe.

– Wygląda na to, że wywiódł swoją żonę w pole – podkreśliła Backman.

– Całkiem możliwe – stwierdziła Red Cow. – Ale to, że młoda kobieta miałaby wybrać kogoś takiego jak Valdemar, jest mniej więcej tak samo nie do pomyślenia jak to, że Madonna chciałaby uprawiać seks z Bertem Karlssonem. Jeśli pani inspektor rozumie, co mam na myśli?

Backman zastanowiła się i przyznała, że rozumie. Następnie zapytała, czy Red Cow ma może jakąś teorię na temat tego, dlaczego Roos postanowił tak nagle odejść z Wrigmans Elektriska po ponad dwudziestu latach i czemu ani słowem nie wspomniał o tym rodzinie.

Red Cow zapewniła, że nie ma bladego pojęcia. Rozmawiali o tym trochę przy kawie, rzecz jasna, zwłaszcza ostatnio, kiedy wyszło na jaw, że Valdemar ściemniał swojej żonie. I najwyraźniej przepadł jak kamień w wodę. Ale na razie nikomu nie udało się wpaść na jakiś sensowny pomysł. Ani Red Cow, ani nikomu innemu.

– Może – podsumowała, nie kryjąc zadowolenia – może najbliższy prawdy był Tapanen, który stwierdził, że w małym mózdzku Roosa przepalił się ostatni bezpiecznik i nie potrafi już odróżnić swojej własnej dupy od dziury w ziemi.

Wprawdzie był to cytat, ale przytoczyła go Red Cow i zrobiła to w taki sposób, jakby chodziło o pikantny i dość celny dowcip.

Co należałoby wziąć pod uwagę, rozważając kwestię jej wiarygodności, pomyślała Eva Backman, wyhamowała za tirem i spojrzała na zegarek.

Było dwadzieścia po czwartej. Miała jeszcze kawałek do Rockstarondellen i szybko zdecydowała, że zamiast wracać na komisariat i spełniać swój obowiązek przez kolejne dziesięć czy piętnaście minut, od razu pojedzie do domu.

Jutro pogadam o tym z Barbarottim, stwierdziła. To tu jest pies pogrzebany, dokładnie tak jak powiedział. Możliwe, że oprócz tego kobieta, w ten, czy inny sposób, ale pies definitywnie.

Z ciekawością jest jak ze świadem, stwierdziła. Kiedyś już o tym myślała. Trudno ją zignorować.

Gunnar Barbarotti od razu poznał mężczyznę, który otworzył drzwi pokryte mahoniowym fornirem, ale minęło kilka sekund, nim nadał mu tożsamość.

Był niski i przysadzisty: człowiek o wyższym ciężarze właściwym niż jego otoczenie i niewyglądający na zadowolonego.

Ostatnim razem, kiedy Barbarotti go spotkał, było tak samo. Szybko próbował policzyć, ile to lat minęło. Zebranie rodziców, ósma klasa Sary przed zbliżającą się wycieczką klasową... to musiał być grudzień 2002, rok po rozwodzie z Heleną; pamięta, że kiepsko to znosił.

Zarówno zebranie, jak i sytuację w ogóle.

Kent Blomgren z pewnością też miał swoje problemy. Zacięcie milczał przez całe zebranie, nie zabrał głosu w żadnej kwestii, która pojawiła się w trakcie dyskusji, a kiedy w końcu zdecydowano, że w maju klasa pojedzie na wycieczkę do Londynu, gwałtownym ruchem odsunął krzesło, wstał i wyjaśnił, że, do licha ciężkiego, jego Jimmy nie pojedzie na żadną luksusową wycieczkę do Londynu. Niech dzieci burżujów i ich rodzice jadą sobie sami, jeśli uważają to za konieczne.

Po tym wyjaśnieniu opuścił klasę, zatraskując za sobą drzwi z takim impetem, że ściany aż się zatrzęsły.

Barbarotti nie wiedział, czy to z powodu dobitnego wystąpienia Kenta Blomgrena, czy z jakiejś innej przyczyny, ale zamiast planowanego tygodnia w Londynie Sara i jej klasa spędzili trzy deszczowe dni w Kopenhadze. Blomgren junior nie pojechał.

A teraz Blomgren senior stał tutaj i przesywał wzrokiem Barbarottiego i jego kule. Wyglądał, jakby rozważał zatrzaśnięcie również i tych drzwi, ale Barbarotti go uprzedził.

– Cześć – powiedział. – Wydaje mi się, że mieliśmy dzieci w tej samej klasie. Nie pamiętałem o tym, kiedy dzwoniłem.

– Ach tak? – zdziwił się Kent Blomgren.

– Jak on miał na imię, ten twój chłopak? Jimmy?

– Jimmy i Billy – wyjaśnił Kent. – Mam dwóch.

Barbarotti skinął głową i pokuśtykał do przedpokoju z gipsem przed sobą. Kent Blomgren zamknął za nim drzwi, nie zatraskując ich.

– Sam ich wychowywałem – dodał. – Żonka ulotniła się z innym, kiedy byli mali. Może i dobrze.

Barbarottiego zaskoczył ten niespodziewany przejaw zaufania. Odchrząknął i zawahał się.

– Jest jak jest – powiedział. – Ja też nie żyję z matką moich dzieci. Nie zawsze jest tak, jakbyśmy tego chcieli.

Czemu gadam o życiu z tym baranem? – pomyślał. Czy nie mieliśmy porozmawiać o graffiti?

– Napijesz się kawy? – zapytał Kent Blomgren i pierwszy wszedł do ciasnej kuchni. – Jest już gotowa, więc to żaden kłopot.

Usiedli, każdy po swojej stronie pomalowanego na niebiesko kuchennego stołu. Na środku stał dziesięciocentymetrowy kaktus, półmisek z czterema bułeczkami cynamonowymi podgrzаныmi w mikrofali, dwa kubki z nadrukiem IFK Göteborg. Żadnego cukru, żadnego mleka.

– Jak już mówiłem – powiedział Barbarotti. – Zajmuję się sprawą graffiti.

– Pracujesz z nogą w gipsie? – zapytał Kent Blomgren i skinął głową w kierunku stopy Barbarottiego, którą ten z niewielkim wysiłkiem podniósł i położył na krześle. Żółtym. W kuchni były tylko trzy krzesła. Jedno żółte, jedno czerwone, jedno zielone.

– Nie lubię siedzieć w domu – przyznał Barbarotti.

Kent Blomgren zrobił trudny do zinterpretowania grymas, nalał kawy i usiadł na zielonym krześle.

– Przypuszczam, że trochę wiesz na ten temat? – zapytał Barbarotti. – Mam na myśli temat graffiti.

Kent Blomgren wypił łyk kawy, wytarł usta wierzchnią stroną dłoni i wyglądało, jakby się zastanawiał. Albo szukał odpowiednich słów.

– Cholernie dużo – powiedział powoli i dobitnie. – Jakbym dorwał kogoś, to bym skręcił kark i rzucił na pożarcie świniom.

– Dokładnie – zgodził się Barbarotti. – Zdrowy odruch. Jak długo masz tę firmę sprzątającą?

– Dziesięć lat – odpowiedział Kent Blomgren. – Wcześniej pracowałem dla Brinka, ale potem poszedłem na swoje.

– Kłopoty sprawia głównie jeden grafficiarz – rzekł Barbarotti. – A może jest ich dwóch? Mają tagi PIZ i ZIP, pewnie natknąłeś się na nie wiele razy?

Kent Blomgren ugryzł bułeczkę cynamonową, a potem przeżuwał ją nader dokładnie, patrząc Barbarottiemu głęboko w oczy.

– Zamalowałem więcej tagów PIZ i ZIP, niż mógłbyś zliczyć – powiedział następnie, zgrzytając zębami i próbując zaakcentować każdą sylabę. – Kurwa mać. Tak cholernie trudno powstrzymać takiego chuligana?

– Jestem nowy – ostrożnie wyjaśnił Gunnar Barbarotti. – Nie zdążyłem się jeszcze porządnie wdrożyć. Ale nie ulega wątpliwości, że ktoś taki stanowi problem.

Kent Blomgren dalej przeszywał go wzrokiem, przeżuwając bułeczkę.

– Nie masz żadnej teorii? – zapytał Barbarotti.

– Teorii? – zdziwił się Kent Blomgren.

– Na temat tego, kto mógłby za tym stać? Przecież jesteś już w branży jakiś czas.

– Zbyt długo – powiedział Kent Blomgren.

Ale nie miał żadnej teorii.

– Zajmuję się głównym – stwierdził lakonicznie. – Tych, którzy srają, nigdy nie widuję.

Gdzieś w mieszkaniu otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł długowłosa, młody mężczyzna. Był ubrany w bokserki i T-shirt z Homerem Simpsonem.

– Jimmy? – zapytał Barbarotti.

– Billy – odparł młody mężczyzna i podał rękę.

Barbarotti ją uściśnął, a Kent Blomgren spojrział na zegarek i coś wymamrotał.

– Spoko – powiedział Billy Blomgren, który najwyraźniej zrozumiał, co wybełkotał ojciec. – Powiedzieli, że wystarczy, jak przyjdę po lunchu.

Otworzył drzwi lodówki, dyskretnie pociągnął kilka łyków z kartonu z sokiem i znowu zniknął.

– Ciężko – powiedział Kent Blomgren. – Ciężko im znaleźć pracę w dzisiejszych czasach. Ten kraj schodzi na psy.

Gunnar Barbarotti nagle sobie uświadomił, że najprawdopodobniej siedzi naprzeciwko człowieka, który podziela poglądy szwagra Rogera, i postanowił, że nie zostanie zbyt długo. Do końca nie wiedział, dlaczego tu przyjechał, ale znalazł nazwisko Kenta Blomgrena w czwartym segregatorze Sturegård i pomyślał, że nie zaszkodzi, jak się tu pojawi.

– Młodym nigdy nie było łatwo – skwitował. – Tak czy inaczej, dalej nad tym pracuję. Jestem przekonany, że w jakiś sposób powstrzymamy tego PIZ i ZIP. Mogę cię o coś prosić?

– O co? – zapytał Kent Blomgren i wypił ostatni łyk kawy.

Barbarotti wstał i chwycił kule.

– Następnym razem, jak będziesz miał zlecenie usunięcia ZIP albo PIZ, zadzwoń do mnie, to rzucę na to najpierw okiem.

Kent Blomgren uniósł brew, a potem skinął głową.

– Z przyjemnością – powiedział. – Pewnie znowu będzie Olimp, więc przeczytamy o tym w gazecie. Ten idiota Brahmin najwyraźniej nie ma o czym pisać.

– Zobaczymy – odparł Barbarotti, a potem opuścił dom Blomgrena.

Zapomniałem zapytać, czemu, u licha, jego firma nazywa się Cerber, pomyślał, kiedy wyszedł na ulicę. Jeśli się nie mylił, Cerber był trójgłowym psem, który pilnował wejścia do Hadesu; trochę trudno było mu zrozumieć, jaki to ma związek z usuwaniem graffiti.

Czuł też, że to nie do końca jego bajka, ta na pół kryminalna dzicz.

Na mordercach znam się lepiej niż na grafficiarzach, stwierdził ponuro i wgramolił się do samochodu.

Całe szczęście, że mam automatyczną skrzynię biegów. I że nie złamałem prawej nogi.

Nie był do końca pewien, czy jeżdżenie samochodem z nogą w gipsie było w ogóle dozwolone, ale były rzeczy, których nie należało zgłębiać.

Może to dotyczyło też Usług porządkowych Cerber sp. z o.o.

– Chyba coś się ruszyło – powiedziała Eva Backman.

– W kwestii? – zapytał Barbarotti.

– W kwestii Alice Ekman-Roos – wyjaśniła Backman.

Była za kwadrans pierwsza. Wtorek. Siedzieli w Kungsgillen i każde z nich dostało właśnie po daniu dnia: eskałopki z buraczkami i duszonymi ziemniakami.

– Wspaniale – powiedział Barbarotti. – Możesz jaśniej?

– Chyba jest skłonna zgłosić zaginięcie męża – odparła Backman. – Rozmawiałam z nią rano.

– Czas najwyższy – stwierdził Barbarotti. – Nie ma go przecież od dziesięciu dni. To skandal, jeśli nie zaczniemy przyglądać się temu na poważnie.

– Nie jestem do końca pewna, czy to skandal – powiedziała Backman – ale wiem, że to dziwna historia. Sądzisz, że zaplanował swoje zniknięcie? To, że przepadnie jak kamień w wodę?

Barbarotti zastanowił się.

– Dla wielu może to być niewątpliwie pociągająca alternatywa – odrzekł. – Chociaż nie rozumiem, dlaczego w takim razie nie zrobił tego od razu. Po co najpierw przez miesiąc udawał, że jeździ do pracy, a potem zniknął? To niedorzeczne.

– Może potrzebował tego miesiąca – zaproponowała Backman.

– Do czego? – zapytał Barbarotti i podrapał się po gipsie.
– Co daje drapanie się po gipsie? – chciała wiedzieć Backman. – Zauważyłam, że robisz to dość często.

– To czynność symboliczna – wyjaśnił Barbarotti. – Kiedy nie można zrobić tego, co by się chciało... z jakiegoś powodu... wtedy wykonuje się czynność symboliczną.

– Jak palenie flag? – zapytała Backman.

– Palenie flag? – zdziwił się Barbarotti. – Czy ja wiem, nie wiem, czy to się zalicza do czynności symbolicznych... ale mniejsza o to. Dlaczego Valdemar Roos miałby potrzebować miesiąca, zanim się zdecydował i naprawdę zniknął.

– Na to jeszcze nie wpadłam – oznajmiła Backman. – Ale może chciał mieć trochę czasu na planowanie. Albo na zdobycie pieniędzy. Obrabowanie banku na przykład?

– Nie sądzę, żebyśmy od stycznia mieli jakiś napad na bank – powiedział Barbarotti.

– Może pojechał gdzie indziej – zaproponowała Backman.

– Przebiegły typ – odparł Barbarotti.

– Geniusz kryminalny – oznajmiła Backman. – Wierzysz w to?

– Nie – przyznał Barbarotti.

– A w co wierzysz?

Gunnar Barbarotti odłożył nóż i widelec i się odchylił.

– Sam nie wiem – powiedział. – Ale jeśli potraktujemy to jak sprawę dla policji, to możemy chyba zacząć gadać z ludźmi. Kogo proponujesz na początek?

– Przyjaciółkę – odparła Eva Backman po kilku sekundach wahania. – Tę, która twierdzi, że wychodził z Ljungmans w towarzystwie młodej kobiety.

– Dokładnie – zgodził się Barbarotti. – Przecież teoria o kochance w całości opiera się na niej.

– Przydałoby się porządne przesłuchanie – zaproponowała Backman. – Przecież mimo wszystko mogło się zdarzyć, że

był widziany tu czy tam. To tylko żona nie widziała go tak długo... że tak powiem.

– Właśnie – zgodził się Gunnar Barbarotti. – Przesłuchanie to dobry pomysł. Spróbuj to zorganizować. Sądzę, że lepiej, bym trzymał się od Asunandera z daleka. A tak w ogóle nie chcesz się dowiedzieć, jak idzie polowanie na grającego nam na nosie grafficiarza?

– Nie w tej chwili – powiedziała Eva Backman. – Jeśli nie masz nic przeciwko. Myślę, że teraz powinniśmy zapłacić i wrócić do swoich biur. Ale będę cię informować odnośnie do Roosa.

– Dzięki – odrzekł Barbarotti. – Bądź tak miła i podaj mi kule.

30

W czwartkowym numerze lokalnej gazety ukazało się zdjęcie zaginionego Ante Valdemara Roosa, a o godzinie wpół do jedenastej tego samego przedpołudnia do centrali policji zadzwonił pierwszy telefon od „Detektywa Społeczeństwo”.

To była kobieta, nazywała się Yolanda Wessén; pracowała w ICA w Rimmersdal i twierdziła, że mężczyzna ze zdjęcia kilka razy robił w ostatnim czasie zakupy w jej sklepie. Przedstawił się jako Valdemar.

Chociaż nie ostatnio. Jeśli dobrze pamięta, to minął jakiś tydzień, odkąd go widziała. Może nawet dziesięć dni.

– Rimmersdal? – zapytała Eva Backman, która już po chwili przejęła rozmowę z kobietą. – Niedaleko Vreten, tak?

Yolanda Wessén potwierdziła, że Rimmersdal leży pięć kilometrów od Vreten, i przyznała też, że ma dobrą pamięć do twarzy. Lubiła rozmawiać ze swoimi klientami, nawet

jeśli tylko siedziała za kasą i najczęściej ograniczało się to do kilku słów na temat pogody.

Backman zapytała, kiedy widziała Valdemara Roosa po raz pierwszy. Yolanda Wessén wyjaśniła, że mniej więcej miesiąc temu i to wtedy pani inspektor zdecydowała się pojechać do Rimmersdal na dłuższą rozmowę.

Tymczasem, między godziną jedenastą a wpół do dwunastej w czwartkowe przedpołudnie, Barbarotti zajął się Gordonem Faringerem, psychiatrą zaprzyjaźnionym z rodziną Roosów, który kilka tygodni wcześniej odbył rozmowę z Valdemarem na temat jego ogólnego stanu psychicznego i ewentualnej depresji.

Gordon Faringer był wysokim i chudym pięćdziesięcioletkiem. Opalony i w dobrej formie, jak zauważył Barbarotti, w kieszonce marynarki na piersi miał fioletową poszetkę, ale jego największym atutem w rozmowie z pacjentami był niewątpliwie głos.

Głęboki i o ładnej barwie, w brzmieniu przypominał wiolonczelę, a wszystko, co mówił, wydawało się przemyślane i mądre. Barbarotti zdał sobie sprawę, że nie było łatwo wątpić w jego słowa, nawet jeśli się człowiek starał.

– Rozmawiałem z Valdemarem na temat jego stanu emocjonalnego tylko raz – wyjaśnił. – To nie była żadna oficjalna konsultacja, ale mimo to mogę stwierdzić, że nie ma klasycznej depresji.

– Rozumiem – powiedział Gunnar Barbarotti.

– Nigdy nie był szczególnie entuzjastyczną osobą. Jesteśmy różnie skonstruowani, jeśli o to chodzi. Ale nie, nie sądzę, żeby jego zniknięcie miało związek z psychiczną niestabilnością.

– Pięć tygodni temu odszedł z pracy – przypomniał Barbarotti. – Nie informując o tym żony.

– Tak, słyszałem – przyznał Faringer. – Alice zadzwoniła do mnie wczoraj i długo rozmawialiśmy. Dla mnie jest to tak samo niezrozumiałe, jak dla wszystkich innych.

– Czy jego żona wspomniała o tym, że może chodzić o inną kobietę?

Gordon Faringer skinął głową z zakłopotaniem i kilka razy potarł w górę i w dół swoją prawą skroń – nieświadomy (albo bardzo świadomy) gest przypuszczalnie wyrażający zamyślenie... Odchrząknął i poprawił okulary.

– Tak – powiedział. – O tym też mówiła. Że nakryła go jej przyjaciółka. Bardzo dziwne. Nie twierdzę, że Valdemar jest aseksualną osobą, ale to, że zdradza Alice z młodą kochanką, wydaje się tak nieprawdopodobne, że ledwie może-my to sobie wyobrazić... mam na myśli mnie i moją żonę.

– Hmm... – mruknął Barbarotti. – Ale to, że zrezygnował z pracy we Wrigmans, jest niezaprzeczalnym faktem. Może pora przewartościować Valdemara Roosa, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Doskonale rozumiem – przyznał Gordon Faringer i szybko się uśmiechnął. – Każdy z nas ma oczywiście różne twarze, czego otoczenie nie jest świadome. Często sami nie zdajemy sobie z tego sprawy.

– Ach tak, doprawdy? – powiedział Barbarotti. – I w pewnych sytuacjach te nieznanne oblicza wypływają na powierzchnię, co skutkuje... nieoczekiwanymi zdarzeniami?

Faringer znowu potarł skroń.

– Niegłupi opis – oznajmił. – Dodam tylko, że zazwyczaj potrzebny jest jakiś czynnik wyzwalający. Katalizator.

– I tak mogło być w przypadku Valdemara?

– Nie możemy tego wykluczyć – przyznał Gordon Faringer. – Chociaż naturalnie nie mam pojęcia, co mogłoby być tym katalizatorem.

Barbarotti zamyślił się na chwilę.

– Czy może pan powiedzieć, że dobrze pan zna Valdemara Roosa?

– W żadnym wypadku – odpowiedział Gordon Faringer. – W sumie jestem bardziej znajomym jego żony. Znamy się od co najmniej dwudziestu lat. Valdemar pojawił się w jej

życiu jakieś dziesięć lat temu. Ale rzadko widujemy się we czwórkę; spotykamy się na obiedzie kilka razy w roku, nie częściej.

– Rozumiem – rzekł Barbarotti. – A jak ocenia pan jej reakcję, to, że tak długo milczała na temat jego zniknięcia?

Faringer wzruszył ramionami.

– To chyba dość ludzkie – odparł. – Jeśli mąż odchodzi bez słowa, mamy oczywiście do czynienia z dużym wstydem.

– O ile w tym przypadku tak jest – powiedział Barbarotti.

Pierwszy raz przez twarz doktora przebiegł cień zdziwienia.

– A jak miałoby być? – zapytał.

– Przecież sam pan stwierdził, że trudno panu uwierzyć w inną kobietę – przypomniał Barbarotti.

– Oczywiście – zgodził się Gordon Faringer i znowu szybko się uśmiechnął. – Ale nie twierdziłem, że musiała być jakaś inna kobieta, żeby Valdemar zostawił Alice.

Barbarotti znowu się zamyślił.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że nie byłby pan zdziwiony, gdyby Valdemar Roos popijał teraz sangrię w Maladze?

– Albo Singha Beer na wyspie Phuket – zaproponował Gordon Faringer, spoglądając na zegarek. – Tak, mógłbym założyć się o stówę. Przepraszam, za kwadrans mam spotkanie w szpitalu. Czy...?

– Oczywiście – powiedział Barbarotti. – Możliwe, że jeszcze się odezwę, jeśli z jakiegoś powodu okaże się to konieczne.

– Zapraszam – zgodził się doktor Faringer.

Wstał, uściśnął dłoń i opuścił pokój.

Kiedy Barbarotti został sam, ostrożnie położył zagipsowaną nogę na biurku i odchylił się na krześle, zaplatając ręce za karkiem. Siedział tak przez co najmniej dziesięć minut,

próbując swoim trzecim okiem nakreślić obraz Ante Valdemara Roosa.

Na początek stwierdził, że opisy, które do tej pory zebrano – od żony, Red Cow i Gordona Faringera – są dość spójne.

Nieprawdaż? Valdemar Roos był zamknięty w sobie, nudny, aspołeczny i niezbyt lubiany. Niemrawy, nieciekawy i przewidywalny facet, który nie sprawiał nikomu radości i po którym nie można się było spodziewać niczego specjalnego, niczego zaskakującego.

Tak, tak to mniej więcej wyglądało. Ale pomyślmy – Barbarotti próbował szukać kontrargumentów – może jak przyszło co do czego, Valdemar Roos okazał się człowiekiem znacznie bardziej skomplikowanym, niż mogło to sobie wyobrazić jego otoczenie. Co, na przykład, Alice Ekman-Roos wiedziała na temat głębszych pokładów osobowości swojego męża? Na temat jego marzeń, tęsknot i motywów działania? Co wiedziała Red Cow? Co wiedział Gordon Faringer?

Trudno było sobie wyobrazić, żeby obraz, jaki nakreślił znajomi Valdemara, zgadzał się z jego prawdziwym ja. Mebel? Każdy ma chyba prawo do własnej wizji świata i podejścia do kwestii egzystencjalnych. Powierzchność jest powierzchownością, a wewnątrz wewnątrz i wielu chroni swoją najbardziej prywatną sferę, nie dopuszczając do niej byle kogo. Z różnych, ale może się zdarzyć, że z całkiem słusznych względów. Co przemawia za tym, że Roos nie jest interesującym i skomplikowanym człowiekiem, tylko dlatego, że nie obnosi się ze swoim życiem wewnętrznym?

W gruncie rzeczy...

Barbarotti odchylił się na krześle i wyjrzał przez okno.

Co chcę osiągnąć tym pseudomyśleniem? – rozważał. Dlaczego nie mogę zaakceptować, że większość matolów to faktycznie matoly?

Dlatego że jest ciekawiej, jeśli coś w sobie mają? Dlatego że chciałbym, by życie tak właśnie było urządzone?

Życie musi być opowieścią, w przeciwnym razie nie ma sensu. A tym samym jest nie do zniesienia, czyż nie? Czyż nie?

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Asunander.

– Jak idzie z graffiti? Masz na oku jakieś rozwiązanie?

Barbarotti szybko odciął wszystkie myśli na temat Valdemara oraz samego życia i próbował poprawić się na krzesło, nie zdejmując nogi z biurka. Bolały go plecy.

– Aj! – syknął. – Dziękuję, komisarzy, idzie świetnie. Właśnie rozważam kilka opcji.

– Naprawdę? – zainteresował się Asunander, nie wchodząc do pokoju. – Jakich?

– To trochę skomplikowane – odpowiedział Barbarotti. – Myślałem, żeby jutro przyjść do komisarza i zdać relację... albo w poniedziałek.

– Dobrze – zgodził się Asunander. – Nie mogę się doczekać. Ale z góry dziękuję za mowę-trawę i kolejne segregatory. Chcę powstrzymać tego przekłętego wandalę i oczekuję od ciebie wyników.

– Naturalnie – odparł Barbarotti. – To tylko kwestia czasu, wyłącznie.

– Tak trzymać – powiedział Asunander i zamknął drzwi.

Problem, pomyślał inspektor Barbarotti, największy problem polega na tym, że jestem totalnie niezainteresowany tym grafficiarzem. Do jakich to ja doszedłem wniosków w temacie Valdemara Roosa?

– Mam wieści – powiedziała Eva Backman. – Naprawdę interesujące.

Barbarotti skinął głową i spojrział na zegarek. Było wpół do piątej. Obiecał przyjechać po Marianne kwadrans po. Mieli jechać na duże, cotygodniowe zakupy do Coop w Billundsbergu. Czwartkowa przyjemność. Jeśli było na świecie coś, czego Gunnar Barbarotti nie lubił – oprócz grafficiarzy, rapu i brukowców – to były to właśnie duże zakupy. Ale

zdawał sobie sprawę, że w przypadku ośmio- czy dziesięcioosobowej rodziny jest to całkiem uzasadnione.

– Muszę jechać do domu – przyznał. – Nie mogłaś się odrobinę pospieszyć?

– Próbowałam złapać Karin Wissman – wyjaśniła Backman. – Tęgo świadka z restauracji. Niestety, ciągle jest na konferencji w Helsinkach. Miała wrócić dzisiaj, ale okazało się, że przyjeżdża dopiero w sobotę.

– Aha – rzucił. – A co takiego interesującego masz mi do powiedzenia?

– Chodzi o Yolandę Wessén – powiedziała Eva Backman. – Kasjerkę z ICA w Rimmersdal, która zadzwoniła przed południem. Byłam tam i rozmawiałam z nią przez półtorej godziny. To była naprawdę owocna rozmowa, nie tylko jeśli chodzi o Valdemara Roosa.

– Babska rozmowa? – zapytał Barbarotti.

– Jeśli chcesz to sprowadzić do swojego poziomu – odparła Backman.

– Przepraszam. Więc, co miała do powiedzenia na temat Valdemara Roosa?

Eva Backman otworzyła swój notatnik.

– A zatem ta wyjątkowo miła kobieta, Yolanda Wessén, czy też Yolanda Pavlovic, bo tak się nazywała, zanim przyjechała do naszego fantastycznego kraju i wyszła za mąż za wybuchowego piekarza, twierdzi, że Valdemar Roos był ostatnio co najmniej pięć razy w jej sklepie. Wyjątkiem był ostatni tydzień, kiedy to w ogóle się nie pojawił.

– Czekaj – powiedział Barbarotti. – Ten sklep jest w Rimmersdal, jakieś trzydzieści, czterdzieści kilometrów od miasta, tak?

– Trzydzieści pięć – uściśliła Backman. – Niedaleko Vreten; mój brat mieszka w tamtej okolicy.

– Więc chodził do ICA, tak?

– Zgadza się.

– Co kupował?

– Podstawowe produkty – wyjaśniła Backman. – Mleko, chleb, kawę i jajka. To, co jest konieczne do życia, po prostu.

– O czym to świadczy? – zapytał Barbarotti.

– A jak myślisz? – odbiła piłeczkę Backman.

Barbarotti się zamyślił.

– Nie będziemy teraz wyciągać wniosków – stwierdził.

– *Goodness no* – zgodziła się Eva Backman.

– Łatwo się pospieszyć.

– *Goodness yes*.

– Może zabierał te zakupy do domu na Fanjunkargatan.

– Za każdym razem – powiedziała Eva Backman. – Z pewnością trafiłeś w dziesiątkę. Co rano wsiada do samochodu, jedzie trzydzieści pięć kilometrów na zachód, zatrzymuje się przy sympatycznym sklepie ICA i kupuje artykuły pierwszej potrzeby. Potem zawozi je do domu. Siedemdziesiąt kilometrów tam i z powrotem.

– Dokładnie – potwierdził Barbarotti. – Zupełnie normalne zachowanie typowe dla szwedzkiego mężczyzny jego pokroju.

– A więc? – chciała wiedzieć Backman.

– A więc ma inne miejsce – zaproponował Barbarotti – do którego jeździ.

– Też tak myślę – przyznała Backman.

– Świetnie – powiedział Barbarotti.

– Może do kochanki?

– Możliwe. Chociaż trudno mi w to uwierzyć.

– Mnie również – zgodziła się Backman. – Ale, tak czy inaczej, to musi być gdzieś tam w okolicy. W okolicy Rimmersdal. Mam rację?

– Brzmi bardzo prawdopodobnie. Powiedziała coś więcej, ta Yolanda Wessén? Poza tym przedstawił się jej, tak?

– Tak – potwierdziła Backman.

– Przedstawiasz się kasjerce, kiedy robisz zakupy?

– Nie – odparła Backman. – Szczerze mówiąc, nie mam takiego zwyczaju.

– Ja też nie.

– Yolanda mówi, że był grzeczny i miły i wyglądało na to, że ma ochotę porozmawiać. I... tak, właśnie tak powiedziała.

– Co? – zapytał Barbarotti.

Backman podrapała się po głowie, a na jej czole pojawiła się zmarszczka oznaczająca frasunek.

– Twierdzi, że kiedyś powiedział coś w tym stylu, że będzie tam przychodził i robił zakupy, bo właśnie zamieszkał w okolicy.

– Zamieszkał w okolicy? – zdziwił się Barbarotti. – Tak powiedział? W takim razie nie ma chyba wątpliwości?

– Czy ja wiem – odparła Backman. – Nie pamięta, czy naprawdę właśnie tak powiedział. To było... bardziej odniosła takie wrażenie. A ponieważ potem pojawiał się kilka razy w tygodniu, utwierdziła się w swoich przypuszczeniach.

– Ale nie pamięta, czy faktycznie powiedział, że tam zamieszkał?

– Właśnie, nie umie odpowiedzieć na to pytanie. Mogło się zdarzyć, że po prostu wyciągnęła taki wniosek.

– Hmm... – zastanowił się Barbarotti. – No tak, niewątpliwie interesujące. Coś jeszcze?

– To wszystko – westchnęła Backman. – Niestety. Jak uważasz, co powinniśmy teraz zrobić?

Barbarotti podrapał się po gipsie i milczał przez dziesięć sekund.

– Zastanowić się – zdecydował po chwili. – Usiąść i się zastanowić, co to wszystko, do cholery, znaczy? I przesłuchać tego świadka, oczywiście... Mówiłaś, że kiedy? W sobotę?

– W sobotę wieczorem – potwierdziła Backman. – Mamy co najmniej dwa dni na uporządkowanie przemyśleń. Jeśli tego właśnie chcemy. To przecież tylko... przecież mimo wszystko zniknął tylko stary nudziarz.

Barbarotti skinął głową.

– Wiem – powiedział. – Sam nie pojmuję, czemu przejmuję się losem tego mężczyzny-mebla.

Eva Backman wyglądała, jakby szukała odpowiedzi, ale najwyraźniej jej nie znalazła, bo zamknęła notatnik i wyjrzała przez okno.

– Zdaje się, że będzie padać – zauważyła.

– No – zgodził się Gunnar Barbarotti. – Tak czy inaczej, jestem genialny w porządkowaniu przemyśleń. Ale chyba nie muszę ci o tym mówić.

Eva Backman wzniosła na chwilę oczy ku niebu, potem spojrzała na zegarek.

– Nie miałeś przypadkiem jechać na zakupy ze swoją ukochaną?

– Jasna cholera! – rzucił Barbarotti. – Gdzie moje kule?

31

To, o czym pod koniec rozmawiał z Evą Backman w czwartkowe popołudnie, nie dawało mu spokoju.

Co sprawiało, że przypadek Valdemara Rossa był taki interesujący? Męczyło go to nie tylko w czwartkowy wieczór, ale także w piątek, kiedy w sprawie nie pojawiło się nic nowego, w sobotę, kiedy miał wolne, a szwagier Roger w końcu dotrzymał obietnicy i pojechał do domu, do Lyckesele – albo przynajmniej do Bollnäs, gdzie miał znajomego, u którego planował się zatrzymać – i w nocy z soboty na niedzielę, kiedy kochali się z Marianne pierwszy raz, odkąd dwanaście dni wcześniej spadł z dachu.

Naturalnie nie miał Valdemara Rossa i jego historii w głowie przez cały czas – zwłaszcza nie podczas trochę skomplikowanego aktu miłosnego – ale Roos powracał jak bumerang. Zastanawiające czemu.

Zniknięcie nudziarza?

Przypuszczalnie dobry tytuł dla sztuki, stwierdził. Ale jak się ma sprawa samej treści? Co nadawało tej nieciekawej historii o sześćdziesięcioletnim mężczyźnie, który porzuca pracę i rodzinę takiego... blasku?

Blasku? – pomyślał Barbarotti i zobaczył, że na radiowym wyświetlaczu godzina właśnie zmieniła się z 2:59 na 3:00. Skąd to wziął? Jeśli istniało jakieś słowo, które nie pasowało do życia Ante Valdemara Roosa, to właśnie „blask”. Nie, musi chodzić o coś innego.

Jest mi go żal – olśniło go. To mój głęboki humanizm sprawia, że interesuję się takimi smutnymi losami ludzkiemi. Nikt na całym świecie nie przejmuje się Valdemarem Roosem i właśnie dlatego robię to ja. Chcę to zgłębić, abstrahując od Asunandera i jego grafficiarzy; jestem to winien jednemu z moich najmniejszych braci.

Ale ta filantropijna teoria nie do końca się zgadzała, ona też nie – po chwili namysłu musiał to przyznać. Nawet jeśli bardzo chciał, żeby tak właśnie było. Eva Backman jest tak samo jak on ciekawa, co się stało z Roosem, i może w piątek dotknęła istoty sprawy, wyjaśniając, że to wszystko jest kwestią ogólnoludzkiej tęsknoty.

A w szczególności męskiej tęsknoty – jak dodała po kilku sekundach zamyślenia. Żeby móc pozbyć się swojego życia, tak jak wyrzucamy ubrania, kiedy nam się znudzą. Żeby z dnia na dzień zmienić całe swoje życie. Pozbyć się wszystkiego, co niewygodne i nudne: pracy, żony, domu, rodziny, i zacząć od nowa, gdzie indziej.

Kuszące? – pomyślał Barbarotti. Z pewnością tak, przynajmniej dla niektórych ludzi w pewnych sytuacjach życiowych, ale prawdopodobnie także dość naiwne. Trawa nie jest bardziej zielona po drugiej stronie tego czy tamtego płotu i gdziekolwiek by człowiek nie był, przed samym sobą nie ucieknie.

I czy to naprawdę – koniec końców – sedno tej dziwnej historii?

Tak czy inaczej, Valdemar Roos musiał sobie ułożyć osobliwy plan. Jeśli naprawdę zamierzał zostawić żonę i córki, to dlaczego nie zdecydował się zrobić tego od razu? Dlaczego zwolnił się z pracy, a potem zachowywał pozory, udając, że codziennie tam jeździ. Przez miesiąc. Jaki był sens takiego kombinowania? I dlaczego jeździł w okolice Vreten? Co tam takiego było? Kochanka?

Dobre pytania, może. Albo kompletnie złe. Barbarottiemu od wielu dni nie udawało się znaleźć sensownych odpowiedzi i możliwe, że to właśnie dlatego zaginiony nudziarz nie chciał go zostawić w spokoju.

Bo to właśnie było takie dziwne.

Inspektor Barbarotti nie miał zielonego pojęcia, co się stało, i to go wkurzało.

Rozmawiał o tym z Marianne w sobotni wieczór, kiedy dzieci zostawiły ich ze zmywaniem.

– Może być tak – powiedział – że ta historia będzie dla nas interesująca tylko dopóty, dopóki nie będziemy wiedzieć, o co chodzi. Jak tylko poznamy prawdę, w tej samej chwili, kiedy karty będą leżeć na stole, stwierdzimy, że to banalne, nieciekawe, i nic więcej.

– No tak, ale tak przecież jest z samym życiem? – stwierdziła Marianne po krótkiej chwili zamyślenia. – Istotne są pytania i to, co niezbadane, a nie odpowiedzi i to, co oczywiste.

– A poszukiwanie odpowiedzi? – zapytał. – Czy to nie jest szukanie wiatru w polu, jak mówiliśmy?

– Nie zawsze – odparła, ale widział, że nie jest z tego zadowolona.

– Bóg?

– Bóg, hmm? Nie wiem, ale jestem przekonana, że Bóg bez pytań i obrzędów może być co najwyżej bożkiem. Nie chodzi o to, żeby wszystko rozumieć.

Zwłaszcza nie Jego.

Potem pocałowała go trochę dłużej, niż wymagała tego sama chwila, zmywanie i to, o czym mówili.

Wspaniale, pomyślał Gunnar Barbarotti. Wspaniale jest być mężem kobiety, która wie o życiu dużo więcej ode mnie. Ale jak to jest być moją żoną?

W niedzielne przedpołudnie zadzwonił do Ewy Backman.

– Przepraszam – powiedział. – Wiem, że jest niedziela, unihokej i takie tam, ale czy skontaktowałaś się wczoraj wieczorem ze świadkiem?

– Jak idzie porządkowanie przemyśleń? – zapytała w odpowiedzi Backman.

– Jeszcze nie jestem gotowy – wyznał Barbarotti. – Ale dam radę. Co ze świadkiem?

– Cóż – odparła Ewa Backman. – Rozmawiałam z nią. Ale obawiam się, że nie udało jej się zbyt dobrze naświetlić sprawy. Zadzwoniłabym do ciebie.

– Dzięki – powiedział Gunnar. – Ale coś sensownego musiała chyba, mimo wszystko, powiedzieć?

– Mamy dość dokładny rysopis dziewczyny – odparła Backman.

– Dziewczyny? – zapytał Barbarotti.

– Tak – odrzekła Backman. – Takiego określenia użyła. Według niej dziewczyna miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Mogła być młodsza.

– Nastolatka? – zapytał Barbarotti. – Boże drogi, Valdemar Roos ma przecież prawie sześćdziesiątkę.

– Wiem – przyznała Backman. – No tak, ta teoria z kochanką wydaje się coraz bardziej absurdalna. Świadkowi... nazywa się Karin Wissman, tak w ogóle... też było trochę trudno uwierzyć w tę wersję. Chociaż z drugiej strony nie miała żadnej innej teorii. Przeszło dwa tygodnie temu Valdemar Roos w porze lunchu wyszedł z restauracji z młodą dziewczyną, ogólnie rzecz biorąc, tyle możemy stwierdzić z całkowitą pewnością.

– A dwa dni później, kiedy żona mówi mu o tym, że widziano go z młodą dziewczyną, znika.

– Dokładnie – potwierdziła Backman. – To dość oczywiste, że ta rozmowa telefoniczna musiała być swojego rodzaju katalizatorem. Co poza tym... cóż, ciągle drepczemy w miejscu.

– Niech to licho weźmie – rzucił Barbarotti.

– Tak. I tak można powiedzieć. Dlatego doszłam wczoraj do wniosku, że nie ma sensu do ciebie dzwonić.

– Rozumiem – powiedział Barbarotti.

– Chociaż jest jeszcze jedna mała rzecz.

– Ach tak?

– Tylko dziwna drobnostka, przypuszczalnie, ale wczoraj po południu rozmawiałam też z innym informatorem.

– Z kim?

Eva Backman zawahała się na kilka sekund.

– To pewnie nic ważnego. Kobieta, która rozmawiała z Valdemarem w knajpie.

– W knajpie?

– Tak. Knajpie Prince na Drottninggatan. Dwa miesiące temu. Albo przynajmniej półtora, nie pamiętała dokładnej daty. Rozpoznała go na zdjęciu w gazecie, dlatego się odezwała.

– Ach tak?

– Najwidoczniej był trochę wstawiony. Postawił jej kilka drinków, siedzieli i gadali przez jakąś godzinę, tak twierdzi.

– W Prince na Drottninggatan?

– Tak.

– Nie sądziłem, że Valdemar jest facetem, który przesiaduje w knajpach i konwersuje z kobietami.

– Ja też nie – przyznała Eva Backman. – Przecież mówiłam, że to dziwne; przyjdzie na komisariat jutro po południu, więc będziemy mieli okazję z nią dłużej porozmawiać.

– Dobrze – powiedział Barbarotti. – Uważam, że to brzmi cholernie dziwacznie.

– To, co mówił, też było dość dziwne.

– Co? Kto mówił?

– Roos. Tamta kobieta twierdzi, że w kółko marudził o jednym. Że spacerował z ojcem po lesie.

– Nie łapię – przyznał Barbarotti.

– Nic dziwnego – odparła Eva Backman. – Ale tak twierdziła. Że on tak powiedział. Coś o tym, że słońce padało na sosny i że to był najważniejszy moment w jego życiu.

– Wtedy, kiedy wędrował ze swoim ojcem po tym lesie?

– Dokładnie.

Barbarotti milczał przez chwilę.

– Sądzisz, że jest szurnięty? – zapytał po chwili. – Po prostu.

– Nie wiem – odparła Eva Backman. – Jutro, jak już mówiłam, posłucham, co świadek ma jeszcze do powiedzenia. Ale zgadzam się, że brzmi to dość dziwnie.

– Dziwnie to mało powiedziane – dodał Barbarotti i zakończył rozmowę.

Ale tej pochmurnej, jesiennej niedzieli odbył z Backman jeszcze jedną rozmowę.

Zadzwoiła o wpół do jedenastej wieczorem.

– Przepraszam, że dzwonię w niedzielę. Pewnie jesteś zajęty grabieniem liści, porządkowaniem myśli i takimi tam – zaczęła.

– Hipokryzja białej kobiety – stwierdził Barbarotti.

– Sądzę, że mamy przełom.

– Co masz na myśli?

– Może tak być w każdym razie – odparła Backman. –

Ale nie jestem pewna.

– Kontynuuj.

– Właśnie rozmawiałam z pewnym mężczyzną. Nazywa się Espen Lund.

– Espen Lund?

– Tak. Jest agentem nieruchomości i starym dobrym przyjacielem Valdemara Roosa. Był na wyjeździe, wrócił dzisiaj i przed godziną zobaczył zdjęcie w gazecie. Mówi,

że mniej więcej miesiąc temu sprzedał Valdemarowi dom. Niedaleko Vreten. Co ty na to?

– Co ja na to? – zapytał Gunnar Barbarotti. – Ja na to, że wpakujemy agenta do samochodu i piorunem z nim tam pojedziemy. A co, kurwa, innego mielibyśmy zrobić?

– Tak myślałam – powiedziała Eva Backman. – Tylko przełożyłam to na jutro, jest wpół do jedenastej i agent mówi, że ma *jet lag*.

– Okej – zgodził się Barbarotti. – Niech będzie jutro. O której?

– Przyjdzie na komisariat o dziewiątej – powiedziała Eva Backman.

– Kurwa! – krzyknął Barbarotti.

– Dlaczego cały czas klniesz?

– Dlatego że jutro rano mam jechać na kontrolę do szpitala. Chyba muszę...

– To konieczne, skoro wylądowałaś w taczce – oznajmiła Eva i mało brakowało, a nowe przekleństwo wyrwałoby się z jego ust.

– Przesunę to – postanowił. – Wizytę kontrolną, mam na myśli. Rozmawiałaś z panią Roos?

– Nie – powiedziała Backman. – Stwierdziłam, że najlepiej poczekać z tym, aż przeprowadzimy oględziny tego miejsca.

Gunnar Barbarotti pomyślał chwilę, a potem przyznał, że to chyba słuszna decyzja, biorąc pod uwagę okoliczności.

III

Zszedł na plażę zaraz po szóstej, słońce jeszcze nie wstało. Ale było już blisko.

Czerwona poranna poświata pokrywała na wschodzie połowę nieba, ptaki szybowały, zataczając nad plażą rozciągnięte elipsy, a morze, niezmacone i spokojne, trwało w spokojnym oczekiwaniu.

Oczekiwanie. Jest coś lepszego?

Zdecydował, że pójdzie na południe. Po przejściu kilkuset metrów zatrzymał się i zdjął buty. Zostawił je na piasku, pod osłoną odwróconej spodem do góry, oblażącej z farby drewnianej łódki porzuconej dobry kawałek od brzegu. Ze skarpetkami w środku; po jednej w każdym bucie. Pomyślał, że nikomu nie przyjdzie do głowy, by zakosić parę brzydkich i znoszonych mokasynów, a jeśli nawet ktoś zada sobie tyle trudu, to bez problemu dotrze do pensjonatu boso.

Miał w zapasie parę sandałów. Kupił je w Malmö podczas zakupów, które robili, zanim przeprawili się przez cieśninę. Powiedziała, że mu w nich ładnie, ale że w żadnym wypadku nie może do nich zakładać skarpet. Jeszcze ich nie wypróbował.

Pensjonat nazywał się Paradis; mieszkali w nim cztery noce i ta ostatnia była bezsenna. Nie wiedział czemu; zasnął jakoś koło północy, po rozwiązaniu krzyżówki, ale obudził się już o trzeciej i nie mógł ponownie zmrużyć oka. Wpół do piątej ostrożnie skradał się na palcach, wziął długi prysznic, a potem ubrał się i wymknął. Pensjonat był położony w samym środku osady. Dwupiętrowy, różowy, drewniany dom otulony krzakami bzu i drzewami owocowymi; dojście do morza nie zajmowało więcej niż pięć minut.

Kiedy wychodził, Anna spała. Leżała jak zwykle, zwinęta w kłębek z rękami między kolanami i poduszką na głowie. Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach i obserwował ją przez kilka sekund.

Dziwne, zastanowił się. Tak szybko stała się częścią mojego życia, trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek było inaczej.

Teraz też miał ją pod powiekami, kiedy powoli przemieszczał się na południe wzdłuż niekończącej się plaży. Z tego, co wiedział, ciągnęła się aż do niemieckiej granicy, a przypuszczałnie jeszcze dalej.

Taaak... świat nie ma granic. Naprawdę. Nasze życie i nasze możliwości są nieograniczone; chodzi tylko o to, żeby to odkryć i zaakceptować. A każdy dzień to prezent.

Minęło czternaście dni. Dwa tygodnie i jedna noc od tego niedzielnego wieczoru, kiedy życie przybrało całkiem nowy i kompletnie nieprzewidywalny obrót. Ante Valdemar Roos wiedział, że ten czas z Anną – abstrahując od tego, co przed nimi, i tego, że niedługo wszystko się skończy – był czymś najważniejszym, co dane mu było przeżyć.

Może, pomyślał. Może o to w tym wszystkim chodzi. Po to się urodziłem, dorosłem i wędruję po tym leż padole. Żeby przez jakiś czas towarzyszyć tej zjawiskowej dziewczynie.

Kontynuował pisanie swoich aforyzmów w czarnym notatniku: jeden na każdy dzień. Czasami był to cytat, innym razem jego własne myśli. Dwa razy słowa Anny. Wczorajsze słowa to jeszcze raz cytat z tamtej rumuńskiej książki:

Ciągle karmił się iluzją, że idzie sam, że to on się porusza, a nie świat pod jego stopami, że mógłby pójść w każdym kierunku, że ścieżkę, którą podąża – jego własne, wyjątkowe życie – widać tylko za nim i że są to ślady jego mozolnych kroków. Jeszcze nie rozumiał, że taka sama ścieżka, równie wyboista i znojna, jest przed nim.

Tak było kiedyś, pomyślał Ante Valdemar Roos. Tak wyobrażałem sobie moje życie. Jak głębokie pęknięcia albo inskrypcje na już stojącym nagrobku. Tak jakby... jakby ten nagrobek, i nieskończenie długie czytanie widniejących na nim napisów, były celem i sensem samym w sobie.

Nie był pewien, czy Cărtărescu to właśnie miał na myśli, ale olać to, pomyślał z nagłym ożywieniem, kopnąwszy równocześnie sflaczałą, czerwoną, gumową piłkę, tak że poszybowała daleko w wodę. Olać i chrzanić to!

Kiedyś był prawym napastnikiem w chłopięcej drużynie piłkarskiej Framtidens i ciągle miał dobre przyłożenie z prawej nogi. To uczucie i droga, a nie słowa i ewentualny wynik równania sprawiają, że nie szkoda zachodu.

Wczoraj wieczorem zaśpiewała dla niego; tylko dwie piosenki, bo znowu dopadło ją zmęczenie. Jedną z nich były *Colours*, stary kawałek Donovana – uważał to za ciekawe, że tak dużo czerpie z dawno zapomnianych lat sześćdziesiątych; drugą skomponowała sama i była o nim. *Valdemar the Penguin*. Dopiero jak skończyła, zauważył, że płacze. I czuł wdzięczność, że po tym groteskowym zdarzeniu w Logranie nie ulegli panice i strachowi, tylko dali sobie czas na zastanowienie i spakowanie kilku rzeczy. Na przykład gitary. Także większości jej rzeczy. Mieli zamiar zatrzeć wszystkie ślady bytności Anny w domku, ale po kilku godzinach jazdy, pierwszej nocy, przypomniał sobie, że pod zlewem w kuchni zostawiła plastikowy woreczek z rzeczami do prania.

Więc pewnie wpadną na to, że mieszkała tam również dziewczyna. Że Lograna nie była tylko jego miejscem na ziemi.

To znaczy, jeśli kiedykolwiek uda im się zabrnąć aż tak daleko i znaleźć Logranę. Tymczasem nic na to nie wskazywało, ale prędzej czy później ta chwila oczywiście nastąpi. P prędzej czy później – nie łudził się, że będzie inaczej.

Przez pierwsze dni przysłuchiwał się w napięciu każdemu radiowemu serwisowi informacyjnemu, bardzo uważnie czytał wszystkie gazety, które mu wpadły w ręce, ale

z czasem udzielił mu się spokój Anny. A kiedy uznali, że rana na jej głowie mimo wszystko zaczyna lepiej wyglądać i że nie będą musieli jechać do szpitala, nastąpił punkt zwrotny. Nie musieli zostawać w kraju. Ponad tydzień po opuszczeniu Lograny przejechali most nad cieśniną Sund; towarzyszyło im słoneczne, jesienne przedpołudnie i zostawiali Szwecję z uczuciem zapierającej dech w piersiach wolności. A przynajmniej tak to odczuwał Valdemar – zamykał się ciasny i mały świat, otwierała się bezkresna przestrzeń.

Powiedział jej to, właśnie tymi słowami. Zaśmiała się i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno – rzekła.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Mama tak mówiła – wyjaśniła. – Do mojego ojca, kiedy byłam mała. Lubiłam to powiedzenie. Wieczorami, po ich kłótniach, leżałam w łóżku i o nim myślałam.

– Też mi się podoba – przyznał. – Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno. Tęsknisz za mamą?

– Trochę.

– Jak twoja głowa?

W pierwszych dniach pytał często.

Boli cię? Chcesz trochę poleżeć na tylnym siedzeniu? Pomóc ci zmienić opatrunek?

Zbyt często, ale nie było to takie dziwne, skoro się marwił. Kiedy ją znalazł, leżała nieprzytomna w trawie i minęło sporo czasu, zanim przywrócił ją do życia. Całą lewą stronę jej głowy pokrywała lepka krew i kiedy ją zmył za pomocą wilgotnych ręczników, na światło dzienne wyszła prawie dziesięciocentymetrowa rana nad lewym okiem. Opuchlizna i głęboki półksiężyc, które sięgały aż do skroni, dokładnie tam, gdzie kończą się włosy; zardzewiała, żelazna rurka, którą dostała, leżała kilka metrów dalej, dokładnie pod jabłonią.

Opuchlizna utrzymywała się przez pierwsze dni, ale szybko wpadła na pomysł, jak się zczesać, żeby właściwie

niczego nie było widać. Próg pierwszego hotelu, drugiej nocy, przekroczyli już jako Erikssonowie – ojciec z córką. Kiedy meldowali się w recepcji na dole, dostała nagłego ataku bólu głowy, ale rana i bandaż były dobrze ukryte pod jej gęstymi, ciemnobrązowymi włosami.

W Halmstad zatrzymali się trzy dni. Większość czasu przeleżała w łóżku; doglądał jej, jakby naprawdę był troskliwym ojcem, a ona chorą córką. Pilnował, żeby wystarczająco dużo piła i przynajmniej trochę jadła. Kupił w aptece środki przeciwbólowe, plastry, kompresy i witaminy. Nocami siedział przy jej łóżku i czuwał.

Pytał, czy czegoś potrzebuje. Czy ją boli.

Zbyt często. Rano czwartego dnia wstała, wzięła prysznic, kazała mu przestać marudzić i zapytała, czy nie powinni ruszać dalej.

Przez chwilę jej nie poznawał. Nie docierało do niego, że ta dziewczyna, stojąca w ciasnych drzwiach do łazienki, zawinięta w hotelowe białe prześcieradła – jedno wokół ciała, drugie na głowie – i mówiąca do niego takim tonem jak Signe albo Wilma, kiedy znowu i z niejasnych przyczyn nie spełniał ich oczekiwań, to ona.

Kiedy zobaczyła, że posmutniał, zrobiła trzy kroki w przód i mocno go uścisnęła.

– Przepraszam, nie chciałam. Nie sądzisz jednak, że powinniśmy stąd wyjechać?

Ta chwila go przestraszyła i nie mógł przestać o niej myśleć. Tkwiła w jakimś zakamarku jego duszy jak zły znak albo omen i nie chciała zniknąć.

Nie wiedzieć czemu, pojechał do Karlskrony. Może dlatego że była daleko. To w samochodzie i w drodze czuli się jak w domu, w każdym razie w tych dniach. Jakby samo przemieszczanie się było jedyną możliwą sceną dla aktualnych wydarzeń. W Blekinge zostali tylko jedną noc – spała ciągiem trzynaście godzin – potem pojechali do hotelu Baltzar w Malmö.

Bóle głowy pojawiały się i znikaly. Kilka razy zwymiotowała. Kupił różne środki przeciwbólowe: treo, ipren, alvedon. Powiedziała, że najlepszy jest treo, więc kiedy przejeżdżali przez cieśninę, mieli w zapasie dwanaście opakowań.

Opuchlizna zesza, a blizna wygladała coraz lepiej. W sobotę w Malmö zdecydowała, że zrezygnuje z plastrów i kompresów; poszli na długi spacer po Pildammsparken; wprawdzie była trochę zmęczona, ale obiecała pojechać z nim na koniec świata, jeśli tylko będzie miał pieniądze na benzynę i trochę jedzenia.

Już w Halmstad wypłacili pięset tysięcy; w banku chcieli wiedzieć, co, u licha, zrobi z taką ilością gotówki, więc odpowiedział, że chodzi o kupno łodzi. Ekscentryczny sprzedawca, któremu trzeba pójść na rękę.

Wiedział, że pomysł z tym zakupem łodzi pochodzi z jakiejś książki, i cieszył się, że mimo wszystko trochę w życiu przeczytał. Sam by na to nie wpadł.

Tak czy siak, mieli pieniądze na benzynę i prowiant. W Malmö bez żadnych problemów wymienił szwedzkie korony na trzydzieści tysięcy euro i dwadzieścia tysięcy duńskich koron.

Nie musiał wymyślać żadnej łodzi ani nic takiego.

Zatrzymał się i spojrzal na zegarek. Słońce już weszło, ale plaża ciągle była wyludniona. Nie spotkał ani jednego człowieka, może Duńczycy są narodem, który lubi się rano wylegiwać w łóżku.

Krąży przecież na ten temat pogłoska, pomyślał Ante Valdemar Roos, ziewnęła i skierował swoje kroki z powrotem w kierunku miasta. Albo może mają ważniejsze rzeczy do roboty, skorygował po chwili swoje myśli. Pracę i takie tam. Nie mają czasu na spacery po pięknych plażach o wschodzie słońca, nawet jeśli są one tuż pod nosem.

W każdym razie nie ukradli jego butów i skarpet.

– Miałam dziwny sen.

Skinął głową. Już kilka razy wcześniej opowiadała mu o swoich snach. Chętnie przy śniadaniu, stał się to prawie rytuał.

– Był taki rzeczywisty. Kiedy się obudziłam, trudno mi było uwierzyć, że to tylko sen.

Pomyślał, że jeśli zostałby mu tylko jeden dzień życia, to mógłby się on zacząć właśnie tak. Najpierw godzinny spacer wyludnioną piaszczystą plażą. Potem śniadanie w ogrodzie pensjonatu i sen opowiedziany ustami tej osobliwej dziewczyny.

– Co ci się śniło? – zapytał.

Wypiła łyk herbaty i zaczęła smarować marmoladą kolejną kromkę chleba.

Dobrze – pomyślał – odzyskuje apetyt.

– Chyba śmierć. I że nie należy się jej bać.

– Ach tak? – zdziwił się. – No jasne, że nie należy się bać.

– Byłeś w tym śnie. Mój młodszy brat i moja mama też, ale to ja byłam główną bohaterką. To ja byłam śmiercią.

– Ty byłaś śmiercią? – wybuchnął, przerażony wbrew swojej woli. – Mimo wszystko myślę, że...

– Tak – zapewniła. – Byłam śmiercią, to do mnie wszyscy mieli wrócić, prędzej czy później. Wiedziałam o tym i dlatego nie trzeba było się z niczym spieszyć. Ty, mama i Marek znajdowaliście się na łodzi, na rzece...

– Marek, twój młodszy brat?

– Tak. Byliście na łodzi, która płynęła w kierunku wodospadu, i tak jakby straciliście nad wszystkim kontrolę. Chociaż nie zdawaliście sobie z tego sprawy, bo prąd na początku nie był szczególnie silny, raczej była to dla was trochę fascynująca przygoda. Czekałam na was tam, gdzie prąd był silniejszy, gdzie wiedziałam, że uświadomicie sobie, iż to nie żarty i naprawdę jesteście w niebezpieczeństwie.

– Znaliśmy się? – zapytał. – Ja, twoja mama i twój brat?

– Oczywiście, nie mogłam się doczekać spotkania z wami wszystkimi, bo byłam śmiercią od dawna i ostatni raz widziałam was na moim pogrzebie. Wtedy byliście smutni i opuszczeni.

– Opuszczeni?

– Tak. Tak się człowiek czuje, kiedy ktoś umiera.

– Skąd to wiesz?

– Zrozumiałam to we śnie, a poza tym to się po prostu wie – zanim zaczęła mówić dalej, pokiwała twierdząco głową, jakby sama do siebie. – Prawie przez cały sen po prostu siedziałam i czekałam, aż przyplyniecie do mnie rwącą rzeką. Wiedziałam, że najpierw spanikujecie, ale potem, jak już dotrzecie i będzie po wszystkim, znowu wszystko się ułoży.

– Ja, twoja mama i twój brat.

– Tak.

– Co się wydarzyło? Przyplnęliśmy do ciebie?

– Nie, to właśnie było dziwne. Tak naprawdę to nie wiem, co się stało. Nie mieliście żadnych wiosel ani niczego takiego, a mimo to udało wam się znaleźć własny prąd i dobić do brzegu. Siedziałam tam, czekałam i faktycznie byłam rozczarowana, ale nie było tak strasznie. Wiedziałam przecież, że przyjdziecie innego dnia. Zamiast was pojawił się on.

– On? Kto taki?

– On.

– Steffo?

– Tak. A jego absolutnie nie chciałam spotkać. Przyplnął swoim skuterem i w tym momencie pojawiłeś się ty. Może Marek i mama także, nie wiem, ale dmuchnąłeś na niego i zniknął.

– Dmuchałem na niego?

– Tak. To wystarczyło. Zrobiłeś to z nieba, tak sądzę, w każdym razie widziałam twoją głowę od dołu. Dmuchałeś na Steffa i nagle zniknął. Pocałowałam cię i się obudziłam.

– Boże drogi, Anno. Jestem...

- Tak?
- Zażenowany.
- Jesteś zażenowany, bo pocałowałam cię we śnie?
- Tak, wyobraź sobie, że tak.
- Okej, następnym razem będę się bardziej pilnować.

Zaśmiała się. On także. Pomyślał, że to najszczęśliwszy poranek w jego życiu.

Nigdy nie będzie lepiej.

Po południu siedzieli na plaży. Słońce padało teraz z dobrej strony.

- W dalszym ciągu nie pamiętasz?

Pokręciła głową.

- Nie.

- Nic więcej ci się nie przypomniało?

- Nie. Wybiegam na zewnątrz z nożem, który wzięłam ze zlewu. Słyszę, że biegnie za mną. Krzywo stoję na tym korzeniu, na trawniku i upadam. Potem... cóż, potem pustka.

- Dobrze - oznajmił. - Może to i lepiej, że więcej nie pamiętasz.

- Sama nie wiem. Może, ale chciałabym pamiętać - przerwała i się zamyśliła. - Musiałam przecież go zabić, tak czy inaczej. Jak mnie okładał tą rurką. Chyba nie ma innej możliwości, prawda?

- Nigdy nie wiadomo. Anno?

- Tak?

- Cokolwiek się stało, nie miej z tego powodu wyrzutów sumienia.

- Wiem, że tak uważasz. Myślę podobnie, ale wyrzuty sumienia to całkiem inna kwestia.

Siedział w milczeniu i obserwował ją przez chwilę. Dwoje biegaczy, mężczyzna i kobieta w czerwonym i czarnym dresie, przebiegli plażą trochę dalej.

- Boli cię? Chcesz wrócić i odpocząć?

Na jej twarzy pojawił się szybki grymas, którego nie umiał zinterpretować.

– Valdemar, jak długo tu zostaniemy?

– Nie wiem. Może do jutra. Lub dzień dłużej.

– Okej, jutro zdecydujemy.

Skinęła głową i na chwilę położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Valdemar, coś jest nie tak z moim ramieniem.

– Co? Z twoim ramieniem?

– Tak, prawym. Jest ciężkie i dziwne.

– Od jak... to znaczy od jak dawna?

– Zauważyłam to wczoraj wieczorem, kiedy grałam na gitarze. Palce wydają się grube i niezgrabne.

– Sądziś, że to coś poważnego? Że to ma coś wspólnego z...?

– Nie, pewnie przejdzie, jak tylko trochę odpocznę. Patrz, co to? Łabędzie?

Zmrużył oczy.

– Czaple. Myślę, że to czaple.

– Prawie jak fatamorgana.

– Tak, prawie.

33

– Zrobił coś? – zapytał Espen Lund. – To znaczy, jest o coś podejrzany?

Eva Backman pokręciła głową i zapięła pas bezpieczeństwa.

– Zniknął dwa tygodnie temu – z tylnego siedzenia poinformował Barbarotti. – Nie ma pan pomysłu, co się mogło stać?

Wsunął pod nogę małą poduszkę i pomyślał, że kiedy pewnego dnia pozbędzie się gipsu i będzie mógł chodzić jak człowiek, to nigdy więcej nie poświęci tej pieprzonej nodze

ani jednej myśli. Prawdopodobnie dostała więcej uwagi, niż na to zasługiwała.

– Ja? – zdziwił się Espen Lund. – Dlaczego miałbym wiedzieć, gdzie się podziewa Valdemar Roos?

– Sprzedał mu pan ten dom – zaznaczyła Eva Backman. – Zdaje się, że nikt inny o tym nie wiedział.

– Dyskrecja to sprawa honoru – powiedział Barbarotti.

– Boże drogi – jęknął Espen Lund. – Sprzedaję trzydzieści domów i mieszkań w miesiącu. Nie wiedziałem, że jestem również odpowiedzialny za poczynania moich klientów.

– Powiedzmy – odparł Barbarotti. – Próbujemy tylko docięć prawdy. Jesteście przecież starymi kumplami, pan i Valdemar Roos. Musiał przecież powiedzieć panu, po co mu ta chata. I dlaczego nie chce, żeby dowiedziała się o tym żona?

Espen Lund zawahał się na sekundę.

– Był trochę tajemniczy.

– Tajemniczy? – zapytała Backman.

– Tak. Prosił o dyskrecję... dokładnie tak jak pan... jak pan się nazywa?

– Barbarotti – powiedział inspektor.

– Ach tak, to pan? Co się panu stało w nogę?

– Bójka z gangsterem – wyjaśnił Barbarotti.

Espen Lund zaśmiał się z wysiłkiem.

– Ten drugi leży oczywiście w szpitalu?

– Na cmentarzu – oznajmiła Eva Backman. – Do rzeczy, a więc czemu był taki tajemniczy? Musiało to chyba pana trochę zaciekawić?

Espen Lund westchnął.

– Valdemar jest okropnym nudziarzem – powiedział. – Właściwie to go nie znam, ale był okres w naszym życiu, że trochę się spotykaliśmy. Po jego rozwodzie. Bawiliśmy się też razem w dzieciństwie, tak wyszło. W ciągu ostatnich piętnastu lat nie widziałem go więcej niż cztery, może pięć razy.

– Więc zdziwił się pan, kiedy zadzwonił i chciał kupić u pana dom?

– Czy ja wiem – odparł Espen Lund i umieścił porcję snusu pod wargą. – Valdemar chciał sobie kupić chatę, żeby mieć trochę spokoju. Cóż w tym takiego dziwnego?

Eva Backman wzruszyła ramionami i wjechała na Rockstarondellen. Barbarotti pomyślał, że jeśli o niego chodzi, to nigdy nie kupiłby niczego od tego zblazowanego agenta nieruchomości. Ale, z drugiej strony, jeśli się było właścicielem trzystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych do remontu, to raczej nie potrzebowało się więcej domów.

– Kontaktował się pan z nim później? – zapytał. – To znaczy po sfinalizowaniu transakcji?

Espen Lund potrząsnął głową.

– Nie. Razem podpisaliśmy papiery z poprzednią właścicielką, od tego czasu przepadł jak kamień w wodę.

– Kiedy to dokładnie było? – zapytała Backman.

– Podpisywaliśmy umowę dwudziestego szóstego sierpnia – powiedział Espen Lund. – Klucze dostał pierwszego września. Tak, wtedy też go oczywiście widziałem, ale tylko jakieś dziesięć sekund. Sprawdziłem daty wczoraj wieczorem po rozmowie z wami.

– Okej – oznajmił Barbarotti. – Nie zna pan jego żony, prawda?

– Nigdy jej nie widziałem – przyznał Espen Lund.

– A pierwszą żonę?

– Też nie – odparł Espen Lund.

– Świetnie – powiedziała Eva Backman. – Do tego jeszcze zaczyna padać.

Gunnar Barbarotti wyjrzał przez boczną szybę i stwierdził, że ma rację. Potem spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po dziewiątej w poniedziałek dwudziestego dziewiątego września, i o dalszych losach i przygodach Ante Valdemara Roosa nie wiedzieli nic.

Ale w ciągu półgodziny dojadą na miejsce, do jego domu w lesie.

Zawsze coś, pomyślał Barbarotti.

Zawsze coś.

Nie podjęli żadnej decyzji odnośnie do rewizji domu, ale nie miało to większego znaczenia. Już po około minucie znaleźli ciało i w tym samym momencie mały, leśny domek zamienił się w miejsce zbrodni i wszystko się zmieniło. Radykalnie.

Pomimo nogi w gipsie inspektorowi Barbarottiemu już przy pierwszej próbie udało się sforsować drzwi do chaty; może najrozsądniej byłoby zostać w samochodzie skąpanym w deszczu i czekać na posiłki, ale, kurwa, pomyślał i Eva Backman pewnie też tak pomyślała; widział to po niej, bo nie protestowała. Przepisy przepisom nierówne.

– W każdym razie miło wejść do środka – wyjaśnił, rozglądając się po skromnie umeblowanej kuchni.

Eva Backman znalazła włącznik i zapaliła światło. Było dopiero przedpołudnie, ale deszczowa pogoda przyniosła ze sobą ponury półmrok. Backman wyjęła telefon i zadzwoniła po posiłki. W ciągu minuty opisała z grubsza sytuację i zakończyła rozmowę.

Barbarotti spojrział na nią i stwierdził, że żadne z nich nie ma ochoty wyjść na zewnątrz i pilnować zwłok.

– Dlaczego zawsze musi padać, kiedy znajdujemy trupa? – zapytał. – Zawsze to samo.

– To niebo płacze – odparła Backman. – Na razie tu zostajemy, tak?

Skinął głową.

– Nie ma sensu stać na zewnątrz, przemokniemy do suchej nitki.

– Dokładnie.

Espen Lund zaszlochał. Poczciwy agent nieruchomości znacznie zbladł, kiedy zobaczył martwe ciało; teraz siedział skulony przy kuchennym stole z głową opartą na przedramionach. Backman i Barbarotti rozglądali się szybko po małej chacie. Pokój z kuchnią, nic więcej. Skromnie

umeblowane, ale z pewnością zamieszkane. Na łóżku była pościel, a w lodówce jedzenie. Kilkutygodniowe gazety, pojedyncze części garderoby i działające radio.

Ale żadnej wskazówki, dlaczego w ogrodzie leży trup.

Co tu się właściwie stało, do jasnej cholery? – pomyślał Barbarotti. Robi się coraz dziwniej.

Posiłki policyjne dotarły po półgodzinie, lekarz i ekipa kryminalistyczna – dwie minuty później.

W tym czasie deszcz się nasilił, a Espen Lund, moknąc, wypalił trzy papierosy.

– Snus i papierosy? – zdziwił się Barbarotti, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Espen Lund nie wydobył z siebie ani słowa, od chwili gdy znaleźli ciało; Barbarotti przypuszczał, że to przejaw jakiegoś szoku i najlepiej zostawić go w spokoju.

Ofiara leżała za ziemianką, na samym skraju lasu; była dość dobrze widoczna, kiedy się tylko weszło na działkę. Młody mężczyzna wyglądał na dwadzieścia czy trzydzieści lat, ale ponieważ niektóre zwierzęta leśne już tu były i zjadły trochę jego twarzy, trudno było dokładniej ocenić. Leżał na plecach z ramionami po bokach i nawet jeśli można było dyskutować, jak zginął, to wyschnięta krew pokrywająca jego jasnoniebieską kurtkę od pępka w górę, mniej więcej do brodawek piersiowych, była cenną wskazówką. Zwierzęta trochę sobie poucztowały i kiedy inspektor Barbarotti próbował przyjrzeć się ciału po raz drugi, bez problemu zrozumiał, dlaczego Espen Lund nieco pobladł i przycichł.

– Ugodzony nożem w brzuch, co o tym sądzisz? – zapytała Eva Backman, podczas gdy fotograf cykał zdjęcia pod każdym możliwym kątem, a technicy z ekipy kryminalistycznej stali i tupali w miejscu w oczekiwaniu na to, aż wreszcie będą mogli rozłożyć plastikowy baldachim, by nie przemoknąć podczas swojej delikatnej roboty.

– Nie postawię śmiałej hipotezy – odparł. – Na pewno leży tu już jakiś czas.

– To pewne – zgodziła się Eva Backman. – Valdemar Roos zniknął dwa tygodnie temu. Jeśli w tej historii jest jakaś logika, to ten chłopak nie żyje mniej więcej tak samo długo.

– Logika? – zdziwił się Barbarotti. – Chyba nie sądzisz, że w tym jest jakaś logika?

– W każdym razie to nie on – powiedziała Backman i przyjęła parasol, który podał jej jeden z aspirantów.

– Co? – zapytał Barbarotti.

– To nie Valdemar Roos tam leży.

Barbarotti jeszcze raz przyjrzał się zmaltretowanemu ciału.

– Zgadza się – oznajmił. – Jego żona nie wspominała, że ma koleczyk w brwi.

Trzy godziny później znowu siedzieli w samochodzie; wracali do Kymlinge. Agenta nieruchomości Lunda wysłano do domu wcześniejszym transportem, więc mieli kłopot z głowy. Przestało też padać, nawet jeśli tylko chwilowo. Niebo nad południowo-zachodnim skrajem lasu było niebiesko-czarne i zachmurzone; bez wątplenia czekało ich więcej opadów.

– Okej – rzuciła Eva Backman. – Co powiesz na krótkie podsumowanie?

– Chętnie – zgodził się Barbarotti. – Zaczynj.

– Mężczyzna, dwudziestopięciolatek – powiedziała Backman. – Zginął od ciosu nożem w brzuch.

– W aortę – uściślił Barbarotti. – Celny cios, chłopak stracił dużo krwi. Zmarł po minucie.

– Stracił przytomność po półminucie – dodała Backman. – Ale zanim padł, mógł się o kilka metrów przesunąć.

– Żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś go tu przyciągnął albo przyniósł.

– Ale ktoś wyciągnął nóż. Narzędzia zbrodni nie znaleziono.

– Przypuszczalnie był to duży nóż do porcjowania mięsa. Nóż kuchenny, czy coś w tym stylu.

– Nie lubię tego wyrażenia – powiedziała Backman. – Coś w tym stylu.

– Wiem – przyznał Barbarotti. – Dobra, olewam dbałość o język i kontynuuję. Tożsamość ofiary nieznana. Nie znaleziono portfela. Prawdopodobnie został zamordowany w miejscu, w którym go znaleźliśmy jakieś osiem do dwunastu dni temu.

– Powiedzmy dwa tygodnie temu – zaproponowała Backman. – Z logicznego punktu widzenia.

– Niech będzie – powiedział Barbarotti.

– Tamten niedzielny wieczór – ciągnęła Backman. – Całkiem prawdopodobne, że właśnie wtedy coś się stało. Pytanie co? I kim on jest?

– Dobrze pytania – zauważył Barbarotti. – Mamy coś jeszcze?

– Czerwony skuter marki Puch – odparła Backman. – Numer rejestracyjny SSC 161. Znaleziony sto metrów od domu, przy drodze. Nie wiemy jeszcze, do kogo należy, ale jeśli dopisze nam szczęście, to dzięki niemu dojdziemy do nazwiska ofiary.

– Tak myślisz? – zapytał Barbarotti.

– Smutas powinien niebawem dzwonić w tej sprawie – odparła Backman. – Miał do dyspozycji pół godziny.

– Zadzwoni – powiedział Barbarotti. – Co możemy powiedzieć o samym domu?

– Mieszkał tu Roos – odparła Eva Backman. – Chata była dla niego pewnego rodzaju schronieniem, przyjeżdżał tu zamiast jeździć do pracy. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Coś jeszcze?

– Poza tym wygląda na to, że mieszkała tu także kobieta. Albo raczej dziewczyna? Figi i topy w torbie z praniem wskazują na młody wiek.

– Dwudziestolatkę, mniej więcej?

– Jakoś tak – powiedziała Backman i palcem wskazującym dotknęła skroni.

– A więc?

– A więc możemy wyjść z założenia, że świadek Wisman widziała zupełnie dobrze tamtego piątku w restauracji Ljungmans. Prawda?

– Dokładnie – przyznał Barbarotti. – Ale kim ona, u diabła, jest?

– I gdzie się podzieli? – dodała Backman.

Barbarotti myślał przez chwilę.

– Co przemawia za tym, że nie leżą gdzieś w lesie, każde z nożem w brzuchu, oni także? – zaproponował. – Nic, o ile widzę.

– Daj spokój – powiedziała Eva Backman. – Jeden trup wystarczy.

– Okej – rzucił Barbarotti. – Gdzie w takim razie są?

– W dwa tygodnie można przejechać spory kawałek – stwierdziła.

– Na księżyc, tam i z powrotem.

Backman siedziała przez chwilę w milczeniu, przygryzając dolną wargę.

– Dużo znaków zapytania – powiedziała w końcu.

– Dużo – zgodził się z westchnieniem Barbarotti. – A poza tym chyba nalala mi się do gipsu woda. Czuję, jakbym miał tam bezę, pieprzony deszcz.

Backman spojrzała przez ramię i zobaczyła go, półleżącego na tylnym siedzeniu.

– Mam cię od razu zawieźć do szpitala? – zapytała.

– Tak, poproszę – odparł Gunnar Barbarotti. – Obiecałem, że będę tam o drugiej, a jest wpół do.

Backman skinęła głową.

– Potem musimy usiąść i to wszystko usystematyzować. Sylvenius nadzoruje postępowanie przygotowawcze i decyzja będzie leżała na moim biurku. Przyjedziesz na komisariat, kiedy będziesz gotowy?

– Jasne – powiedział Barbarotti. – Zjem tylko trochę gipsu, uporam się z tym w mgnieniu oka. Chociaż...

– Tak?

– Mam jeszcze randkę z Asunanderem w sprawie graffiti, liczę na to, że zgodzi się ją przesunąć.

– Morderstwo jest ważniejsze od graffiti.

– Też tak sędzę – zgodził się Barbarotti. – Ale nie jestem pewien.

W rzeczywistości był zmuszony spędzić w szpitalu większą część popołudnia – z wieloma rozwleczonymi okresami oczekiwania – i miał dużo czasu, żeby zastanowić się nad porannym odkryciem w Logranie.

Tak się nazywa dom – wyjaśnił Espen Lund, kiedy jeszcze mógł mówić. Lograna. Było trochę niejasne, czy nazwa dotyczy miejsca, czy tylko samego domu. W każdym razie poprzednia właścicielka nazywała się Anita Lindblom, dokładnie tak, jak ta piosenkarka od *Takie jest życie*, a cena opiewała na trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy szwedzkich koron.

Chwilę przed tym, jak dotarli na miejsce, Barbarotti jeszcze raz zapytał, czy Roos nie wspominał o jakiejś kobiecie, a Lund ponownie zaprzeczył.

– Nie miał pan podejrzeń, że może tak właśnie jest? – próbowała Backman.

Bynajmniej. Agent Lund był niewzruszony. W gruncie rzeczy nie znał aktualnie Valdemara Roosa zbyt dobrze, ale fakt, by na stare lata miał się zacząć uganiać za kobietami, wydawał mu się równie niedorzeczny jak... cóż, nie wiedział dokładnie jak co.

Już to wcześniej słyszeliśmy, pomyślał Barbarotti, dbając o to, żeby wysoko trzymać swoją bezową nogę. Mówił to każdy, kto wypowiadał się na temat Ante Valdemara Roosa. Wszyscy kończyli wypowiedź puentą, że wydaje im się nieprawdopodobne, by miał kochankę.

A mimo to najprawdopodobniej tak właśnie było. W jego tajemniczej chacie mieszkała dziewczyna. Wszystko na to wskazywało. Nie tylko torba z praniem, były też inne rzeczy. Kilka długich, ciemnobrązowych włosów na łóżku, na przykład, podpaski w worku na śmieci w przybudówce.

Czy można było w to wątpić?

Czy mimo wszystko mogło jej nie być?

Możliwe, pomyślał Barbarotti. Istniał cień wątpliwości, jak to się mówiło, choć trudno mu było w to uwierzyć. Świadek z Ljungmans, poszlaki z Lograny, zachowanie Valdemara Roosa w ostatnim czasie, zgodnie z tym, co mówiła jego żona i inni świadkowie... Nie... – zdecydował Barbarotti – wszystko przemawia za tym, że w tę dziwną historię jest wieszana jakaś młoda kobieta.

Kim jest?

Skąd pochodzi i gdzie ją znalazł?

I kim jest ofiara? Mężczyzna z nożem w brzuchu, który się wykrwawił i został znaleziony za ziemianką dwa tygodnie później?

Nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości, żadnych znaków szczególnych, w każdym razie do tej pory żadnych nie zidentyfikowali. Dżinsy, sportowe buty, koszulka polo i jasna kurtka.

To wszystko. Wtórne uszkodzenia, których doznał za sprawą zwierząt, były odrażające. Wyjedzone oczy – przypomniał sobie, że jego była żona Helena miała w swojej portmonetce deklarację dawcy, w której zgadzała się na pobranie swoich organów w razie nagłej śmierci, z zastrzeżeniem, że nie wolno ruszyć oczu.

Przyjechał do Lograny na tamtym skuterze? Dostali informację na temat zarejestrowanego właściciela – Backman poinformowała go o tym przez telefon. Ale wyglądało na to, że to ślepa uliczka; pojazd należał do niejakiego Johanna Augustssona z Lindeberga, ale zgłoszono jego kradzież na początku czerwca. Johannes Augustsson miał osiemnaście lat, Smutas rozmawiał z nim przez telefon i nie było powodu, żeby nie wierzyć w jego zeznania. Skuter zniknął z parkingu przy parku wodnym w Gustavsvik, na obrzeżach Örebro, i nigdy już go nie zobaczył.

Sama chata była oczywiście przeszukana. Albo przeszukiwana. Szukano odcisków palców i innych rzeczy, kilka torebek o różnej zawartości miało zostać wysłanych do analizy do laboratorium kryminalistycznego w Linköping. Tak to wyglądało. Jeśli chodziło o pewne kwestie, należało tylko przestrzegać procedur.

Inspektor Barbarotti nie był jednak zbyt zadowolony i zastanawiał się, czemu. Może po prostu dlatego, że bolała go stopa, a Marianne wyglądała na smutną, kiedy wyjeżdżał z domu.

Tylko?

Wybrał jej numer, ale nie odpowiadała.

No tak, pomyślał. Dziś wieczorem powiem jej, że ją Kocham i że raczej umrę, niż miałbym bez niej żyć, a jeśli chodzi o zagadkę Valdemara Roosa, to zrobili już przecież małe postępy. Prawda?

Znaleźli chatę i ciało. Mogło być gorzej.

Barbarotti spojrział na zegarek. Kwadrans po trzeciej. Doktor Parvus miał pół godziny spóźnienia. Przez te czterdzieści pięć minut, kiedy sam siedział w poczekalni, spożyła ją szarozielona poświata. Znalazł jakiś wymiętoszony numer „Svensk Damtidning”* z 2003 roku z promiennie uśmiechniętą księżniczką w ludowym stroju na okładce.

* Pismo z plotkami na temat szwedzkiej rodziny królewskiej i innych celebrytów (przyp. tłum.).

Fascynujące, pomyślał inspektor Barbarotti i zaczął kartkować gazetę.

Zdążyło się zrobić wpół do szóstej, zanim wrócił na komisarjat. Od razu poszedł do Backman, żeby dowiedzieć się, co nowego w sprawie. W drzwiach zderzył się ze Smutasem, który właśnie wychodził.

– Osobliwa historia – oznajmił. – Dużo niewiadomych.

– Dwie – wyjaśnił Barbarotti. – Jeśli dobrze liczę. Valdemar Roos jest przecież znany.

– Ale zaginiony – powiedział Smutas. – No dobra, idę do domu. Będziemy kontynuować jutro.

– Co z nim? – zapytał Barbarotti. – Przecież nigdy się nie spieszy do domu.

– Jego żona jest w zaawansowanej ciąży – wyjaśniła Backman. – Zapomniałeś? Ładny gips.

Miała przygnębiony głos.

– O czym myślisz? – zapytał Barbarotti.

Eva Backman westchnęła i opadła za biurkiem.

– O wszystkim – powiedziała. – O tamtym chłopcu, na przykład. Ciągle mam go przed oczami. Nie powinno się tak umierać. Pomyśl, a jeśli nigdy nie dowiemy się, kim był?

– Jasne, że się dowiemy – oznajmił Barbarotti, oparł kule o kaloryfer i usiadł na żółtym plastikowym krześle. – Opowiadaj, co nowego w sprawie, jestem kilka godzin w tyle.

Backman przyglądała mu się przez chwilę ze smutnym wyrazem twarzy.

– Wiesz co – odparła – poza tym, że wysłaliśmy masę zapytań tu i tam i kilka notatek prasowych, kompletnie nic interesującego się nie wydarzyło. Z wyjątkiem tego, że Alice Ekman-Roos obejrzała ciało.

– Rozpoznała go? – zapytał Barbarotti.

– Nie – odpowiedziała Backman. – Ale go obrzygała.

Ma rację, pomyślał Barbarotti. Beznadziejny dzień.

Evę Backman obudziły drgawki.

Spojrzała na zegarek. Czerwone cyfry właśnie przeskończyły na 5:14.

Boże drogi, pomyślała. Dlaczego budzę się kwadrans po piątej?

Ville spał odwrócony i ciężko oddychał. W sypialni było kompletnie ciemno, a na zewnątrz, w ogrodzie, deszcz uderzał o liście. Przekręciła poduszkę i zdecydowała, że spróbuje zasnąć. Było półtorej godziny do czasu, kiedy naprawdę musiała wstać, więc jaki był sens tak tutaj leżeć i...?

Ale zanim cyfry zdążyły zmienić się na 5:15, zrozumiała.

Przypomniała sobie fragment snu, który nie pozwolił jej ponownie zasnąć. To było coś ważnego. Miało... miało coś wspólnego z Valdemarem Roosem i z jej... ojcem.

Rozmowa.

Tamta rozmowa telefoniczna z ojcem... Kiedy to było? Dwa tygodnie temu?

Tak, chyba tak. Nie rozmawiała z nim od tamtej pory, z bratem ani szwagierką też nie. Oczywiście myślała o nich wczoraj w Logranie. Już w samochodzie uzmysłowiła sobie, że chata Valdemara musi znajdować się gdzieś w pobliżu Rödmosse, ale nie wspomniała o tym Barbarottiemu. Że jej własny ojciec, brat i jego rodzina mieszkają tylko jakiś kilometr od tego miejsca, gdzie znaleźli zasztyletowanego mężczyznę. To po prostu nie miało... żadnego związku.

To była jej prywatna sprawa.

Aż do teraz, ściślej mówiąc. Odchyliła kołdrę i poszła do łazienki. Zapaliła światło, zdjęła nocną koszulę i weszła pod prysznic.

O czym, do licha, mówił tata? Jak się zaczęła tamta rozmowa?

Twierdził, że był świadkiem morderstwa, czyż nie tak? Poszedł na spacer i zobaczył, jak ktoś kogoś zabija. Tak chyba powiedział? I krew, mówił o kolorze krwi – to pamiętała.

Potem rozmowa potoczyła się w całkiem innym kierunku, jak zwykle, kiedy Sture Backman zaczynał opowiadać. Słuchała tylko jednym uchem, ale zaczął chyba od morderstwa?

Od tego, że widział coś okropnego i dlatego zadzwonił do córki.

Ponieważ jest policjantką.

Jasne. Tak właśnie było.

A dwa tygodnie po tamtej rozmowie kilometr od jego domu znaleźli trupa.

Dlaczego nie wpadłam na to wczoraj? – pomyślała Eva Backman, na chwilę zmieniając ciepłą wodę na zimną. Dlaczego coś takiego pojawiło się we śnie pół doby później? – zastanawiała się poirytowana. Zdecydowanie tracę ostrość widzenia.

A może po to są sny?

Wyszła z łazienki, poszła do kuchni i zaparzyła kawę.

Biedaku – mówiła do siebie po cichu. – Musiałeś się tak strasznie bać, tak strasznie bać.

Bo było jak było. Sture Backman często był niespokojny, kiedy nie potrafił już zrozumieć otaczającej go rzeczywistości. Kiedy ciemna chmura wciskała się w niego i kładła się cieniem na jego umyśle. Kiedy docierało do niego, że traci kontrolę nad wszystkim, co – bez najmniejszego wysiłku – przez całe życie kontrolował.

– To jest jak zaćmienie słońca – mawiał. – Eva, to jest jak zaćmienie słońca.

Co powinna zrobić?

Przesłuchać go? Zapytać, co naprawdę widział tamtego dnia?

Czy to ma jakiś sens? Istnieje duże ryzyko, że wszystko zapomni. Przepuszczalnie tylko go zdenerwuje. Nie będzie wiedział, czego od niego chce, może zacznie płakać... To jest... hmm... niestosowne; w jakiś niejasny sposób, nie do końca wiedziała, dlaczego.

Ale z drugiej strony: jeśli naprawdę widział coś istotnego? Jeśli mimo wszystko udałoby się wyłowić coś z jego szwankującej pamięci?

Oprowadzić go po miejscu zbrodni?

Eva Backman wypła pierwszy tego dnia łyk kawy i nagle poczuła mdłości.

34

Z Grærup wyjechali we wtorek trzydziestego września w porze lunchu. Spała aż do dziesiątej; obudził ją ból głowy.

Wzięła treo i przespała kolejne pół godziny. Miała dziwny sen o martwych rybach, które przydryfowały na małą, porośniętą palmami wyspę, gdzie była zupełnie sama, opuszczona. Odkąd wyruszyli w drogę, sny stawały się coraz dziwniejsze, a jednocześnie wyraźniejsze. I w pewien sposób bardziej rzeczywiste od rzeczywistości.

Valdemar kupił kawę i świeże ciastka francuskie, ale trudno jej było cokolwiek przełknąć. Jak zwykle wypalili na zewnątrz, na balkonie, fajkę pokoju, ale ona też jej nie smakowała. Postanowiła go poprosić, żeby kupił papierosy. Nie w tej chwili, później, w ciągu dnia. Dobrze wiedziała, że siedzenie i palenie z nią fajki było dla niego czymś wyjątkowym, to jednak nie miało znaczenia. Była tym zmęczona.

Zmęczona w ogóle. Znowu spała ciągiem dwanaście godzin. Nigdy wcześniej jej się to nie przydarzyło; siedem, osiem godzin to była normalna dawka, może czasami dzień, jeśli miała taką potrzebę. Ale dwanaście? A nawet trzysta? Nigdy.

Wiem, że coś jest nie tak, pomyślała. Coś się stało z moją głową, tam, w Logranie. Nie wiem co, ale coś musiało nawalić.

Walczyła ze wspomnieniami. Zarówno na jawie, jak i we śnie.

Ale to, co od tamtego dnia nachodziło ją w snach, nie było zbyt wyraźne. Nigdy nie udało jej się wydobyć tego na powierzchnię; z wyjątkiem tych nielicznych momentów, kiedy siedziała na miejscu pasażera obok Valdemara albo leżała z tyłu... wtedy nagle pojawiał się obraz albo krótka sekwencja filmowa; przez sekundę albo kilka sekund wirowała na wskroś jej świadomości i znikwała.

Twarz Steffa. Jego blisko osadzone, chore oczy. Ramię, które się podnosi, w dłoni trzyma coś podłużnego, nie zdążyła zobaczyć, co to takiego. Jej własna dłoń obejmująca rękojeść noża...

Nic jednak nie zostaje. Nie udaje jej się tych obrazów zatrzymać, tak jakby ból głowy je przepędzał, wypierał, kiedy się tylko pojawią.

A może nie chcę, żeby były wyraźne?

Może nie chcę wiedzieć, co się wydarzyło?

Co by ta wiedza dała?

Od czasu do czasu chwile przejrzystości. Inny rodzaj prawdy.

Pytania uzasadnione nagłą jasnością i klarownością umysłu.

Co się dzieje? Co ja robię?

Siedzę w samochodzie z prawie sześćdziesięcioletnim mężczyzną, którego znam krócej niż miesiąc.

Jedziemy na południe, mieszkamy w różnych pensjonatach i hotelach. Zamordowaliśmy człowieka. Uciekamy.

Ja zamordowałam człowieka.

Uciekłam z ośrodka w Elvafors, a teraz uciekam całkiem przed czym innym. Razem z tym mężczyzną, który ma tyle lat, że mógłby być moim ojcem. Prawie dziadkiem. Nie mamy celu.

Dokąd zmierzasz, Anno Gambowska? *Young girl, dumb girl.*

Czy naprawdę sądzisz, że to się dobrze skończy?

Są krótkie, te chwile jasności umysłu. Przyprószają dni i noce rządzące się innymi prawami. Przypominający sen, trochę nierzeczywisty stan; przeszłość i przyszłość ustępują pola terażniejszości, liczy się tylko to, co tu i teraz. Pokój, w którym się znajdują, odgłosy samochodu, krowy pasące się na skąpanym w słońcu polu i tęsknota za filiżanką kawy na następnym postoju. Jakby była w szklanej bańce, tak, właśnie tak. Z oszronionego, nie całkiem przezroczystego szkła, przez które nie do końca widać to, co się dzieje na zewnątrz. I nie chce się widzieć.

I tam są dobre chwile, dużo dobrych chwil.

Kiedy on opowiada historie ze swego dzieciństwa i młodości. Mówi o tym niechętnie; musi to z niego wyciągać. Taki właśnie jest, skwaszony malkontent, którego trzeba trochę polaskotać po brzuchu, żeby zaczął nadawać na odpowiednich falach.

– Zrozum, Anno – mówi. – Całe życie byłem mrukiem, aż w końcu spotkałem taką czarodziejkę jak ty. Wybacz, jeśli jestem trochę niemrawy. Niemrawy jak łoś. Łoś z Gråmyren. – mówi. – Nigdy nie będzie lepiej.

– Hemming – przypomina mu, bo nie rozumie tego wywodu z łośiem. – Twój kuzyn Hemming, który zmarł w wojску. Jak to właściwie było, kiedy zaatakowaliście ogród warzywny Pålmana?

Wzdycha, szuka w pamięci, próbuje znaleźć odpowiednie słowa i zaczyna.

– Garbus profesora Mutti? – prosi chwilę później.

– Czy już ci nie wyjaśniałem, że nie byłem w to zamieszany? – protestuje.

– Pod koniec chyba zasnęłam – apeluje ona.

– Hmm... Tak. To okropna historia – przyznaje. – Gdyby ich nakryto, na pewno zostaliby wydaleny ze szkoły, wszyscy trzej.

Dobre chwile. Valdemar Roos nie opowiada niesamowitych historii – czasami są po prostu trywialne i przeprasza za to – ale pochodzą z zapomnianego i prawie utraconego świata.

Może jego ojciec, na przykład, w swoim samobójczym niebie ma się lepiej, leżąc spokojnie na chmurce i obserwując wieczność z wybranej przez siebie lub wyznaczonej przez wysokiego rangą i rozumnego decydenta perspektywy. Takiego właśnie sformułowania użył... „wyznaczonej przez wysokiego rangą i rozumnego decydenta”. Czasami bawi ją jego zawily i toporny język.

Valdemar katuje się swoim ojcem. Wraca do niego z uporem, który Anna nie zawsze potrafi zrozumieć.

– Uwierzysz, moja droga – mówi – że ciągle widzę przed sobą jego oczy. Były niebieskie, takie niebieskie; matka mawiała, że te oczy były ich nieszczęściem, zarówno jego, jak i jej. No i moim. Powinny znajdować się w czaszce kogoś innego i bez nich nigdy nie przyszedłbym na świat. Tak mówiła i nie miałem pojęcia, co to właściwie znaczy, przecież byłem tylko małym chłopcem. Ale zapamiętałem te słowa i wkrótce, kiedy byłem starszy, nabrały pewnego znaczenia... Dość, rozgadałem się, teraz twoja kolej, twoja babcia w Polsce, chętnie dowiem się o niej czegoś więcej.

I opowiada, ona także. O babci i pierogach, barszczu czerwonym, węglowym smogu w Warszawie, kaczkach w jej ogrodzie; nie wie, czy jeszcze żyje, bo nie mają już komórki. Popsuła się, kiedy Valdemar wrzucił ją do schowka w desce rozdzielczej tamtej niedzieli, zresztą może i lepiej. Może lepiej, że jej nie mają.

Nie można ich w ten sposób namierzyć.

Rozmawia też z Valdemarem o swojej matce, o jej sentymentalizmie, depresjach, huśtawce nastrojów i chimeryczności. Kocha matkę, ale nie zawsze było lekko. Opowiada o Marku, młodszym bracie, a na koniec także o sobie; jak doszło do tego, że uciekła z domu i z tamtej szkoły w Örebro,

zaczęła wagarować, palić hasz i pić piwo – *mall-rat*, imigrant drugiej generacji na ziemi niczyjej, który...

– *Mall-rat**? – pyta Valdemar. – Co to, u diabła, jest?

Śmieje się z niego.

– Fakt, czegoś takiego za twoich czasów nie było.

Dobre chwile.

Ale coś się wydarzyło. Dobre chwile otoczone są innymi chwilami. Są jak zielone wyspy na bagnie. Coś jest nie tak z jej głową. Cały czas bierze tabletki przeciwbólowe i prze-sypia połowę doby.

I ręka, właściwie całe prawie ramię, nie jest takie, jak powinno. Wydaje się ciężkie i w jakiś dziwny sposób głuche. Kiedy zaciska pięść i zamyka oczy, po chwili nie jest w stanie ocenić, czy dłoń ciągle jest zaciśnięta.

Ale to przejdzie. Szpital nie wchodzi w grę – co do tego są zgodni, ona i Valdemar. Przecież zostawili w Logranie trupa i uciekają.

Prawie w ogóle na ten temat nie rozmawiają.

Valdemar opowiedział pierwszego dnia w Halmstad, jak ją znalazł w trawie, ocucił i wniósł do domu. Jak wyciągnął nóż z brzucha Steffa i zakopał w lesie. Tamtą żelazną rurkę też.

Później nie wracali do tego. Nie pamięta, co się stało; ostatnie, co sobie przypomina, to, jak potyka się o tamten korzeń i upada w trawę. Tak, pyta ją czasami, czy coś jej się przypomniało, a ona mówi, że nie. To mu wystarcza.

Nie ma co bez potrzeby drażnić tematu.

Wieczorem są już w Niemczech. Przekroczyli granicę, kiedy spała, zostawili za sobą kraj i martwe ciało w Logranie.

* Szczur z centrum handlowego, człowiek spędzający bardzo dużo czasu w centrach handlowych, ale niewydający pieniędzy lub wydający ich niewiele (przyp. tłum.).

Valdemar wjeżdża do miasta o nazwie Neumünster. Zatrzymują się w hotelu w samym centrum. Przez okno widać wybrukowany rynek; ładne elewacje kamienic, ratusz, kościół. Zegar wybija każdy kwadrans, bardzo jej się to podoba. Valdemar wychodzi, żeby kupić wszystkiego po trochu.

Wszystkiego po trochu – tak mówi prawie za każdym razem.

Tak, zostawili za sobą kraj, Steffa i Logranę; nie bardzo wie, jakim cudem zdobył szwedzką gazetę. Może kupił ją na dworcu kolejowym; przypomina sobie, że na dworcach kolejowych zazwyczaj mają obcojęzyczne gazety.

W każdym razie błędnie na jej widok.

– Patrz – mówi. – Znaleźli go.

Teraz szukają nas.

Nie do końca jest obudzona i ćmi ją głowa, ale mimo to dociera do niej, że on też jest trochę rozgorączkowany. Teraz szukają nas.

– Przeczytać ci na głos? – zapytał.

Nie, myśli. Nie, nie chcę wiedzieć.

Tak, proszę, mówi. Przeczytaj, jeśli możesz.

35

– Nie możemy pozwolić, żeby inspektorzy z nogą w gipsie zajmowali się śledztwem w sprawie zabójstwa – oznajmił Asunander. – Barbarotti, dalej pracujesz nad grafficiarzem.

– Oczywiście – odrzekł Barbarotti.

– Mogę potrzebować jego pomocy – stwierdziła Eva Backman. – To skomplikowana historia.

– Za bardzo go nie wykorzystuj – powiedział Asunander.

– Masz do dyspozycji inspektora Borgsena. I Toivonena. Plus cały zastęp aspirantów i współpracowników. Jasne?

– Jasne – zapewniła Eva Backman. – Żona Geralda może urodzić w każdej chwili, ale rozumiem.

– Geralda?

– Inspektora Borgsena.

– No, ale on przecież nie jest w ciąży?

– Zgadza się – przyznała Backman i zamknęła swój notatnik. – Jego żona. Coś jeszcze?

– Na razie nie – wyjaśnił komisarz Asunander. – Ale będzie fatalnie, jeśli w tej sprawie nie pomogą nam trochę czytelnicy gazet.

– Bądźmy optymistami – powiedział Barbarotti.

Przypuszczenia Asunandera okazały się średnio trafione. Eva Backman robiąc zebranie o godzinie trzeciej we wtorkowe popołudnie – uczestnicy: ona sama, inspektor Smutas (który jeszcze nie dotarł), inspektor Toivonen, aspiranci Tillgren i Wennergren-Olofsson, inspektor Barbarotti (któremu chwilowo udało się wyzwolić od śledztwa w sprawie graffiti) – zaczęła właśnie od podsumowania informacji, jakie napłynęły dzięki opublikowaniu listu gończego w kilku liczących się dziennikach oraz w radiu i telewizji.

Było jasne, że Valdemar Roos naprawdę był w towarzystwie młodej kobiety i że prawdopodobnie wyjechali z Lograny czternastego września wieczorem albo rano dnia następnego.

Oboje zameldowali się w hotelu Amadeus w Halmstad w poniedziałek piętnastego o drugiej. Jako Evert i Amelia Eriksson. Ojciec i córka, jak wyjaśnił recepcjonista, nieudolnie próbując ukryć zaaferowanie – miał przed sobą rozłożoną gazetę z fotografią Valdemara Roosa i nie było wątpliwości, że to on. Żadnych wątpliwości; recepcjonista nazywał się Lundgren i miał pamięć do twarzy.

W Halmstad zatrzymali się trzy dni, wypłacili pół miliona koron z konta, które Valdemar Roos założył sześć tygodni wcześniej, o czym jego żona Alice Ekman-Roos nie

miała bladego pojęcia. Mimo dużej wypłaty na koncie było jeszcze sześćset tysięcy, a to, skąd Valdemar wziął te pieniądze, było dla niej równie niepojęte, o czym poinformowała płaczącym głosem.

Gdzie Valdemar i jego towarzyszka spędzili noc z osiemnastego na dziewiętnastego września nie wiadomo, ale dziewiętnastego zameldowali się w hotelu Baltzar w Malmö i zostali tam na trzy noce. Potem ślad się urywał.

– Dania – powiedziała Eva Backman. – Śmiało można przypuszczać, że przeprawili się przez cieśninę.

Smutas kartkował swój kalendarz.

– W poprzedni poniedziałek – stwierdził. – Teraz mogą już być w Maladze.

Eva Backman skinęła głową.

– Czasami chciałoby się, żeby w Europie były jeszcze gdzieś kontrole paszportowe. Ale jest jak jest.

– Nie można ich namierzyć za pomocą komórki? – zapytał aspirant Wennergren-Olofsson.

– Niestety, nie – poinformowała Eva Backman. – Ostatnio Roos użył swojej komórki, rozmawiając z żoną tamtej niedzieli.

– Sprytnie – przyznał Wennergren-Olofsson. – Nie używają ani komórki, ani karty. Nie można ich w ten sposób zlokalizować. Ile wypłacił, pół miliona?

– Zgadza się – odparła Backman.

– Ciekawe, jakie to uczucie? – powiedział Wennergren-Olofsson. – Mieć przy sobie tyle gotówki?

– Idźmy dalej – rzucił trochę zniecierpliwiony Barbarotti. – Co wiemy o dziewczynie i o ofercie?

– Niezbyt dużo – przyznała Eva Backman. – Oczywiście szukamy obojga wśród zaginionych, ale na razie bezskutecznie. Nie mamy też dobrych rysopisów. O wyglądzie dziewczyny nie wiemy prawie nic. Świadek Karin Wissman, która widziała ją w Ljungmans, nie pamięta jej zbyt dobrze. Szczupła, niezbyt wysoka, ciemnobrązowe

włosy, dwudziestolatka... mniej więcej tyle. Ale facet z hotelu w Halmstad ma tu być jutro; spróbujemy sporządzić rysopis.

– Ofiara? – spytał Barbarotti.

– Jeśli chodzi o ofiarę, to oczywiście mamy całe mnóstwo danych: wzrost, wagę, grupę krwi, stan uzębienia... ale stan jego twarzy nie pozwolił na rozesłanie zdjęcia do gazet.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał Wennergren-Olofsson.

– Wygłodniałe zwierzęta – wyjaśniła Backman.

– O kurwa! – rzucił Wennergren-Olofsson.

Barbarotti z irytacją szurał po podłodze złamanym kulasem.

– Örebro? – zapytał. – Skuter skradziono w Örebro, tak? To chyba jednak jakaś wskazówka?

– Jak najbardziej – przyznała Backman. – Możliwe, że ofiara ma jakieś powiązania z Örebro, dziewczyna być może też. Jest przecież prawdopodobne, że coś ich łączy, ale pamiętajmy, że to jedynie spekulacje. Nie wiemy, co stoi za tym morderstwem, możemy jedynie pracować dalej i mieć nadzieję, że sprawa zacznie się wyjaśniać. Ustalenie tożsamości ofiary jest naturalnie sprawą priorytetową.

– I tożsamości dziewczyny – powiedział Smutas.

– To też – westchnęła Backman.

Inspektor Toivonen, który nie wypowiadał się zbyt chętnie w innych kwestiach niż łowienie ryb na muchy albo grecko-rumuńskie zapasy, odchrząknął i poprawił okulary.

– Słyszałem – powiedział – słyszałem, że ofiara miała ślady igły. Potwierdzono, że był narkomanem?

– Słusznie – przyznała Eva Backman. – W jego krwi coś tam wykryto... śladowe ilości... Tak, brał narkotyki, zapomniałam o tym wspomnieć.

– Czy w tamtej chacie znaleziono inne ślady narkotyków? – zapytał Toivonen.

Eva Backman pokręciła głową.

– Nie, żadnych. – Przerwała i przez chwilę kartkowała notatki. – Oczywiście poszukujemy też samochodu. Można przypuszczać, że ciągle przemieszczają się jego volvo. Ale ponieważ, ogólnie rzecz biorąc, mogą znajdować się gdziekolwiek w Europie, trudno się spodziewać, że znajdziemy ich w ten sposób.

– Zanim pojechali do Danii, przez cały tydzień byli w Szwecji – zauważył Smutas. – Trochę ryzykowne, nie uważacie? Chyba nie liczyli na to, że tyle potrwa znalezienie ciała.

– Hmm... – powiedziała Backman. – Możemy chyba przyjąć, że nie mamy do czynienia z profesjonalistami. Za dużo przypadkowości i irracjonalnych sytuacji w całej tej historii... a może tylko ja mam takie wrażenie? To jak, możemy na tym skończyć, czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać?

Aspirant Tillgren, który był na komisariacie najkrócej, odważył się na podsumowanie.

– Trudny przypadek, prawda?

Tak, pomyślał Barbarotti po powrocie do swojego pokoju i położeniu nogi na stole. Ma rację, ten młody Tillgren.

Trudny przypadek.

Pięćdziesięciodziewięcioletni nudziarz zrywa ze swoim starym życiem.

Znika z młodą, nieznaną kobietą.

Pozostawia po sobie młodego, nieznanego, zasztyletowanego mężczyznę.

To jest jak haiku. Przez kilka minut naprawdę siedział i próbował zapisać to wszystko w formie wiersza haiku – siedem sylab, pięć sylab, siedem sylab, jeśli dobrze pamiętał – ale kiedy dotarło do niego, czym się zajmuje, zgniótł papier i wyrzucił go do kosza.

Tylko cierpliwość może nas uratować. Z czasem zaczną napływać informacje. Pojawią się świadkowie. Rozmowy z nimi naświetlą sprawę. Wszystko zacznie się wyjaśniać.

Tak to się zwykle odbywa, a cały ten proces jest niczym w porównaniu z prawdą, jaka może wyjść na jaw.

W oczekiwaniu na rozwój wydarzeń trzeba się czymś zająć.

Na przykład graffitiarzem.

Problem – pałacy problem – polegał na tym, że jego noga leżała na segregatorze, którego potrzebował.

Szkoda, pomyślał Barbarotti, zamknął oczy i odchylił się na krześle. Cholerna szkoda, ale drzemka oczywiście też wchodzi w grę.

W oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

Inspektor Backman właśnie zdecydowała, że pójdzie do domu, kiedy centrala połączyła rozmowę.

– Policja? Policja w Kymlinge?

Eva Backman potwierdziła.

– Czy to pani zajmuje się tym morderstwem niedaleko Vreten?

To również potwierdziła. Przedstawiła się i usłyszała, że kobieta po drugiej stronie słuchawki nazywa się Sonja Svensson.

– Przepraszam, właśnie jestem na przejażdżce rowerowej, ale chyba wiem coś, co mogłoby was zainteresować.

– Naprawdę?

– Jestem dyrektorką ośrodka w Elvafors, wie pani, gdzie to jest?

– Elvafors? – zapytała Eva Backman. – Tak, tak sędzę. Niedaleko Dalby, tak?

– Zgadza się – potwierdziła Sonja Svensson. – Prowadzimy go od roku 1998, mój mąż i ja. Można powiedzieć, że zajmujemy się młodymi dziewczętami, które trochę pobłądziły, młodymi narkomankami. Dajemy im szansę na powrót do normalnego życia.

– Rozumiem – odrzekła Eva Backman. – Tak, chyba nawet widziałam wasz ośrodek. Przejeżdżałam kiedyś tamtędy.

– Sześćdziesiąt pięć kilometrów od Kymlinge – oznajmiła Sonja Svensson. – Chociaż oczywiście nie jeździ się tam przez Vreten.

– Dokładnie – przytaknęła Backman. – O czym chciała nas pani poinformować?

Sonja Svensson odchrząknęła przesadnie.

– Sprawa wygląda tak – zaczęła wyjaśniać. – Trafiają tu oczywiście różne dziewczęta. Z większością sobie radzimy. Nie biorą narkotyków, zajmujemy się ich problemami, sprawiamy, że zaczynają wierzyć w siebie... cóż, przygotowujemy je do ponownego startu w życiu, po prostu. Prawie ze wszystkimi nam się udaje; jesteśmy surowi, ale sprawiedliwi. Trzeba wymagać, inaczej niczego się z nimi nie osiągnie. Z czasem uczą się to doceniać, nie cackamy się z nimi, nie...

– Tak, rozumiem – powtórzyła Eva Backman. – Jeśli mogłybyśmy...?

– Mówię to tylko po to, żeby naświetlić pani trochę sprawę – kontynuowała Sonja Svensson. – Żeby dać pani wgląd w naszą filozofię, krótko mówiąc. Program dwunastu kroków jest oczywiście ważnym elementem i, jak już mówiłam, większość naszych dziewcząt sobie radzi. Ale niektóre wybierają niestety własną drogę. Uważają, że same wiedzą lepiej i może się zdarzyć, że mają zły wpływ na pozostałe dziewczęta. Nie zdarza się to często, ale jednak się zdarza.

– Naturalnie – zgodziła się Eva Backman. – To jest dla mnie jasne, ale...

– Dobrze – powiedziała Sonja Svensson. – Nie będę niepotrzebnie komplikować sprawy. Przejdę do sedna. Ponad miesiąc temu z ośrodka uciekła jedna z dziewcząt. Ścisłej mówiąc, jedna z tych problematycznych dziewcząt. Nikt nie trzyma ich siłą. Wszystkie są tutaj z własnej woli, podpisują umowę, w której zobowiązują się zostać w ośrodku i przestrzegać naszych zasad. Jeśli nie chcą zostać, to w gruncie rzeczy są wolne i mogą w każdej chwili przerwać terapię. Użyłam słowa „uciekła”, ale oczywiście nie jest ono w tym

kontekście najlepsze. W każdym razie wpadłam na to, że ta dziewczyna, której poszukujecie... no cóż, ubzdurałam sobie, że to może być ona, po prostu.

Eva Backman wahała się przez sekundę.

– Co każe pani myśleć, że to mogłaby być ona? – zapytała.

– Niezbyt wiele – przyznała Sonja Svensson. – Czas się mniej więcej zgadza... i położenie geograficzne. Mogła iść wzdłuż Dalbyvägen. Poza tym od tamtego czasu jej nie widziano.

– Nie widziano? – zapytała Backman. – Kiedy zgłosiliście jej zniknięcie?

– Dopiero co – odparła Sonja Svensson.

– Dopiero co? – spytała Backman. – Co pani przez to rozumie?

– Przed paroma dniami – odparła Sonja Svensson.

– Ale zniknęła miesiąc temu, tak?

– Tak.

– Dlaczego tak długo pani z tym zwlekała?

Sonja Svensson znowu odchrząknęła.

– Chcę dziewczętom dać szansę – wyjaśniła. – Zdarza się, że uciekają i po kilku dniach wracają. Żałują. Jeśli od razu powiadomimy pomoc społeczną, niweczą swoje szanse.

– Ach tak – powiedziała Eva Backman i pomyślała, że czegoś tu nie rozumie. Ale najprawdopodobniej nie był to odpowiedni moment na drążenie tematu. – Jak się nazywa ta dziewczyna?

– Anna Gambowska.

– Może pani przeliterować?

Sonja Svensson spełniła prośbę, a Backman zanotowała.

– Z pewnością ma pani wszystkie informacje na jej temat?

– Wszystkie możliwe – odparła Sonja Svensson.

– I mówi pani, że ona... ukrywa się, odkąd zniknęła.

– Z tego, co wiem, tak – przyznała Sonja Svensson. – Najczęściej ciągną oczywiście do jakiegoś większego miasta. Sztokholmu albo Göteborga. Tam są narkotyki i tam mogą się ukryć na jakiś czas. Ma się rozumieć, nie mogę niczego stwierdzić z całą pewnością... tak sobie tylko pomyślałam, kiedy czytałam o tym morderstwie.

– A jej rodzice? – zapytała Backman.

– Nie udało mi się z nimi skontaktować – odparła Sonja Svensson. – O ojcu nic nie wiem, matka nie odbiera telefonu.

– Komu to pani zgłosiła? Że uciekła?

– Pomocy społecznej w Örebro. To oni ją tutaj przysłali.

Örebro? – pomyślała Eva Backman i poczuła, jak coś w niej zaskoczyło. Zaczynamy iść w dobrym kierunku.

– Zdjęcie? – zapytała. – Ma pani jakieś dobre zdjęcie Anny Gambowskiej?

– Mam bardzo dobre zdjęcie – odparła Sonja Svensson.

– Może je pani przefaksować?

– Spróbuję, ale od kilku dni szwankuje nam faks. Jeśli się nie uda, mam inną propozycję.

– Słucham – powiedziała Backman.

– Jutro mam do załatwienia sprawę w Kymlinge. Mogę do pani wpaść i dostarczyć wszystkie informacje, jakich pani potrzebuje. Zdjęcie także.

Inspektor Backman myślała przez dwie sekundy.

– Wspaniale! – oznajmiła. – Jesteśmy umówione. O której może pani być?

– O dziesiątej? – zaproponowała Sonja Svensson. – Odpowiada pani?

Eva Backman zapewniła, że tak, podziękowała za rozmowę i odłożyła słuchawkę.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że o dziesiątej obiecał się również pojawić recepcjonista Lundgren z Halmstad.

Tym lepiej – pomyślała. – Jeśli jest ktoś, kto powinien zobaczyć to zdjęcie, to właśnie on. Posuwamy się do przodu

– podsumowała i wyłączyła lampkę na biurku. – Słowo daję, nagle coś się zaczęło dziać.

36

W czwartek drugiego października Ante Valdemar Roos obudził się o wpół do szóstej i nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Najpierw nie bardzo wiedział, co to za pokój. Był wysoki; między ciężkie, nie do końca zaciągnięte zasłony lampa uliczna albo inne źródło światła rzucało wiązkę żółtawych refleksów, która padała na lustro wiszące na przeciwległej ścianie i rozpraszała się nad łóżkiem i dużą szafą w trochę bledszy, ale ciągle żółty, przypominający pajęczynę wzór.

Hotel – zrozumiał po kilku sekundach. Mieszkamy w hotelu.

Mieszkamy? No tak, on i Anna, oczywiście.

Na kilka sekund Anna również zniknęła z jego świadomości, wcześniej coś takiego nigdy nie miało miejsca. Nie odkąd opuścili Logranę; to ona wypełniała jego myśli i była przedmiotem jego troski.

Anna, jego Anna.

Przekręcił głowę i popatrzył na nią. Leżała tylko pół metra od niego, w tym samym, dużym łóżku; odwrócona od niego i jak zwykle skulona; prawie nie było jej widać spod grubej, puchowej kołdry.

Mój mały pisklak, pomyślał i zaśmiał się. Bo przecież było dokładnie tak, jak powinno być. Pisklak śpiący w ptasim puchu. Nikt nie może być bardziej bezpieczny.

Gruba kołdra przypomniała mu, że są w Niemczech; kilka razy w życiu zdarzyło mu się nocować w niemieckim hotelu. Za żadne skarby nie mógł sobie jednak przypomnieć nazwy

tego miasta. Pamiętał, że przyjechali tu i zameldowali się wczoraj późnym wieczorem; jechali kilka godzin mniejszymi drogami, unikali autostrady. To była ich druga noc w Niemczech, na ostatniej stacji benzynowej też zapomniał kupić mapy i... szczerze mówiąc, nie był pewien, gdzie wczoraj wyładowali. Nie wiedział, więc nie mógł zapamiętać.

Ale jakie to ma znaczenie, pomyślał, czy są w tym, czy innym niemieckim mieście?

Leżeli w olbrzymim podwójnym łóżku, zakopani w puchowe pierzyny i poduchy, też olbrzymie, jakby wypchane bitą śmietaną albo pianką do golenia; były takie miękkie i przyjemne. Czy mogli chcieć więcej? Czy życie mogło być lepsze?

A mimo wszystko obudził się. Tak wyglądało kilka ostatnich poranków. Anna chętnie spała do dziewiątej albo dziesiątej, nawet jeśli się wcześniej położyła, ale on miał ze snem coraz większe problemy. Zmęczenie ciała i duszy na próżno wołało o kilka dodatkowych godzin, godzinę albo przynajmniej pół – nie pomagało. Wystrzeliwał na powierzchnię jak korek, a potem nie mógł ponownie zasnąć.

Za dwadzieścia szósta. Anna z pewnością będzie jeszcze spała jakieś trzy lub cztery godziny. Zauważył, że przy oknie stoi fotel i mała, podłogowa lampa. Jeśli odrobinę odsłoni zasłonę, nie będzie chyba musiał jej zapalać. Zadowolony się brudnożółtym światłem latarni ulicznej, poza tym świat nie mógł być daleko.

Usiadł w fotelu. Znalazł wczorajszą, na wpół rozwiązaną krzyżówkę, tę ze szwedzkiej gazety, którą udało mu się kupić przedwczoraj. Tej samej, która donosiła, że w okolicach Vreten, między Kymlinge a norweską granicą, znaleziono zamordowanego młodego mężczyznę, a facet na zdjęciu jest poszukiwany.

Ciekaw był, czy to Alice dała im to zdjęcie. Prawdopodobnie tak i przypuszczalnie musiała sobie zadać trochę trudu, żeby je znaleźć. Odszukał w gazecie odpowiednią

stronę i jeszcze raz mu się przyjrzał. Było to jedno z jego najgorszych zdjęć, jakie kiedykolwiek widział. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zostało zrobione, ale był na nim nieogolony, spocony, miał na w pół otwarte usta i wyraz oczu, jakby właśnie dostał wylewu krwi do mózgu. Albo jakby siedział w toalecie i robił kupę.

Kurwa mać, pomyślał przygnębiony Ante Valdemar Roos, nie dość, że jestem ścigany za morderstwo, to jeszcze wyglądam jak zapita świnią.

Westchnął i wrócił do krzyżówki. Siedem pionowo: „Skandal Nabokova”. Sześć liter, druga „o”, czwarta „i”.

Doping, pomyślał Valdemar Roos. Nabokov był rosyjskim narciarzem, który zdobył olimpijskie złoto, a potem w jego krwi wykryto zabronione substancje. To było kilka lat temu, ale pewne nazwiska zostają w pamięci.

Wpisał słowo, ziewnął i rozwiązywał dalej.

Mimo wszystko musiał zasnąć w fotelu, bo obudził go zegar kościelny wybijający siódmą. Tym razem wiedział, gdzie jest – to znaczy w nieokreślonym starym hotelu w nieokreślonym niemieckim mieście – a ponieważ przypuszczał, że restauracja na parterze już została otwarta, ubrał się i zszedł, żeby zjeść śniadanie.

Pierwsza godzina poranka spędzona w pokoju była przyjemna, ale kiedy zszedł do pustej, burobrązowej restauracji – która, jak się okazało, znajduje się jeszcze jedno piętro niżej, w piwnicach – i natknął się na zmęczoną i skwaszoną kelnerkę w średnim wieku, która od razu zaatakowała go pytaniami o numer pokoju i o to, czy chce kawę, czy herbatę, opuściły go siły witalne. Chciał jej wyjaśnić, że nie chce od razu kawy, że najpierw zje trochę jogurtu z płatkami i jajko na miękko, jeśli jest, ale jego niewystarczające umiejętności językowe uniemożliwiły taką konwersację. Zamiast tego powiedział *Vier eins sechs. Kaffee, bitte* i usiadł w rogu przy wskazanym stoliku. Wziął „Welt am Sonntag”,

grubą jak powieść gazetę sprzed kilku dni, jak się okazało, ale z braku laku zaczął ją przeglądać.

Durch, für, gegen, ohne, um, wieder – wyliczył Ante Valdemar Roos, kiedy wylądowała przed nim kawa. Przyimki rządzące jakimś przypadkiem, nie pamiętał którym, a poza tym nie do końca było dla niego jasne, czym jest przypadek.

– *Danke schön* – powiedział, a zmęczona kelnerka odeszła, powłócząc nogami i zostawiając go na pastwę losu z gazetą i kawą.

No właśnie, jaki jest ten mój los? – pomyślał. Jak się tutaj znalazłem?

Bez wątpienia dobre pytania, a ponieważ trudno mu było skupić się na gazecie, zaczął szukać stosownych odpowiedzi. Pozbawionych większych wymogów dotyczących głębi albo precyzji, ale mimo wszystko.

To, że ten czas, że to, co miało miejsce w tych dniach i tygodniach, było sensem jego życia, zrozumiał już dawno. Spotkanie z Anną Gambowską było mu przeznaczone, jakby wpisane w pęknięcia na jego nagrobku, nieuniknione jak amen w pacierzu i brodawki na stopach Alice.

Wiem, stwierdził, nie podnosząc wzroku znad gazety, wiem, że teraz, właśnie teraz płonie mój ogień. Za to, co z tym zrobię, odpowiem w dniu ostatecznym. Tylko za to.

A mimo to jestem taki przygnębiony, zmęczony i złamany tego ranka w tej obcej, hotelowej restauracji, pomyślał. Życie i przyszłość Anny są w moich rękach. To spotkanie było nam obojgu pisane, to oczywiste, ale czasami... czasami wydaje mi się, że ona tego nie rozumie. Jest taka młoda, może po prostu potrzebuje czasu. Czasu i poprawy zdrowia; przesypia większość dnia, to niesprawiedliwe, a może sprawiedliwe... i sam muszę dźwigać ciężar i ponosić odpowiedzialność w tym trudnym okresie naszej znajomości. W takich jak ta chwilach słabości po prostu uginam się pod jej ciężarem. Tak trudno pokutować za cudze grzechy, żyć z kamieniem u szyi... Kurwa! Co ja plotę? Pokuta za

cudze grzechy i kamień u szyi? Co to za maniery? Dość tego, uznał Ante Valdemar Roos. Teraz muszę dopilnować, żeby... wszystko ogarnąć. Ogarnąć, ogarnąć, zamiast tej beznadziejnej gazety powinienem był wziąć ze sobą Rumuna, powinienem był, oczywiście... Wystarczy nazwać to, co się wokół nas dzieje, a zaczynamy widzieć światełko w tunelu.

Wypił tyk zimnej kawy i zastanowił się nad tym ostatnim.

Wystarczy nazwać to, co się wokół nas dzieje, a zaczynamy widzieć światełko w tunelu.

Dobre, pomyślał Ante Valdemar Roos. Cholernie dobre. Będzie aforyzmem dnia. Muszę pamiętać, żeby to zapisać, jak tylko wrócę do pokoju.

Tak też zrobił. Potem siedział przez chwilę w fotelu i czytał to, co do tej pory udało mu się spłodzić, odkąd przed trzema tygodniami zaczął pisać – i te słowa, wszystkie te abstrakcyjne, ale trafnie sformułowane myśli dotyczące życia i jego meandrów, sprawiły, że powoli zaczynał czuć się odrobinę lepiej. Na tyle dobrze, by zabrać się za planowanie. Najwyższa pora, czuł że Anna tego potrzebuje. A w każdym razie jej stan zdrowia. Jaka różnica.

Ciągle spała, leżała w identycznej pozycji jak wówczas, gdy wychodził z pokoju. Było kwadrans po ósmej, pewnie pości jeszcze z godzinę.

Chciałbym, pomyślał Ante Valdemar Roos, naprawdę bym chciał, żeby nie spała aż tyle. Czuję, jakby przez większą część tego ważnego czasu była nieobecna.

Musi uzbroić się w cierpliwość, rozumiał to. Potrzeba jej odpoczynku i opieki, właściwie niewiele więcej; za kilka dni albo za jakiś tydzień wróci do siebie. Wtedy będziemy już na południu, we Francji albo we Włoszech, nie wiedział dokładnie. Może to górskiego powietrza jej potrzeba. Albo morskiego.

Potem pomyślał o czymś innym. Wczoraj wieczorem, kiedy się meldowali w hotelu, musiał pokazać jakiś dokument.

Wychudzony portier o pociągłej, końskiej twarzy, w czarnej skórzanej kamizelce przyjął do wiadomości, że ukradziono im paszporty, ale mimo wszystko muszą pokazać jakiś dokument tożsamości, jak wyjaśnił. Nawet jeśli z góry płacą gotówką, to są inne czasy, a to nie jest tego typu zajazd.

Tego typu zajazd? No tak, ryzyko było dość niewielkie. Wprawdzie zostanie udokumentowane, że nocowali w tym właśnie małym hotelu w tym małym niemieckim miasteczku – jakkolwiek się nazywało – ale było raczej mało prawdopodobne, żeby dowiedziała się o tym szwedzka policja. A nawet jeśli pewnego dnia tak się stanie, to będą już daleko, daleko stąd. Prawdopodobnie nie ryzykowali, że ich namierzą, nawet jeśli od czasu do czasu będzie zmuszony pokazać swoje prawo jazdy.

W Szwecji to by nie przeszło. To by była wyjątkowa głupota, ale na kontynencie jest inaczej, stwierdził Ante Valdemar Roos. Całkiem inaczej. Jeśli twoja ojczyzna zamyka drzwi, to świat otwiera okno.

W tym hotelu i w tym mieście mieli zostać jeszcze jedną dobę. Zapłacił za dwie noce i dobrze wykorzysta dzień. Po pierwsze, kupi porządną mapę samochodową; po drugie, dowie się, jak się nazywa i gdzie leży to miasto.

Potem pójdzie do apteki; zapas leków przeciwbólowych dla Anny był na wyczerpaniu. Jak już się z tym wszystkim upora, to może będą mogli usiąść na chwilę w jakiejś sympatycznej kawiarni. Pogoda na zewnątrz, za ciężkimi zasłonami, wyglądała całkiem nieźle. Żółta latarnia uliczna zgasła i zastąpiło ją piękne słońce.

Siedzieć, rozmawiać o życiu i wspólnie planować. Byłby szczęśliwy, gdyby jeszcze zagrała dla niego na gitarze i zaśpiewała. Minęło kilka dni od ostatniego razu, ale nie chciał jej prosić, skoro sama nie miała na to ochoty.

Trzeba mieć ochotę. Tak powinno być ze wszystkim, a w moim życiu do tej pory tak nie było.

Skoro nie miała ochoty śpiewać ani opowiadać, trzymał w zanadrzu kilka dobrych historii. Pojawiły się w jego głowie wczoraj wieczorem, kiedy już zasnęła, i nawet jeśli właściwie dotyczyły zupełnie innych osób i zdarzeń, to po małych poprawkach on sam mógł się wcielić w głównego bohatera.

W ten sposób, pomyślał, Anna dzierży w swoich delikatnych dłoniach nie tylko moją przyszłość; zmienia również to, co już się w moim życiu wydarzyło.

Nie był do końca pewny, co to właściwie oznacza i czy na dłuższą metę naprawdę był sens od nowa pisać swoją własną historię. Ale może do mety nie było wcale tak daleko, może nie zostało mu zbyt wiele czasu. Jakiś rok albo kilka miesięcy.

Teraźniejszość – po cichu i z satysfakcją powiedział Ante Valdemar Roos – przede wszystkim chodzi o to, co tu i teraz. Jutro może już być za późno i jeśli się nie...

Dźwięk i jakieś poruszenie na łóżku przerwały jego rozmyślenia, a sekundę później rzucił się do przodu i był już przy niej.

Leżała na podłodze; spadła z łóżka i coś było nie tak.

Wstrząsały nią konwulsje. Ciało wygięło się w łuk, a koszula nocna, a właściwie duży biały podkoszulek, podwinęła się aż po pachy. Jedna pierś była obnażona, a przez cienkie figi prześwitywały włosy łonowe. Skarcił się w duchu, że nie potrafił odwrócić wzroku od tej nieoczekiwanej intymności, ale tacy są mężczyźni – usprawiedliwił się, próbując jednocześnie pozbyć się strachu, który nagle usiadł mu na klatce i chciał go przydusić.

– Anno, kochanie, co się dzieje? Co się, na Boga, dzieje?

Niezdarnie starał się stłumić konwulsje. Mocno dociskał jej ramiona i próbował przynajmniej nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale odwracała od niego twarz. Z jej gardła wydobył się dźwięk, a wstrząsy przeszły na niego, równocześnie, na całe szczęście, tracąc na sile, by w końcu całkiem ustąpić.

Całe zajście – od momentu, kiedy spadła z łóżka, do całkowitego ustąpienia drgawek – nie trwało dłużej niż minutę, ale po wszystkim, kiedy siedział, trzymając w ramionach jej totalnie zwiotczałe ciało, pomyślał, że to była najdłuższa minuta w jego życiu.

Ciągle dyszała i kiedy zmierzył jej puls, okazało się, że jest bardzo wysoki. Miała błędne spojrzenie, jak niewidomi...

– Boże, Anno, co się z tobą dzieje?

Dotarło do niego, że wzywa Boga.

Poprawiał jej podkoszulek, nadal wzywając Boga.

Kilka minut później – pięć albo piętnaście, albo tylko trzy, sam nie wiedział ile – otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Trochę zażenowana i słaba. A jednak się uśmiechała.

– Valdemar? – wyszeptwała. – Valdemar, dlaczego siedzimy na podłodze?

37

– Sądziłam, że miałeś się zajmować grafficiarzem – powiedziała Marianne. – A nie Valdemarem Roosem?

– Nim też się zajmuję – odparł Gunnar Barbarotti. – Pełną parą pracuję nad grafficiarzem, ale jest coś w tym Valdemarze Roose, co nie pozwala mi o nim zapomnieć.

– Widzę właśnie – odparła Marianne. – I, szczerze mówiąc, odrobinę mnie to niepokoi.

– Czemu? – zapytał zdziwiony Barbarotti, wkładając do opiekacza kolejne dwie kromki chleba. – Co jest złego w tym, że człowiek interesuje się swoją pracą?

Marianne westchnęła, obserwując go zza kuchennego stołu i tego, co po śniadaniu zostawiło po sobie czworo

dzieci. Chwilowo mieli tylko kwartet, ponieważ Sara i Jorge dostali swoje mieszkanie na Kavaljersgatan w na tyle dobrym stanie, że zaczęli w nim nocować. Może przeprowadzą się tam na dobre, trudno powiedzieć.

A szwagier Roger był już tylko wspomnieniem.

Było w pół do dziewiątej, Marianne miała wolne przedpołudnie, a Gunnar ruchomy czas pracy. Siedziała i martwiła się o niego.

– Niektórych ludzi nie można zrozumieć – próbował wyjaśnić. – To sprawia, że są interesujący. Sądzę, że Valdemar Roos jest właśnie takim człowiekiem.

Marianne parsknęła.

– Interesujący? Z tego, co widzę, to przeciętny, sześćdziesięcioletni lubieżny staruch. Próżny i niespełna rozumu. Zostawił żonę bez słowa wyjaśnienia i według ciebie to czyni go wyjątkowym?

– Hmm... – mruknął Barbarotti.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, to ta dziewczyna ma dwadzieścia lat. Zamordowali młodego chłopaka i uciekają. Nie rozumiesz, że niepokoi mnie, kiedy mówisz, że to interesujące?

Barbarotti zastanowił się.

– Młoda ćpunka i stary zbereźnik – podsumowała Marianne, zanim zdążył odpowiedzieć. – Mówiąc wprost.

Barbarotti próbował chrząkaniem pokryć swoje zakłopotanie.

– Co... co ty sobie właściwie wyobrazasz? – zapytał. – Że po cichu marzę o tym, żeby uciec z nastolatką? O to mnie podejrzewasz? Jeśli tak, to chcę, żebyś wiedziała, że...

– Że co? – chciała wiedzieć Marianne.

– Że kocham moją żonę ponad wszystko na świecie, a moje zainteresowanie Ante Valdemarem Roosem ma... ogólnoludzki i czysto psychologiczny charakter.

– Bravo! – wykrzyknęła Marianne i klasnęła w dłonie, a on pomyślał, że cała rozmowa dotyczy siódmego dubla

beznadziejnej sceny z jeszcze bardziej beznadziejnej przedpołudniowej niskobudżetowej telenoweli.

Były takie? Przedpołudniowe niskobudżetowe telenowele? Jeśli tak, to nie mieli w nich chyba czasu na duble.

– Powiedz mi jedną rzecz – kontynuowała jego żona. – Jeśli ten miły i empatyczny policjant naprawdę tak bardzo kocha swoją żonę, to na jakiej podstawie ona miałaby mu wierzyć? Skąd ma być pewna, że tylko nie mydli jej oczu?

– Co się z tobą, do cholery, dzieje? – zapytał Gunnar Barbarotti, ostrożnie drapiąc się po gipsie. – Naprawdę nie rozumiem, jak możesz...

Wtedy zauważył, że Marianne się uśmiecha i że... rozsunęła szlafrok w taki sposób... Nagle wszystko się zmieniło. Przedpołudniowa niskobudżetowa telenowela poszła w niepamięć.

– Chodź – powiedział i wyciągnął do niej rękę.

– Co masz na myśli? – zapytała Marianne.

– Wreszcie – powiedziała Eva Backman i spojrzała znad swojego komputera.

Trochę się spóźniłem, pomyślał Barbarotti. Rano pieprzyliśmy się z żoną przez dwie godziny. Przepraszam, ale z gipsem trwa to trochę dłużej.

Mógłby to powiedzieć, gdyby nie fakt, że w pokoju był też Smutas. Zbyt wrażliwy na tego typu szczerość, a poza tym miał żonę w zaawansowanej ciąży.

– Musiałem sprawdzić pewien trop w sprawie grafficia-rza – powiedział i usiadł. – Co słysząc?

Eva Backman obserwowała go ze zmarszczką podejrzliwości na czole.

– Dobrze – odparła. – Idzie dobrze. Można chyba powiedzieć, że znaleźliśmy dziewczynę.

– To była ona?

– Zgadza się – potwierdziła Backman. – Nasza mała Polka. Sonja Svensson z Elvafors i Lundgren z Halmstad byli całkowicie zgodni.

Smutas skinął głową i przeczytał:

Anna Gambowska. Urodzona w Arboga 1 sierpnia 1987 roku. Matka Polka przyjechała do Szwecji w roku 1981. Dorastała w Örebro... dziewczyna, rzecz jasna. W 2003 roku ukończyła szkołę podstawową. Nie skończyła szkoły średniej. Pod koniec lipca tego roku na prośbę matki zajęła się nią pomoc społeczna w Örebro. Problem z narkotykami. Do ośrodka w Elvafors wprowadziła się 1 sierpnia.

- W dzień swoich urodzin? – zapytał Barbarotti.
- Zgadza się – potwierdził Smutas.
- Czekamy na więcej informacji z Örebro – wyjaśniła Backman. – Ale mamy dobre zdjęcie dziewczyny i dowiedzieliśmy się trochę na jej temat od Sonji Svensson.
- Na przykład? – chciał wiedzieć Barbarotti.
- Backman odchrząknęła.
- Na przykład, że najwyraźniej jest małą twardzielką. Przypuszczalnie ma zaburzenia empatii, ciężko się z nią współpracuje. Nie przestrzega zasad, jest uparta, najchętniej się izoluje, zamiast uczestniczyć we wspólnych aktywnościach. Trudna, jak uważa Sonja Svensson. Kiedy uciekła, atmosfera w ośrodku od razu się poprawiła.
- Ach tak? – powiedział Barbarotti. – A kiedy w takim razie uciekła?
- Na początku września – odparła Backman.
- I czekali prawie miesiąc, żeby to zgłosić?
- Tak.
- Czy to nie jest trochę dziwne?
- Nie docisnęłam jej w tej sprawie – przyznała Backman.
- Ale zgadzam się z tobą, trochę to dziwne.
- A jak, u diabła, zwietrzyła Valdemara Roosa? – kontynuował Barbarotti.
- Nie wiemy – odpowiedziała Backman.
- Nie mieli żadnych wcześniejszych powiązań?

Eva Backman pokręciła głową.

– Najprawdopodobniej nie. Dlaczego mieliby mieć? Chociaż nie mamy pewności.

– Nic nie wskazuje na to, żeby Roos miał jakieś powiązania narkotykowe?

– Absolutnie nic – odparł Smutas. – Nietypowa para, tych dwoje, trzeba przyznać.

– A ofiara? – zapytał Barbarotti. – Mamy jakiś trop? Chłopak miał narkotyki we krwi.

– Może mieszkali tam w chacie wszyscy troje? – zaproponował Smutas.

– Dziewczyna na pewno – powiedziała Backman. – Jest masa odcisków palców, które przypuszczalnie należą do niej. Ale z tego, co wiemy, ani jednego odcisku ofiary.

– A ich relacja? – zapytał Barbarotti. – Mam na myśli ofiarę i dziewczynę.

– Do tego jeszcze nie doszliśmy – powtórzyła Backman.

– Kiedy dostaniemy materiały z Örebro, będziemy mogli zacząć wyciągać wnioski. Nawiązaliśmy też kontakt z tamtejszą policją. Z komisarzem Schwerinem, pamiętasz go?

Gunnar Barbarotti uśmiechnął się.

– Schwerin? Świetnie, w takim razie nie musimy się martwić.

– Dokładnie – przyznała Backman. – To może trochę potrwać, ale nie ma co się niepokoić.

Smutas wędrował wzrokiem między kolegami.

– Zeszła jesień – wyjaśniła Backman. – Pole śmierci nie-daleko Kumli.

– Aha – odparł Smutas. – W takim razie luz.

– Otóż to – powiedział Barbarotti.

Po wyjściu Smutasa został jeszcze przez chwilę w pokoju Backman.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Nie wiem – przyznała Backman. – A co powinnam?

– Dziewczyna się prostytutuje?

Backman westchnęła.

– Nie wiadomo. W każdym razie nic nie zostało udokumentowane. Ale w sumie dlaczego miałyby być?

– No właśnie, dlaczego? – powiedział Barbarotti.

– Dziewczyny nie mają zbyt wielu sposobów, żeby zdobyć forszę na narkotyki – stwierdziła Backman. – Chociaż ona ma dopiero dwadzieścia jeden lat i najwyraźniej paliła tylko hasz. Może nie zabrnęła aż tak daleko; miała jakieś prace, odkąd rzuciła szkołę. Możliwe, że mimo wszystko jakoś dawała sobie radę.

– Możliwe – zgodził się Barbarotti.

– Mogła też przecież dilować. Sonja Svensson tak naprawdę nie wiedziała zbyt wiele na temat jej przeszłości. Twierdzi, że w ośrodku stawiają na przeszłość. Nie analizują tego, co było, to część ich filozofii.

– Filozofii? – zapytał Barbarotti.

– Użyła tego słowa – oznajmiła Backman.

– I chodzi o małą buntowniczkę, tak chyba powiedziała?

– Tak – odparła Eva Backman. – Tak powiedziała. Ale przecież tak to jest, bunt jest podstawą tego świata. Trzeba mieć skorupę, w przeciwnym razie się rozpadasz, coś o tym chyba wiesz? Kurwa, czasami czuję wdzięczność, że mam samych synów.

– Tak – przyznał Barbarotti. – Łatwiej być mężczyzną. Ale tylko w połowie tak interesująco.

– W jednej czwartej – oznajmiła Eva Backman i się uśmiechnęła. – Że też zawsze musicie tak cholernie przesadzać, wy, samce.

– Przepraszam – powiedział Barbarotti. – Zrobiłem się trochę zarozumiały. Tak czy inaczej, zdjęcie naszej małej zbuntowanej Anny ukaże się w gazecie. Prawda?

– Jasne – potwierdziła Backman. – Jak już mówiliśmy, stanowią interesującą parę. Mogę sobie wyobrazić, że jutrzejsza prasa się na tym skoncentruje. Może to nie Bonnie

i Clyde, ale zbiegły razem z dwudziestolatką sześćdziesięciolatek... tak, to się będzie dobrze sprzedawać, to również.

– Zapomniałeś o trupie – dodał Barbarotti. – Tak, masz rację, niestety. Chociaż...

– Tak?

– Chociaż raczej nie znajdziemy ich dzięki naszej wspaniałej prasie. Wyobrażam sobie, że mieszkańcy południowej Europy naprawdę mają w dupie to, o czym pisze „Expresen”. Jak sądzisz? Ja mam przecież tylko ćwierć mózgu.

Backman się roześmiała.

– Skromni faceci to szczyt atrakcyjności. A tak w ogóle, jak sądzisz, jak duży mózg ma Valdemar Roos?

– Dobre pytanie – przyznał Barbarotti.

– Oczywiście. Pół miliona gotówką i dwudziestoletnia narkomanka. Zasztyletowany chłopak w pobliżu tajemnicznej chaty, a potem ucieczka przez Europę... W każdym razie zaczyna się pozbywać tej łatki nudziarza.

Barbarotti siedział przez chwilę w milczeniu i myślał.

– Najpierw musiał kupić chatę – powiedział. – Zwolnił się z pracy i zaczął swoje potajemne życie... Nie sądzisz chyba, że od początku miało to coś wspólnego z Anną Gambowską? Że poznał ją, jeszcze kiedy była w Elvafors... albo jeszcze wcześniej?

– Nie, nie sądzę – przyznała Eva Backman. – Sonja Svensson nie miała w każdym razie pojęcia, kim on jest. To wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne. Może... tak, może spotkali się przez czysty przypadek.

– Tak, tak właśnie myślimy – powiedział Barbarotti.

– Jak?

– Jeśli nie rozumiemy powiązania między pewnymi rzeczami, zrzucamy na przypadek.

– Aleś ty bystry – oznajmiła Eva Backman. – Prawie jestem skłonna uwierzyć, że Bóg wyposażył cię w połowę mózgu.

– Dzięki – odparł Barbarotti. – Dobra, muszę iść do siebie i zakończyć sprawę grafficiarza. Daj znać, kiedy coś się wydarzy.

– Zakończyć sprawę? – zdziwiła się Eva Backman. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?

– Mam pewną teorię – oznajmił Barbarotti. – Co ja, do diabła, zrobiłem z moimi kulami?

Ojciec wyglądał starzej niż kiedykolwiek.

Był coraz starszy, to oczywiste. Kiedy zobaczyła jego szarobłądą, zapadniętą twarz i spotkała jego niespokojne spojrzenie, pomyślała, że nie zostało chyba zbyt wiele czasu.

Próbowała ustalić, kiedy go ostatnio widziała. W czerwcu, w weekend przed nocą świętojańską. Minęły prawie cztery miesiące.

Wstyd – nie znajdowała innego słowa. Co prawda od tego czasu rozmawiała z nim przez telefon pięć albo sześć razy, ale Erik i jego rodzina mieli go na co dzień. Każdej godziny każdego dnia.

To, że było jej wstyd, nie ułatwiało nawiązania z nim kontaktu. Ellen miała widocznie wolny dzień, więc zamieniły kilka słów, kiedy przyjechała, ale niezbyt wiele. Została ich samych w kuchni i zamknęła drzwi.

Z dzbankiem kawy i półmiskiem świeżych bułeczek cynamonowych.

Kiedy upiekłam ostatnio bułeczki cynamonowe dla mojej rodziny? – pomyślała Eva Backman. Właściwie, co ze mnie za człowiek?

Odsunęła na bok samokrytykę i naląła ojcu kawy. Bułeczki cynamonowe nie mają chyba nic wspólnego z tym, jakim się jest człowiekiem?

– Bez cukru – oznajmił. – Przestałem słodzić.

– Wiem, tato – powiedziała. – Przestałeś słodzić czterdzieści lat temu.

– Nie powinno się jeść za dużo cukru – wyjaśnił. – Doktor Söderqvist kazał mi odstawić cukier i tak zrobiłem.

– Co słychać, tato? – zapytała.

– W porządku – powiedział i rozejrzył się niespokojnie dookoła, jakby chodziło o jakieś podchwytliwe pytanie. – U mnie wszystko dobrze. Mieszkam tu z Erikiem i... Ellen.

– Wiem, dobrze ci tutaj tato – przyznała. – Ciągłe chodzisz na spacerunki po lesie?

– Codziennie – powiedział i wyprostował się. – Trzeba spacerować, żeby mózg pracował... albo przynajmniej ciało.

Jakby zauważył, że z jego mózgiem nie jest już najlepiej. Przelknęła ślinę i postanowiła, że zapyta wprost. Na początku rozmowy był zawsze najbardziej przytomny; jak tylko dopadało go zmęczenie, znikały koncentracja i zdolność skupienia się na rozmowie.

– Tato, dzwoniłeś do mnie kilka tygodni temu i mówiłeś, że widziałeś coś strasznego. Pamiętasz? Mówiłeś, że widziałeś morderstwo.

Podniósł filiżankę i ją odstawił. Nagle jego oczy nabrały całkiem nowego wyrazu i mogłaby przysiąc, że jego twarz także się zmieniła. Zrobił się rumiany na policzkach i na czole.

Dobrze, pomyślała. Pamięta. Tatku, zatrzymaj w głowie ten obraz.

– Tak – powiedział. – Jasne, że pamiętam. Zadzwoń mi i przecież ci o tym opowiedziałem, bo jesteś policjantką. Zajęliście się tą sprawą?

– Tak, tato, zajęliśmy się. Ale muszę...

– Wpadliście na jakiś trop?

– Co? Tak, można tak powiedzieć. Ale chętnie jeszcze raz posłucham o tym, co dokładnie widziałeś.

Podniósł filiżankę i tym razem się napił. Odstawił ją na spodeczek i mlasnął.

– Z cukrem była lepsza. Na stare lata chyba znowu zaczęła słodzić.

– Co widziałeś tamtego dnia? – przypomniała mu. – To było chyba przy tamtej chacie? Nazywa się Lograna.

– Nie wiem, jak się nazywa – oznajmił Sture Backman. – Ale wiem, co widziałem.

Zamilkł.

Kochany tato, mów dalej, pomyślała. Nie pozwól, żeby pochłonęła to ciemność.

Zakasłał i dwa razy uderzył się pięścią w piersi.

– Przekłęty kaszel – powiedział. – Chcesz, żebym opowiedział o morderstwie?

– Tak, tato.

Odchrząknął i zaczął opowiadać.

– Wyszedłem na drogę – zaczął. – Wiesz, o jakiej drodze mówię?

– Tak, tato.

– To dobrze. Idę więc tą drogą, czasami sobie pogwizduję, kiedy idę... albo śpiewam, jeśli jest ładna pogoda, nie wstydzę się tego. Najczęściej stare kawałki, takie, które były popularne za moich młodych lat. Mama i ja tańczyliśmy...

– Co widziałeś przy tamtej chacie? – przerwała mu.

– Właśnie próbuję ci powiedzieć – odpowiedział trochę poirytowany. – Nie przerywaj mi, drogie dziecko. Wybiegają z domu, najpierw ona, potem ten, co zginął.

– Ten, co zginął?

– Ten, co zginął. Skoczyli sobie do gardeł. Miał jakby pałkę, którą ją uderzył, a ona wsadziła mu nóż w brzuch.

– Widziałeś to?

– Oczywiście, że widziałem. Krwawił jak prosię. Zataczał się w krzakach porzeczek, a potem padł. Pewnie umarł, bo... bo krew z niego sikała; była jasnoczerwona, a ja się tak wystraszyłem. Eva, czy ty masz pojęcie, jak ja się bałem.

– Co się stało z dziewczyną? – zapytała.

– Co?

– Dziewczyna. Ta, która ugodziła go nożem w brzuch. Co się z nią stało?

Sture Backman wzruszył ramionami.

– A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć. Widziałem tylko jego, zataczającego się dookoła i krwawiącego jak zarzynana świnia. Potem wziąłem nogi za pas; pomyślałem, że najlepiej stamtąd zniknąć. Każdy by tak zrobił.

– Widziałeś jakiegoś starszego mężczyznę?

– Co takiego?

– Starszy mężczyzna. Czy w pobliżu chaty był jakiś inny człowiek oprócz tych dwojga, o których mówiłeś... albo w okolicy?

Sture Backman wysunął dolną wargę; nie wiedziała, czy to oznacza, że się zastanawia, czy ze wspomnienia zaczyna ją znikać. Siedziała w milczeniu i czekała.

– Był tam tylko jeden starszy mężczyzna – powiedział w końcu. – To byłem ja i stałem na drodze.

– Dziękuję, tato – powiedziała i zauważyła, że do oczu napłynęły jej łzy.

Sture Backman wyciągnął rękę po cytrynową bułeczkę.

– W którym roku to się stało? – zapytał.

– Co?

– To, o czym teraz rozmawiamy, rzecz jasna. W którym to było roku?

– Jakiś czas temu – oznajmiła. – W sumie nie tak dawno.

– Tak, teraz nie chodzę w pobliże tamtego domu. Szkoła, bo to była przyjemna okolica. Sądzisz, że...?

– Tak?

– Sądzisz, że można już tamtędy chodzić?

– Tak sądzę, tato – uspokoiła go. – Spokojnie możesz tamtędy chodzić, jeśli chcesz.

Rozpromienił się.

– To wspaniale – oznajmił. – Eva, dziękuję, że przyjechałaś i mi o tym powiedziałaś.

– To ja ci powinnam dziękować, tato – powiedziała Eva. – Obiecuję, że niedługo przyjadę i pójdziemy razem na spacer. Jakie masz plany na przyszły tydzień?

Sture Backman wypił łyk kawy i pomyślał.

– W przyszłym tygodniu mogę chyba zrobić sobie dzień wolnego – odparł i wyciągnął do niej rękę przez stół. – Ale dlaczego, na Boga, płaczesz, moje dziecko? Nie masz chyba powodu, żeby się mazać?

38

Znowu byli w drodze.

To lubię najbardziej, rozmyślała. Być w drodze.

Pomyśleć, że można by tak żyć. Ciągłe w drodze.

On też miał dobry humor, zauważyła to. Było coś w jego postawie, w sposobie, w jaki wystukiwał na kierownicy rytm palcami, i w tym, jak zerkał na nią kątem oka. Strasznie przejął się tym, co poprzedniego dnia wydarzyło się w hotelowym pokoju. Ona sama nic nie pamiętała, próbowała wyjaśnić, że to był tylko sen. Śniła o czymś i spadła z łóżka, co w tym takiego dziwnego?

Ale to nie był sen, wiedziała o tym. Resztę dnia mniej lub bardziej przespała. Nawet nie wyszła z pokoju. Ramię ciągle jej dokuczało. Ból głowy pojawiał się i znikał. Valdemar wyszedł i kupił dla niej nowe tabletki przeciwbólowe. Rano, zanim wyruszyli w drogę, wzięła trzy; odrobinę pomogło. Wydawało się, że działają lepiej niż szwedzkie treo, których musiała już połknąć z setkę.

Odkąd wyruszyli, coś było też nie tak z jej myślami. Lały jak motyle, pojawiały się i znikaly, zmieniały się szybciej niż mrugnięcie świni.

Skąd jej się to wzięło? Szybciej niż mrugnięcie świni. Musiała to gdzieś przeczytać, czyż nie? Zdecydowała, że go zapyta, może będzie wiedział.

– Szybciej niż mrugnięcie świni, Valdemar, skąd to jest? Podoba mi się to sformułowanie, a tobie?

– Jasne – powiedział, drapiąc się po brodzie i myśląc. – To chyba Astrid Lindgren. Emil z Lönnebergi czy jakoś tak.

– Valdemar, opowiedz mi coś – poprosiła. – Udawajmy, że ty jesteś Astrid Lindgren, a ja dzieckiem, które chce usłyszeć coś fascynującego.

– Astrid Lindgren? – zapytał i zaśmiał się. – Nie mogę się z nią porównywać. Masz za duże wymagania. Ale może mogę ci opowiedzieć coś innego.

– Tak, proszę.

– W takim razie, o czym chciałabyś usłyszeć?

– Sam zdecyduj.

Przez chwilę wystukiwał na kierownicy rytm palcami.

– Mógłbym ci opowiedzieć o Signe Hitler. Co ty na to?

– Signe Hitler?

– Tak. Chcesz posłuchać?

– Jasne.

– Ale to trochę okropna historia.

– Nic nie szkodzi.

– Albo może nie okropna. Okrutna to chyba lepsze określenie.

– Rozumiem. Zaczynj opowiadać, wtedy sama zdecyduję, czy jest okropna, czy okrutna.

Odchrząknął i zaczął mówić.

– Nie sądzę, żebym to komuś wcześniej opowiadał. Z pewnych względów, które zrozumiesz. Signe Hitler była moją nauczycielką w szkole podstawowej. Właściwie nazywała się Signe Hiller. Mówiliśmy na nią Hitler, ponieważ była bardzo zła.

– Ach tak? – zaciekawiała się Anna.

– Dokładnie tak – powiedział Valdemar. – Rzadko spotyka się ludzi z gruntu złych, ja w każdym razie nie spotkałem ich wielu. Ale śmiem twierdzić, że Signe Hitler naprawdę była złym człowiekiem. Diabłem wcielonym. Przede

wszystkim nienawidziła dzieci i tego, co dzieci lubią robić... bawić się, śmiać, sprzeczać się, grać w dwa ognie. Chociaż kiedy się zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że tak naprawdę tak samo nie lubiła dorosłych.

– To nie brzmi dobrze – przyznała Anna.

– To prawda. Oczywiście była niezamężna, prawdziwa stara panna, chociaż kiedy została naszą wychowawczynią, nie miała więcej niż czterdzieści pięć lat. Boże, jak my się jej baliśmy. Już rano w trakcie śpiewania psalmu wlepiła w nas wzrok, swoimi żółtymi, świdrującymi oczami przyglądała się każdemu z osobna i wtedy już człowiek wiedział, że jest stracony. Że nie ma szans. Spuszczenie wzroku oznaczało, że ma się coś na sumieniu; wytrzymanie go, że jest się krnąbrnym. Jeden chłopiec, który miał na imię Bengt, robił w majtki już podczas pierwszego kontaktu wzrokowego z Hitler; potem przez cały dzień w klasie cuchnęło moczem. Z jakiegoś powodu nie przejmowała się tym. Może chciała, żebyśmy ze strachu wszyscy sikali w majtki.

– Krnąbrny? – przerwała Anna. – Pyskaty, tak?

– Chyba tak – przyznał Valdemar. – Tak czy siak, rządziła nami żelazną ręką. Nigdy nas nie biła, wbijała tylko swoje ostre paznokcie w kark i trzymała, aż poleciały łzy – albo w małżowinę uszną, mam na myśli płatek ucha. Do żadnego z nas nigdy nie powiedziała miłego słowa. Jeśli na sprawdzianie z liczenia albo na dyktandzie miało się wszystko dobrze, mówiła tylko, żeby sobie nie myśleć, że jest się coś wartym. Z powodu czkawki albo błędnej odpowiedzi na zadane pytanie lądowało się w kozie. Pewnego razu odesłała do domu dziewczynkę i nie pozwoliła jej uczestniczyć w lekcjach z powodu brudnej szyi.

– Ale tak przecież nie można... – zaprotestowała Anna.

– Nie, teraz nie – powiedział Valdemar. – Ale w tamtych czasach, w latach pięćdziesiątych, a może to był początek lat sześćdziesiątych, tak się działo. Rodzice nigdy nie wtrącali się do tego, co robiła szkoła. Byle był ład i porządek.

Oczywiście u Signe Hitler był cholerny porządek. W końcu nie wytrzymaaliśmy.

Tutaj zrobił krótką przerwę, a Anna ją wypełniła, ponieważ zrozumiała, że tego od niej oczekuje.

– Nie wytrzymaliście? Co w takim razie zrobiliście?

– Zdecydowaliśmy, że ją zamordujemy – oznajmił Valdemar.

– Zamordujecie? – zapytała Anna. – Nie mówisz chyba poważnie?

– Ależ tak – odparł Valdemar, trochę się przeciągnął i zjechał na pas do wyprzedzania. – Uważaliśmy, że to jedyne rozwiązanie, dzisiaj myślę tak samo. Hitler znęcała się nad dziećmi przez dwadzieścia lat. Jeśli nic byśmy z tym nie zrobili, robiłaby to przez kolejnych dwadzieścia.

– Ile mieliście lat? – zapytała Anna.

– Dziesięć, jedenaście, jakoś tak – powiedział Valdemar, mocniej intonując swe słowa. – Na tyle dorośli, żeby zaplanować morderstwo, ale za młodzi na siedzenie w więzieniu. Co mieliśmy do stracenia?

– Mimo wszystko – rzekła Anna. – Co się w takim razie stało?

Valdemar podrapał się po karku, myśląc przez chwilę. Nie żeby szukać tego w pamięci, choć tak to wyglądało, raczej żeby znaleźć odpowiednie słowa.

– Mieliśmy paczkę – oznajmił. – Tajemnicza szóstka: czterech chłopaków i dwie dziewczyny. Wzięliśmy na siebie... jak to się mówi?... zbiorową odpowiedzialność? Bo cała klasa była w to wmieszana, chcę żebyś to zrozumiała, Anno.

– Rozumiem – zapewniła.

– Dobrze. No więc jeden z chłopaków z paczki, Henry, miał ojca, który w piwnicy ich domu przechowywał trochę dynamitu. Nie wiem, skąd go wziął; oczywiście nie powinno się trzymać takich rzeczy w piwnicy, ale tak właśnie było. Wydaje mi się, że zajmował się kiedyś wysadzaniem skał.

Plan był prosty. Członkowie naszej paczki mieli ciągnąć losy, kto to zrobi. Padło na mnie i Henry'ego. Z praktycznych względów nie najgorzej, ponieważ to właśnie Henry miał zorganizować dynamit.

– Boże drogi! – wykrzyknęła Anna. – To nie jest historia w stylu Astrid Lindgren.

– Nie jestem tego taki pewien – powiedział Valdemar. – W każdym razie wszystko jest prawdą. Na tym właśnie polega cały dowcip, czy jak to się teraz mówi.

– Może wic – zaproponowała Anna.

– Czemu nie? Tak czy siak, pewnego ponurego i deszczowego listopadowego wieczoru podjęliśmy decyzję. Razem z Henrym wyruszyliśmy na Trumpetgatan, na północny kraniec miasta, gdzie na ostatnim piętrze trzypiętrowego bloku mieszkała Signe Hitler. Wydedukowaliśmy, że to dobrze, iż mieszka na ostatnim piętrze, bo siła wybuchu przypuszczalnie pójdzie do góry i nikt inny nie ucierpi. Weszliśmy przez bramę, a potem po schodach na trzecie piętro. Pod jej drzwiami Henry wyjął spod kurtki laski dynamitu, ja podpałilem lont, a on wsadził je do skrzynki na listy. Potem zadzwoniliśmy do drzwi i zaczęliśmy zbiegać schodami w dół, a potem wypadliśmy na zewnątrz. Nie oddaliliśmy się dalej niż kilka metrów, kiedy usłyszeliśmy potworny huk.

– Żartujesz sobie? Nie chcesz chyba powiedzieć, że naprawdę to zrobiliście?

– Możesz być pewna, że tak – odparł Valdemar. – Jesteś pierwszą osobą, która się o tym dowiaduje... z wyjątkiem innych członków tajemniczej szóstki, oczywiście. Było policyjne śledztwo i wszystko, co możliwe, ale nigdy nie wyszło na jaw, jak do tego naprawdę doszło. Tak, oczywiście na to można było wpaść, ale nie na to, kto za tym stał.

– Ale... co się stało z Hitler?

Valdemar odchrząknął i przez chwilę szukał odpowiednich słów.

– Skończyło się dobrze – powiedział w końcu. – Tak, trzeba to przyznać i nie mówię tego, żeby wyrazić skruczę czy się usprawiedliwiać.

– Nie bardzo rozumiem – przyznała Anna.

– Nie zginęła od wybuchu. Oślepta i ogłuchła, prawie ogłuchła. Po tym wszystkim stała się zupełnie innym człowiekiem. Kiedy wróciła ze szpitala, była najbardziej czynną i miłą osobą, jaką można sobie wyobrazić. Oczywiście nie mogła już być nauczycielką. Zamiast tego zaczęła pracę w Armii Zbawienia, zajęła się biednymi dziećmi, bezdomnymi kotami i Bóg wie kim jeszcze. Każdej soboty śpiewała na rynku krzepiące pieśni i zbierała pieniądze dla potrzebujących z innych krajów. To był prawdziwy cud; lekarze nie potrafili tego wyjaśnić, nikt inny też nie. Zmarła dwa dni przed swoimi osiemdziesiątymi urodzinami; przejechała ją odśnieżarka – Hitler ani jej nie widziała, ani nie słyszała. Na pogrzebie w kościele było tak pełno, że ludzie musieli stać.

– Valdemar – powiedziała Anna. – Chcesz, żebym w to uwierzyła? Jak mogła śpiewać, skoro była głucha?

– Była prawie głucha, przecież mówiłem – odpowiedział trochę zbyt głośno Valdemar. – W bibliotece w Kramfors jest o niej długi artykuł. Oczywiście ani słowa o tym, jakim była postrachem przed wybuchem, i o tym, kto za tym stał, ale uwierz mi, każde słowo jest prawdą. Dlaczego miałbym cię okłamywać?

– Nie wiem – odpowiedziała Anna. – Zawsze... zawsze przecież mówiłeś, że twoje życie jest takie nudne. To, co opowiadasz, wcale nie wydaje się nudne. Co się stało z twoim życiem?

– Właśnie, co się stało? – powtórzył zadumany Valdemar. – Niech powie ten, kto wie.

Potem siedział w milczeniu przed dłuższą chwilę. Poczula senność i zrozumiała, że zaraz zaśnie.

Powinam porozmawiać z nim o Steffie, pomyślała. Naprawdę powinam. Ale nie wiem, czy będzie chciał słuchać.

Prawie nie rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło w Logranie. Naprawdę powinnam.

Może tak jest lepiej, pomyślała chwilę później. Tylko raz zapytał, kim jest Steffo, a ona opowiedziała, jak było. Że byli parą przez kilka miesięcy, zanim pojechała do ośrodka, i że śmiertelnie się go boi.

– Parą? – zapytał.

– Tak, właśnie tak – odpowiedziała.

– Śmiertelnie się go boisz?

– Dokładnie tak.

Czy dlatego opowiedział tę dziwną historię o Signe Hitler? Żeby zrozumiała, że można zabijać złych ludzi? Albo przynajmniej, że jego zdaniem ma się do tego prawo? Spróbować ich zabić?

Dziwny jest, pomyślała. Powinnam...

Tak dalej nie można, muszę...

Myśli błądziły. Jak miałaby się za to zabrać na własną rękę? W tym stanie? Najpierw musi wyzdrowieć. Prawe ramię było jakby bez życia, ból głowy znowu dokuczał. Przyjrzała mu się ostrożnie; zamilkł i skurczył się trochę za kierownicą, tak jakby opowiedzenie tej historii wycisnęło z niego wszystkie soki.

Czy pełen nadziei poranek już się ulotnił? A może to tylko moje odczucia? – pomyślała. Może próbuję przerzucić na niego moją własną beznadziejność? Co ja tutaj robię? Dlaczego... dlaczego jadę przez Europę z tym staruchem? Potem nie będę umiała sobie tego wytłumaczyć. Nigdy.

Jeśli będzie jakieś potem.

Czy zawsze musi być jakieś potem?

W głowie tykało, traciła kontrolę nad myślami. Coś powiedział, ale nie usłyszała co.

Signe Hitler? – pomyślała, zamknęła oczy i zapadła w sen.

O osiemnastej dotarli do kolejnego hotelu w kolejnym mieście. Twierdził, że nazywa się Emden. Padało i brudny zmierzch zatarł wszystkie kolory. Z parkingu do hotelu był spory kawałek i kiedy jechali do pokoju windą, poczuła, że zaraz straci przytomność. Pole widzenia zmniejszyło się do wąskiego tunelu, słyszała rytmiczne, głuche pulsowanie, prawie nie mogła oddychać, a potem wszystko zrobiło się białe.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na łóżku. Musiała wymiotować, bo w ustach miała okropny smak. Siedział na krześle i trzymał ją za rękę.

Nic nie czuła, bo to była prawa dłoń, ale dostrzegła to, kiedy odrobinę przekręciła głowę. Zobaczyła też, że jest przestraszony. Na początku nieświadomy tego, że otworzyła oczy, więc mogła przestudiować jego rysy twarzy, zanim zdążył je wygładzić. Nie było żadnych wątpliwości – był zrozpaczony.

Jakby siedział przy łożu śmierci.

Na początku widziała i rozumiała tylko to. Nie wiedziała, kim on jest. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Leżała w łóżku w obcym pokoju. Obok niej siedział zrozpaczony mężczyzna i trzymał ją za rękę.

Może naprawdę umarłam, pomyślała. Może ten starzec to sam Bóg, może tak to się odbywa. Nigdy już się nie poruszę.

Ale dlaczego Bóg miałby się bać? Dlaczego miałby wyglądać na zrozpaczonego?

Potem odkrył, że się obudziła.

– Anna? – wyszeptał.

Hitler? – pomyślała. Też nie.

Valdemar? Jasne, tak przecież miał na imię. I to nie był ani Bóg, ani Hitler.

– Niestety, muszę wiedzieć, czy rozpoznajesz tę dziewczynę? – zapytał Barbarotti, ostrożnie podając jej fotografię.

– Nie, nie poznaję – odpowiedziała Alice Ekman-Roos, w ogóle na nią nie patrząc. – Nie muszę jej jeszcze raz oglądać.

– Widziałaś ją w gazecie? – zapytał Barbarotti.

Wykonała minimalny ruch głową, który odczytał jako potwierdzenie.

– Wiem, że to nie jest dla ciebie przyjemne – powiedział – ale mimo wszystko musimy z tobą jeszcze raz porozmawiać. Na wszelki wypadek.

– Jaki wypadek? – chciała wiedzieć Alice Ekman-Roos. – Już mnie to nie obchodzi.

– Rozumiem, że tak czujesz, jeśli chodzi o twojego męża – odrzekł Barbarotti. – Ale teraz nie chodzi już tylko o jego zniknięcie. Toczy się również śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Tak, wiem – oznajmiła Alice Ekman-Roos. – Ale nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczyna. Nie chcę jej znać. Pozbawiamy się jego rzeczy. Niech sobie nie myśli, że po tym wszystkim może wrócić i prosić o wybaczenie.

– Twoja reakcja jest całkowicie zrozumiała – przyznał Barbarotti.

– Spalimy jego ubrania – kontynuowała. – Książki i inne rzeczy oddamy do Myrorna*.

– Naprawdę? – zdziwił się Barbarotti.

– Chcę, żeby dziewczynki jak najszybciej o nim zapomniały.

– Rozumiem – oznajmił inspektor.

Zastanowił się, czy naprawdę tak jest. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie tak. Może nawet bardziej niż

* Sieć sklepów z odzieżą używaną należąca do Armii Zbawienia (przyp. tłum.).

prawdopodobnie. Jej chęć działania była zarówno zrozumiała, jak i odrobinę godna podziwu. Nawet jeśli nie zawsze starczało jej energii.

Nie, to nie zachowanie Alice Ekman-Roos było niezrozumiałe, stwierdził, drapiąc się po gipsie. Niepojęte było zachowanie jej męża.

– I nie masz pojęcia, gdzie on teraz jest?

– Najmniejszego.

– A jeśli miałybyś zgadnąć? Nie ma w Szwecji albo w Europie takiego miejsca, dokąd mógłby chcieć pojechać... z jakiegoś powodu?

– Nie – odparła Alice Ekman-Roos.

– Nie próbował się z tobą skontaktować?

– Nie.

Zastanowił się, dlaczego nie odbył tej rozmowy przez telefon. Pewnie z powodu procedur.

– Naprawdę nie mogłem przypuszczać, że tak to się potoczy, kiedy przyszłaś do mnie w szpitalu – powiedział. – Przykro mi.

Przez kilka sekund patrzyła na niego poważnie.

– Dziękuję – odrzekła. – Wiem, że jesteś dobrym policjantem, ale to, że ci przykro, tak naprawdę w niczym nie pomoże. Musimy żyć dalej, ja i dziewczynki, to jest teraz najważniejsze.

– Cieszę się, że masz w sobie tyle siły i tak na to patrzysz – przyznał Barbarotti. – Tak jest dla wszystkich najlepiej.

Kurwa, co ja mówię, dla jakich wszystkich? – pomyślał Barbarotti, ale Alice nie zareagowała na jego słowa.

– Coś jeszcze? – zapytała zamiast tego.

– Nie, to wszystko – wyjaśnił inspektor Barbarotti.

Kiedy poszła, spojrzął na zegarek. Przesłuchanie trwało równe cztery minuty.

– Schwerin ma w Örebro jakiś trop – powiedział Smutas. – Marja-Liisa Grönwall, która twierdzi, że wie, kim jest ofiara.

Eva Backman zamknęła notes.

– Najwyższy czas – oznajmiła. – Niedługo miną trzy tygodnie od jego śmierci.

– Tylko pięć dni, odkąd go znaleźliśmy – zaznaczył Smutas, a potem odczytał z kartki, którą miał w ręku – „Stefan Ljubomir Rakic. Urodzony w Zagrzebiu w 1982 roku. Przyjechał do Szwecji jako pięciolatek i nie jest notowany przez policję w Örebro. Jeśli to on”.

– Dlaczego to miałby być on? – chciała wiedzieć Backman.

– Według informatorci byli parą – powiedział Smutas. – Panna Gambowska i ten Rakic. Wygląda na to, że również u niej mieszkał, przynajmniej czasowo. Jakoś latem... nic więcej nie wiem.

– I zniknął? – zapytała Backman.

Smutas wzruszył ramionami.

– Na to wygląda. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia, ale najwyraźniej żyje... albo żył niestandardowo. Schwerin bada sprawę i odezwie się, jak tylko dowie się czegoś więcej.

– Dobrze – powiedziała Backman. – Bądź z nim w kontakcie, zdarza się, że zamiast pracować, jeździ grać w golfa. Ja mam teraz inne przesłuchanie.

– Inne? – zdziwił się Smutas.

Skinęła głową i wstała.

– Chodzi o Annę Gambowską. Jakiś facet najwidoczniej miał z nią do czynienia. Jak żona?

– To już chyba niedługo – odparł Smutas i uśmiechnął się blado.

Świadek nazywał się Johan Johansson.

– Nazywają mnie Podwójny Johan – zaczął. – Nie wiem, dlaczego.

To twój stały tekst? – pomyślała Eva Backman, ale nie skomentowała.

Zamiast tego obserwowała go, udając, że próbuje znaleźć ważną stronę w swoim notesie. Dość wysoki, trochę rozlazły sześćdziesięciolatek. Przygarbiony, odrobinę zapadnięty

w sobie. Miał na sobie dżinsy, koszulę w kratkę i skórzaną kamizelkę oraz adidasy, które wyglądały na nowe.

Przypuszczalnie chce wyglądać młodzieżowo, pomyślała Eva Backman. Bez większego powodzenia.

Włączyła dyktafon, nagrała przepisową formułkę i odchyliła się.

– Okej – rzuciła. – A więc z czym pan przychodzi?

Johan Johansson poprawił swoje masywne okulary i odchrząknął.

– Sądzę, że wiem na temat tej dziewczyny coś, co może was zainteresować.

– Ach tak? – zdziwiła się Backman.

– Sprawa wygląda tak, że natknąłem się na nią jakiś miesiąc temu.

– Natknął się pan? – zapytała Backman.

– Świadomie użyłem tego sformułowania – przyznał Johan Johansson. – Nie znajduję bardziej trafnego określenia.

– Czy może pan opowiedzieć o tym, co się stało? – zaproponowała Backman.

– Naturalnie – oznajmił Johan Johansson. – Po to tu jestem. Zatem do rzeczy. Mieszkam niedaleko Dalby. Od dwóch lat jestem na rencie. Takie życie. Mam coś z kręgosłupem.

Ostrożnie poprawił się na krześle, żeby zademonstrować, w jak kiepskim jest stanie.

– Czasami tak bywa – powiedziała Backman. – Z kręgosłupem nie ma żartów.

– Dokładnie. Nie wszyscy to rozumieją, ale tak właśnie jest. Czasami nie mogę spać i wtedy jadę samochodem na przejażdżkę. Zdarza się, że wypuszczam się aż do Kymlinge i robię zakupy w Billundsbergu albo po prostu sobie jeżdżę.

– Rozumiem – oznajmiła Backman. – Jest pan żonaty?

– Nie – odparł Johan Johansson. – Byłem, ale już nie jestem.

– Proszę mówić dalej – zaproponowała Backman.

– Oczywiście. Tamtego ranka, to musiał być szósty września, ale nie dam sobie głowy uciąć, jechałem na południe drogą 242. Dziesięć, piętnaście minut po tym, jak minąłem Elvafors, zobaczyłem dziewczynę idącą poboczem. Zmierzaaliśmy w tym samym kierunku. Chyba podniosła rękę, żeby złapać stopa, ale nie jestem pewien. Tak czy siak, pomyślałem, że mogę ją kawałek podwieźć. Zbierało się na deszcz i trochę zrobiło mi się jej szkoda.

Przerwał. Backman skinęła głową, zachęcając, żeby mówił dalej.

– Zatrzymałem się i zabrałem ją. Tę dziewczynę, której szukacie. Nie mam żadnych wątpliwości, od razu rozpoznałem ją na zdjęciu w gazecie. Narkomanka, zgadza się?

– W gazecie nie ma żadnej wzmianki na ten temat – oznajmiła Backman.

– Nie, ale sam na to wpadłem – powiedział Johansson.

– Rozumiem – rzuciła Backman. – Czy może pan określić, o której godzinie, mniej więcej, zabrał pan dziewczynę?

– Nie jestem pewien – powtórzył Johan Johansson. – Ale sądzę, że jakoś wpół do siódmej, może trochę później albo trochę wcześniej.

– Tak wcześnie rano? – zdziwiła się Backman.

– Właśnie, wtedy o tym nie pomyślałem. Może sądziłem, że spóźniła się na autobus czy coś takiego. Choć to była sobota... Niedługo potem zrozumiałem, że uciekła z ośrodka.

– Ośrodka w Elvafors?

– Tak.

– Przyznała się do tego?

– Zapytałem ją i potwierdziła.

– Co pan wtedy zrobił? – kontynuowała Backman.

Przed udzieleniem odpowiedzi Johan Johansson poprawiał przez kilka sekund plecy i okulary.

– No więc – powiedział – nie chciałem nikomu pomagać w ucieczce. Nic nie wiem o tym ośrodku, ale z pewnością

jest dla nich dobry. Stwierdziłem, że byłoby najlepiej, gdyby wysiadła z samochodu. Poza tym... tak, poza tym pomyślałem, że to może jest nielegalne, pomagać jej w ucieczce. Więc zatrzymałem się i poprosiłem, żeby wysiadła.

– Jak daleko ujechaliście? – chciała wiedzieć Backman.

– Niezbyt daleko. Może jakiś kilometr. I wtedy to się stało. Ledwo zdążyłem zatrzymać się przy poboczu, kiedy na mnie napadła.

– Napadła? – zapytała Backman.

– To najodpowiedniejsze słowo – powiedział Johansson.

– Czy może pan szczegółowo opisać całe zajście?

– Nie zdążyłem się zorientować, o co chodzi – zaczął Johan Johansson. – Zemdlałem. Musiała mieć jakąś broń, młotek albo... sam nie wiem co. Tak czy siak, walnęła mnie w głowę i straciłem przytomność. Kiedy oprzytomniałem, była już daleko, a ja krwawiłem jak zarzynana świnia. Jakby tego było mało, buchnęła mi dwa tysiące koron.

– Pański portfel? – zapytała Backman.

– Dokładnie. Miałem go jak zwykle w wewnętrznej kieszeni. Wygrzebała go i zabrała pieniądze. Leżał na siedzeniu, sflaczały jak cycki afrykańskich kobiet.

– Słucham? – zainteresowała się Backman.

– A nie, nic – odparł Johan Johansson. – Takie powiedzenie, po prostu. Portfel był opróżniony, a dziewczyna zniknęła. Wyczyszczenie samochodu z krwi kosztowało dwa tysiące, więc można powiedzieć, że w sumie jestem w plecy cztery tysiące koron. Okulary naprawili mi u optyka gratis. Ale powinienem się chyba cieszyć, że uszedłem z życiem. Mam na myśli... tak, wzięwszy pod uwagę to, o czym piszą gazety.

Eva Backman skinęła głową i zamyśliła się na chwilę.

– Nie zgłosił pan tego incydentu?

– Incydentu?

– Napaści.

Pokręcił głową.

– Nie, nie zgłosiłem. Oczywiście powinienem, ale ciągle się czyta o tych wszystkich niewyjaśnionych sprawach. Pomyślałem, że nie ma sensu. To była dla mnie lekcja. Ta dziewczyna jest śmiertelnie niebezpieczna, żeby było jasne. A pomaganie innym w tym kraju nie płóca.

– Może nie zawsze tak jest – powiedziała Eva Backman.
– Jeśli dobrze rozumiałam, nie zdążył pan z nią zbyt dużo porozmawiać?

– Była w moim samochodzie nie dłużej niż trzy minuty – wyjaśnił Johan Johansson. – Ale chciałem wam o tym opowiedzieć. Żebyście wiedzieli, z kim macie do czynienia.

– Jesteśmy naprawdę wdzięczni – oznajmiła Eva Backman. – Nie dowiedział się pan przypadkiem, co zamierza?

Johan Johansson potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia.

– Jakie miała plany albo dlaczego uciekła?

– Odpowiedź brzmi: nie.

Eva Backman wyłączyła dyktafon.

– No dobrze, panie Johansson. Dziękuję, że poświęcił nam pan tyle czasu. Być może skontaktujemy się z panem za jakiś czas.

– To wszystko?

– Tak.

Odchrząknął i położył dłonie na kolanach.

– Jeśli mimo wszystko chciałbym jakiegoś zadośćuczynienia, to co powinienem...?

– Wtedy proszę złożyć podanie w normalnym trybie – poinformowała Eva Backman. – Proszę się również skontaktować ze swoim towarzystwem ubezpieczeniowym.

– Jeszcze nie wiem, co zrobię – powiedział Johan Johansson, mozolnie wstając z krzesła. – Znaleźliście ją?

Eva Backman nie odpowiedziała, tylko przyjaźnie, ale stanowczo wyprowadziła go z pokoju.

Było kwadrans po piątej w piątkowe popołudnie, kiedy inspektor Backman zapukała do Barbarottiego i zajrzała do jego pokoju.

– Graffiti? – zapytała.

– Graffiti – odparł Barbarotti. – Dzieje się.

– Sądziłam, że masz jakąś teorię?

– Nie jest jeszcze do końca potwierdzona.

– Aha. No tak, w takim razie przypuszczam, że nie masz ochoty na piwo w Älgen? Z uwagi na twoją liczną rodzinę, nogę i graffiti?

– Niestety, chyba masz rację – westchnął zmartwiony Barbarotti. – A może filiżanka kawy i burza mózgów, co ty na to?

– Älgen może poczekać – zgodziła się Backman. – Muszę pogadać. Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie – przyznał Barbarotti. – Możesz przynieść kawę i ciastko marcepanowe? Widzisz przecież, że jestem inwalidą?

Eva Backman zniknęła i trzy minuty później wróciła z tacą.

– Ciastka marcepanowe się skończyły – poinformowała.

– Musisz się zadowolić bajaderką.

– Okej – zgodził się Barbarotti. – Życie potrafi zaskakiwać. O czym zatem myślisz?

– O tym cholernym Roosie – wzdychając, powiedziała Eva Backman. – Wiem, jacy są faceci, ale żeby wpakować się w coś takiego.

– Co masz na myśli? – zapytał Barbarotti.

– No wiesz, ta dziewczyna, która z nim jest, wygląda na to, że to mała psychopatka.

– Tak twierdzi świadek?

Eva Backman skinęła głową.

– On i kierowniczka ośrodka. Z Anną Gambowską nie ma żartów, tego możemy być pewni. Ale jak sześćdziesięcioletni facet może być tak naiwny i tego nie pojmować? Jak mógł ulec jej urokowi? Wytłumacz mi.

– Z męskiego punktu widzenia? – chciał wiedzieć Barbarotti.

– Powiedzmy – odparła Backman.

– Jest chyba tylko jedna odpowiedź – powiedział Barbarotti. – Ta, co zwykle.

– Jaka?

– Nie jest łatwo być starym napalonym samcem.

– Kurwa mać – rzuciła Backman.

– Dlaczego?

– Wprawdzie nikt nie miał na temat Valdemara Roosa nic szczególnie dobrego do powiedzenia – stwierdziła – ale ty pierwszy opisujesz go takimi słowami.

– Okej – powiedział Barbarotti, podnosząc ręce do góry w geście kapitulacji. – To tylko propozycja. Chciałaś męskiego punktu widzenia, tak?

Eva Backman w milczeniu ugryzła swoją bajaderkę.

– Jak sądzisz, które z nich to zrobiło? – zapytał Barbarotti po chwili milczenia. – Prawie o tym nie rozmawialiśmy.

– Nie mam bladego pojęcia – odparła Eva Backman.

– Raczej nie mogli oboje trzymać noża.

– Nie, to mało prawdopodobne – zgodziła się Backman i Barbarotti zauważył, że z jakiegoś powodu nie ma ochoty na ten temat dyskutować.

– W każdym razie go wykorzystuje – powiedział. – Mam rację? Musiała tam u niego mieszkać, zanim to się stało... Jak długo, tego nie wiem, ale na pewno jakiś czas.

– Podwójny Johan twierdzi, że zgarnął ją rankiem szóstego września.

– Podwójny Johan?

– Tak na niego mówią w Dalby. To ten świadek. Tak czy inaczej, już wtedy mogła się pojawić w chacie Valdemara Roosa, a zniknęli czternastego. Albo piętnastego.

– Prawie dziesięć dni – oznajmił Barbarotti.

– Mniej więcej – przyznała Eva Backman. – Od tego czasu minęły prawie trzy tygodnie. Nasz przyjaciel Podwójny

Johan twierdzi, że po trzech minutach próbowała go zatłuc. Buchnęła też jego pieniądze, dwa tysiące koron.

– Zatłuc?

– Stracił przytomność. 4

Barbarotti skinął głową i znowu pogрузzył się w milczeniu. Zerkał przez okno w kierunku zlikwidowanej fabryki butów Lundholm & söners będącej w trakcie rozbiórki, próbując nie wyciągać wniosków – tak jak tego oczekiwała. W końcu się poddał.

– Domyślam się, co ci chodzi po głowie – powiedział. – Valdemar Roos wypłacił pół miliona. Kiedy urywa się ślad?

– Dwudziestego drugiego września – oznajmiła Eva Backman. – Hotel Baltzar w Malmö.

– Nie wiesz, czy dziewczyna ma prawo jazdy?

– Nie ma.

– Może mimo to prowadzi?

– Może ją nauczył.

Barbarotti myślał.

– Minęło czternaście dni, odkąd byli w Malmö – powiedział. – Szukamy dwóch osób, a może wystarczyłoby szukać jednej. Do tego zmierzasz?

– Jednej żywej i jednej martwej – doprecyzowała Eva Backman. Jakby nie patrzeć dwóch, ale nie, nie do tego zmierzam. Chciałabym bardzo, żeby..

Zamilkła. Barbarotti odwrócił wzrok od ruin fabryki butów i spojrzał na nią.

– Tak? – zapytał.

– Chciałabym, żeby było inaczej – odparła Eva Backman. – Po prostu. Czy to takie dziwne?

– Nie, wcale – przyznał Barbarotti. – Jeśli Valdemar Roos jest martwy, to nigdy z nim nie pogadamy. A chciałbym usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Czemu? – zapytała Backman. – Dlaczego rozmowa z Valdemarem Roosem jest dla ciebie taka ważna?

– Sam nie wiem – odpowiedział Gunnar Barbarotti. – Marianne też to nurtuje. Przypuszcza, że brak mi piątej klepki.

– Tobie również? – zdziwiła się Eva Backman. – Nie tylko jemu?

– Mnie również – przyznał Barbarotti.

Eva Backman siedziała przez chwilę w milczeniu. Potem wstała.

– Na dzisiaj wystarczy – stwierdziła i wyszła z pokoju.

40

Zacinał deszcz.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio prowadził w taką paskudną pogodę. Wprawdzie podczas tych wszystkich podróży między Kymlinge a Svartö padało przecież z tysiąc razy, ale teraz to było co innego. Kłęska żywiołowa czy jakoś tak. Poza tym deszcz wydawał się padać ze wszystkich stron, nie tylko z rozjuszonego nieba; zwaliste tiry – za jednym z nich właśnie jechali – ochlapwały go kaskadami brudnej wody z zalanej jezdni.

Nie jechali szybciej niż pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Gdzie oni, do cholery, mają błotniki? – pomyślał Valdemar Roos i ustawił wycieraczki na najwyższe obroty. Sądziłem, że południe jest trochę bardziej cywilizowane.

Nie dało się zobaczyć tablic rejestracyjnych tego dużego i brudnego pojazdu, ale założył, że jest z południowej Europy. Albo może ze wschodniej, w każdym razie nie z żadnego skandynawskiego kraju ani z Niemiec. Nie było sensu go wyprzedzać, widoczność we wstecznym lusterku była tak kiepska, że wiązało się to ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Od czasu do czasu na zewnętrznym pasie pojawiał się szalony mercedes i również z tej strony spadała na nich kaskada wody; pozostawało jedynie spokojnie i siedzieć na ogonie tego monster trucka, czy jak on się tam nazywa. Podobało mu się to sformułowanie.

To mógłby być dobry tytuł książki, pomyślał. *Na ogniu monster trucka. Wspomnienia z autostrady.*

Boże drogi, pomyślał chwilę później. Co za pierdoły, niebawem muszę sobie zrobić przerwę. Do tego zaczynam czuć piasek w oczach, a to przecież może mieć oplakane skutki... Już dawno obiecał sobie, że zatrzyma się na kolejnym parkingu albo na stacji benzynowej, ale minęło przynajmniej dwadzieścia minut i nic się nie pojawiło. Typowe – nie można znaleźć tego, czego się szuka; tej prawdy nauczył się już w dzieciństwie.

Policzę do stu dwudziestu ośmiu, postanowił. To była jedna z jego ulubionych wyliczanek, nie pamiętał już dla czego... – i jeśli wtedy nie pojawi się parking, a nie zaszkodziłoby też zatrzymać się na siku, to wyminę monstera, raz kozie śmierć.

Wszystkie te myśli, ten chaotyczny niekończący się słowny strumień wieczności, w równym stopniu pozbawiony krwi, znaczenia i treści, przefruwający przez jego głowę jak dzikie, naznaczone śmiercią ptaki – wszystko to miało jedynie na celu utrzymanie na wodzy paniki i rozpacz. Wiedział o tym; cały czas czuł, jakby za tamą słów, zaraz za kością czołową, płynęła rzeka łez, czekająca na jej przerwanie, to było jasne.

Ale ja nie chcę się poddać, pomyślał. Nie poddam się.

Anna spała na tylnym siedzeniu. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że są w drodze od ponad czterech godzin. Pomijając krótką chwilę na początku podróży, spała przez cały czas; kilka razy rzuciła się nerwowo, ale w gruncie rzeczy była spokojna. Jeśli tylko będzie się mogła wyspać,

wydobrzeje. Nie ma lepszego lekarstwa niż dobry, krzepiący sen, a poza tym cóż mógł zrobić?

No właśnie, co? Zawieszenie jej do szpitala równałoby się poddaniu. Tak to wyglądało; nigdzie by ich nie przyjęto, musieliby najpierw ujawnić swoją tożsamość i opisać okoliczności, a potem... potem machina poszłaby w ruch i prędzej czy później, w ten czy inny sposób, wyszłoby na jaw, że uciekają i są poszukiwani w Szwecji za morderstwo.

Dość tego, pomyślał Ante Valdemar Roos i uświadomił sobie, że już dawno doliczył do stu dwudziestu ośmiu, ponieważ nie dało się myśleć i liczyć jednocześnie... Nie, nie ma takiej możliwości, Anna wydobrzeje. Potrzebuje tylko opieki i miłości, a ja jej to zapewnię.

Najlepszą opiekę na świecie, ale chciałbym, żeby...

– No właśnie, czego tak naprawdę chcę? – mruzczył cicho pod nosem, kiedy południowo- albo wschodnioeuropejski truck chlusnął na wycieraczki nową porcją wody, na chwilę zupełnie ograniczając widoczność.

Głupie pytanie. Chciał, rzecz jasna, żeby otworzyła oczy, spojrzała na niego, uśmiechnęła się w ten swój zalotny sposób; chciał, żeby byli w Logranie, żeby ta katastrofa ciągle się jeszcze nie wydarzyła. Żeby powiedziała, że czuje się dużo lepiej, opowiedziała coś o swoim życiu, o kaczkach babci, o tym dziwnym wujku Pawle albo o czymkolwiek i żeby... żeby była głodna.

To byłby dobry znak. Gdyby chciało jej się jeść. Już od prawie dwóch dni nic nie zjadła; pilnował, żeby piła, ale to wszystko. Woda, sok i kilka puszek coca-coli. Słyszał, że ta ostatnia jest dobra na niektóre rzeczy: na ból brzucha, na zapieczone, zardzewiałe śruby i takie tam, ale nie był pewien.

A co, jeśli nie... jeśli jej się nie poprawi?

Tak, był jeszcze plan rezerwowy. Plan B, wyjście ostateczne.

Chlupał w jego głowie już od jakiegoś czasu. Jak dryfująca meduza, której nie chciał wyłowić na brzeg; nie miał

ochoty się jej przyglądać, ale pływała tam, przezroczysta i osowiała. Ściślej mówiąc od tamtego ranka, kiedy Anna spadła z łóżka i napędziła mu stracha. Nie chciał go po prostu dopuścić do głosu, tak mu się wydawało.

Był jak tajemne przejście.

Wypierał go i na razie nie było o nim mowy. Jeszcze długo nie.

Meduza? – pomyślał. Tajemne przejście? Co za bzdury.

Tylko ostateczność... jeśli jej się nie poprawi, po prostu.

Plan B.

Pomimo niewielkiej prędkości prawie przegapił zjazd, ale w ostatniej chwili włączył prawy kierunkowskaz i skręcił na parking pełen mokrych samochodów. Stwierdził, że niczym się nie różni od innych tego typu miejsc na świecie. Albo przynajmniej w Europie. Co do całego świata wolał się nie wypowiadać.

Zaparkował tak blisko wejścia do knajpy, jak się tylko dało, zgasił silnik i zobaczył, że Anna ciągle śpi, bezpieczna na tylnym siedzeniu. Poprawił koc, ostrożnie pogłaskał ją po policzku i wysiadł z samochodu.

Przebiegł te dwadzieścia, trzydzieści metrów dzielące go od drzwi i zdążył porządnie zmoknąć. Ustawił się w kolejce po kawę za dwiema młodymi dziewczętami, które rozmawiały ze sobą, rozemocjonowane, w niezrozumiałym dla niego języku. Były w wieku Anny, może trochę młodsze.

Chciałbym, żeby mówiła z taką żarliwością, pomyślał. Dobry Boże, nie pozwól, żeby tama pękła, kiedy stoję tu w kolejce.

Tama? – pomyślał. Jaka tama? O czym ja mówię? Sam już siebie nie rozumiem.

Siedząc przy czerwonym plastikowym stoliku pod ścianą, obok toalety, zastanawiał się, czy zamknął samochód. Najprawdopodobniej tak. Takie drobne ruchy powtarzane

wiele razy dziennie wykonuje się, nie angażując mózgu. Wystarczy ręka i klucz.

Niedobrze, jeśli rzeczywiście zamknął. Jeśli Anna zacznie się ruszać na tylnym siedzeniu, może uruchomić alarm, samochód będzie wyc i migać światłami, a to wzbudzi zainteresowanie.

A tego teraz nie potrzebujemy, pomyślał Ante Valdemar Roos. Przeciwnie, przy odrobinie pecha mogłoby to być fatalne w skutkach.

Przez chwilę chciał wstać, wyjść na deszcz i sprawdzić, ale dał spokój. Czy zostawienie jej w niezamkniętym samochodzie byłoby dużo lepsze? Każdy mógłby otworzyć tylne drzwi i ją porwać. Mogłaby się stać bezbronną ofiarą... jak to się nazywa?... ofiarą handlu ludźmi?

Jak nie urok to szczerka, pomyślał Ante Valdemar Roos. Zamknięty czy otwarty, wszystko jedno.

Nie, poprawił się. Jasne, że nie. Porwanie byłoby oczywiście dużo gorsze od uruchomienia alarmu.

W każdym razie nie ma powodu bez potrzeby siedzieć dłużej w tej nieciekawej i hałaśliwej przydrożnej knajpie, postanowił. Szybko dojadł resztkę kanapki z serem i szynką, dopił kawę i poszedł do toalety.

Lepiej się odlać, pomyślał. Tutaj chodzi o inną tamę. Nie będę musiał potem sterczeć w deszczu.

W trakcie sikania do śmierdzącego pisuaru zaświtał mu w głowie aforyzm dnia:

Nie ma nic gorszego, niż stracić pamięć na stacji benzynowej w obcym kraju.

Może trochę zbyt kategoryczne, pomyślał i sformułował to inaczej:

Stracić pamięć na stacji benzynowej w obcym kraju to nic fajnego.

Potem wzdrygnął się. Może z powodu przemoczonych ubrań. A może z powodu aforyzmu. W pośpiechu wyszedł z toalety, potem z knajpy i pobiegł do samochodu.

Nie było go.

Przez jedną lub dwie sekundy myślał, że zemdleje.

Albo umrze.

Czuł, jakby mokry asfalt pod jego stopami miał się rozpuścić, a może to on sam się rozpuszczał. Kiedy się stopi – wszystko jedno, asfalt czy on – wessie go czarny wir i zniknie na zawsze pod powierzchnią ziemi. Jak siki w pisuarze, właśnie tak, *exit* Ante Valdemar Roos, nieopłakiwany przez nikogo... Kurwa, jaki koniec...

Po kilku sekundach w jego głowie zaświtała płocha myśl i dotarło do niego, co się stało. Wybiegł w złym kierunku. Po wyjściu z knajpy pobiegł na skos w prawo, zamiast na skos w lewo.

Jak można być tak głupim? – pomyślał Ante Valdemar Roos i w tym samym momencie, w którym zobaczył swój samochód, dokładnie w tym miejscu, gdzie go zostawił, uświadomił sobie, że to powiedzenie Wilmy. Jak można być tak głupim? Dokładnie tak mówiła do niego siedem razy w tygodniu, wznosząc oczy ku niebu, i wyglądało, jakby zachodziła w głowę, na jakim śmietniku jej matka znalazła tego odpychającego starca i jak mogła mieć tak zły gust, by za niego wyjść.

No cóż, kochana Wilmo, pomyślał Ante Valdemar Roos, nie musisz się już ze mną męczyć.

Rzeczywiście zamknął samochód, a Anna, z tego co widział, nie poruszyła się. W każdym razie nie uruchomiła alarmu. Kiedy usiadł za kierownicą i zamknął drzwi, wyciągnął rękę i dotknął jej czoła.

Było zimne i wilgotne.

To dobrze, pomyślał, w każdym razie chyba lepiej, niż gdyby miało być suche i gorące.

Zamruczała coś pod nosem i przekręciła się, ale nie obudziła. Jeszcze raz szczelnie okrył ją kocem, ruszył i ostrożnie wycofał z ciasnego miejsca parkingowego. Skierował się na autostradę.

Po przejechaniu jakiś stu metrów zauważył, że coś jest nie tak. Samochód nie jechał tak, jak powinien. Coś się działo z prawym przednim kołem; musiał mocno odbić kierownicą w lewo, żeby samochód jechał prosto. Trochę telepało. Po kilku sekundach zrozumiał, co jest grane.

Złapałem gumę.

Boże, pomyślał Ante Valdemar Roos. To się nie zdarza w nowoczesnych samochodach.

W deszczu.

W obcym kraju. W trakcie ucieczki.

Nie zdążył jeszcze wyjechać na autostradę; ciągle znajdował się na trochę stromym wyjeździe z parkingu. Zjechał tak bardzo w prawo, jak się tylko dało, zatrzymał się i włączył światła awaryjne.

Czuł, jak fala raz i drugi napiera na tamę, ale zagryzł zęby i próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio złapał gumę.

Jakieś trzydzieści lat temu. Co najmniej dwadzieścia pięć. W każdym razie na długo przed spotkaniem Alice. Na długo przed rozpoczęciem pracy we Wrigmans Elektriska.

W nowoczesnych samochodach nie łapie się gumy.

Potem pojawiła się myśl, która mu towarzyszyła, kiedy miał jakieś dziesięć lat. Pamiętał, że robił z niej użytek, kiedy powiesił się ojciec.

Jeśli wycofam i wrócę do tamtej knajpy – tak zaczynała się myśl – usiądę przy tym samym czerwonym stoliku pod ścianą i będę udawał, że to się nie wydarzyło... że nie odszedłem od stolika, nie sikałem do śmierdzącego pisuaru, nie wyszedłem tamtymi drzwiami, nie pobiegłem w złym kierunku, żeby szukać samochodu... wtedy, wtedy opona będzie cała i kiedy ruszę w drogę, nic się nie stanie. Nie złapię

gumy, coś takiego nie może się zdarzyć dwa razy w ciągu dnia, to po prostu niemożliwe.

Przez dłuższą chwilę siedział i rozważał taką możliwość, aż w końcu dał sobie spokój.

A man's gotta do what a man's gotta do, pomyślał.

Ponownie dotknął czoła Anny – ciągle było zimne i wilgotne – i wyciągnął instrukcję ze schowka w desce rozdzielczej.

Zjazd między parkingiem a autostradą był na tyle szeroki, że dało się tam stać. Zwłaszcza że chodziło o prawe przednie koło, mógł zatem pracować schowany za samochodem.

Nie miał nic przeciwdeszczowego. Cała ta cholerna operacja zajęła z pół godziny. Trzeba było wyjąć z bagażnika koło zapasowe, znaleźć lewarek i klucz do zmiany koła, odkręcić zapieczone śruby (coca-cola, coca-cola, pomyślał, ciągnąc z całych sił), zdjąć bezużyteczne koło i założyć nowe, a wszystko to w deszczu.

Robił to mechanicznie, ze stoickim spokojem. Krok po kroku, chwyt za chwytem. Przez chwilę wydawało mu się, że Anna coś do niego krzyczy, ale nie sprawdzając, doszedł do wniosku, że tylko mu się wydaje. Mijał go sznur samochodów opuszczających przydrożną knajpę, niektóre migająły światłami, ale większość nie, i kiedy właśnie udało mu się znowu postawić samochód na wszystkich czterech kołach i ostrożnie wyjąć lewarek, zauważył, że zaraz za nim zatrzymał się radiowóz. Miał włączone migające niebieskie światło. W jego stronę szedł policjant w zielonkawym uniformie z zielonkawym parasolem w ręku.

Wyprostował się, nie wypuszczając lewarka z ręki, i pomyślał, że nigdy nie widział jeszcze policjanta z parasolem.

– Jakiś problem? – zapytał policjant po angielsku.

Musiał zauważyć szwedzkie tablice. Valdemar odpowiedział, również po angielsku, że miał problem, ale już wszystko w porządku.

– Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy? – poprosił policjant. – Tutaj nie można się zatrzymywać.

Valdemar wyjaśnił przyjaźnie, ale stanowczo, że *shit happens* i że prawo jazdy ma w samochodzie. Policjant nie odpuszczał.

– *Fucking weather to get a puncture in* – rzucił Valdemar dla rozładowania napięcia.

Policjant nie odpowiedział. Skinął głową w ponagląjącym geście. Valdemar otworzył przednie drzwi po prawej stronie i wsunął się do auta. Równocześnie zapaliło się górne światło, policjant zrobił dwa kroki do przodu i zajrzał do środka.

– Co się stało dziewczynie? – zapytał.

– Nic – odparł Valdemar. – Śpi.

Ale kiedy rzucił na nią okiem, zauważył, że prawie zsunęła się na podłogę i naprawdę wyglądało, jakby coś jej się stało. Twarz miała odwróconą do góry, była spocona i blada jak trup, w kącikach ust było coś, czego Valdemar nie umiał zidentyfikować. Małe bańki, może to była tylko ślina. Poza tym drżała jej jedna noga.

– Wsiadaj! – krzyknął policjant. – Ręce na dach i nie ruszaj się!

Mówiąc to, z kieszeni kurtki wyjął policyjne radio i nacisnął kilka przycisków. Valdemar wycofał się z przedniego siedzenia i zauważył, że ciągle trzyma w ręku lewarek.

Myślał przez pół sekundy, a potem z całej siły uderzył policjanta w głowę ciężkim, metalowym narzędziem.

Pół minuty później znowu byli na autostradzie.

IV

41

W zasadzie minął tydzień, zanim w stu procentach ustalono tożsamość ofiary – od momentu, kiedy Barbarotti i Backman pierwszy raz zobaczyli zwłoki przy ziemiance w Logranie, do chwili, gdy Mirolslav Rakic ściśniętym i płaczącym głosem oznajmił, że leżące przed nim na metalowym stole ciało należy do jego syna i że osobiście wpakuje kulkę w łeb tego pierdolonego szwedzkiego bękarta, który to zrobił.

Miroslav Rakic miał pięćdziesiąt cztery lata. Mieszkał w Szwecji od 1989 roku, a teraz ściągnięto go z zakładu karnego w Österåkerze, gdzie odsiadywał ośmioletni wyrok za napad z bronią, próbę zabójstwa, pobicie i tym podobne wykroczenia. Matka Stefana Rakica nie żyła od trzech lat, nie miał też rodzeństwa ani innych krewnych.

Oprócz identyfikacji zwłok, która odbyła się rano w poniedziałek szóstego października, dysponowano również kartą stomatologiczną, więc nie było już żadnych wątpliwości, kto leżał wtedy na deszczu z ziejącą dziurą w brzuchu.

Wątpliwości dotyczyły wyłącznie sprawców. Pary, która opuściła Logranę w związku z morderstwem Stefana Rakica – oczywiście nie można było wykluczyć, że sprawcą był ktoś inny, zupełnie policji nieznany, ale żaden ze współpracowników inspektor Evy Backman nie skłaniał się aktualnie ku tej wersji.

Ante Valdemar Roos i Anna Gambowska – to o nich chodziło. To ich należało znaleźć.

Gdzie się, u licha, podziewali?

Jak ich dopaść?

– Czy ktoś z was sądzi, że zmienili samochód? – zapytała Eva Backman.

Nikt tak nie sądził.

– Dobrze – oznajmiła. – Ja też nie. W takim razie przemieszczają się niebieskim volvo S80 o numerach rejestracyjnych UYJ 067. W gruncie rzeczy mogą być wszędzie w Europie, a ponieważ nie używają ani karty kredytowej, ani telefonu komórkowego, jeśli zechcą, mogą ukrywać się dość długo.

– Mają przecież sporo gotówki – zauważył aspirant Wennergren-Olofsson.

– Tak, na jakiś czas wystarczy – przyznała Eva Backman.

– Od cholery gotówki – uściślił Wennergren-Olofsson.

– Ale są przecież poszukiwani – przypomniał Tillgren. – Pozostaje czekać, aż w końcu wpadną.

– Jak myślicie, ile jest samochodów w Europie? – zapytała Backman.

– Od jasnej cholery – szepnął Wennergren-Olofsson.

– A co jeśli na przykład schowali go w jakiejś stodole w Skanii i podróżują pociągiem? – zaproponował Barbarotti, kładąc nogę na krześle. – Wtedy znalezienie ich może trochę potrwać. Ale słusznie, nie możemy zrobić zbyt wiele. Ile osób ma siedzieć i czekać? Dwie? Pięć? Dziesięć?

– Prędzej czy później pieniądze się skończą – powiedział Wennergren-Olofsson.

– Albo się zapomną i użyją karty – dodał Tillgren.

– Myślisz? – zapytał Barbarotti.

– Może nie – odparł Tillgren.

– Tak czy inaczej, dalej prowadzimy śledztwo – westchnęła Backman. – Żeby do kolegów na kontynencie dotarło, że to poważna sprawa. Unia Europejska jest dobra, ale pod względem geograficznym Europa się nie zmniejszyła.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał Wennergren-Olofsson.

– Później ci to wytłumaczę – zaproponowała Backman.

– Hmm... – mruknął Barbarotti. – Gdzie jest Smutas? Czy...?

- Jeszcze nie – poinformowała Backman. – Ale dzisiaj rano pojechali do szpitala, więc pewnie jakoś w ciągu dnia.
- Dziecko? – zapytał Wennergren-Olofsson.
- Dokładnie – rzuciła Backman. – Bobas.

Po wyjściu aspirantów Barbarotti został w pokoju Evy Backman.

- Jest coś jeszcze – stwierdził Barbarotti. – Widzę to po tobie.

- Sama nie wiem – odparła Eva Backman.

- Czego nie wiesz?

- Co mam o tym myśleć. Rano rozmawiałam z tą dziewczyną z Örebro. Z Marją-Liisą Grönwall, tą, która dała cynk o Annie Gambowskiej. Schwerin też ją oczywiście przesłuchał i wyłonił się trochę inny obraz.

- Inny obraz Anny Gambowskiej?

- Tak. Chociaż jako, powiedzmy, przyjaciółka może być trochę stronnicza.

- Co takiego powiedziała?

- Twierdzi, że Anna Gambowska to miła, delikatna i wrażliwa dziewczyna, w żadnym wypadku buntowniczka, o której słyszeliśmy.

- Powiedzmy przyjaciółka... tak ją nazwałeś, prawda? Co to znaczy?

- To znaczy, że nie sądzę, by znały się zbyt dobrze. Chociaż mogą się mylić. Natomiast panna Grönwall była z naszą ofiarą, ona także. I na ten temat miała trochę do powiedzenia.

- Zamieniam się w słuch – oznajmił Barbarotti.

- Czekam, aż Schwerin prześle nam swoje przesłuchanie. Rozmawiałam z nią tylko dziesięć minut...

- Zawsze coś. Co miała do powiedzenia na temat Stefana Rakica? Musiałaś chyba przynajmniej odnieść jakieś wrażenie?

Eva Backman siedziała w milczeniu przez kilka chwil z wyrazem twarzy, który, jak sądził, miał wyrażać niezdecydowanie. Albo może po prostu zmęczenie.

– Że był skurwysynem – powiedziała w końcu. – Reasumując. Użyła słów: nieprzyjemny, niebezpieczny, psychopata... tak, cała litania. Problem polega na tym... przecież wiesz.

– Że była jego dziewczyną?

– Dokładnie. Trudno ocenić, na ile jest wiarygodna.

Barbarotti zastanowił się.

– Co to zmienia? – zapytał. – O ile mówi prawdę.

Eva Backman ciągle wyglądała na niezdecydowaną lub zmęczoną.

– Wszystko i nic – odparła. – Czysto teoretycznie nie ma to może takiego dużego znaczenia... mam na myśli samo śledztwo. Jeśli natomiast spojrzymy na to z psychologicznego punktu widzenia, różnica jest kolosalna. Mam rację? Sądziłam, że to twoja domena.

– Powiedzmy – rzucił Barbarotti. – Ale dyrektorka ośrodka i ten facet, którego uderzyła w samochodzie, oni przecież są dość jednomyślni... prawda?

– Bez wątpienia – zgodziła się Eva Backman. – Tylko coś tu nie gra i najprawdopodobniej to Marja-Liisa Grönwall trochę kręci.

Gunnar Barbarotti skinął głową.

– Daj znać, jak dostaniesz to przesłuchanie od Schwerina. A tak w ogóle, to musi być chyba więcej osób, które mogą się wypowiedzieć na temat dziewczyny?

– Miejmy nadzieję – powiedziała Backman.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Tillgren.

– Przepraszam, ale znaleźliśmy właśnie jej matkę.

– Matkę Anny Gambowskiej? – zapytał Barbarotti.

– Dokładnie – odparł Tillgren. – Jest w szpitalu w Warszawie. Wygląda na to, że jej matka... czyli babka Anny... właśnie zmarła.

– O Boże – rzuciła Backman.

Upłynął kwadrans, zanim dostała numer telefonu Krystyny Gambowskiej, ale siedziała przy biurku kolejne dziesięć minut, nim zdecydowała się go wybrać.

Z tego, co zrozumiała, nikt nie poinformował Krystyny Gambowskiej, w jakiej sytuacji jest jej córka i jeśli właśnie straciła swoją matkę, to istniały powody, by uważać na to, co się mówi. Uzasadnione powody.

Z drugiej strony matka Anny miała prawo wiedzieć; ukrywanie przed nią prawdy z jakichś źle pojętych humanitarnych względów byłoby jedynie odwlekaniem problemu w czasie. Eva Backman już wcześniej podejmowała złe decyzje w podobnych sytuacjach i wiedziała, że w takich przypadkach nie ma dobrych rozwiązań. Poza tym chciała zamienić słowo z tą Polko-Szwedką nie tylko z tego powodu, oczywiście że nie. Tego wymagało śledztwo, bez wątpienia.

Chociaż śmierć matki i córka poszukiwana w związku z morderstwem... tak, trzeba ją wcześniej trochę psychicznie przygotować.

Połączenie było kiepskie.

– Kristina Gambowska?

– Tak, Krystyna przy telefonie.

Backman przedstawiła się i poinformowała, dlaczego dzwoni.

– Trochę źle słyszę – wyjaśniła Krystyna Gambowska. – Pani z policji, tak?

Mówiła z niewielkim, prawie niezauważalnym słowiańskim akcentem. Eva Backman odchrząknęła.

– Tak, jestem policjantką. Wiem, że dopiero co straciła pani matkę, ale mimo to muszę z panią o czymś porozmawiać.

– Nie rozumiem – przyznała Krystyna Gambowska.

– Od jakiegoś czasu próbujemy się z panią skontaktować. Od jak dawna jest pani w Polsce?

– Hmm... – zastanowiła się Krystyna Gambowska. – Od kilku tygodni. Dowiedziałam się, że z moją mamą jest źle,

że być może nie pożyje już długo, więc przyjechałam... no tak, chyba dziesiątego września. Moja mama zmarła dzisiaj wcześniej rano.

– Słyszałam – powiedziała Eva Backman. – Bardzo mi przykro.

– Miała już swoje lata i była chora – oznajmiła Krystyna Gambowska. – Cieszę się, że mogłam z nią być w tym ostatnim czasie.

– Rozumiem – przyznała Eva Backman. – Dzwonię z powodu pani córki. Czy miała pani z nią ostatnio jakiś kontakt?

– Z Anną? – nagle jej głos wypełnił się niepokojem i obawami.

– Tak, z Anną. Kiedy pani z nią ostatnio rozmawiała? W słuchawce przez dłuższą chwilę było cicho.

– Przez ostatni miesiąc nie miałam dla córki czasu – wyjaśniła Krystyna Gambowska i było słychać, że jest bliska płaczu. – Coś się stało?

– Nie wiemy dokładnie – poinformowała Backman. – Ale chcielibyśmy ją znaleźć. W okolicach Kymlinge zamordowano człowieka i wygląda na to, że Anna jest w to zamieszana.

– Zamieszana? – wysapała Krystyna Gambowska. – W morderstwo? Jak to? Nie rozumiem.

– Stefan Rakic? – zapytała Eva Backman. – Czy to nazwisko coś pani mówi?

Znowu cisza. Potem bardzo ostrożne:

– Tak sądzę.

– Nie żyje – poinformowała Eva Backman. – Znalaziono go tydzień temu, ale nie żyje dłużej. Skąd kojarzy pani to nazwisko?

– Nie żyje? – wyszeptała Krystyna Gambowska, tak że ciężko było ją zrozumieć. – Mówi pani, że nie żyje?

– Tak – potwierdziła Eva Backman. – Stefan Rakic nie żyje. Nie wiedziała pani o tym?

– Oczywiście, że nie – wyjaśniła Krystyna Gambowska trochę głośniej. – Skąd miałabym wiedzieć? Jak... jak zginął?

Eva Backman postanowiła nie wchodzić w szczegóły.

– Skąd zna pani Stefana Rakica? – zapytała.

Krystyna Gambowska tak długo zwlekała z odpowiedzią, że Eva Backman przez chwilę myślała, że przerwało połączenie.

– Halo? – rzuciła.

– Tak, jestem – powiedziała Krystyna Gambowska. – Proszę mi wybaczyć, to jest takie nierzeczywiste. Najpierw moja matka, potem... no, w każdym razie był chłopakiem Anny, ten Steffo. Tak mi się przynajmniej wydaje, ale nie są już ze sobą. To było zanim... no, w każdym razie zerwali ze sobą jakiś czas temu.

– Wiemy, że Anna została przyjęta do ośrodka – poinformowała Eva Backman.

– Tak – potwierdziła Krystyna Gambowska. – Zgadza się, była w ośrodku dla...

– Była? – zapytała Backman. – Powiedziała pani była.

– Tak... chyba stamtąd uciekła.

– Skąd pani to wie?

– Zadzwoiła i mi o tym powiedziała.

– Kiedy? – chciała wiedzieć Backman.

– Dlaczego... dlaczego chce pani to wszystko wiedzieć? – zapytała Krystyna Gambowska. – Co się właściwie stało?

Eva Backman odchrząknęła.

– Nie wiemy dokładnie. Ale Stefan Rakic nie żyje, jak już mówiłam, a pani córka zniknęła.

– Zniknęła? – zdziwiła się Krystyna Gambowska.

– Tak, na to wygląda – powiedziała Backman.

– Ach tak...?

Eva Backman czekała, ale nie było dalszego ciągu. Tylko cisza i słabe trzaski na linii.

Dlaczego nie pyta o nic więcej? – pomyślała Backman. Czy to nie byłoby naturalne?

– Chciałabym porozmawiać z panią w cztery oczy – wyjaśniła w końcu. – Bardzo mi przykro, że dzwonię właśnie teraz, ale dopiero co zdobyłam pani numer. Przede wszystkim chciałabym ustalić, kiedy po raz ostatni miała pani kontakt z córką. To znaczy mam na myśli, że chętnie dowiedziałabym się tego teraz... resztę możemy odłożyć na później.

– Rozumiem – po krótkiej przerwie oznajmiła Krystyna Gambowska. – Rozmawiałam z Anną zaraz po przyjeździe do Warszawy. Czyli jakieś trzy tygodnie temu... trochę ponad trzy tygodnie.

– I od tego czasu się nie odezwała?

– Nie.

– Rozmawiałyście ze sobą przez telefon, tak?

– Tak, zadzwoniła i powiedziała, że...

– Tak?

– Powiedziała, że nie jest już w tamtym ośrodku.

– Okej – rzuciła Eva Backman. – Mówiła, gdzie się znajduje?

Krystyna Gambowska zastanowiła się.

– Chyba powiedziała, że jest w miejscu, które zaczyna się na L., Lo coś tam.

– Lograna?

– Właśnie. Lograna. Nie wiem, gdzie to jest.

– Kiedy to mogło być? Kiedy zadzwoniła... To była tylko jedna rozmowa, tak?

– Tak, zadzwoniła tylko raz. To musiało być jakoś w połowie września, tuż po moim przyjeździe do Polski. Mój syn Marek, brat Anny, przyjechał tu tydzień później. Mieszkamy u krewnych... On ma tylko osiem lat.

– Czy w trakcie rozmowy powiedziała coś jeszcze? – zapytała Backman. – Gdzie mieszka i takie tam?

– Mówiła, że zatrzymała się u kogoś... i że może tam zostać jakiś czas.

– Mówiła, u kogo?

– Nie.

– U kobiety czy mężczyzny?

– Wydaje mi się, że to był mężczyzna. Albo nie, chyba nic na ten temat nie mówiła... to mogły być tylko moje domysły.

– Coś więcej?

– Nie, nic więcej.

– A jak się czuła?

– Powiedziała... powiedziała, że czuje się dobrze. Że źle jej było w tamtym ośrodku i że...

– Tak?

– Powiedziała, żebym... żebym się nie martwiła.

Tutaj nagle głos Krystyny Gambowskiej załamała się i zaczęła płakać. Eva Backman jeszcze raz przeprosiła, że dzwoni w tej sprawie właśnie teraz, wyjaśniając, że nie miała wyboru.

Minęło kilka sekund i Krystyna Gambowska też przeprosiła, wytarła nos i wróciła do rozmowy.

– Czy mogę zadzwonić do pani później – zapytała. – Dziś wieczorem albo jutro? Muszę się trochę pozbierać.

Eva Backman wyjaśniła, że może zadzwonić w każdej chwili, zostawiła numer swojej komórki i pożegnała się.

Wygrzebała chusteczkę higieniczną z najniższej szuflady biurka i wysmarkała nos – ona także.

Później przez dziesięć minut gapiła się w okno. Widziała dwie przycięte lipy; te same lipy, na które zawsze patrzyła, i pomyślała, że kiedy umrze, ktoś inny będzie siedział na tym krześle i im się przyglądał.

A może na innym krześle, ale okno i drzewa będą te same.

Naturalnie nie było w tym nic dziwnego, ale nie dawało jej to spokoju. Przemijanie i dni, które po prostu uciekały. Teraz prawdopodobnie nie była jeszcze jej kolej, ale ojciec był już raczej bliżej niż dalej. Miał osiemdziesiąt jeden lat i nawet jeśli pożyje jeszcze kilka lat, to i tak wciąga go ciemna otchłań. Był nadzwyczaj przytomny, kiedy odwiedziła

go przed paroma dniami – tak jakby musiał opowiedzieć o tym, co widział w Logranie, zanim o tym zapomni. Tak to rzeczywiście wyglądało; kiedy zadzwonił do niej wczoraj wieczorem, miał większy niż kiedykolwiek mętlik w głowie i nie pamiętał, że widzieli się zaledwie kilka dni wcześniej.

W przyszłym tygodniu pojedzie i pójdzie z nim na spacer – obiecała to zarówno jemu, jak i sobie.

Zastanawiała się, dlaczego nie opowiedziała Barbarottiemu o tym, co widział jej ojciec. Chodziło o granice, przypuszczalnie. Granice między tym, co prywatne, a tym, co służbowe. Miała zaciągnąć ojca do miasta i pozwolić, żeby ktoś inny go przesłuchał, czy tak? Z punktu widzenia śledztwa byłoby to bezsensowne. Nie pamiętałby niczego, siedziałby na jakimś krześle, wystraszony i zawstydzony tym, że nie rozumie, o co chodzi, czego od niego chcą. To byłoby dla niego poniżające. Dokładnie, poniżające było odpowiednim słowem.

Chociaż może niedługo opowie o tym Barbarottiemu. Tylko jemu. Jej ojciec był mimo wszystko świadkiem morderstwa albo przynajmniej zabójstwa, ale tymczasem wystarczy, że wie o tym tylko jego córka. Pytanie, czy on to jeszcze pamięta.

Nawiasem mówiąc, jak brzmiała ta myśl, którą miała przedyskutować z Barbarottim?

Dlaczego ludzie starzeją się szybciej niż to, co po sobie zostawiają?

Może nie było to zbyt oryginalne pytanie, ono również nie – zauważyła – ale mimo to chciałyby przez chwilę pogadać na ten temat z Barbarottim. Na przykład, czy jego zdaniem to optymistyczna, czy pesymistyczna refleksja?

Potem pojawiło się inne pytanie:

Jak to się dzieje, że nie chcą przedyskutowywać takich rzeczy z własnym mężem?

I to było poważniejsze, zdecydowanie poważniejsze.

Obrazy pojawiały się i znikaly.

Na początku myślała, że jest ich dużo, ale z czasem zrozumiała, że właściwie są tylko trzy. W sumie bardziej sekwencje filmowe niż obrazy; za każdym razem zaczynała się od nieruchomego kadru. Jakby przeglądała album z fotografiami, zatrzymywała wzrok na jednej z nich i w tym momencie zdjęcie zaczynało się ruszać i żyć.

Pojawiają się i znikają.

Najpierw jest morze. Patrzy w kierunku bezkresnej, piaszczystej plaży, w kierunku spokojnego, szaroniebieskiego morza – i w kierunku czegoś małego i białego, co wiruje w powietrzu i wygląda prawie jak płatki śniegu, nigdy jednak nie opada na ziemię; na początku nie wie, o co chodzi, ale w każdym razie są gdzieś nad polskim wybrzeżem. Nad morzem. Siedzi u ojca na barana; najpierw tego nie widzi, ale przeczuwa, że tak właśnie jest: wchodzi do wody, ma jakieś cztery, może pięć lat, w każdym razie nie poszła jeszcze do szkoły, a jej rodzice wciąż są ze sobą.

Jest lato albo raczej wczesna jesień, przyплыnęli do Gdańska promem z Nynäshamn, tak, prom pamięta wyraźnie; potem przejechali samochodem kawałek na zachód i ze wszystkimi manatkami zainstalowali się w wysokim, strzelistym domku w bukowym lesie, w którym pełno było takich chatek. Tak właśnie spędzali wtedy wakacje. Przez kilka krótkich sekund widzi tamten strzelisty, brązowy dom i ognisko, które palili przed nim wieczorami, oraz inne dokazujące i hałasujące dzieci, a także dziwne napoje o intensywnych kolorach i smakach innych niż te, do jakich była przyzwyczajona; i lody – lody, lody dla ochłody; ale teraz odwraca od tego wszystkiego wzrok i znowu spogląda na prawie pustą plażę i drobny, zupełnie biały piasek. Ojciec idzie i coś sobie podśpiewuje, a ona trzyma go za uszy, żeby

nie spaść; podchodzą do mamy: leży na brzuchu na dużym, czerwonym ręczniku, schowana za wysokim pagórkiem, i opala się nago.

Ojciec zdejmuje ją z ramion i kładą się ciasno przy mamie, każde ze swojej strony. Trochę się marze, bo chciałaby leżeć w środku, ale w końcu, ponieważ dostaje cukierka, godzi się z sytuacją. Leżą tak na brzuchu, wszyscy troje; mama i tata coś do siebie szepczą, jest ciepło i ładnie. Jestem całkiem szczęśliwa – myśli i po chwili zasypia.

Ale potem znowu siedzi z podciągniętymi kolanami i patrzy na morze, nad które nagle nadlatuje mnóstwo małych, białych motyli. Są ich tysiące; teraz widzi, że to naprawdę motyle: są takie małe, takie małe, przywiewa je wiatr. Budzi mamę i tatę, którzy ciągle leżą blisko siebie i wydaje się, jakby spali, ale nie śpią; pyta ich, co to za motyle i skąd się wzięły.

Ojciec podnosi się na łokciach i przez chwilę patrzy na tę zwiewną inwazję od morza, a potem mówi: Nie przejmuj się nimi, Aniu kochana, to motyle śmierci, przylatują przez morze ze Szwecji.

Motyle śmierci ze Szwecji – naprawdę tak powiedział i ona nigdy tego nie zapomni. Chociaż nie rozumie, co to właściwie znaczy, to zawsze będzie pamiętać – taką decyzję podejmuje już wtedy, właśnie tam, na plaży.

Drugi film jest krótszy od pierwszego. Oprócz tego w sepii, jakby obrazy były stare i zniszczone. Siedzi w szkolnej ławce, rzecz dzieje się w tamtej szkole w Varberdze, do której chodziła tylko przez semestr, a może półtora. Siedzą po dwoje, ale ponieważ jej koleżanka Julia z Argentyny jest chora, tego dnia siedzi sama. Nauczycielka ma na imię Susanne, ale mówią na nią Snussane, bo używa snusu; wyszła teraz z klasy, może jest w pokoju nauczycielskim i wkłada nową porcję, zazwyczaj tak robi.

W klasie jest dość spokojnie, mimo że nie ma pani. Wszyscy siedzą i wypełniają jakieś książki z ćwiczeniami.

W tym momencie odwraca się jeden z chłopaków z pary przed nią; ma świńskie oczka i nienaturalnie białe włosy; trochę nerwowo szczyrzy do niej zębami i szepcze: Wiem, że masz cipkę w poprzek, tak mają tam, skąd pochodzisz. Mój stary jeździ tam i rucha laski, nie wypieraj się!

Mówi szybko, na jednym wydechu, jakby najpierw to sobie przećwiczył, a kiedy jest gotowy, znowu równie szybko się odwraca. Przypuszczalnie usłyszała to tylko ona i jego kolega z ławki, ale mimo to bierze swój ołówek i z całej siły wbija mu go w plecy. Świdruje nim, a on wydziera się wniebogłosy i właśnie wtedy do klasy wraca Snusanne.

Jimmy, bo tak przecież ma na imię, rzuca się na podłogę, wyje, wije się jak piskorz i zawodzi: To wariatka, śmiertelnie niebezpieczna, próbowała mnie zabić, pieprzona polska idiotka i... kurwa mać, chyba krwawię, krwawię!

Chociaż głównie płacze i biadoli. Pani wyciąga koszulę z jego spodni i ogląda ranę. A ona przez cały ten czas, bo mija dość sporo czasu, spokojnie dalej rozwiązuje ćwiczenia. Ma teraz inny ołówek, rysik; poprzedni wbiła w plecy Jimmy'ego Świńskie Oko.

Kiedy później ma wyjaśnić, dlaczego to zrobiła, bo chcą to wiedzieć Snusanne, kurator w sandałach, zastępca dyrektora do spraw dydaktycznych i wszyscy inni, nie mówi nic. Nic. Ani jedno słowo nie wydobywa się z jej ust. Nawet mamie nie potrafi tego wyjaśnić i kiedy teraz patrzy na te pożółkłe obrazy, trudno jej zrozumieć, że naprawdę to zrobiła. Nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat i nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek była tak przebojowa jak wtedy. Ani wcześniej, ani później.

Jimmy Świńskie Oko ani żaden z jego kumpli nie zbliżają się do niej na przerwach. Kilka tygodni po tym zdarzeniu zmienia szkołę, bo mama znowu znalazła jakąś tańszą i lepszą.

Trzeci film jest najdziwniejszy.

Jej młodszy brat znowu choruje. Leży w łóżku w pokoju, którego najpierw nie rozpoznaje, ale szybko wpada na to, że to musi być Lograna. Właśnie pomalowała ściany i to, że zdążyła to zrobić, ma Markowi pomoc wyzdrowieć. Jest taki mały i biedny, kiedy tak leży w tym łóżku. Anna zauważa niebawem, że z bratem coś się dzieje. Kiedy zbliża się do łóżka, Marek się kurczy; kiedy trzyma się na pewną odległość, ma względnie normalne rozmiary.

Mimo wszystko próbuje podejść do brata, bo przecież chce go dotknąć, ale kiedy tylko wyciąga rękę w jego kierunku, on nagle staje się niewidoczny. Szepcze do niego, żeby się nie bał, to przecież tylko ona, jego siostra Anna, która chce go trochę pogłaskać i pomóc mu wyzdrowieć, i kiedy ciągle go nie widzi, zaczyna się śmiertelnie bać i chowa się w rogu pokoju, tak daleko od łóżka, jak się tylko da. Wtedy, chociaż nie od razu, on znowu staje się widoczny.

Ten film jest też najbardziej nieprzyjemny. Powtarza się tylko to: zbliża się do brata, on się kurczy i znika, a ona w panice ucieka od jego łóżka. Najgorsze są te sekundy, kiedy wraca do rogu pokoju, odwraca się i nie do końca wie, czy on znowu się pojawi. Może jest za późno, może nie powinna próbować znowu go dotykać.

Czasami, między kadrami filmu, nie śpi. Albo prawie nie śpi, bo wie, że Valdemar jest przy niej, a on nie jest przecież żadnym wspomnieniem ani snem. Jest rzeczywistością, tym, co dzieje się naprawdę.

Cały czas są w samochodzie: on na przednim, a ona na tylnym siedzeniu. Czasami jadą, czasami nie. Zdarza się, że pomaga jej wyjść, żeby mogła zrobić siku. Okropnie marznie, kucając za jakimś krzakiem, a potem zawsze ją boli głowa.

Rozmawia z nią, opowiada różne rzeczy, ale ona prawie nic z tego nie rozumie. Łatwiej znowu zapaść w sen i oglądać senne obrazy, nawet jeśli chciałaby, żeby pojawiły się jakieś inne. Ale cały czas są tylko te trzy. Plaża, Jimmy Świńskie Oko i Marek.

Dochodzi do niej dźwięk radia. Najczęściej tylko muzyki, ale od czasu do czasu ma wrażenie, że także wiadomości; nie rozumie języka, ale może to szwedzki, myśli. Przecież nie rozumie też tego, co mówi do niej Valdemar, a on z pewnością mówi po szwedzku. Może niedługo będą w domu.

W domu. Dziwne określenie i dla każdego człowieka znaczy co innego, a mimo to wszyscy wiedzą, o co chodzi. Dla niej... nie, otóż to, jest jeden człowiek na ziemi, który nie wie, co to znaczy, i to jest właśnie ona sama.

Przez kilka sekund ją to martwi, ale potem myśli, że Valdemar pewnie wie. Tak, na pewno. Chciałaby mu powiedzieć, że to docenia, że go lubi; jak tylko znowu będzie zdrowa, decyduje, powie mu o tym, zagra dla niego na gitarze i zaśpiewa, żeby naprawdę zrozumiał, że tak właśnie jest.

Young girl, dumb girl... nie, nie tę, poza tym to nie jest piosenka, to po prostu głupia rymowanka. To musi być coś innego, coś, co on zna i lubi. Może *Valdemar the Penguin*, ten kawałek, który dla niego napisała.

Jeśli natomiast umrze, będzie go odwiedzać w snach. A zatem, tak czy inaczej, zakończenie będzie szczęśliwe.

Teraz znowu widzi motyle – dziwne, że jest ich tak dużo i że mogą lecieć tak daleko bez potrzeby lądowania. Trzyma tateę za uszy, żeby nie zamoczyć stóp w wodzie.

43

– Czekam na wyjaśnienia – oznajmił Asunander.

Było wtorkowe przedpołudnie i w szóstkę zebrawali się w pokoju komisarza. Prokurator Sylvenius siedział na krześle pod oknem i wyglądał, jakby właśnie połknął gwóźdź. Asunander królował za biurkiem. Backman, Barbarotti

i aspirant Tillgren stłoczyli się na skórzanej sofie. Wennergren-Oloffson wołał stać. Prawdopodobnie dlatego, że w pokoju nie było już więcej miejsc siedzących.

– Nie wiemy, czy to prawda – powiedziała Backman.

– A co wiecie? – zapytał Asunander.

– To był tylko pomysł – odparła Backman.

– Brednie! – rzucił Asunander.

Inspektor Backman odchrząknęła.

– To mogą być oni, ale równie dobrze może to być ktoś inny. Oczywiście jest dużo bardziej prawdopodobne, że to ktoś inny.

– Gdzie inspektor Borgsen? – zapytał Asunander, jakby wszystko mogło się wyjaśnić, gdyby tylko Smutas był na miejscu.

– Wczoraj wieczorem został ojcem – wyjaśniła Backman.

– Dziewczynka.

– Hrm... – chrząknął Asunander. – Rozumiem. No, słucham?

Eva Backman westchnęła i mówiła dalej.

– A zatem niemiecka policja poszukuje samochodu marki Volvo. Przypuszczalnie S80, ciemnoniebieskiego albo ciemnozielonego, najprawdopodobniej szwedzkiego...

– Przypuszczalnie, najprawdopodobniej – powiedział Sylvenius. – Co to, do cholery, znaczy?

– Znaczy dokładnie to, co zazwyczaj – odparła Backman.

– Niemiecki policjant został brutalnie pobity na parkingu... przy zjeździe z parkingu, mówiąc ściślej. Leży pod respiratorem, nieprzytomny, nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

– Pobity? Jak? – dopytywał Sylvenius.

– Wygląda na to, że jakimś tępym narzędziem – odpowiedziała Backman. – Właściwie to mogło być cokolwiek. Zdarzenie miało miejsce wczoraj po południu. Samochód jest oczywiście poszukiwany w całej Europie, ale nie mają lepszego opisu niż ten, który wam właśnie przedstawiłam.

– Przypuszczalnie, najprawdopodobniej – powtórzył niezadowolony prokurator Sylvenius i zaczął wycierać okulary krawatem.

– Dokładnie – oznajmiła Backman. – Pominę szczegóły. Każdy z was będzie się mógł z nimi zapoznać sam. Jest to zgrzebne tłumaczenie z niemieckiego... pokrótce chodzi o to...

– O co? – zapytał Sylvenius.

– Panie prokuratorze, proszę, z łaski swojej, nie przerywać – powiedział Asunander. – Nie będziemy tu siedzieć w nieskończoność.

– Dziękuję – odparła Backman. – A więc w skrócie sprawa wygląda tak. Ten policjant, który niestety w trakcie zdarzenia był w radiowozie sam, ponieważ koledze wypadła jakaś nagła sprawa... zwykle jest ich dwóch... został znaleziony na poboczu przy radiowozie, zaraz przy zjeździe z parkingu. Nieprzytomny, pobity jakimś ciężkim tępym narzędziem. Kilku świadków zeznało, że mijali ten radiowóz z włączonym niebieskim światłem błyskawicznym... i że stał tam też drugi samochód. Inni świadkowie zeznają, że mijali to volvo wcześniej... jeśli przyjmiemy, że to było volvo... a więc zanim przyjechał radiowóz... i że kierowca najwidoczniej złapał gumę. W trakcie zdarzenia mocno padało i zmiana koła prawdopodobnie trochę trwała. Samochód stał w złym miejscu i pewnie dlatego policjant postanowił się zatrzymać i skontrolować sytuację. Nazywa się Klaus Meyer, nawiasem mówiąc.

– Gdzie to się wydarzyło? – zapytał Asunander.

– W pobliżu Emden – wyjaśniła Backman.

– Gdzie to jest? – chciał wiedzieć Sylvenius.

– W Niemczech – odparł Barbarotti.

– Ale dlaczego... dlaczego mieliby być właśnie tam? – nieśmiało zapytał aspirant Tillgren. – To znaczy, chodzi mi o to, że są pewnie tysiące samochodów, które zgadzają się z tym opisem. Dziesiątki tysięcy.

– O tym właśnie musimy zdecydować – wymamrotał Asunander.

– Czy podać im numer rejestracyjny, czy nie – uściśliła Backman.

– To mi się nie podoba – oznajmił Sylvenius.

– Ale Roos i Gambowska są już przecież poszukiwani – powiedział Wennergren-Olofsson. – Prawda?

– Zgadza się – przyznała Backman. – Ale zabójstwo policjanta na autostradzie znaczy dla Niemców trochę więcej niż para uciekinierów ze Szwecji... rozumiesz?

– Ach tak, o to chodzi? – odparł Wennergren-Olofsson.

– Myślicie, że to oni? – zapytał Barbarotti. – Dlaczego, do diabła, miałby skatować policjanta?

– Dobre pytanie – przyznała Backman. – Wystarczy chwila paniki.

– A w ręku odpowiednie narzędzie – rzekł Barbarotti. – Tak, to chyba możliwe. Czy może pojawić się więcej świadków... którzy widzieli numery rejestracyjne? Albo przynajmniej to, czy samochód był szwedzki?

– Możliwe – odparła Backman. – Sprawa jest mocno nagłośniona. Wiele osób widziało ten samochód przy drodze. Cały czas za pośrednictwem radia i telewizji poszukiwani są świadkowie. Oczywiście trudno jest dostrzec jakieś szczegóły, jeśli się tylko przejeżdża obok w strugach deszczu. Co robimy? Podajemy Niemcom numery rejestracyjne czy czekamy?

– Dlaczego mielibyśmy czekać? – zapytał Wennergren-Olofsson.

– Ponieważ – oznajmił Asunander, przesywając go wzrokiem – ponieważ jeśli Niemcy będą podejrzewać, że w tym samochodzie siedzi zabójca policjanta, to jak go tylko znajdą, rzucają w niego granatem. Nie będą wcześniej pytać o zgodę. Tak to wygląda. Poczekamy przynajmniej do czasu, aż zostanie potwierdzone, że volvo jest zarejestrowane w Szwecji. Backman, informuj mnie o sprawie.

- Oczywiście – powiedziała Backman.
- Na bieżąco – rzucił Asunander.
- Na bieżąco – zgodziła się Backman.

- Założymy się? – zapytał Barbarotti.

- Chętnie – odparła Backman. – To oni. Nie wiem, skąd to wiem, ale mam takie przeczucie.

- W Europie może być pięćdziesiąt tysięcy ciemnych volvo.

- To prawda – przyznała Backman.

- Szanse są nikłe.

- Zaproponuj coś. Przecież chciałeś się założyć.

Barbarotti westchnął i położył nogę na biurku.

- *Sorry* – powiedział. – Nic z tego nie będzie. Myślę podobnie. Chociaż...

- Chociaż?

- Mimo wszystko uważam, że powinniśmy trochę poczekać. Nie pytaj dlaczego.

- Dlaczego? – zapytała Eva Backman.

- Poczekaj chwilę – rzucił Barbarotti. – Coś mi przyszło do głowy. Czy oni przypadkiem nie mają kamer na tych niemieckich stacjach benzynowych? Żeby nie można było odjechać, nie płacąc?

- Tak – odparła Backman. – Wzdłuż autostrady na pewno.

- Więc jeśli ten kierowca tankował, zanim złapał gumę... hmm... kamera powinna była to chyba zarejestrować? Trzeba tylko przejrzeć nagrania?

- Nie wiem, jak to działa – przyznała Eva Backman. – Może szybko kasują nagrania. Tak czy inaczej, nie dostaliśmy listy numerów rejestracyjnych.

Barbarotti zamyślił się.

- Jak to właściwie jest? – zapytał. – Czy szwedzkiego pojazdu koniecznie trzeba szukać w Niemczech przez szwedzką policję? Nie wystarczy po prostu bezpośrednio zadzwonić do biura rejestracji pojazdów? To znaczy do naszego biura rejestracji pojazdów?

– Tak, tak sędzę – odparła Backman. – Jeśli mają tam kogoś, kto mówi po szwedzku, powiedzmy. I... hmm... nasze volvo jest już poszukiwane, więc jeśli je znajdą i będą mieli nagrania, to...

– Zaczną rzucać granatami, nie informując nas o tym – dokończył Barbarotti.

– Dokładnie – powiedziała Backman. – Może tak się zdarzyć. Chociaż nie musieli przecież tankować. Mogli się tylko zatrzymać na kawę. Prawda? I wtedy nie ma ich na nagraniu.

– Właśnie – przyznał Barbarotti. – Masz rację. Musimy też pamiętać, że szanse są jak jeden do pięćdziesięciu tysięcy.

Inspektor Backman skinęła głową, usiadła i przez chwilę wyglądała na przygnębioną. Potem spojrzała na zegarek.

– Czas na lunch – oznajmiła. – Doczłapiasz się jakoś do Kungsgrillen?

– Spróbuję – odparł Barbarotti.

Po lunchu zabrał się za finalizowanie śledztwa w sprawie graffiti. Potrzebne były dwie papierowe torby na segregatory.

Lepszy byłby czarny worek na śmieci, pomyślał Gunnar Barbarotti, ale oczywiście zostaną zarchiwizowane. Nawet jeśli nikt nigdy ponownie do nich nie zajrzy. Może zostaną wyrzucone za dziesięć, piętnaście albo dwadzieścia lat, kiedy będzie potrzebne miejsce na półkach. Na nowe segregatory.

Na jednej z toreb przykleił samoprzylepną żółtą karteczkę – Archiwum – i wystawił ją na korytarz. Potem zadzwonił na centralę i zapytał, czy osoby, które poprosił o przyjęcie, już są.

Poinformowano go, że siedzą i czekają na niego. Wziął dyktafon, notes oraz długopis i wyszedł ze swojego pokoju.

Jak się uda, to się uda, pomyślał.

Jeśli się nie uda, to Asunander rzuci mnie wilkom na pożarcie.

Chwilę przed piątą znowu zajął do Backman.

– Coś nowego?

Pokręciła głową.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Dzięki.

– *Sorry*, nie chciałem. Tak, to beznadziejna historia.

– Nie o to chodzi – powiedziała Backman.

– Nie o to? A o co?

Wahała się przez kilka sekund.

– Masz pięć minut?

Wszedł, zamknął za sobą drzwi i usiadł.

– Co się dzieje? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Nie patrzyła na niego. Zamiast tego gapiała się przez okno. Cały czas, odkąd do niej zajął.

Kurczę, pomyślał. Coś się stało. Nigdy jej takiej nie widziałem.

Położył nogę na drugim krześle i czekał.

– Chodzi o Villego – powiedziała w końcu, nie odwracając głowy. – Gunnar, ja po prostu dłużej tego nie wytrzymam.

Odchrząknął, ale nic nie powiedział.

– Nie... wy... trzy... mam.

Wymówiła każdą sylabę, każdą literę, jakby chodziło o wyrzucie przesłania na kamieniu runicznym.

Nieodwołalnie. Pomyślał, że jeśli chodziłoby o słowną szaradę, od razu zgadłby to słowo.

– Cholera – rzucił. – To znaczy...

W końcu odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Ciągle tu siedzę, bo nie chcę jechać do domu – przyznała. – Masz pojęcie?

– Tak sędzę. Co zatem jest nie tak?

– Wszystko – oznajmiła.

– Wszystko? – zapytał.

– Mogę wyliczyć, jeśli chcesz, ale szybciej będzie jeśli powiem, co jest w porządku.

– A więc co jest w porządku? – zapytał.

Zamyśliła się.

– Żadne z nas nie zdradziło – powiedziała. – A przynajmniej tak mi się wydaje – dodała. – I oboje kochamy dzieci. To chyba tyle.

– Hmm... – odchrząknął Barbarotti. – Trochę mało, żeby budować na tym związek. Oprócz tego dużo sportu czy...?

– Zajebiecie... dużo... sportu – powiedziała Backman, znowu dłutując kamień runiczny. – Żyję z czterema fundamentalistami. Nie wystarczy, że sami trenują ten swój pieprzony unihokej i grają mecze osiem dni w tygodniu. Muszą też obejrzeć w telewizji każde wiadomości sportowe, w których jest mowa o piłce nożnej, hokeju, piłce ręcznej, lekkoatletyce albo pływaniu. Teraz zaczęli też oglądać golfa i wyścigi kłusaków... Nocami rozgrywki hokejowe NHL. Boks! Mamy sto kanałów, sześćdziesiąt z nich to kanały sportowe nadające przez całą dobę. No i obstawiają razem gonitwy kłusaków na ATG*... siedzą i obmyślają strategię, rozmawiają o szansach na wygraną, zakładach double, Harrym Boyu i sama, kurwa, nie wiem, o czym jeszcze. Gunnar, nie... wy... trzy... mam! Ani sekundy dłużej!

– Czy... rozmawiałeś o tym z Villem? – ostrożnie zapytał Barbarotti.

– Mówię mu o tym od piętnastu lat – odpowiedziała Eva Backman. – Ale dość tego.

– Nie masz chyba na myśli, że...?

– ...

– ...że zamierzasz go zostawić?

– Tak.

– Mówiłaś mu o tym?

Przez chwilę wyglądała, jakby nie była zdecydowana. Potem się zaśmiała.

– Nie – oznajmiła. – Pomyślałam, że ty się dowiesz pierwszy.

* Szwedzki organizator wyścigów kłusaków (przyp. tłum.).

– Ja... Dziękuję za zaufanie – powiedział Barbarotti. – Ale...?

– Zadzwoń do niego i mu o tym powiem – wyjaśniła Eva Backman.

– Teraz?

– Tak. Zaraz się pozbieram.

– Może pojedź do domu i porozmawiaj z nim w cztery oczy?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie chcę ryzykować, że dzielę go patelnią. Zostanę i prześpię się tutaj.

– Tutaj? – zapytał Gunnar Barbarotti. – Nie możesz przecież, do cholery, nocować na komisariacie!

– Nic mi nie będzie – wyjaśniła Eva Backman. – Już tu kiedyś spałam, ty chyba zresztą też? Nie martw się, wiem, co robię.

– Naprawdę dobrze to przemyślałaś? – chciał wiedzieć Barbarotti.

– Dziesięć lat, myślisz, że wystarczy?

– Okej – westchnął Barbarotti. – Ale możesz pojechać ze mną i przespać się u nas? To żaden problem, przecież wiesz.

– Dzięki – odparła Eva Backman. – Może innym razem. Chcę tak zrobić i zobaczmy. Dobrze...

– Tak?

– Dobrze, że się zdecydowałam. I że ci o tym powiedziałam... teraz nie ma odwrotu...

– Chyba jest? Przecież zawsze możesz...

– Nie rozumiesz? Nie chcę mieć żadnego cholernego odwrotu.

– Aha? Okej, rozumiem.

– Zresztą może zamieszkać z moim bratem i szwagierką... i z ojcem. Nie rozmawiałam z nimi jeszcze na ten temat, ale sądzę, że przez jakiś czas będę mogła.

– Okej – powiedział Barbarotti. – Tylko pamiętaj, że mamy wolne pół domu. Marianne cię lubi, przecież wiesz.

- *All right* – powiedziała Eva Backman. – Miło, że tak mówisz. Ale teraz zmykaj. Muszę zadzwonić w ważnej sprawie.
- Powodzenia – rzucił Gunnar Barbarotti. – Zadzwonię do ciebie wieczorem, żeby skontrolować sytuację.
- Dziękuję – powiedziała Backman. – Naprawdę.

44

Ante Valdemar Roos obudził się z zimna.

Leżał na przednim siedzeniu, na zewnątrz panowały egipskie ciemności, a o przednią szybę monotonicznie uderzała gałąź. Nie padało już, ale wiał silny wiatr, którego mocne podmuchy od czasu do czasu kołysały samochodem.

A może tak mu się tylko wydawało. Może to jego wewnętrzny niepokój współgrał z zawodzącymi, wznoszącymi się i opadającymi tonami, które słychać było na zewnątrz. Nie wiedział, gdzie są, pamiętał tylko, że zjechał na jakiś parking, bo prawie zasnął za kierownicą. To musiało być po północy, jakoś zaraz po dwunastej. Zanim pozwolił, żeby zawładnął nim sen, wyszedł na dwór i zakopał plastikową torbę z lewarkiem. Głęboko w rowie. Nic nie widział – wtedy było tak samo ciemno jak teraz – zakopywał obiema rękami; głównie w starych liściach i gałęziach, ale wydawało mu się, że lewarek został porządnie ukryty. Komu chciałoby się ryc ziemię w rowie za parkingiem?

Jeśli jeszcze raz złapiemy gumę, nie będziemy mieć lewarka, pomyślał tuż przed zaśnięciem. Teraz mu się to przypomniało. Trochę dziwne, ale chyba o tym śnił.

Z drugiej strony nie mają też koła zapasowego, stwierdził i przypomniało mu się, że ta myśl go rozbawiła.

Znak, że ciągle umie się śmiać.

Anna leżała na tylnym siedzeniu; wyciągnął rękę i zmierzył jej puls. Słabo wyczuwalny, ale normalny, jak stwierdził. Ani za szybki, ani szczególnie wolny. Miała cienki nadgarstek, prawie jak u małego dziecka. Zatrząsał się z zimna i poprawił się na siedzeniu. Poczul ból w lędźwiach.

Jasne, że boli, pomyślał. Sześćdziesięcioletnie plecy nie powinny leżeć pokrzywione na przednim siedzeniu samochodu.

Uruchomił silnik, żeby się trochę ogrzać. Nie gasząc go, wyszedł i wysikał się pod drzewem.

Jak pies, zauważył. Stoje i obsikuje drzewo jak bezpański pies.

Wślizgnął się z powrotem do samochodu i wygrzebał mapę. W nocy dotarli do skrzyżowania i skręcił, nie wiedząc, w którą stronę świata. Potem jechał przez kolejne dwie godziny i nagle opuściły go siły. Przypomniał mu się drogowskaz; pojawił się zaraz przed tym, jak się zatrzymali na parkingu; chyba Aarlach 49.

Nigdy nie słyszał o tym miejscu i nie znalazł go na mapie. No tak, ale to nic nie znaczy. Jest mnóstwo miejsc na południu Europy, o których nie słyszał.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do piątej.

Niedługo ranek, stwierdził i przetarł oczy. Pora zmierzyć się z nowym dniem.

Czuł, że śmierdzi. Odór potu i brudnych ciuchów. Od prawie dwóch dni się nie przebierał. Anna też nie i prawdopodobnie nie pachniała jak pąk róży, kiedy tak leżała na tylnym siedzeniu, opatulona w koce, poduszki i różne takie. Wszystko po to, żeby jej było ciepło; miał na sobie tylko koszulę flanelową i cienką wiatrówkę, nie dziwota, że zmarzł.

Przekręcił wsteczne lusterko i przez kilka sekund przyglądał się swojej twarzy.

Boże drogi, pomyślał. Ten facet wygląda jak kloszard. Totalny wrak.

Oprócz tego miał brudne ręce po nocnym kopaniu w rowie. Powąchał – śmierdziały ziemią i zgnilizną.

Ustawił lusterko w normalnej pozycji, żeby nie musieć na siebie patrzeć. Potem siedział kompletnie bez ruchu, trzymając ręce na kierownicy, a ciepło powoli, lecz konsekwentnie rozchodziło się po jego ciele. Po chwili zaczął szukać gumy do żucia, żeby pozbyć się nieświeżego smaku w ustach, ale nie znalazł ani jednej. Gdzieś powinna być cała paczka, wiedział o tym; kupił ją wczoraj wieczorem na tamtej stacji benzynowej.

Kupił też gazetę i przeczytał o tym policjancie, który został pobity na innej stacji. Najwyraźniej był na granicy życia i śmierci. Klaus Meyer, żona i dwoje dzieci. Zamieścili jego zdjęcie, ale go na nim nie rozpoznał. Poszukiwano sprawcy, policja w całym kraju została postawiona w stan gotowości. *Der Täter* to chyba znaczy sprawca?

Ja? – pytał sam siebie, czytając artykuł. – Czy ja, Ante Valdemar Roos, jestem w to zamieszany?

Der Täter.

To musi być jakieś nieporozumienie. To nie było tak, pomyślał. Gdyby nie był tak cholernie ciekawski, ten Klaus Meyer, to nie musiałyby się nigdy zdarzyć. Poza tym, jeśli ma się żonę i dwoje dzieci, to powinno się trochę uważać. Była...

Życie i los Anny były w jego rękach, to był sens wszystkiego, a ten Klaus Meyer próbował go powstrzymać. Nie miał prawa się wtrącać... pieprzony idiota.

Valdemar pokręcił głową i ścisnął kierownicę.

Koniec z analizowaniem, uznał. Koniec z niezdecydowaniem i ze wszystkimi nieistotnymi sprawami. Teraz chodzi o to... teraz trzeba patrzeć w przyszłość. Co jest najważniejsze?

Znaleźć dach nad głową, oczywiście.

Znaleźć hotelowy pokój, w którym będą mogli wziąć prysznic, zmienić ubrania i wypaść się w prawdziwym łóżku. Co prawda żadne z nich nie miało już czystych ubrań, w które mogliby się przebrać, bo pranie zrobili tylko raz,

w tamtym pensjonacie w Danii, a od tamtej pory minęło sporo czasu. Nie wiedział dokładnie, ile.

Chociaż jeśli udałoby mu się zapakować ją do łóżka, to mógłby wziąć ciepły prysznic, a potem pójść na zakupy i kupić potrzebne rzeczy. Potem obudzi ją, ona weźmie prysznic... albo kąpiel, kąpiel byłaby jeszcze lepsza. Kupi jakiś kobiecy, ładnie pachnący płyn do kąpieli... zjedzą porządne śniadanie... albo lunch, albo wszystko jedno co... a potem, siedząc i popijając kolejną filiżankę kawy, najedzeni i zadowoleni... on ze swoją fajką, ona z papierosem... zdecydują, dokąd pojedą. Tak, dokładnie tak.

Może Włochy. Albo Francja.

Zadowolony ze swojego prostego planu – ze scenariuszem przed oczami – zapiął pas i wyjechał z parkingu.

Wraz z nadejściem świtu zdał sobie z czegoś sprawę.

Może taka była rola brzasku? – pomyślał. Po to był, na dobre i na złe; złe polegało teraz na tym, że trzeba było wjechać do nowego miasta, gdzie zaparkować, poszukać hotelu, podejść do kontuaru recepcji...

W tym stanie? – pomyślał i wypił łyk letniej wody z plastikowej butelki. Z tym wyglądem? Po prostu nie da rady. Gdyby Anna była w formie i trzymała się na nogach, może, ale wlec ją ze sobą przez hotelowe lobby, wyjaśniać, że jest jego córką i że potrzebują pokoju na jedną lub dwie noce, że niestety ukradziono im paszporty, że chcą zapłacić gotówką... I ten ich zapach, ich brud i ich... nie, to wykluczone.

Z drugiej strony muszą się ruszyć z samochodu i znaleźć jakiś nocleg; łóżko, prysznic i ubrania to naprawdę była konieczność.

Pałaca konieczność, pomyślał Ante Valdemar Roos. Można tak powiedzieć? Czy konieczność może być pałaca? A może zawsze jest pałaca?

To kwestia do rozważenia. Dlaczego po prostu nie mógł...
– Valdemar?

Wzdrygnął się i wjechał kołem na kocie oczka oddzielające pas jezdni od pobocza.

– Co tak hałasuje?

To były jej pierwsze słowa od dwunastu godzin, od co najmniej dwunastu godzin. Jej głos łamał się jak kruchy papier ryżowy.

– Anno? – zapytał, zjeżdżając z powrotem na jezdnię i zmniejszając prędkość. – Jak się czujesz?

– Gdzie jesteśmy? Będziemy niedługo na miejscu?

– Tak – powiedział. – Niedługo. Jak się czujesz? Chcesz się trochę napić?

Oddychała ciężko i próbowała usiąść.

– Valdemar, czuję się dziwnie. Jestem całkiem... jakby odrętwiała.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu.

– Zaraz się zatrzymamy – oznajmił. – Pojedziemy gdzieś, żebyś mogła się położyć w porządnym łóżku i porządnie odpocząć.

– Odpocząć? – zdziwiła się. – Przecież...

– Tak?

– Valdemar, ja przecież nie robię nic innego, tylko odpoczywam.

– Niedługo wydobrzejesz – powiedział. – Musisz też coś zjeść. Nie jesteś głodna?

Zwlekąca z odpowiedzią, jakby naprawdę próbowała to poczuć.

– Nie... – odparła. – Nie jestem głodna... ani trochę.

– Anno, musimy o ciebie dbać. Boli cię?

Znowu sprawdziła.

– Nie, nie czuję bólu... tylko otępienie.

– Otępienie?

– Tak.

– Rozumiem. Chce ci się siku?

– Nie sądzę. Ile nam jeszcze zostało?

– Jakaś godzina – odpowiedział. – Prześpij się jeszcze trochę, obudzę cię, jak będziemy na miejscu.

– Okej – rzuciła.

Znowu się skuliła, plecami do niego, z kocem na głowie. Westchnął i skoncentrował się na drodze. Pojawił się nowy drogowskaz, Maardam 129.

Wspaniale, pomyślał Ante Valdemar Roos. Tak myślałem. Plan B.

Kobieta za kontuarem recepcji miała coś z jednym okiem. Powieka zwisała i przysłaniała je do połowy; przypuszczał, że jest na nie ślepa.

Gdyby nie to, wyglądałaby całkiem nieźle, pomyślał. Czterdziestolatka: ciemna, może odrobinę wulgarna, ale, Boże drogi, jeśli się stoi za kontuarem recepcji przydrożnego motelu, to powinno się chyba tak wyglądać?

– *You speak English?* – zapytał.

Potwierdziła, że trochę rozumie. Jej głos zdradzał zamiłowanie do whisky i papierosów, czterdziestu dziennie. I to przez wiele lat.

Dobrze, pomyślał. To kobieta, która nie zadaje niepotrzebnych pytań.

– Prowadziłem całą noc – wyjaśnił. – Miałem jechać dalej, ale córka dostała choroby lokomocyjnej, więc...

– Nie możecie się zameldować przed drugą – oznajmiła kobieta.

– Mogę zapłacić więcej – powiedział Valdemar.

– Zobaczę, co się da zrobić – wyjaśniła kobieta. – Jedna noc, tak?

– Jedna noc – potwierdził Valdemar.

Kartkowała segregator.

– Pokój numer dwanaście – oznajmiła. – Dodatkowo pięćdziesiąt za wcześniejszy *check-in*.

– W porządku – powiedział Valdemar.

– Płatne z góry. Może pan zaparkować pod samym hotelem.

– *Thank you* – podziękował Valdemar. – *Thank you so much.*

– *You're welcome* – odparła kobieta.

Zapłacił i przypomniała mu się jedna rzecz.

– Jak daleko jest stąd do Maardam?

– Czterdzieści pięć kilometrów – odpowiedziała kobieta.

– Czy bliżej jest jakaś miejscowość?

– Jest Kerran – poinformowała kobieta.

– Jak daleko stąd?

– Sześć, siedem kilometrów. Za pięćset metrów jest drogowaskaz.

Pokazała palcem. Skinął głową i zapłacił.

Jeszcze raz podziękował, kobieta jeszcze raz powiedziała, że nie ma za co, i poszedł do samochodu.

Kiedy ją położył, siedział przez chwilę na brzegu łóżka i głaskał ją po policzku zewnętrzną stroną dłoni. Nie spała, ale nie była też całkiem obudzona. Mruczała coś od czasu do czasu, ale nie mógł zrozumieć, co próbuje powiedzieć.

Może to nie było nic ważnego, może po prostu mówiła do siebie. Pomyślał o pisklęciu, któremu kiedyś, jak był mały, uratował życie. Miał złamane skrzydło i inne uszkodzenia; trzymał go pod swoim łóżkiem w pudełku po butach wyściełanym bawełną, trawą i innymi rzeczami. W pewien sposób Anna go przypominała; pamiętał, z jaką czułością delikatnie muskał go palcami. Dokładnie tak jak teraz.

Chociaż pewnego popołudnia, kiedy wrócił ze szkoły, pisklak nie żył, więc mimo wszystko to nie było dokładnie to samo.

– Wyjdę na chwilę – powiedział. – Pojadę i kupię wszystkiego po trochu. Wrócę za dwie, trzy godziny.

Nie odpowiedziała.

– Rozumiesz, co mówię, Anno?

Coś wymamrotała, a on zinterpretował to jako potwierdzenie. Jako zgodę.

– Najwyżej trzy godziny. Tutaj na stole masz wodę i lemoniadę. Nie martw się.

Westchnęła i przekręciła się na bok.

Wspaniale, pomyślał. Teraz będzie spała przez kilka godzin, a jak wróce, weźmie prysznic.

– Kupię ci też papierosy. I czystą bieliznę. Jakiś konkretny rozmiar? Albo kolor?

Nie odpowiedziała. Wstał, znowu poczuł łupanie w krzyżu i ostrożnie wyszedł na palcach.

45

Inspektor Barbarotti czytał Biblię.

A ściślej mówiąc, miał ją na kolanach. Leżała tam w oczekiwaniu na inspirację. Ciągłe był wtorek siódmego października i mimo iż była dziesiąta wieczorem, mógł siedzieć na tarasie. Co prawda z nogami przykrytymi kocem, ale zawsze. Marianne siedziała obok niego, także z nogami owiniętymi kocem, i właśnie stwierdziła, że z pogodą jest coś nie tak. Jest nienaturalnie ciepło.

– Apokaliptycznie – powiedziała. – Jest apokaliptycznie, nie sądzisz? Jakby cały świat czekała duża zmiana.

– Katastrofa? – zapytał. – Dla mnie jest po prostu ciepło i przyjemnie.

– Też tak uważam – odparła. – Próbuję tylko być odrobinę dramatyczna. Chcesz jeszcze wina?

Chciał. Jeśli i tak będzie katastrofa, to równie dobrze może mieć trochę rozgrzaną krew.

Marianne ma jutro wolne, pomyślał. Pokochamy się trochę, jak tylko wszystkie dzieci wylądują w łózkach.

Niekoniecznie tutaj, możemy pójść na pomost.

Ten, który zbudował jej brat.

Kochać się na dworze w październiku, pomyślał, z gipsem, na pomoście, tak, świat oszalał.

A przynajmniej pogoda. Szwagrze, dzięki ci w każdym razie.

Chociaż to była tylko myśl, ten pomost; większość latorośli wydawała się jeszcze nie spać. Pojawiali się i znikali; w nierównych odstępach czasu przechodzili obok siedzących na terasie, przykrytych kocami rodziców; pytali o różne rzeczy i zastanawiali się, dlaczego tam przesiadują.

Nie wszystkie dzieciaki były tym zainteresowane, ale niektóre tak. A rodzice siedzieli tam, gdzie siedzieli, dla przyjemności.

– Nie czujecie, że to magiczny wieczór? – Marianne zapytała jedną z córek, a ta oznajmiła tylko, że to najgorszy magiczny wieczór, i poinformowała, że jutro rano ma klasówkę z matmy.

Rodzice uśmiechnęli się, w ciszy wzniesli toast i delikatnie się dotknęli. Po chwili Gunnar uznał, że już pora, włożył palec w Biblię, otworzył ją i przeczytał:

Każdy z nich ciało ramienia swego jeść będzie;
Manases Efraima, a Efraim Manasesa*.

– Manases i Efraim? – krzyknął zdziwiony. – Jak, do licha, mam to rozumieć? Ciało ramienia swego?

– Wiesz co – powiedziała Marianne. – Nie jestem pewna, czy Bóg zawsze docenia twój sposób czytania Biblii.

– Ach tak? – zdziwił się Barbarotti. – Masz na myśli, że moje podejście jest trochę zbyt... nieusystematyzowane?

– Może czasami – odparła Marianne.

– Może nie każdy wiersz jest doskonały? – zaproponował Barbarotti.

– Może – zgodziła się Marianne.

* Iz 9,20 (przyp. tłum.).

– Eva Backman się rozwodzi – powiedział pół godziny później, kiedy Efraim i Manases zeszli na dalszy plan, wszystkie dzieciaki prawdopodobnie leżały już w łóżkach, a oni jeszcze nie zeszli na pomost. Poza tym nie było pewne, czy w ogóle tam pójdą; zdawał sobie z tego sprawę, ale nie chciał zbyt wcześnie pozbawiać się złudzeń.

– Rozwodzi się? – zapytała Marianne. – Czas najwyższy.

– Co? – zdziwił się Barbarotti. – Co masz na myśli?

– Że robi dobrze, oczywiście – odpowiedziała Marianne.

– To mam na myśli. Jeśli poczekałaby jeszcze ze dwa lata, byłoby za późno.

– Spotkałaś ją tylko raz, prawda?

– Tak – potwierdziła Marianne. – Czasami raz wystarczy.

– Nie sądziłem, że czegoś mu brakuje.

– Szklance wody też niczego nie brakuje.

Gunnar Barbarotti zamyślił się.

– Chyba dość długo z tym zwlekała – powiedział.

– No właśnie, o tym przecież mówię – oznajmiła Marianne. – Jak ona się czuje, potrzebuje pomocy?

– Cóż... nie wiem. Jasne, że potrzebuje o tym pogadać... powiedziałem, że może przyjść do nas, jeśli chce, ale wołała przespać się na komisariacie.

– Dziś w nocy? – zapytała Marianne i spojrzała na zegarek.

– Tak.

– Kiedy mu o tym powiedziała?

– Dzisiaj wieczorem. Przez telefon. Potem miała uderzyć w kimono.

Marianne poprawiła się na krześle.

– Gunnar, mam nadzieję, że jej wyjaśniłeś, że mamy mnóstwo miejsca?

– Oczywiście.

– I że bardzo ją lubię?

– Tak, wszystko to powiedziałem, ale się uparła... Przepuszczam, że chce pobyć sama. Żeby...

– Żeby co?

– Żeby oswoić się z sytuacją i takie tam. Dzwoniłem kilka godzin temu i powiedziała, że wszystko okej.

– Hmm...

Marianne przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, kręcąc swoim kieliszkiem.

– Może i słusznie – powiedziała potem. – Nie powinno się przyklejać plastra, zanim rana nie zacznie porządnie krwawić. Wiesz co?

– Nie – oznajmił Gunnar Barbarotti.

– Uważam, że to wielka łaska, że możemy tak sobie siedzieć, ty i ja. Nigdy nie możemy uznać, że na to zasłużyliśmy. Wielka łaska, słyszysz?

– Masz na myśli dom, ogród i jezioro? – zapytał Barbarotti.

– Nie, idioto – odparła Marianne. – Mam na myśli ciebie, mnie i dzieci. Miło oczywiście mieć dom, ogród i jezioro, ale nie to jest najważniejsze.

– Rozumiem – powiedział Barbarotti.

– Na pewno?

– Na pewno – odparł. – Takie noce jak ta też się nie zdarzają zbyt często. Jest chyba ze dwadzieścia stopni, jak sądzisz? W połowie października. Masz może... masz może ochotę zejść na chwilę na pomost?

– Na pomost? – zapytała Marianne.

– Tak.

– Czemu nie? – odpowiedziała.

Zadzwoił do Evy Backman, jak się tylko obudził.

Zapewniła, że w dalszym ciągu wszystko jest w porządku, że spała co najmniej pięć godzin i że po pracy ma się spotkać z rodziną, żeby porozmawiać o przyszłości. Wprawdzie oznacza to rezygnację z ważnego meczu unihokeja, ale po wstępnych negocjacjach wszyscy zainteresowani na to przystali.

- Żartujesz? – zapytał Barbarotti.
- Niestety nie – odpowiedziała. – I nie jestem zdziwiona. Wręcz przeciwnie, cieszę się, że wszyscy znajdą czas i przyjdą.
- Kurcze – rzucił Barbarotti.
- Dość rozmów na ten temat – zdecydowała inspektor Backman. – Przez kilka dni będę mieszkać u mojego brata, od dzisiejszego wieczoru, potem się zobaczy.
- Wczoraj opowiedziałem Marianne o twojej sytuacji – wyjaśnił. – Ona też uważa, że powinnaś zamieszkać z nami.
- Doceniam to – rzekła Eva Backman. – Może niebawem skorzystam z propozycji, ale nie musimy chyba teraz podejmować decyzji?
- Oczywiście, że nie – odparł Barbarotti. – *À propos* twojego brata, to zastanawiałem się nad jedną rzeczą.
- Ach tak?
- Czy on przypadkiem nie mieszka w pobliżu Lograny?
- Tak... jasne. Dlaczego pytasz?
- Czy ja wiem, pomyślałem tylko, że można by z nimi porozmawiać. Mogli przecież coś widzieć. To znaczy nie samo morderstwo, oczywiście, ale może wcześniej natknęli się na Valdemara albo dziewczynę?
- Już to sprawdziłam – oznajmiła Eva Backman. – Niestety, żadne z nich niczego nie widziało.
- Okej – rzucił Barbarotti. – Tak tylko pomyślałem. Jakieś wieści z Niemiec?
- Co prawda jestem na komisariacie – podkreśliła Eva Backman – ale jeszcze nie zaczęłam pracy.
- Będę za godzinę – obiecał Barbarotti. – Mam nadzieję, że wtedy będziesz już w pracy. Dzisiaj znajdziemy tego drania, czuję to.
- W takim razie zaufajmy twojej męskiej intuicji – powiedziała Backman i odłożyła słuchawkę.

Nagle w głowie zaczęły tłoczyć się głosy, nie obrazy. Czasami mogła je zidentyfikować, rozpoznać, kto mówi, innym razem nie.

„Leż spokojnie, jeśli się poruszysz, będziesz martwa!” – na przykład to. Kto to powiedział? Mężczyzna, bez żadnych wątpliwości; słyszała chrapliwy głos, który wydawał się być daleko od niej i wcale nie brzmiał tak złowieszczo, jak jej się na początku wydawało. Raczej doradzał, że nie powinna się poruszyć albo coś w tym rodzaju.

„Anno, jestem taka zmęczona, odprowadź dzisiaj Marka do przedszkola, wymiotowałam przez całą noc!”. To była oczywiście mama. „No, ale pospiesz się, mają wycieczkę, musi tam być za kwadrans!”. I po krótkiej przerwie, w czasie której zapala papierosa: „Anno, wiem, że jestem trochę wstawiona, ale musimy porozmawiać. Twój ojciec nie jest dobrym człowiekiem, przykro mi to mówić, ale tak właśnie jest. Trzymaj się od niego z daleka”.

Tak, mama miała jej dużo do powiedzenia i cały czas balansowała między apelem a groźbą. Nie, nie groźbą, to było co innego; może po prostu chodziło o to, że nigdy nie było wiadomo, kto miał się kim zaopiekować.

I że wszystko, prędzej czy później, i tak szlag trafi, to pewne. To tylko kwestia czasu.

Valdemar też zabierał głos. „Moja droga, wspaniale. Gdzie się nauczyłaś tak pięknie grać? Bóg nie stworzył pośpiechu, teraz utniemy sobie drzemkę”. To było jak stare słuchowisko radiowe. Grał dobrego tatę albo stryjskiego lub wujka, a ona grała... no właśnie, nigdy nie słyszała swojego głosu, może była po prostu dobrą, potulną córką, a może wcale nie brała udziału w tym słuchowisku, tylko słuchała radia.

No i Steffo. Chciała zasłonić sobie uszy, kiedy Steffo coś mówił, i przypuszczalnie tak zrobiła; próbowała docisnąć

głowę do poduszki i ogłuchnąć, ale to nie pomagało, bo głosy pochodziły z niej samej, z wnętrza.

„Jesteś moja – powiedział. – Jesteś tylko moja. Chcę, żebyś się teraz rozebrała i pokazała mi ten tatuaż, twój prezent urodzinowy, za który zapłaciłem”.

Tak, Steffo; jego głos był równie wyraźny, co nieprzyjemny, ale kto powiedział: „Oddałaś swoje serce, Anno, a ten, kto to robi, jest stracony”?

I: „Zważyliśmy cię na tej wadze i skala się nie wychyliła. Jak to wyjaśnisz?”.

Nie wiedziała. Tak czy owak, głosy były dokładnie te same i cały czas powracały identyczne słowa. W kółko te same, choć z czasem zaczęły się mieszać i coraz bardziej ze sobą zlewać, wchodziły sobie w słowo, przepychały się i sprzeczały. Nawet jeśli nikt nie wykrzykiwał swojego przesłania, jakie by ono nie było, to rosło tempo, mówili coraz szybciej, coraz żarliwiej, jakby nie tylko bili się o jej uwagę, ale także domagali się od niej jakiejś odpowiedzi, a Valdemar był rozdrażniony. W końcu ktoś krzyknął: „Ja to nie Hitler, nie Hitler, jestem dobrym człowiekiem!” i prawdopodobnie to ją obudziło.

Chociaż granica między snem a jawą wydawała się niewyraźna i płynna. Otworzyła oczy i spojrzała w kierunku nocnego stolika, na którym stało radio, a potem na okno z zasłoniętymi żaluzjami, głosy jednak nie zniknęły całkowicie. Ciągłe były słyszalne jak cichy szum z tyłu głowy i kiedy zdała sobie sprawę z tego, że tak właśnie jest, że nie śpi i śni zarazem, przestraszyła się. Słyszę głosy? Ogarnął ją lodowaty strach, od którego ścierpła jej skóra. Zrozumiała, że znowu przypomniała sobie o niej Śmierć, ale tym razem nie była przyjazna i łagodna, tylko przerażająca i groźna.

Skąd ma znaleźć siłę, żeby z nią walczyć? Bo ją trzeba zwalczyć, co do tego nie było wątpliwości. Głowa bolała jak zwykle, tępo i ćmiąco, prawe ramię było zdrętwiałe, też jak zwykle. Słabe mdłości przybierały na sile i nagle pojawił się

inny głos, który wcale nie brzmiał jak tamte; wydobywał się gdzieś z samego wnętrza klatki piersiowej i po chwili zrozumiała, że to jej własny głos.

„Wyjdź z tego pokoju – powiedział. – Musisz jechać do szpitala. Jesteś umierająca”.

Nie cichł.

„Wyjdź z tego pokoju. Musisz jechać do szpitala. Jesteś...”.

Zdecydowała, że go posłucha, i zrobiła to prawie natychmiast, nie było to jednak takie proste. Samo spionizowanie się na brzegu łóżka zajęło sporo czasu. Wstając, prawie zemdlała, a przemieszczenie się tych kilka metrów do drzwi było jak prawdziwy maraton. Zmęczenie ważyło tonę – jak plecak wypełniony po brzegi brukiem, strachem, ołowiem i lękiem. Musiała wydać swoim nogom rozkaz, żeby się w ogóle ruszyły.

Miała nadzieję, że wyjdzie na korytarz lub coś podobnego – o ile teraz w ogóle miała jeszcze na coś nadzieję... – a przynajmniej do pokoju, gdzie będą ludzie, ale zamiast tego znalazła się na parkingu. Porwał ją wiatr i zatoczyła się, zanim zagryzła zęby i zrozumiała, że musi przejść jeszcze kawałek. Musi. Stała tam z dłonią wciąż zaciśniętą na zimnej klamce, jakby w jakiś absurdalny sposób próbowała wyssać z niej energię; stała tam i obserwowała samochody ustawione rzędem, pyskami zwrócone w jej stronę, jak głodne zwierzęta... niebieski, biały, czerwony, jeszcze jeden czerwony i kamper... Za samochodami była ruchliwa droga, słyszała ruch uliczny, trochę dalej zielono-żółty skrawek lasu i ptaki szybujące pod niespokojnym niebem.

Gdzie ja jestem? – pomyślała. Jak się tutaj znalazłam? Znowu mam zwidy? Dokąd powinnam pójść?

Wtedy powrócił głos. „Musisz jechać do szpitala. Jesteś umierająca”.

A zatem... – pomyślała, biorąc w płuca tak dużo powietrza, jak tylko mogła. A zatem...

Puściła klamkę i zaczęła iść.

Kiedy otworzyła drzwi do małej motelowej recepcji – banalnego, niewielkiego pomieszczenia mającego zaledwie kilka metrów kwadratowych, z kontuarem, dwoma intensywnie czerwonymi, plastikowymi krzesłami i małą półką z broszurami – siły ją opuściły. Osunęła się, uderzając głową o półkę z broszurami, zaczęła krwawić z rany tuż nad prawą brwią i niczym zestrzelona zwierzyna padła między dwoma krzesłami.

Jednooka kobieta za kontuarem podniosła się do połowy, dotknęła dłonią ust i zgasiła papierosa.

Potem złapała za telefon i zadzwoniła po karetkę.

47

– Jak się czujesz? – zapytał Barbarotti.

– Tak, jak na to zasługuję – odparła Eva Backman. – Ale obawiam się, że nie mamy czasu na prywatne pogawędki.

– Czemu? – zapytał Barbarotti.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek.

– Za pięć minut randka z Asunanderem.

– Z Asunanderem? Znowu? Stało się coś?

– Można tak powiedzieć – odpowiedziała Eva Backman.

– Syn zadzwonił tutaj pół godziny temu.

– Syn? – zdziwił się Barbarotti. – Nie sądzisz, że mogłabyś mówić trochę jaśniej?

– Oczywiście – odparła Backman. – Rano zadzwonił Greger Roos. Telefon odebrał Toivonen, ale po minucie przejęłam rozmowę. Mieszka tam, na południu.

– Czekaj – rzucił Barbarotti. – Twierdzisz, że Greger Roos, który, jak się domyślam, jest synem Valdemara Roosa, zadzwonił tutaj... Gdzie on mieszka?

– W Maardam – oznajmiła Backman. – Od piętnastu lat mieszka w Maardam, pracuje w jakimś banku czy coś takiego.

– Myślałem, że nie mają ze sobą kontaktu – powiedział Barbarotti. – Ale olać to. A więc czego chciał?

– Chciał poinformować, że odwiedził go ojciec.

– Ojciec? – zdziwił się Barbarotti. – W takim razie... w takim razie, innymi słowy, mamy go?

– Nie do końca – odparła Backman. – Wizyta była krótka, a potem znowu zniknął.

– Niech to szlag trafi!

– Można tak powiedzieć.

– Była z nim dziewczyna? – zapytał Barbarotti.

– Nie. Ale zostawił list.

– List?

– Tak.

– Co jest w nim napisane?

– Tego nie wiemy. Syn go nie otworzył. Ale wygląda na to, że jest adresowany do nas.

– Co ty, do cholery, mówisz? – wyjęczał Barbarotti. – Valdemar Roos odwiedził swojego syna w Maardam, zostawił list do nas i znowu się zmył?

– Dokładnie tak – potwierdziła Eva Backman. – Idziemy do Asunandera. Równie dobrze możemy kontynuować rozmowę u niego, prawda?

– Podaj mi kule – poprosił Barbarotti.

Asunander wyglądał jak kot, który wprawdzie nie zjadł jeszcze kanarka, ale odgryzł mu skrzydełka i zapędził go w kozi róg.

Innymi słowy był niezadowolony tylko trochę.

To my jesteśmy tymi kanarkami, pomyślał Barbarotti.

Usiedli i Backman otworzyła swój notes.

– Jak to się mogło stać – zaczął komisarz z wystudiowaną powolnością – jak to się mogło stać, że nie sprawdziliśmy tego tropu wcześniej?

– Ee, wydaje mi się, że... – próbował Gunnar Barbarotti, ale Asunander machnął ręką, ucinając to, co miał do powiedzenia.

Może i dobrze, pomyślał Barbarotti. Skoro nie mam nic do powiedzenia.

– Ty zajmujesz się graffiti – oznajmił Asunander. – Wolałbym, żeby w tej sprawie wypowiedziała się inspektor Backman.

– Oczywiście – odchrząkując, powiedziała Eva Backman. – To nie tak. Komisarz źle to zrozumiał. Skontaktowałam się z Gregerem Roosem już tego dnia, kiedy znaleźliśmy ciało. Rozmowa jest odnotowana w raporcie, który napisałam tego samego dnia. Mam go przy sobie, jeśli chciałby pan sobie odświeżyć pamięć.

Co za kobieta, pomyślał Barbarotti i ugryzł się w policzek, żeby się nie uśmiechnąć.

– Co? – zapytał Asunander. – To znaczy... naprawdę? W takim razie czemu... czemu nie poszliśmy tym tropem?

– Bo nie było żadnego powodu – wyjaśniła Eva Backman. – Valdemar Roos w gruncie rzeczy nie utrzymuje kontaktu z synem. Ostatnio widzieli się na pogrzebie dziesięć lat temu.

– Na czym pogrzebie?

– Na pogrzebie pierwszej żony Valdemara, matki chłopaka. W Berlinie. Ojciec i syn spędzili ze sobą cztery godziny.

– Niezbyt dużo – skwitował Asunander.

– Można tak powiedzieć – oznajmiła Backman. – Jak już mówiłam, nie było żadnego powodu, by przypuszczać, że Greger Roos może być w jakikolwiek sposób zamieszany w tę sprawę. Ale obiecał, że zadzwoni, jeśli będzie mógł jakoś pomóc. No i zadzwonił.

Komisarz Asunander odchylił się i myślał przez pięć sekund.

– Trzy pytania – oznajmił.

– *Shoot* – rzuciła Eva Backman.

– Po pierwsze, gdzie aktualnie znajduje się Valdemar Roos? Po drugie, gdzie jest dziewczyna? Po trzecie, co, do cholery, jest w tym liście?

– Zanotowałam sobie dokładnie te same pytania – stwierdziła Backman. – Plus jeszcze jedno: Czy zadzwonić do niego i poprosić o przeczytanie listu?

Asunander zmarszczył czoło i znowu się zamyślił.

– Cholera wie – powiedział. – Jasne, że tak byłoby naj-
szybciej... a jak wygląda sytuacja? Nie potwierdzono, że to
oni są sprawcami tej historii na stacji benzynowej, prawda?

– Nie – odparła Backman – nie potwierdzono. Nie ma
też nic nowego na temat stanu policjanta. Wydaje mi się,
że lekarze utrzymują go w śpiączce farmakologicznej. Tak
się robi w podobnych przypadkach. Ma to coś wspólnego
z opuchlizną mózgu, jeśli się nie mylę.

– Znam podobny przypadek – przyznał Asunander. –
Tak czy inaczej, musimy zdecydować, czy..

Przerwał mu jeden z telefonów, który rozdzwonił się na
jego biurku. Szybko prześwidrował go wzrokiem, ale pod-
niósł słuchawkę. Po zaledwie kilku sekundach jego obie
brwi powędrowały do góry, ale nie komentował tego, co sły-
szał po drugiej stronie. Mniej więcej po minucie, tuż przed
odłożeniem słuchawki, wymamrotał tylko jakieś „Tak”,
„Nie” i „Naprawdę?”.

Splótł dłonie przed sobą i kilka razy powędrował spoj-
rzeniem między Barbarottim a Backman.

– Możemy wykreślić pytanie numer dwa – oznajmił
w końcu. – Dziewczyna się znalazła. Leży w Gemejnte Ho-
spital w Maardam.

– Co? – zapytała Backman.

– Co? – zawtórował jej Barbarotti.

– Dokładnie tak – wymamrotał komisarz. – Wygląda na
to, że przyjęto ją wczoraj po południu. Jest w dość kiepskim
stanie.

– W kiepskim stanie? – zapytał Barbarotti. – Co to zna-
czy?

– Nie powiedzieli – wyjaśnił Asunander. – Ale właśnie
zdecydowałem, jak się tego dowiemy.

– Jak? – chciała wiedzieć Backman.

– Wy dwoje – powiedział Asunander i pochylił się nad biurkiem. – Wy dwoje polecicie tam i to ustalicie. Nie tylko to, jaki jest stan dziewczyny. Także to, co jest w liście i gdzie jest ten przeklęty Roos. Chcę mieć jego głowę na talerzu. I nie wracajcie bez niego.

– Oczywiście... – powiedział Barbarotti. – Ale...

– Jakieś pytania? – zapytał Asunander.

– Absolutnie żadnych – wyjaśniła inspektor Backman. – Wszystko jasne jak słońce.

W samochodzie, w drodze na lotnisko Landvetter, przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie.

– Jak to się stało, że jedziesz? – zapytała. – Myślałam, że jesteś oddelegowany do śledztwa w sprawie graffiti? W końcu przecież o tym marudził.

Inspektor Barbarotti odchrząknął nieśmiało.

– Hmm... może dlatego, że ta sprawa jest już rozwiązana – powiedział. – W każdym razie to bardzo prawdopodobne.

– Rozgryzłeś to? – krzyknęła Eva Backman. – Czyli wiesz, kim są PIZ i ZIP?

– Nie jestem pewien – przyznał Barbarotti. – Ale powiedzmy, że rozwiązanie leży na biurku Asunandera...

– O czym ty, do cholery, mówisz? – zdziwiła się Backman.

– Może pogadamy o tym po powrocie – zaproponował Barbarotti. – Skoncentrujmy się teraz na tym, co się stało w Maardam.

– Okej – westchnęła Backman. – Jasna cholera!

– Co się stało? – zapytał Barbarotti.

– Narada rodzinna – jęknęła, próbując zlokalizować komórkę. – Zapomniałam odwołać naradę rodzinną. Bądź teraz cicho, muszę złapać Villego i wyjaśnić mu sytuację. Jeśli odwołają trening, a ja się nie pojawię, stracę opiekę nad dziećmi, dom i całą resztę.

- Praca z tobą jest fascynująca – powiedział Barbarotti.
- Prawie cały czas.
- Cicho! – rzuciła inspektor Backman.

48

Nie należy lekceważyć końca.

Ktoś mu to powiedział bardzo dawno temu, nie pamiętał kto. Może stryjek Leopold; mógł to wygłosić w związku z pogrzebem, ale nie był pewien.

Tak czy siak, radę pamiętał: nie lekceważyć końca.

Kiedy spacerował po centrum Maardam i kupował to, co mu było potrzebne, zauważył, że jest mu jakoś lekko. Właściwie potrzebował tylko dwóch rzeczy – cholernie ostrego noża i cholernie drogiej whisky – ale nie spieszył się.

Pośpiech nie jest wskazany, pomyślał. Nie na koniec.

Zjadł lunch w ogródku restauracyjnym przy kanale. Pogoda była ładna; pozwolił sobie na dwa kieliszki czerwonego wina do spaghetti i nie pożałował na napiwek. Potem posiedział jeszcze trochę, popijając kawę, paląc fajkę i obserwując ciemną wodę, drzewa, które prawie moczyły w niej swoje gałęzie, i kołyszące się łódki.

Wąłęsających się ludzi. Najrozmaitszych.

Nigdy nie będzie lepiej.

Znalezienie dobrego lasu zajęło kilka godzin. Jechał na zachód, pod słońce, i ciągle mu się nie spieszyło. Zjechał z autostrady na chybił trafił w miejscu, które nazywało się Linzhuisen, skręcił w mniejszą drogę prowadzącą na południe, przejechał przez małą miejscowość, której nazwy nie potrafił wymówić, a która zaczynała się na „Sz”, potem przez jeszcze mniejszą o nazwie Weid i powoli kierował się

w dół porośniętego lasem wzniesienia biegnącego równolegle wzdłuż drogi i małej rzeczki.

Wąskim żelaznym mostem przeprawił się przez strumyk, skrzył w lewo w zwirową drogę, a potem pojechał w górę. Droga wiła się miękko, chociaż było też kilka ostrych zakrętów i po chwili dotarł na parking, który okazał się również początkiem szlaku turystycznego.

Tutaj, pomyślał. Skrzył, zaparkował i zgasił silnik. To tutaj.

Kiedy wysiadł z samochodu, ciągle było ciepło. Prawie nie wiało, daleko w dolinie słycać było ujadanie psa. Na parkingu żadnych samochodów tylko kosz na śmieci i tablica ogłoszeń, na której wyczytał, że można wybrać jeden z trzech szlaków: czerwony, żółty albo biały.

Zdecydował się na czerwony. Podawano, że ma 6,2 km.

Nic nie szkodzi, pomyślał. I tak nie przejdę całego.

Włożył swoje rzeczy do reklamówki i ruszył w drogę.

Whisky, nóż, notatnik i długopis.

Po mniej więcej dwudziestu minutach marszu nagle usłyszał głos ojca. Chrapliwy i trochę nierozgrzany po tych wszystkich latach, a mimo to całkowicie rozpoznawalny.

„Valdemarze, mój chłopcze, rozejrzyj się dookoła”.

Zatrzymał się. Wytarł czoło rękawem kurtki i pomyślał, że ojciec ma rację. Kawalek na lewo od ścieżki pojawiła się polana, nieduża, mniej więcej jak arena cyrkowa, a na niej kilka kamieni, na których można było usiąść i podziwiać widok. Przeszedł na drugą, zachodnią stronę wzniesienia.

Wszedł na polanę i usiadł na jednym z kamieni, ciepłym od słońca, chociaż był już późny październik.

Tutaj na południu jest inaczej, pomyślał. Lato i jesień trwają dużo dłużej. Może mógłbym tu mieszkać. Jak Greger.

Odkorkował butelkę i wypił łyk Balblair, whisky z górnej półki za dwieście dwadzieścia dziewięć euro.

Była łagodna i wyborna.

Jak dobrze, pomyślał Ante Valdemar Roos. To najlepszy alkohol, jaki piłem w życiu.

Najwyższy czas. Wyjął fajkę i tytoń. Osunął się na ziemię i oparł plecy o kamień. Tak było lepiej. Jeszcze wygodniej.

Popołudniowe słońce na twarzy. Rześkie, czyste, a zarazem przyjemnie ciepłe powietrze. Dookoła niego na lekkim wietrze szeptały żółto-zielone liście.

Zapalił fajkę i wziął kolejnego łyka. Wyjął notatnik.

Powoli i wytrwale opróżniając butelkę whisky – równie powoli i wytrwale zachodziło w tym czasie słońce, rzucając cień na polanę – czytał wszystko, co zanotował od chwili, kiedy przed pięcioma albo sześcioma tygodniami zaczął pisać.

Z tym też mu się nie spieszyło. Czasami przerywał, myślał, zastanawiał się i poprawiał. Zamieniał jedno słowo na inne albo znajdował lepsze sformułowanie. Niektóre sentencje, te Anny albo rumuńskiego pisarza, zostawił niewyglądzone.

Autor jest jeden, pomyślał, a komentarz zbędny.

Ostatnie zapiski zrobił poprzedniego dnia, po odejściu Anny i wizycie, którą złożył swojemu synowi na Keymerstraat. Długo siedział w tamtym hotelowym pokoju – to była najdłuższa, ale nie najgorsza noc w jego życiu – kartkując tam i z powrotem książkę rumuńskiego pisarza, zanim znalazł to:

Bo kiedy dwoje ludzi kroczy obok siebie, rodzi się opowieść o ich miłości, opowieść, która ciągle się zmienia i której nie da się przewidzieć, jak dziecka poczętego w ich świadomości podczas namiętnego uścisku, i w taki sam sposób nieciekawym i drętym przedmiotem, jakim jest książka, nie jest już tylko książką, ale narzędziem, jakim ma się szansę stać.

Dokładnie, pomyślał wtedy i teraz także, popijając whisky i pozwalając spojrzeniu wędrować po rozległym krajobrazie. Właśnie tak nie potoczyło się moje życie. Nie mam podstaw, żeby to rozumieć, a jednak rozumiem.

A jednak rozumiem.

Poczuł, że whisky zaczyna spełniać swoje zadanie. Nabił i zapalił fajkę, żeby zaciągnąć się po raz ostatni. Otworzył nową stronę i zaczął myśleć nad końcowym komentarzem.

To powinno być coś krótkiego. Najlepiej trochę konkretnego, ale o nieco podsumowującym charakterze.

I muszą to być jego własne słowa, nie zapożyczone.

W głowie miał pustkę. Zamiast tego zaczęli pojawiać się ludzie, cały zastęp.

Alice.

Signe i Wilma. Wrigman, Red Cow i Tapanen.

Espen Lund, Greger i jego żona. Jak jej było na imię? Widział ją tylko na zdjęciu.

Ojciec. Matka. Nieznajomy, który twierdził, że jest Nabokovem i chce coś wyjaśnić – nie przejął się nim.

W końcu Anna. Kiedy się pojawiła, wszystko inne zniknęło.

Tak, wszystko inne i wszyscy inni ustąpili jej miejsca i czuł, jak całe jego życie, te wszystkie godziny, dni i lata, od razu zbiegły się w jednym punkcie. Właśnie tutaj, właśnie teraz. Anna była z nim w jakiś niezbadany, a jednocześnie zupełnie naturalny sposób; może sama tego do końca nie rozumiała, ale zrozumie, wiedział o tym. Pewnego dnia, kiedy wydobrzeje, wszystko pojmie i będzie wiedzieć, że była jego ostatnią myślą. To ją niósł na rękach, wędrując do Krainy Zmierzchu.

W jakiś przekłety, niezbadany sposób.

Wraz z Anną pojawiły się końcowe słowa. Wypijając ostatni łyk whisky, ważył je, żeby były idealne.

Przelknął ślinę, dotknął długopisem papieru i napisał:

Wydarzenia, te cholernie zaskakujące wydarzenia nie są niczym innym, jak wziętymi w nawias przerwami. Pamiętajcie o tym, wy, którzy gnacie na oślep po świetle i myślicie, że dokądś zmierzacie – wszystko odbywa się w przerwach. Chciałbym także podkreślić, że droga whisky jest znacznie lepsza od taniej. To wszystko z mojej strony, nie mam nic więcej do dodania.

Przeczytał dwa razy, z aprobatą pokiwał głową i wyjął nóż. Nagle poczuł wahanie.

49

Barbarotti i Backman wylądowali na lotnisku Sechshafen pod Maardam o wpół do czwartej po południu i od razu pojechali taksówką do Gemejnte Hospital.

Po małych nieporozumieniach i błędach nawigacyjnych udało im się w końcu trafić na dobry oddział. Zostali powitani przez oddziałową o nazwisku Vlaander i inspektora, który przedstawił się jako Rooth.

Oddziałowa wyjaśniła, że pacjentka Anna Gambowska, która trafiła do szpitala poprzedniego dnia późnym wieczorem, była operowana i ciągle nie jest w stanie odpowiadać na pytania. Operacja się udała, a doktor Moewenroede, który ją przeprowadzał, pojawi się na oddziale za jakąś godzinę i jeśli przyjezdni policjanci chcieliby z nim krótko porozmawiać, to nie ma żadnych przeszkód.

Potem zostawiła Barbarottiego i Backman w poczekalni w towarzystwie inspektora Rootha.

– Dlaczego pan tu siedzi? – zapytała Eva Backman, kiedy dzięki uprzejmości salowej każde z nich dostało po filiżance kawy.

– Takie dostałem polecenie – wyjaśnił dobrodusznie Rooth. – U nas tak to się najczęściej odbywa. Dostaje się polecenie i trzeba je wypełnić. W waszym kraju tak nie jest?

Backman przyznała, że jest tak samo. W każdym razie w większości przypadków.

– Poza tym ona przecież jest podejrzana o morderstwo – dodał Rooth. – Tak mi się w każdym razie wydaje. Ale zdaje się, że sami wiecie lepiej?

Z tym Backman również się zgodziła.

– Jak ona się czuje? – zapytał Barbarotti. – Wie pan coś więcej oprócz tego, co powiedziała siostra Vlaander?

Rooth skinął głową i włożył do ust ciastko.

– Wyjdzie z tego, tak twierdzą – powiedział. – Chyba nie mogła nikogo zamordować, taka kruszyna?

– Jeszcze nie wiadomo – oznajmił Barbarotti. – Jest zamieszana w sprawę. W pewien sposób.

– Jakie macie rozkazy? – chciał wiedzieć Rooth.

– Jak najszybciej ją przesłuchać – wyjaśniła Backman. – Zabrać do domu, jeśli będzie można. Nie zostaniemy tu dłużej niż kilka dni.

– Maardam jest całkiem przyjemne – powiedział Rooth.

– Jest kilka fajnych knajp, jeśli was stać. A jesień jest najlepszą porą roku.

Barbarotti skinął głową i przyjrzał się koledze. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, miał mocną budowę, kwadratową twarz i przerzedzone włosy. Było w nim coś znajomego, ale Barbarotti nie mógł wpaść na to, co by to mogło być.

– Ma pan zamiar czekać na doktora Moewenroede'a? – zapytał. – Bo jeśli tak...?

– Spokojnie, może pan się urwać na kilka godzin – zaproponowała Backman. – Umówmy się tak, że zadzwonimy do pana, kiedy będziemy chcieli stąd iść.

– Wspaniale! – powiedział inspektor Rooth. – Mam do załatwienia kilka spraw na mieście. Wrócę w ciągu dwóch godzin.

Wymienili numery telefonów i Rooth zostawił ich samych.

– Wydaje mi się, że już go gdzieś widziałem – przyznał Barbarotti.

– Mnie też – powiedziała Backman. – No dobra, to sobie trochę posiedzimy.

– Na to wygląda – oznajmił Barbarotti. – Może powinienem poprosić, żeby obejrzelі moją nogę? Jak sądzisz?

– Daruj sobie – odparła Backman.

Kiedy pojawił się doktor Moewenroede, zapytał, czy życzą sobie szczegółowej, czy zwięzłej relacji na temat stanu zdrowia Anny Gambowskiej. Backman wyjaśniła, że zadowolą się zwięzłą. Moewenroede poinformował, że chodzi o krwiaka podtwardówkowego będącego dość częstym następstwem urazów głowy, że operacja była trochę skomplikowana, ale wszystko poszło dobrze. Pacjentka musi się porządnie wyspać. Pozostanie w szpitalu co najmniej tydzień, ale jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, jutro będą mogli z nią krótko porozmawiać.

Barbarotti i Backman podziękowali za rozmowę i przekazali nadzór policyjny inspektorowi Roothowi, który właśnie wrócił.

Na dole w recepcji zamówili taksówkę i udali się na Keymerstraat, żeby porozmawiać z trochę bardziej rozmownym, jak mieli nadzieję, Gregerem Roosem.

Był wysokim, chudym czterdziestolatkiem. Barbarotti pospieszenie szukał cech, które upodabniałyby go do ojca, ale niczego nie znalazł. Miał na sobie czarne sztruksy, białą koszulę i, ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie nieco wyrafinowanego. Żadna z osób, z którymi rozmawiał, nie użyła słowa „wyrafinowany”, próbując opisać Ante Valdemara Roosa, i Barbarotti zaczynał rozumieć, dlaczego ci dwaj nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego.

Może jakiś jeden lub dwa głęboko ukryte geny.

Przywitała się z nimi żona i dwójka dzieci w wieku osiem, dziesięć lat. Potem zaszyli się w jakimś odległym kącie dużego i minimalistycznie urządzonego mieszkania, zostawiając ich w salonie z trzema piwami i miseczką orzeszków.

– Zaskoczyło pana, kiedy się pojawił, prawda? – zainicjowała Backman.

– Zaskoczyło, to mało powiedziane – stwierdził Greger Roos. – Zadzwoił z kawiarni na dole i dwie minuty później stał w przedpokoju. Nie widzieliśmy się od pogrzebu mamy.

– Dziesięć lat temu? – zapytał Barbarotti.

– Zgadza się – przyznał Greger Roos. – Przykro to mówić, ale nigdy nie mieliśmy dobrego kontaktu, ojciec i ja.

– Ile miał pan lat, kiedy się rozwiedli?

– Pięć. Potem cały czas mieszkałem z matką. On... ojciec... w zasadzie nie istniał.

– Całkiem zniknął? – chciał wiedzieć Barbarotti. – To znaczy...?

– Przez parę lat spędzaliśmy wspólnie kilka tygodni wakacji. Sądzę, że było to równie męczące dla nas obu. Niestety. Nie zrobił nic, żeby polepszyć nasze relacje.

– A pana matka?

– W kontekście ojca?

– Tak.

– Chyba nie żywiła do niego jakiejś szczególnej urazy. Ale nigdy o nim nie rozmawialiśmy. Po prostu uważała chyba, że... no cóż, wydaje mi się, że uważała go za potwornego nudziarza.

Znowu to samo, pomyślał Barbarotti.

– Pamiętam, że kiedyś porównała go do szklanki wody. Letniej wody.

Barbarotti rzucił Backman szybkie spojrzenie i pomyślał o tym, co mówiła Marianne.

– Co powiedział, kiedy tu przyszedł? – zapytała Backman. – Jakie sprawiał wrażenie i jak długo został?

Greger Roos zaśmiał się.

– Najdziwniejsze jest to, że był tak dobrze ubrany... cóż, może nie dosłownie, ale w każdym razie miał na sobie nowe ubrania. Garnitur, koszulę i krawat. Wyglądało, jakby cały strój kupił tego właśnie dnia.

– Może tak było – oznajmiła Backman i szybko się uśmiechnęła. – Przecież od wielu tygodni ucieka.

– Możliwe – powiedział Greger Roos. – Tak czy inaczej, przeprosił, że się pojawił bez zapowiedzi, ale chciał mnie prosić o przysługę. A właściwie dwie.

– Dwie? – zapytał Barbarotti.

– Tak. Po pierwsze chodziło o ten list. Miałem dopilnować, żeby trafił w wasze ręce. Twierdził, że to bardzo ważne. Miał wszystko wyjaśnić i to była sprawa honoru.

– Sprawa honoru?

– Tak powiedział – oznajmił Greger Roos. – Właśnie takiego użył określenia.

– Dlaczego nie mógł nam go wysłać? – chciała wiedzieć Backman.

Greger Roos wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie zapytałem, a on nie wyjaśnił. Byłem tak zaskoczony, że go widzę, że nie do końca wiedziałem, co mam mu powiedzieć.

– A ta druga sprawa, w której miał pan pomóc? – zapytał Barbarotti.

Greger wypił łyk piwa i zanim odpowiedział, wytarł kąciki ust.

– Chciał, żebym mu wybaczył.

– Wybaczył?

– Dokładnie. Powiedziałem, że nie mam mu czego wybaczać, ale on się upierał i powiedział, że się myślę. I że na pewno rozumiem, co ma na myśli.

– Że zawiódł pana jako ojciec?

– Przypuszczam, że o to chodziło. Bardzo nalegał i w końcu to powiedziałem. Że mu wybaczam. Potem został tylko pół minuty, zostawił list i zniknął. To było...

– Tak?

– To było prawie jak sen. Byłem w domu sam i pomyślałem, że musiałem sobie to wszystko uroić. Uszczypnąłem się w ramię; no i trzymałem w ręku list, więc dotarło do mnie, że to się wydarzyło naprawdę.

– Jak długo tu był?

– Najwyżej pięć minut.

– I nie powiedział, dokąd się wybiera?

– Nie.

– Wspominał coś o młodej dziewczynie?

– Nie. W sumie nie zdążyłem go o nic zapytać. Oczywiście z tyłu głowy miałem rozmowę z wami, ale wszystko potoczyło się zbyt szybko.

Eva Backman westchnęła.

– Rozumiem – przyznała. – Cóż, takie rzeczy nie zdarzają się przecież codziennie. Gdzie pan ma ten list?

Greger Roos wstał i poszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił i położył list na stole. Dużą i grubą kopertę. Barbarotti podświadomie wyobrażał sobie coś mniejszego, a to wyglądało bardziej jak jakaś paczka.

– Okej – rzuciła Eva Backman. – Weźmiemy to ze sobą. Zostaniemy tu przez kilka dni. Na pewno będziemy chcieli jeszcze z panem porozmawiać. Czy będzie można pana jakoś złapać?

– Żaden problem – zapewnił Greger Roos, podając swoją wizytówkę. – Dzwońcie w każdej chwili.

Podziękowali, uścisnęli sobie dłonie i opuścili Keymerstraat.

Otwierając list, siedzieli w hotelowym pokoju inspektor Backman.

Barbarotti poczuł lekkie kołatanie serca i widział, że Eva Backman czuje to samo.

Duża koperta zaadresowana do „Policji w Kymlinge” zawierała dwie mniejsze. Na jednej z nich, grubej i zaklejonej,

widniało: „Anna Gambowska do rąk własnych”. Na drugiej, cieńszej, zagięta była tylko klapka i brakowało adresata.

Eva Backman spojrzała na Barbarottiego. Skinął głową, odgięła klapkę i wyjęła podwójnie złożony arkusz papieru. List był napisany odręcznie i zajmował prawie całe dwie strony.

– Czytaj na głos – poprosił Barbarotti.

Eva Backman odchrząknęła i tak też zrobiła:

Piszę, będąc przy zdrowych zmysłach, żeby wszystko było jasne i nie powstały żadne nieporozumienia.

Jestem życiowym nieudacznikiem. Myślę, że od śmierci mojego ojca, kiedy to miałem dwanaście lat, nikt mnie nie lubił. Nie było chyba ku temu jakichś szczególnych powodów. Ja też nie przepadałem specjalnie za ludźmi, więc nie ma się nad czym rozwodzić.

Ale mam na sumieniu trzy osoby i muszę się do tego przyznać. Pierwszą z nich jest chłopak z Lograny. Zachował się w stosunku do Anny jak świnia, groził jej i uderzył ją w głowę żelazną rurką. Nie mam pojęcia, gdzie ją znalazł. Pojawiłem się w ostatnim momencie i ugodziłem go nożem, bo byłem do tego zmuszony. Nie żałuję.

Drugą osobą jest policjant na parkingu niedaleko Emden. Byłem spanikowany, narzucał się i chciał mi odebrać dziewczynę. To był moment; wiem, że źle postąpiłem. To było niewybaczalne.

Trzecią osobą jestem ja sam. Mam tego dość. Żyję na tym świecie od prawie sześćdziesięciu lat i dopiero w ostatnim czasie poczułem, że jest w tym jakiś sens. Ale teraz wiem, że ten dobry czas minął i wolę sam odebrać sobie życie, jak to się ładnie mówi. Wziąwszy pod uwagę to, co było mi dane przeżyć w tym ostatnim miesiącu, cieszę się jednak, że tak długo z tą decyzją zwlekałem.

Mam też na sumieniu, ale w całkiem innym rozumieniu tego słowa, czwartą osobę. Z mojego nieba, bo wierzę, że każdy z nas je ma, będę zawsze chronił Annę Gambow-

ską. Pieniądze w drugiej kopercie, które wygrałem w Lotto i z którymi mam pełne prawo zrobić, co mi się żywnie podoba, są dla niej. Są tam również klucze do dwóch skrytek na dworcu głównym w Maardam. Jest tam jej gitara i inne rzeczy, które do niej należą.

Oprócz tego chcę, żeby dziewczyna dostała Logranę. Jeśli będzie chciała, może ją sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na studia i zrobić ze swoim życiem coś pożytecznego. Anna jest jedyną osobą, oprócz mojego ojca, która coś dla mnie znaczyła.

Pozostałe środki pieniężne bez wątpienia skonfiskuje Alice z dziewczynkami. Niech i tak będzie. Zasłużyły sobie na to. Może Greger też powinien coś dostać. Niech się w tej sprawie dogadają.

List został napisany w pokoju hotelowym w Maardam w nocy z 7 na 8 października 2008 roku i jest moją ostatnią wolą, moim testamentem.

Z poważaniem
Ante Valdemar Roos

Podala list Barbarottiemu, a ten jeszcze raz przeczytał go sobie po cichu. Kiedy skończył, zauważył, że Backman podeszła do okna i przez nie wygląda. Ściemniło się. Padał słaby deszcz. Stała z rękami splecionymi z tyłu, powoli kołysząc się z pięty na palce, do przodu i do tyłu.

Chciał coś powiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie znajdował odpowiednich słów.

Ona najwidoczniej też nie. Trwało to dość długo. Stała przed oknem odwrócona do niego plecami, a on siedział na brzegu łóżka z listem Ante Valdemara Roosa w dłoniach i w głowie. Pomyślał, że z jakichś nie do końca zrozumiałych powodów zapamięta tę chwilę na zawsze. Odbitka albo obraz, który powoli i nieubłaganie utrwał się w pamięci i nigdy nie pozwoli się zapomnieć.

W końcu się odwróciła. Popatrzyła na niego z przygnębieniem i powiedziała:

– Jedna z tych knajp, które zachwalał inspektor Rooth, co ty na to?

– Tak – odparł Gunnar Barbarotti. – Może spróbujemy to sprawdzić.

50

Jednooka kobieta nie lubiła policjantów.

Było to widać aż nadto wyraźnie i Barbarotti pożałował, że nie przedstawił się jako krewny.

– *So what?* – zapytała. – Dziewczyna najwyraźniej była chora, zadzwoniłam po karetkę. Co wam do tego?

– Właściwie bardziej interesuje nas mężczyzna – wyjaśnił Barbarotti. – Kiedy się meldowali, powiedział, że jest jej ojcem, tak?

– Tak, tak powiedział – potwierdziła kobieta i zapaliła papierosa.

– Jak się zachowywał po powrocie? Czyli po tym, jak dziewczyna została już odwieziona do szpitala?

– Jak się zachowywał?

– Tak – odparł Barbarotti. – Co powiedział i co zrobił?

– Popelnił jakieś przestępstwo? Dlaczego o to pytacie? Barbarotti zamyślił się na chwilę.

– Nie żyje – powiedział. – Badamy okoliczności jego śmierci i śmierci innych osób. Proszę odpowiedzieć na moje pytania. To zajmie tylko pięć minut, jeśli porozmawia pani z nami tu i teraz albo cztery godziny, jeśli będę musiał zabrać panią na komisariat.

Podziałało. Przynajmniej trochę.

– No cóż, widziałam to – powiedziała i zaciągnęła się dwa razy z irytacją. Strzepnęła popiół do stojącej przed nią na kontuarze popielniczki, która wyglądała jak wysuszona półkula mózgowia. Barbarotti miał nadzieję, że to imitacja, ale nie był tego pewien. – Wpadł tu jak burza – kontynuowała. – Był zdenerwowany. Krzyczał: „Gdzie jest dziewczyna?”. Na szczęście był tu też inny klient... były bokser Bausten, czasami tu nocuje. Wcisnął go w ten tam róg i każał mu się zamknąć.

– Rozumiem – oznajmił Barbarotti. – A potem?

Kolejny raz zaciągnęła się papierosem i wzruszyła ramionami.

– Cóż, potem poszedł do ich pokoju. Pomyślałam, że najlepiej zostawić go w spokoju. Pół godziny później zobaczyłam, że wyjechał.

– I nie wrócił?

– Nie, nie wrócił. Trochę później sprawdziłam pokój. Był pusty. Zapłacił z góry, więc się tym nie zmartwiłam.

– I nie wie pani, dokąd mógł pojechać?

– Nie mam bladego pojęcia.

Barbarotti znowu się zamyślił.

– A dziewczyna – zapytał. – Może pani coś o niej powiedzieć?

– Zemdląca – powiedziała jednooka kobieta. – Może przedawkowała, nie wiem.

– Nie chodziło o przedawkowanie – wyjaśnił Barbarotti.

– Czy pytał, do jakiego szpitala ją wzięli?

– Nie.

– Mówił, dokąd się wybiera?

– Nie.

– Ma pani coś do dodania?

– Ani słowa.

Kurwa, pomyślał Gunnar Barbarotti. Miejmy nadzieję, że Backman pójdzie lepiej.

Eva Backman przyglądała się dziewczynie, która właśnie otworzyła oczy. Pomyślała, że Anna wygląda jak wróbelek.

– A więc to ty? – powiedziała.

– Co? – zapytała dziewczyna.

Mówiła szeptem i Backman dała jej trochę wody z kubka stojącego na stoliku przy łóżku.

– A więc to ty jesteś Anna Gambowska?

– Tak... to ja. A kim pani jest?

– Nazywam się Eva Backman – powiedziała. – Jestem inspektorem policji w Kymlinge w Szwecji. Wiesz, gdzie jesteś?

– Policjantką?

– Tak. Wiesz, gdzie się znajdujesz?

Anna Gambowska ostrożnie rozejrzała się dookoła.

– Ja... chyba jestem w szpitalu.

Backman skinęła głową.

– Zgadza się. Wiesz gdzie?

Pokręciła głową.

– Leżysz w szpitalu, który nazywa się Gemejnte Hospital w mieście Maardam.

– Maardam – wyszeptała dziewczyna. – Mówił o Maardam.

– Kto?

Brak odpowiedzi.

– Kto mówił o Maardam?

– Valdemar.

– Valdemar Roos?

– Tak...

W jej oczach pojawił się niepokój.

– Gdzie on jest?

Eva Backman położyła dłoń na jej ramieniu. Uchwyciła jej spojrzenie i przytrzymała je przez kilka sekund, zanim odpowiedziała. Postanowiła nie owijać w bawełnę.

– Anno, sądzimy, że nie żyje.

– Nie żyje? Valdemar... nie żyje?

– Najprawdopodobniej tak.

– Jak... to znaczy... jak umarł?

– Jeśli umarł, to dlatego, że sam tego chciał.

Najpierw wydawała się nie do końca rozumieć, ale w końcu skinęła głową. Zamknęła oczy i zacisnęła szczęki. Backman siedziała w milczeniu i czekała. Kiedy dziewczyna znowu otworzyła oczy, popłynęły łzy, ale nie zrobiła nic, żeby je powstrzymać. Pozwalała im płynąć, po prostu, trzymając dłonie na piersiach. Wyglądało niemal jakby się modliła. Po chwili Backman podała jej kilka chusteczek higienicznych. Wzięła je, wytarła oczy i wysmarkała nos.

– Ja... mogę to zrozumieć – powiedziała. – Tak, naprawdę to rozumiem.

– Masz na myśli to, że Valdemar mógł to zrobić?

– Tak.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego tutaj leżysz? – poprosiła Eva Backman. – Co ci jest?

Dziewczyna zamyśliła się, spojrzała na twarz Backman, jakby czegoś szukała. Zapewnienia... jakiegoś potwierdzenia.

– Możesz mi zaufać – powiedziała Backman. – Wiem prawie o wszystkim, co się wydarzyło, ale chciałabym to usłyszeć od ciebie.

Anna Gambowska znowu skinęła głową i wytarła oczy do sucha.

– Dostałam w głowę – oznajmiła. – Od Steffa. Nie pamiętam tego, ale tak musiało być. Potem, kiedy się ocknęłam, Steffo nie żył, był tylko Valdemar i ja, i my... cóż, można powiedzieć, że zbiegliśmy.

– Steffo uderzył cię w głowę żelazną rurą?

– Tak... tego jestem pewna. Nawet jeśli nie pamiętam samego uderzenia.

– Jak zginął? – zapytała Backman.

Zastanowiła się, zanim ostrożnie pokręciła głową.

– Nie wiem. Staram się i staram, ale nie mogę sobie przypomnieć. Wybiega z domu z tą rurą w ręku... potem widzę,

jak podnosi ją, żeby mi przyłożyć, ale obraz cały czas znika...

– Ale mimo wszystko wiesz, jak zginął?

– Nóż – oznajmiła Anna Gambowska. – Valdemar powiedział, że to był cios nożem w brzuch i że się wykrwawił.

– Kto trzymał nóż?

– Valdemar mówi, że on.

– Ale?

– Ale ja nie wiem. Wydaje mi się, że to ja go miałam... więc może... wszystko jest takie niewyraźne. Czasami mam wrażenie, jakby to był tylko sen, ale oczywiście to nie może...

Eva Backman przerwała jej i wzięła ją za rękę.

– Anno – powiedziała. – Możesz o tym zapomnieć. To Valdemar zabił Steffa, dokładnie tak jak powiedział.

– Na pewno?

– Na pewno – zapewniła Eva Backman. – Jesteś zmęczona? Skinęła głową, próbując się uśmiechnąć.

– Trochę.

– Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Pamiętasz, że złapaliście gumę, ty i Valdemar?

– Gumę?

– Tak.

– Nie, nie pamiętam. Ale przejechaliśmy kawał drogi, a ja... dość dużo spałam. Myślę, że to przez moją głowę...

– Pamiętasz, że Valdemar, wymieniając koło, rozmawiał z jakimś policjantem?

Znowu pokręciła głową.

– Nie... przykro mi, ale nie.

– Wiesz co – oznajmiła Backman, wypuszczając jej dłoń.

– Myślę, że powinnaś teraz odpocząć. Wrócę po południu albo jutro, to sobie jeszcze pogadamy, okej?

– Okej – odparła Anna Gambowska. – Czy...

– Tak?

– Wyjdę z tego?

Eva Backman uśmiechnęła się do niej.

– Lekarz mówi, że wyzdrowiejesz.

– Czy moja mama wie, że tu jestem?

– Próbujemy zorganizować, żeby tu jutro przyjechała. Razem z twoim młodszym bratem. Potem, kiedy będziesz wystarczająco silna, polecicie razem do domu.

– Dziękuję – powiedziała Anna Gambowska i zamknęła oczy. – Bardzo dziękuję. Przykro mi, że Valdemar...

Nie dokończyła.

Backman wstała.

Zawzięta mała ćpunka? – pomyślała. Taa... pocałujcie mnie w...

51

Drugiego wieczoru też znaleźli dobrą knajpę. Znajdowała się przy jednym z kanałów i nazywała się Grote Flick. Dostali stolik w spokojnym miejscu pod sklepieniem z białego kamienia wapiennego i Barbarotti pomyślał, że inspektor Rooth miał całkowitą rację. Maardam było miastem, w którym da się żyć.

– Ciągłe mamy klika znaków zapytania – powiedział, kiedy złożyli zamówienie i dostali karafkę czerwonego wina. – Prawda?

– Tak – przyznała Backman. – Chyba tak. Co masz na myśli?

– Po pierwsze, czy to naprawdę Valdemar Roos wsadził nóż w brzuch Stefana Rakica.

– To on – zapewniła Eva Backman.

– Nie rozumiem, jak możesz być tego taka pewna – powiedział Barbarotti.

Eva Backman nie odpowiedziała.

– Dziewczyna niczego nie pamięta, a on, żeby ją chronić, wziął winę na siebie – kontynuował. – Równie dobrze mogła to zrobić ona. Na pewno poradziłaby sobie, to musi przecież podpadać pod samoobronę.

– Przestań wszystko kwestionować – odparła Backman. – Przyznał się, a dziewczyna niczego nie pamięta. Dlaczego nie możesz się tym zadowolić?

– Nie wiem – odrzekł Barbarotti. – Może dlatego że cierpi moje poczucie prawdy?

– Z takimi wymyślonymi problemami nie musisz się afiszować – stwierdziła Backman, a w jej głosie nagle pojawiła się irytacja. – Poza tym jest jeszcze jeden aspekt, ale o tym oczywiście nie pomyślałeś.

– Jaki? – zapytał Barbarotti.

– Ojciec Stefana Rakica. Co prawda teraz siedzi, ale obiecał uśmiercić tego, kto zabił jego syna. Kiedy go spotkałam, nie wysyłał dobrych wibracji.

Gunnar Barbarotti wypił łyk wina i zamyślił się dobrą chwilę.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Masz rację, nie będę już podejmował tej kwestii.

– Wspaniale – oznajmiła Eva Backman. – Miałeś więcej znaków zapytania?

– Dlaczego nie zawiózł dziewczyny do szpitala? – zapytał Barbarotti. – Naprawdę nie wiedział, w jak ciężkim jest stanie?

Backman zawahała się.

– Nie wiem – przyznała. – Według dziewczyny nie, ale skoro prawie przez cały czas spała i miała atak padaczki, powinien być chyba zrozumieć. Chociaż można przecież nie widzieć tego, czego się nie chce zobaczyć.

– Zgadza się – powiedział Barbarotti. – Chyba był w tym całkiem niezły... a może jest?

– Co masz na myśli?

Barbarotti wzruszył ramionami.

– Jak bardzo jesteś przekonana, że on naprawdę jest martwy?

– Dość przekonana – odparła Backman. – Tak czy inaczej, znajdują go. Abstrahując od tego, czy żyje, czy nie. Choć list wydawał się prawdziwy, nie uważasz?

– Tak – potwierdził Barbarotti. – Cholernie prawdziwy i cholernie tragiczny.

– Dokładnie – zgodziła się Backman. – No i wybudził się Klaus Meyer, więc jego w każdym razie nie ma na sumieniu. Jeśli Valdemar Roos nie utopił siebie i samochodu w jakimś jeziorze albo rzece, to prędzej czy później go znajdą... jak już mówiłam. Dziwne, ale nie uważam, żeby to było specjalnie ważne.

– Jeśli żyje, to jest ważne – stwierdził Barbarotti.

– Nie żyje – oznajmiła Backman. – Możemy przyjąć taką wersję?

– Chętnie, jeśli o mnie chodzi – odparł Barbarotti. – Cóż, w takim razie właściwie mam jeszcze tylko jeden problem.

– Dawaj – rzuciła Backman.

– Dziewczyna – powiedział Barbarotti.

– Co z nią?

– Ci świadkowie – ciągnął Barbarotti. – Ze świecą szukać tak łagodnej i skromnej dziewczyny. Oczywiście widziałem ją tylko przez chwilę, ale chyba się ze mną zgodzisz? Zbuntowana ćpunka, przecież to jakaś kompletna bzdura.

– Kompletna – przyznała Backman. – Na sto procent. Tak, zanim odłożymy to do akt, zajmę się pewną sprawą... albo dwiema, ściślej mówiąc.

– Czym?

– Tamtym ośrodkiem i Podwójnym Johanem. Jeśli dziewczyna w ogóle siedziała w jego samochodzie, to wydarzyło się coś zupełnie innego niż to, o czym opowiadał... niedługo porozmawiam o tym z Anną. A Sonji Svensson i jej ośrodkowi bez wątpienia będzie się trzeba przyjrzeć.

– Wspaniale – oznajmił Barbarotti. – Daj znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy.

– Możesz na to liczyć – powiedziała Eva Backman.

Potem siedzieli przez chwilę w milczeniu. Gdzieś w głębi lokalu ktoś zaczął grać na pianinie i delikatnie przytłumiono światło. Evie Backman coś się przypomniało.

– A, no właśnie – podjęła inny temat. – Sprawa graffiti też się wyjaśniła. Jak to właściwie było?

Gunnar Barbarotti nie mógł usiedzieć spokojnie.

– Cóż, tak, całkiem możliwe. Teraz leży na biurku Asunandera.

– Tak, mówiłeś. Bardzo proszę, teraz twoja kolej.

– Hmm... – mruknął Barbarotti.

– Zaczynaj! – ponagliła Backman.

– Okej – powiedział Barbarotti. – Jeśli jest tak, jak myślę, to sprawa nie jest zbyt skomplikowana. Pamiętasz tę firmę usuwającą graffiti?

– Cerber?

– Dokładnie. Właściciel nazywa się Kent Blomgren. Sądzę, że PIZ i ZIP to jego synowie.

– Co? – zapytała Eva Backman, zwilżając gardło łykiem wina. – Ale jaja!

– No – oznajmił Barbarotti. – Tak naprawdę to wpadła na to Sara, nie ja... szczerze mówiąc.

– Sara?

– Tak, chodziła do klasy z jednym z braci. Pewnego wieczoru gadaliśmy i z tym wyjechała. Ten Jimmy był w szkole prawdziwą zakałą.

Eva Backman wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Więc twierdzisz... więc twierdzisz, że synowie pilnowali, żeby interes ojca się kręcił? Oni bazgrzą, a on czyści. A niech mnie, genialne!

– Dyskusyjna sprawa – stwierdził Gunnar Barbarotti. – Asunander nigdy nie użył takiego określenia, ale sądzę, że... cóż, oczywiście nie jestem tego pewien.

- Czego?
- Wydawało mi się, że lekko się uśmiechnął, kiedy przedstawiłem moją hipotezę.
- Asunander się uśmiechnął?
- Tak mi się wydaje.
- A niech mnie – rzuciła Backman.
- Jest jeszcze jedno dziwne powiązanie – powiedział Barbarotti.
- Jakie?
- Cóż, ten Kent Blomgren... czyli pan Cerber, był kolegą z klasy Larsa-Lennarta Brahmina z lokalnej gazety. W Göteborgu trzydzieści lat temu. A przecież to elewacja jego domu ucierpiała najbardziej w całym mieście. Jest tam widocznie jakiś kwas... klasa wyższa *contra* klasa niższa, a prawdopodobnie coś jeszcze. Sprawa stara jak świat. Nie wyjaśniłem tego porządnie.
- Eva Backman z zainteresowaniem skinęła głową.
- Dawne animozje – stwierdziła. – Trochę chore, nie?
- No. Poza tym mamy oczywiście inny problem.
- Jaki?
- Wszystkiemu zaprzeczają.
- Aha? – rzuciła Backman. – Cała trójka?
- Cała trójka. I trudno im cokolwiek udowodnić. Synowie łamali prawo, a ojciec zacierał ślady.
- Nieprawdopodobne – parsknęła Eva Backman. Właśnie próbowała wypić jeszcze jeden łyk wina, ale musiała odstawić kieliszek. – I Sturegård pracowała nad tym prawie rok?
- No tak – potwierdził Barbarotti. – Ale to nie jej wina. Sara wpadła na genialny pomysł, po prostu, ale nie mamy, jak już wspomniałem, żadnych mocnych dowodów.
- W takim razie, co zrobicie? – zapytała Backman.
- Zanim odpowiedział, wytarł serwetką jakiś paproch z kącika oka. Backman cierpliwie czekała.

– Bliskie spotkanie trzeciego stopnia – odparł. – Asunander przesłucha całą trójkę. Założenie jest takie, że ma to się skończyć pewnego rodzaju... układem.

– Układem?

Barbarotti skinął głową.

– Tak. W tajemnicy. Asunander napędzi stracha całej rodziny. Skończą z graffiti. Sprawcy nie zostaną schwytani, ale problem będzie z głowy.

– Czyli wszystko w najlepszym porządku?

– W najlepszym – odparł Barbarotti. – Chociaż możliwe, że Cerber splajtuje. Na zdrowie!

– Na zdrowie! – powiedziała Backman.

Wzniesli toast, a na stole pojawiło się jedzenie. Przez chwilę jedli w milczeniu. Pianista przeszedł z *Take the A-train* do *Smoke Gets in Your Eyes*.

– Słuchaj – powiedziała. – Pozwolę sobie teraz na odrobinę prywaty. Minęły prawie dokładnie trzy doby, odkąd powiedziałam mojemu mężowi, że nie chcę już z nim dłużej żyć. Od tamtej pory rozmawialiśmy tylko raz, kiedy zadzwoniłam, żeby odwołać naradę rodzinną... Nie uważasz, że to trochę dziwne? Ani razu nie próbował do mnie zadzwonić.

Barbarotti skinął głową.

– Może smutek odebrał mu mowę?

– Nie sądzę – odparła Backman. – Raczej trenują i oglądają sport przez całą dobę, skoro mają taką możliwość.

Przez chwilę wydawało mu się, że zobaczył na jej twarzy cień rozgoryczenia. Pierwszy raz w każdym razie.

Pierwszy raz, odkąd ją poznał.

– Co jest z wami, mężczyznami? – zapytała. – Valdemar Roos. Mój mąż. Johan Johansson... i Cerber. Rozumiesz, o czym mówię?

– Chyba tak – ostrożnie odparł Gunnar Barbarotti. – Ale nie znam dobrej odpowiedzi. Może... nie...

– Mów dalej – poprosiła Backman.

- To jest tak, jakbyśmy rodzili się z dziurą.
- Dziurą? Wydawało mi się, że to my kobiety mamy...
- Chodzi o inną dziurę... – powiedział Barbarotti.
- Możesz jaśniej? – zaproponowała Backman.

- Cóż... to jakby deficyt albo pustka, którą musimy wypełnić. W każdym razie rodzimy się z defektem, którego wy, kobiety, nie macie. Znakiem zapytania... Niektórzy próbują znaleźć lekarstwo w sporcie. Nie ma nic bardziej nieskomplikowanego od sportu... nie, nie umiem tego wyrazić.

Zamilkł. Zobaczył, że Eva Backman obserwuje go z dwuznacznym uśmiechem na twarzy.

- Myślałeś już o tym kiedyś – stwierdziła.

- Myślę o tym, odkąd skończyłem trzynaście lat – przyznał Barbarotti. – Tak czy inaczej, to nasza męska ułomność. Masz całkowitą rację. Wielu z nas sobie z tym radzi, ale nie wszyscy.

Backman podniosła swój kieliszek.

- Kupuję to – powiedziała. – Zaczynamy dotykać istotnych spraw, nie uważasz?

- Tak – odparł Barbarotti. – Chyba sięgnęliśmy dna. Przynajmniej ja. Za dużo gadania, za mało myślenia, to inny problem. Chociaż kiedy się nad tym zastanowić, dotyczy to chyba obu płci.

Eva Backman zaśmiała się.

- *Sorry* – powiedziała. – Przepraszam, że poruszyłam tę sprawę. Zmieniając temat, szkoda, że sprzedałeś swoje mieszkanie.

- Czemu?

- Mogłabym je kupić – odpowiedziała Backman. – Skoro zaczynam życie singla. Lubiłam tamten balkon.

- Ja też – przyznał Barbarotti. – Ale jestem prawie pewien, że w mieście są jeszcze inne balkony.

- Tak sądzisz? – zapytała Eva Backman.

- Mogę się założyć – odparł Gunnar Barbarotti.

Zanim wieczór się skończył, jeszcze raz powrócili do Ante Valdemara Roosa. W chwili kiedy na stole stało już tylko espresso i koniak.

Gunnar Barbarotti czuł przyjemne upojenie i pomyślał, że to jedna z tych chwil, które mogłyby trwać trochę dłużej. Zakotwiczyć się i przez chwilę oprzeć się nurtowi czasu. Właśnie miał ubrać tę myśl w słowa, kiedy Eva Backman powiedziała:

– Jak sądzisz, jakie będzie najlepsze zakończenie tej historii? O panu Roos?

– Nie za bardzo rozumiem pytanie – przyznał Barbarotti.

– Ustaliliśmy przecież, że nie żyje – kontynuowała Eva Backman. – Ale przyznaj, to cię trochę gryzie?

Gunnar Barbarotti podniósł kieliszek i powąchał szlachetny napój.

– Wiesz – powiedział – że koniak jest jedynym napojem, który z powodzeniem można konsumować przez nos?

– Próbujesz tylko zyskać na czasie – stwierdziła Eva Backman. – Gryzie cię, że nigdy nie spotkasz nudziarza Valdemara, wiem o tym. Marianne ma całkowitą rację. Brak ci piątej kleпки.

– Hmm... – mruknął Barbarotti. – Może. Ale jeśli blefował z tym listem, to straci mój szacunek... kapujesz?

– Jasne – odparła Backman. – Więc jakie będzie najlepsze zakończenie? Takie było pytanie.

Gunnar Barbarotti skosztował odrobinę koniaku – przez usta – zanim udzielił odpowiedzi.

– Najlepszym zakończeniem będzie to, że nigdy nie dowiemy się prawdy – powiedział w końcu. – Abstrahując od tego, czy popełnił samobójstwo, czy też nie. Nigdy nie poznamy odpowiedzi. Może leżeć na dnie jeziora aż do dnia Sądu Ostatecznego albo za dwadzieścia pięć lat umrzeć śmiercią naturalną w Barcelonie... wszystko jedno. Najważniejsze, że nie dowiemy się prawdy.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała Backman.

– Tak – odparł Gunnar Barbarotti. – Naprawdę tak uważam.

Backman zamyśliła się na chwilę, a potem się uśmiechnęła.

– Masz rację, Gunnar – zgodziła się. – Szkoda, że jestem trochę wstawiona, bo sądzę, że powiedziałeś coś szalenie mądrego. Gdybym była trzeźwa, na pewno rozwinęłabym tę myśl.

Gunnar Barbarotti też się uśmiechnął i chłonał zarówno to, co tu i teraz – jazzujące pianino, odrobinę koniaku, która ciągle drgała na dnie kieliszka, tak dobrze znane mimiczne zmarszczki Ewy i znamię nad jej prawą brwią, na wpół uśpione, ale zawsze obecne myśli o Marianne, dzieciach, zaspokojonych potrzebach i harmonii, która bez ostrzeżenia zagościła w jego życiu, spokojny, cywilizowany gwar pod piwnicznym sklepieniem w obcym mieście – jak i osobliwą, wewnętrzną satysfakcję, jaką czuje ślepa kura, która myśli, że w końcu znalazła ziarno.



**Polecamy znakomity
cykl kryminalny Håkana Nesslera
o inspektorze Barbarottim**

**W przygotowaniu czwarty tom:
Samotni**

Bohaterami kolejnej powieści Nesslera o inspektorze Barbarottim są m.in. Ante Valdemar Roos – cichy, 59-letni księgowy, oraz 21-letnia Anna Gambowska – uciekiniarka z ośrodka dla uzależnionych. Ich losy spletają się na skutek tragicznego zbiegu okoliczności. Akcja rozgrywa się w małej leśnej chatce oraz w długim ciągu hoteli, moteli i stacji benzynowych gdzieś na drodze między Kymlinge i Maardam. A wszystko przy przejmujących dźwiękach ulubionych piosenek pana Roosa.

Nesser poprzez doskonale sportretowanych bohaterów, w charakterystyczny dla siebie sposób – z odrobiną czarnego humoru – dokonuje wnikliwej krytyki dzisiejszej Szwecji. Demaskuje wszechobecną samotność, pokazuje skutki alkoholizmu, rozwodów i nieobecnych ojców...

Drugie życie pana Roosa to trzecia z planowanych czterech części cyklu Håkana Nesslera o inspektorze Barbarottim, wyrafinowanym sceptyku szukającym czasami wskazówek w Piśmie Świętym. Inspektor Barbarotti ma coraz więcej wątpliwości związanych ze swoją karierą zawodową, a jego życie osobiste obfituje w nieoczekiwane zmiany planów.

Håkan Nesser (ur. 1950) jeden z najpopularniejszych szwedzkich pisarzy, mieszka w Uppsali. Największą popularność przyniósł mu składający się z dziesięciu części cykl powieści kryminalnych o komisarzu Van Veeterenie. Większość książek z tej serii stała się podstawą scenariuszy filmowych. Nesser trzykrotnie otrzymał nagrodę za najlepszy szwedzki kryminał, a jego książki przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków.

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

Ali Baba